

PTAKI *Baśnie fińskie*
CZAROWNICY



O babie, która zawsze się sprzeciwiała



Pewien wieśniak ożenił się kiedyś, ale szybko okazało się, że kobieta bez przerwy mu się sprzeciwia; robi wszystko, czego się jej zabrania, nie robi zaś niczego co jej się każe.

Zbliżały się święta i wieśniak, który był z natury łagodny i nienawidził kłótni, chciał chociaż gwiazdkę spędzić w spokoju, jak to na święta przystało. Myślał więc nad sposobem, jak by tu zarządzić godne święta, tak od strony jadła, jak i napitku. Wpadł w końcu na pewien pomysł i tak rzekł do żony:

— Nadchodzi Boże Narodzenie, ale nie piecz placków, bo to dla nas biedaków za drogo.

Ledwo to usłyszała gospodyni, a już wrzeszczy:

— A właśnie, że zrobię, i to jeszcze ile! A mąż dalej udaje:

— No, skoro już placków **napieczesz**, to nie rób przynajmniej pierogów.

Żona natychmiast się sprzeciwia:

— A właśnie, że zrobię, i to jeszcze ile!

— Jeśli już i pierogi zrobisz — stwierdził mężczyzna — to wódki sobie na pewno już nie kupimy.

— A właśnie, że kupimy! — burknęła gospodyni.

— No tak — ciągnął mężczyzna nie zbity z tropu — jeśli i wódkę kupimy, to na kawę ani grosza już nam nie zostanie.

— A właśnie, że zostanie! — wykrzyknęła kłótniwa baba.

— Skoro już i trochę kawy kupisz, to w każdym razie nie możemy zaprosić gości — ciągnął mąż.

— A właśnie, że zaproszę, i to jeszcze ilu! — oburzyła się gospodyni.



— Ha, jeżeli i gości zaprosisz, i do stołu usiądą, to nie sadzaj mnie na honorowym miejscu.

— A właśnie, że posadzę!

— Jeżeli już tak zrobisz, to przynajmniej nie dawaj mi butelki z wódką do ręki — niby to prosił mężczyzna.

— A właśnie, że dam! — wrzasnęła baba.

— Jeśli i to zrobisz, to nie każ mi chociaż pić — poprosił na koniec gospodarz.

— A właśnie, że będę ci kazała — odparła baba, tak jak i poprzednio.

W taki oto sposób udało się mężczyźnie spędzić miłe święta. Na przyjęciu były placki, pierogi, była wódka i kawa tak długo, jak trwały święta, a i gości zjechało wielu. Ale świąteczna radość trwa-

ła krótko. Zaraz po gwiazdce żona stała się jeszcze kłótlawsza i jeszcze bardziej złośliwa. W końcu mąż, który już nawet chwili spokoju nie mógł zaznać, pomyślał: „Dość już tego, muszę się pozbyć tej głupiej baby!”

Kiedy nadeszło lato i pora sianokosów, poszedł gospodarz na łąkę, przez którą przepływała bystra rzeka, a nad nią leżała drewniana kładka. Naciął mostek siekierą tak, że ledwo mógł utrzymać dorosłego mężczyznę. Wrócił do domu i rzekł do żony:

— Mamy wspaniałą pogodę, pójdziemy na łąkę kosić. Ruszyli, a kiedy dotarli do rzeki, mężczyzna pierwszy wszedł na kładkę i ostrożnie przeszedł na drugą stronę. Lecz z drugiego brzegu ostrzegł żonę:

— Przechodź ostrożnie i powoli, nie skacz, bo wydaje mi się, że kładka jest już słaba i mocno nadgniła.

— A właśnie, że będę skakać! — krzyknęła baba i z całej siły tupnęła nogą.

W tej samej chwili kładka złamała się, a kłótliva baba wpadła do rzeki, która uniosła ją ze sobą.

Rzucił się zaraz mężczyzna w pogoń wzdłuż brzegu, ale pod prąd rzeki, żeby to niby szukać żony. Zauważyli go wtedy inni kosiarze, którzy akurat pracowali na łące i zapytali:

— Czego szukasz?

— Swojej żony jedynej, mojej kochanej — odparł mężczyzna. — Kładka się pod nią zarwała i żonka wpadła do rzeki — dodał jeszcze.

— Czego więc, głuptasie, tutaj szukasz? — zapytali kosiarze. — Jeżeli wpadła do rzeki, to przecież z prądem płynie!

— Tak wam się tylko wydaje — odparł mężczyzna. — Moja żona całe życie się sprzeciwiała, to i pewnie po śmierci pod prąd płynie.

Słyszac to, kosiarze pokiwali tylko głowami i pomyśleli: „Pewnie i lepiej będzie dla ciebie, chłopie, jeśli już swojej baby nie znajdziesz”.

Król i garncarz



Zwołał pewien król wszystkich mędrców królestwa i dał im do rozwiązania zagadkę: co jest najgorsze na świecie? Długo dumali mędrzy, kiwali głowami, ale na pytanie odpowiedzieć nie potrafili. Zdenerwował się wtedy król, kazał ich wygnąć, sam zaś ruszył do miasta, aby poszukać człowieka, który potrafi odpowiedzieć na to pytanie. Spotkał na rynku garncarza sprzedającego swoje garnki.

— Dzień dobry, garncarzu — powitał go król.

Garncarz odpowiedział na powitanie, kłaniając się nisko.

— Długo już wykonujesz swój zawód? — zapytał król.

— Od dzieciństwa, miłościwy panie — odparł garncarz. — Nie sieję, nie orzę, a mimo to nieźle utrzymuję swoją rodzinę.

— Dobrze jest żyć na świecie, ale zdarzają się też czasem nieprzyjemności. Powiedz no mi, człowieku, co jest najgorsze na świecie?

— Trzy rzeczy są najgorsze, miłościwy królu — odparł garncarz. — Pierwsze zło to złośliwa żona, drugie to zawistny sąsiad, a trzecie to kiepski rozum.

— A co z tych trzech jest najgorsze? — zapytał król.

— Najgorszą rzeczą jest kiepski rozum. Od złośliwej żony i zawistnego sąsiada zawsze można się uwolnić, ale kiepski rozum ciągle towarzyszy człowiekowi, choćby nie wiadomo dokąd uciekał.

— Dobrze odpowiedziałeś, człowieku. Wyglądasz na mądrego. Poproś mnie teraz o coś w nagrodę.

— Daj mi jedynemu, miłościwy królu, prawo lepienia i sprzedawania garnków w promieniu-stu kilometrów, a będę ci bardzo wdzięczny.

Król przystał na prośbę, a żeby jeszcze bardziej pomóc garncar-

rzowi, rozkazał każdemu dworzaninowi, który przyjdzie na zamek, przynieść z sobą jeden garnek.

W mgnieniu oka sprzedał garncarz wszystko, co miał, został mu tylko jeszcze jeden, ostatni garnek. Postanowił poczekać na kupca, który kupi i ten. Pod wieczór przyszedł na zakupy stary, bogaty dworzanin.

— Ile chcesz za garnek? — zapytał.

— No, od ciebie, dworzanina, nie wezmę wiele. Tylko pięćdziesiąt marek — odparł garncarz.

Zdenerwował się stary dworzanin i krzyknął:

— Głupi jesteś, taki garnek nie kosztuje więcej niż jedną markę.

— Nie sprzedam go taniej — upierał się garncarz. Dworzanin o mało nie pękł ze złości. Wyzywał sprzedawcę i zachowywał się tak nieprzyzwoicie, że zdenerwował się w końcu garncarz i rzekł:

— Teraz nie sprzedam ci go za żadną cenę.

Przestraszył się wtedy dworzanin. Wkrótce powinien być na



zamku, ale bez garnka nie miał po co iść. Rozkazów królewskich musiał przecież słuchać. Innych zaś garncarzy w promieniu stu kilometrów nie było. Błagał, proponował już pięćset marek, ale garncarz był nieugięty. Obiecował już nie wiadomo co, ale wszystko na próżno.

Powiedział w końcu garncarz:

— Zgodzę się pod jednym warunkiem: jeżeli pociągniesz mnie w moim wózku na królewski dwór, to dostaniesz garnek.

Nie miał dworzanin innego wyjścia, jak tylko przystać na ten warunek. Musiał mieć garnek bez względu na cenę.

Zdarzyło się akurat, że król wraz z dworem był na zamkowym dziedzińcu. Wielce się zdziwił na widok przedziwnego zaprzęgu i zapytał:

— Hej, garncarzu, a kogo to nająłeś do ciągnięcia?

— Kiepski rozum, miłościwy panie — odparł garncarz. Stary dworzanin okrutnie się rozzłościł. Opowiedział królowi o swoich zakupach i zażądał ukarania garncarza.

— **Wszytko** to twoja wina — powiedział król. — Po co kupowałeś garnek tak późno i jeszcze dałeś się przy tym **okpić**. Wydaje mi się, że garncarz lepiej wypełni twoje miejsce na dworze. Ty zaś możesz wyuczyć się jego zawodu. A ty, garncarzu, chodź do mnie na służbę.



Duch gór i kruk

W małej chatce, w samym środku lasu żył sobie staruszek z trzema córkami. Pewnego wieczoru najstarsza z córek usłyszała głos dochodzący z lasu, wołający jej imię. Wyszła z chaty i pobiegła w jego stronę. Wołał ją **Peikko** — zły duch gór. Kiedy się do niego zbliżyła, porwał ją w ramiona i zaniósł do swej jaskini w głębi wielkiej góry.

Następnego wieczoru duch znowu przyszedł pod chatę. Tym razem wołał średnią córkę. Zmienił głos tak, żeby dziewczyna myślała, że to woła jej siostra, która zaginęła poprzedniego dnia. Kiedy wyszła z chaty, złapał ją pod pachę i zaniósł w góry do swej jaskini.

Trzeciego wieczoru duch gór błagalnym głosem wołał najmłodszą siostrę. I ta pomyślała, że to zaginiona siostra woła ją na pomoc. Wyszła z chaty i wpadła prosto w szpony Peikko. Ojciec po kryjomu obserwował córki i widział, co im się przytrafiło. Próbował zatrzymać ducha, ale mu się nie udało. Pobiegł więc za nim aż w góry i zobaczył, jak złodziej jego córek znika w górskiej jaskini. Usiadł zmartwiony na zboczu góry, nie wiedząc, co począć. Akurat przelatywał obok kruk. Zatrzymał się i zapytał o przyczynę jego smutku, a staruszek opowiedział mu, co się stało z jego córkami. Kruk był mądrym ptakiem i obiecał znaleźć sposób na uratowanie dziewcząt. Wysłał ojca do chatki, a sam poprosił ducha gór na rozmowę. Duch, ciekaw, jaką to też sprawę ma do niego kruk, wyszedł. Wyjaśnił mu tedy kruk, że ptaki leśne postanowiły urządzić koncert na cześć władcy gór, na którym i sam Peikko ma zaśpiewać. Duch ucieszył się z zaproszenia i obiecał przyjść.

O świcie przybył w umówione miejsce. Drzewa pełne były ptaków najróżniejszych gatunków, ale wszystkie pochowały głowy

pod skrzydła i wyglądały jak bezgłowe. Zdziwił się na ten widok gość i zapytał:

— Jak macie zamiar śpiewać bez głów?

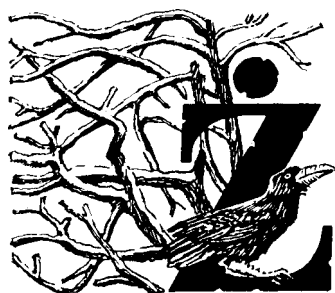
— Zaraz usłyszysz — odparł mądry kruk. — Nie możemy jednak zacząć, dopóki i ty nie odrąbiesz swojej. W tym koncercie mogą wziąć udział tylko tacy, którzy nie mają głów.

„Jeśli ptaki potrafią śpiewać bez głów, to ja też mogę”, pomyślał duch, nie chcąc opuścić koncertu. Szybko pobiegł do jaskini, wziął dużą siekiere i kazał trzem siostrą odrąbać swoją głowę.

Dziewczyny zrobiły tak, jak kazał i w tej samej chwili były już wolne.



Palacz diabelskiego kotła



Żył sobie kiedyś kowal, który miał bardzo zły charakter i zawsze znęcał się nad swoimi uczniami. Zazwyczaj też nikt nigdy nie wytrzymał u niego wystarczająco długo, żeby wyuczyć się na czeladnika.

Mimo to znalazł się jeden tak uparty chłopak, że w końcu został czeladnikiem. Postanowił jednak czym prędzej wynieść się od złego kowala i poszukać lepszego miejsca. Po długich poszukiwaniach znalazł pracę. Miał przez trzy lata palić w palenisku, na którym stał przykryty kocioł, lecz pod jednym warunkiem: ani razu nie wolno mu zajrzeć do kotła. W palenisku miały zaś zawsze płonąć dwa polana, ani mniej, ani więcej.

Palił więc chłopak przez dwa lata pod kotłem, ani razu weń nie zajrzał, a w palenisku miał zawsze tylko dwa polana.

Okazało się bowiem, że to sam diabeł, najął go do tego zajęcia i tak zagroził:

— Jeśli tylko zajrzysz do kotła, albo wsadzisz do paleniska więcej drwa, niż kazałem, to cię zabiję.

Zaczął się trzeci rok służby. Kiedyś diabeł wyszedł na chwilę, a wtedy chłopak nie wytrzymał: podniósł pokrywę kotła i zobaczył, że gotuje się w nim głowa złego kowala, u którego pobierał naukę. Dorzucił wtedy do ognia trzecie polano.

Wrócił diabeł i pyta:

— Coś ty narobił! Dlaczego dorzuciłeś trzecie polano? A na to chłopak:

— Zajrzałem do kotła i zobaczyłem w nim głowę swego byłego majstra. Był taki zły, że zasługuje na większy ogień.

Przystąpił na to diabeł i chłopak gotował jeszcze przez rok głowę złego kowala na ogniu z trzech polan. Diabeł obiecał mu, że jeśli



sumiennie wykona zadanie, to otrzyma sowitą zapłatę. I rzeczywiście, młodzieniec dostał cały wór pieniędzy.

Rusza chłopak drogą do miasta, a z naprzeciwka nadchodzi stary człowiek wyglądający na wielce zmartwionego.

Pyta więc palacz:

— Cóż cię tak zasmuciło? A tamten na to:

— Co to pomoże, że ci powiem, i tak nie potrafisz mi pomóc.

— Masz córki? — zapytał chłopak.

— Tak, mam trzy — odparł nieznajomy.

Długo wypytywał parobek staruszka, aż wreszcie dowiedział się, że nieznajomy ma długi i wkrótce musi zapłacić procenty, a nie ma ani grosza.

Rzekł na to chłopak:

— Zapłacę twoje długi, jeżeli dasz mi jedną ze swych córek za żonę.

— Dobrze, zgadzam się — odparł mężczyzna.

Ruszyli następnie do domu, żeby wybrać córkę. Najstarsza nie chciała palacza, bo był w brudnym ubraniu, tak samo i druga. Dopiero najmłodsza zgodziła się wyjść za chłopaka. Czeladnik rozdarł na pół swój skórzany kowalski fartuch, dał jedną połówkę dziewczynie jako zaręczynowy prezent i wyszedł.

Poszedł do miasta, umył się, kupił piękny strój i piękne konie z kareta. Zajechał jak wielki pan pod dom dziewczyny i powiedział, że przyjechał po swoją narzeczoną. Dwie starsze odparły, że z nikim się nie zaręczyły, ale najmłodsza przyznała się, że zaręczyła się połówką skózanego fartucha kowalskiego. Nikt w domu nie rozpoznał przybysza. Chłopak powiedział wtedy:

— Ty właśnie jesteś tą, której szukam.

Wyciągnął drugą połówkę fartucha i przyłożył do tej, którą miała dziewczyna. Pasowały do siebie jak ulał. Ożenił się palacz diabelskiego kotła z najmłodszą córką i zapłacił wszystkie długi jej ojca. Starsze siostry wpadły wtedy w straszny gniew, żałowały srodze, że nie wyszły za brudnego czeladnika. Poszły na strych i ze zgryzoty powiesiły się.

Niedługo potem diabeł odwiedził chłopaka, zaśmiał się i powiedział:

— Ha, ha, ha, ty dostałeś jedną, a ja dwie!

Wojownik szuka przeciwnika



Żył kiedyś w Finlandii pewien człowiek, który był tak świetnym wojownikiem, że nikt nie chciał z nim wszczynać walki. Zrobił się już taki zarozumiały, że kogo tylko spotkał, od razu namawiał go do bitki, ale na próżno; nikt nie chciał się zgodzić. Pewnego razu spotkał wojownik na

drodze staruszka i zapytał go:

— Nie wiesz, dziadku, kto zechciałby się ze mną bić? Odparł na to staruszek:

— Tutaj w pobliżu nikt, ale tam, w Krainie Wschodzącego Słońca, są mężczyźni, którzy stawiają ci czoło.

Ucieszył się na te słowa wojownik, zaraz obiecał tam pójść i tak też zrobił.

Droga była bardzo daleka i szedł wiele dni, zanim dotarł do Krainy Wschodzącego Słońca. W końcu kiedy znalazł się już na miejscu, zaszedł do pewnej chaty, poprosił o nocleg i posiłek. W chacie była tylko staruszka pilnująca dobytku. Dowiedział się od niej, że ma ona dwóch synów, którzy teraz są poza domem, ale na noc wrócą do domu. Zapytał zaraz przybysz:

— A dobrzy są w walce? Staruszka odparła:

— Ano, tacy zwyczajni, jak wszyscy.

Potem przygotowała gościowi wieczerzę: skrzynkę ziemniaków, beczkę śledzi, beczkę soli, kosz chleba i beczkę piwa do popicia. Zaczął się wojownik posilać, ale nie dał rady zjeść więcej jak pół chleba, tuzin ziemniaków, trzy śledzie i wypił kufel piwa. Zdziwiła się na ten widok staruszka i rzekła:

— Ho, ho, a co wy tak mało jecie, gościu! Moi chłopcy zjadają kosz chleba, skrzynkę ziemniaków, beczkę śledzi i drugą soli, a na

koniec popijają to wszystko beczką piwa i dopiero wtedy są najedzeni.

Nie mógł w to uwierzyć wojownik, ale też nie posądzał staruszki o kłamstwo. Położył się szybko na ławie i udawał, że śpi.

W nocy wrócili synowie gospodyni i zapytali:

— A kto to u nas gości? Matka odparła:

— Przybył jakiś Fin, żeby się z wami bić.

Zasiedli chłopcy do stołu i obiecali dać mu spokój do rana, żeby mógł być lepszy w walce. Przybysz widział i słyszał wszystko, ale nie miał odwagi odezwać się nawet słówkiem. Patrzył, jak się posilają. Zjedli razem kosz chleba, beczkę śledzi, beczkę soli, skrzynkę ziemniaków i popili to wszystko beczką piwa. Następnie położyli się na ławie po obu stronach Fina. Zaraz też zasnęli i zaczęli oddychać tak mocno, że ich oddech rzucał gościem od ściany do ściany. Fin, widząc, że sam oddech przeciwników rzuca nim o ściany izby, przestraszył się tak bardzo, że nic nie wspomniał o walce, przedostał się tylko do drzwi, i w nogi.

Chłopcy z Krainy Wschodzącego Słońca obudzili się jednak i ruszyli za nim w pogoń. Fin pobiegł w stronę morza i na swoje szczęście dostrzegł tam mężczyznę z Kalevy, który łowił ryby. Rozpędził się uciekinier i skoczył do kieszeni jego kurtki. Podbiegli wówczas ścigający do rybaka i dalej domagać się Fina. Nie wiedział człowiek z Kalevy, że ma uciekiniera w kieszeni. Rozsierdził się strasznie na przybyszów z Krainy Wschodzącego Słońca i zaczęła się walka, a była to walka, o jakiej nikt jeszcze nie słyszał ani jakiej nikt jeszcze nie widział. Choć człowiek z Kalevy walczył sam, zawsze był górą. W końcu złapał obydwu przybyszów za głowy, cisnął nimi z całej siły o ziemię i tak skończył się bój.

Znowu zaczął syn Kalevy łowić ryby. Sięgnął jednak do kieszeni i znalazł coś na dnie. Wyciągnął to, mimo że przypominało mokrą plamę, położył na dłoni i dopiero wtedy zauważył, że jest to człowiek. Obracał go więc syn Kalevy w ręce jak ptaka i chuchał nań. Człowiek zaczął wówczas powoli rosnąć, aż w końcu osiągnął rozmiary dorosłego mężczyzny. Rybak pozwolił wrócić nieszczęśnikowi do domu, ale zabronił mu kiedykolwiek wskakiwać do cudzej



kieszeni. Opowiedział wtedy wojownik o swej pasji do walki i o tym, jak kiepsko na tym wyszedł. Zadumał się syn Kalevy nad głupotą Fina, który taki szmat drogi przebył, aby poszukać przeciwnika, przy którym wygląda w dodatku tak jak źdźbło trawy przy stuletnim dębie. Zapytał jeszcze:

— A nie chciałbyś czasem i ze mną się zmierzyć? Fin odparł na to:

— Już nigdy nie będę z nikim walczył.

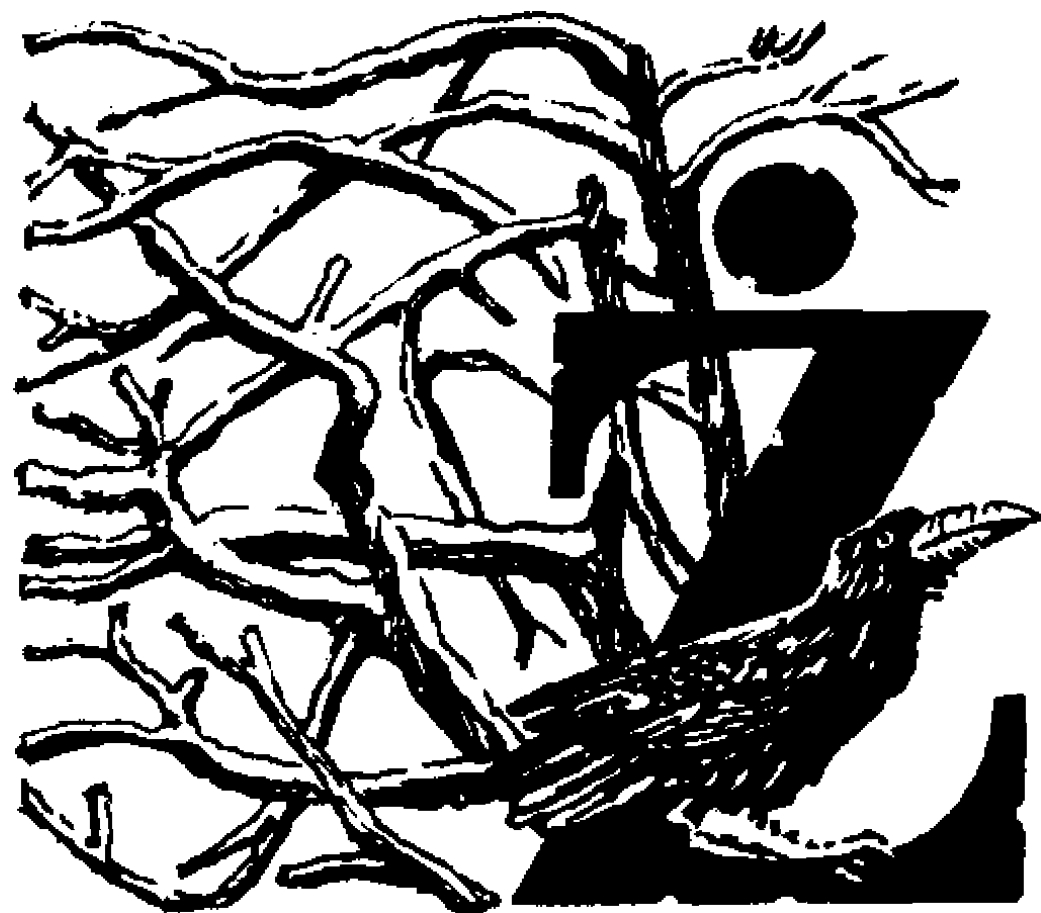
Poradził mu wtedy rybak, żeby zapamiętał sobie Krainę Wschodzącego Słońca, jej mieszkańców i to, jak skończyli w walce. Przestrzegł jeszcze, że bez powodu nigdy nie zaczyna się wojny. Zapewnił wtedy Fin, że będzie już ostrożny, albowiem nie jest tak głupi, żeby pchać się do bójki. Na koniec syn Kalevy powiedział:

— Dała zimna sauna psu nauzkę.

I jak przyjaciel rozstał się z Finem.

Rok wracał wojownik do rodzinnego domu i kraju. Myślał so-

bie, jaki był głupi, gdy wybrał się do Krainy Wschodzącego Słońca, żeby szukać zwady. Nic nie mówił o tym, jaką nauzkę dostał w odległej krainie i nikogo już do bójki nie namawiał. Powtarzał tylko:
„Nikt nie jest taki silny, żeby nie trafił na silniejszego”. I tak z naszego wojownika wyrósł prawdziwy człowiek.



Umowa przyjaciół

Żyło sobie kiedyś dwóch przyjaciół, synów sąsiadów.

Pewnego razu zawarli między sobą taką umowę, że jeżeli któryś z nich będzie miał wesele, to drugi musi na nim być, choćby nawet po śmierci. Zdarzyło się tak, że jeden z nich umarł na krótko przed weselem swego przyjaciela. W dzień ślubu pan miody przypomniał sobie o umowie, poszedł na grób przyjaciela i powiedział:

— Dzisiaj się żenię, wstań bracie i bądź moim gościem! Podniósł się wtedy z mogiły duch przyjaciela, skorzystał z zaproszenia i podążył za panem młodym do weselnego domu, gdzie czekał na niego specjalny pokój i najlepsze weselne przysmaki. Gość jednak nie tknął niczego. **Pyknął** sobie tylko parę razy z gli-

nianej fajki i rzekł:

— Czas na mnie. byłem już tutaj wystarczająco długo. Pan młody odprowadził go. Kiedy dotarli na cmentarz, tańczyła tam cała grupa duchów, a z głębi dochodziły dźwięki wesołej,

skocznej, weselnej muzyki.

Na ten widok pan młody powiedział:

— A gdybym i ja tak dołączył do tego weselnego korowodu? Przyjaciół ostrzegał go jednak:

— Jeżeli już chcesz zatańczyć, to pamiętaj: możesz okręcić się tylko raz, nie więcej.

Pan młody przyłączył się do tańczących, obrócił się raz, a następnie podszedł do przyjaciela, żeby się pożegnać i wrócić do domu na swoje wesele.

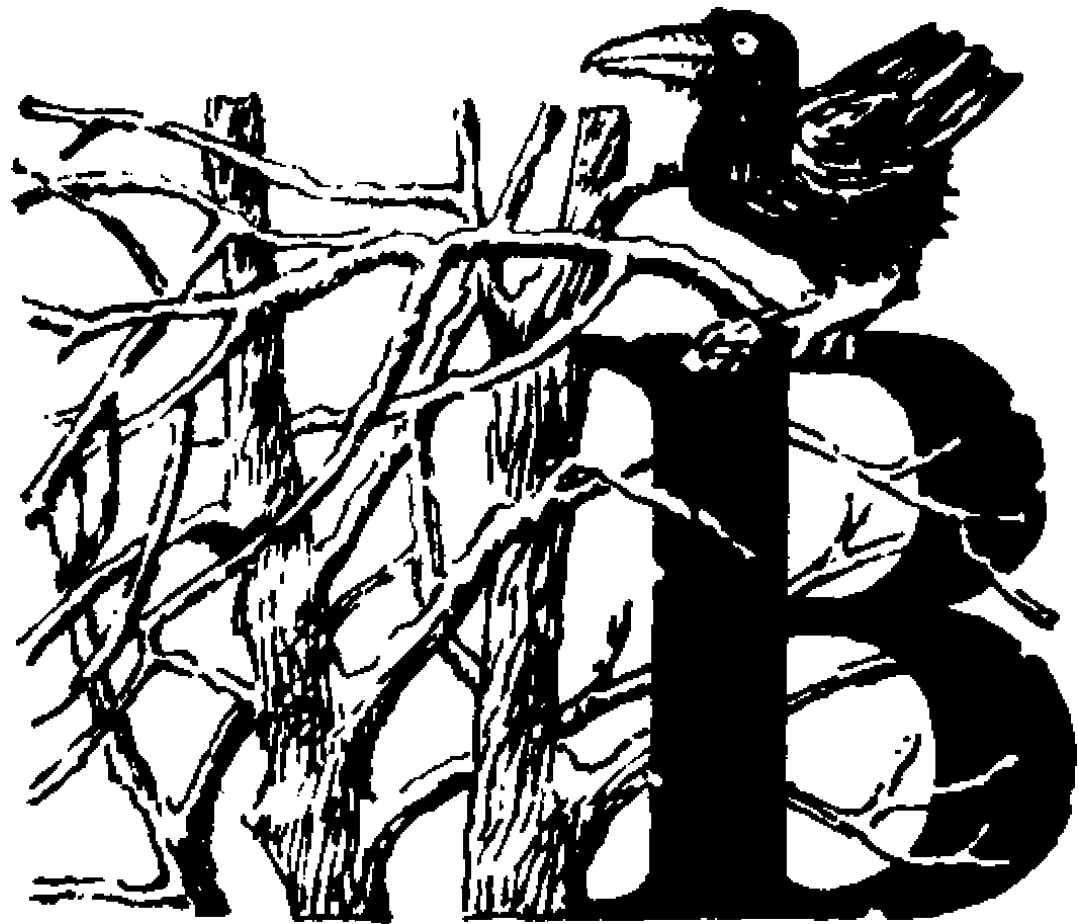
Wtedy usłyszał:

— Na darmo tam idziesz, już nikt cię tam nie zna. Od czasu gdy

wyszedłeś, upłynęło trzysta lat. Jeśli już jednak zdecydujesz się na powrót, to zgłoś się u księdza.

Pan młody wrócił do domu, ale nikt go tam ani nie znał, ani też nie słyszał o żadnym weselu. Ruszył wtedy nieszczęsny do kościoła, a że była niedziela, zastał księdza. Opowiedział mu całą historię i o tym, co poradził mu przyjaciel. Ksiądz też go nie znał, dopiero kiedy zajrzał do ksiąg kościelnych sprzed trzystu lat, znalazł jego nazwisko, a obok zapis: zaginął w wieczór ślubu. Odgadł wtedy ksiądz, że pan młody odszedł do świata umarłych bez sakramentu. Zaraz też go pobłogosławił i w tej samej chwili pan młody sprzed trzystu lat rozpadł się w proch.

Trzech doktorów



Było kiedyś trzech mężczyzn, którzy uczęszczali do Akademii i wyuczyli się na medyków. **Spotkawszy** się pewnego razu, postanowili wypróbować na swoich własnych ciałach, jak wielkie umiejętności posiadają. W tym celu każdy z nich zgodził się wyciąć sobie jakąś część ciała, którą miał następnie wstawić na miejsce.

Pierwszy z nich obciął sobie rękę, drugi **wyłupał** sobie oko. a trzeci wyciął sobie żołądek. Potem wsadzili wszystkie te części do szklanego naczynia i zalali zimną wodą. żeby nie zgniły. Najęli też człowieka, żeby pilnował wszystkiego przed kradzieżą. Obiecali mu sowitą zapłatę pod warunkiem, że uczciwie wypełni swój obowiązek. Jeżeli jednak temu nie podoła, to zapłaci za

to głową. Potem rozeszli się, aby zgodnie z umową spotkać się po trzech dniach w tym samym miejscu.

Ledwo odeszli, a już strażnik pobiegł do swej narzeczonej. Kiedy wrócił, o Boże: świnie zjadły doktorską rękę, oko i żołądek. Zmartwił się wielce, bo wiedział, że zapłaci za to głową.

Kiedy dumał, jak wybrnąć z biedy, której sobie napytał, podszedł do niego człowiek znany powszechnie ze swej mądrości. Zapytał strażnika, czemu się tak smuci, a ten na to:

— Oj, oj. mam powody, żeby się martwić. Polecono mi, żebym pilnował ręki, oka i żołądka trzech doktorów. Powiedziano, że jeśli wypełnię swój obowiązek sumiennie, to otrzymam wielką sumę pieniędzy, jeżeli jednak z powierzonymi mi rzeczami stanie się coś złego, przyplączę to życiem. Teraz, kiedy świnia pożarła wszystko, zabiją mnie.

Rzekł na to mądry człowiek:

Ee. za szybko się smucisz, nie masz powodu. Posłuchaj tylko

mojej rady, a wybrniesz z kłopotów. W stodole powieszono jakiegoś złodzieja, idź i obetnij mu rękę. Potem zabij jedną ze swych świń i wytnij jej żołądek. Na koniec zabij swego kota, a zdobędziesz oko.

Uradował się na te słowa nieszczęsny strażnik i serdecznie podziękował mądrému człowiekowi za radę. Następnie postąpił tak, jak kazał mu mędrzec, wsadził wszystkie zdobyte części do słoja i strzegł ich jak oka w głowie aż do powrotu doktorów, którzy niczego się nie domyślając, sowicie go wynagrodzili.

Medycy powkładali brakujące części na miejsca i uzdrowili siebie. Kiedy się już dobrze poczuli, zapytali się nawzajem, czy wszystkie uzdrowione części są teraz też tak samo dobre jak i przedtem.

Ten, który dostał rękę złodzieja, powiedział:

— Ręka jest. owszem, tak samo dobra jak przedtem, tyle że bez



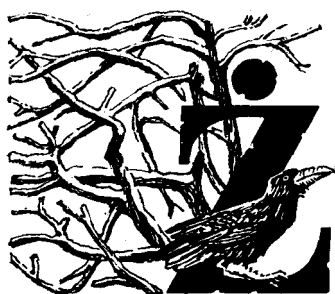
przerwy chce coś kraść, zabierać coś cudzego, tak jakby była ręką złodziejaszka. Ledwo się odwróć, a ona już coś ściąga. Ten, który dostał żołądek świni, stwierdził:

— Owszem, mój żołądek jest tak samo dobry, jak i przedtem, tylko że bez przerwy ma apetyt na nieprzyzwoite rzeczy: korzenie, błoto, a nawet nawóz. Ponadto chciałby jeść wszystko na surowo, jak świnia, jest dokładnie taki jak żołądek świni.

Ten natomiast, który dostał oko kota, był ze wszystkich najbardziej zadowolony i rzekł:

— Moje oko jest tak samo dobre jak przedtem. Widzę o każdej porze: w dzień i w nocy. W ciemnościach widzę nawet lepiej niż dawniej i dzięki temu mam lepszy wzrok, niż miałem.

Od tego czasu doktorzy stali się bardzo sławni i według własnego mniemania potrafili uzdrowić kogo tylko chcieli. Dobrze wypełniali swoje obowiązki, a może i robią to do dziś.



Mądra żona

Żył kiedyś bardzo bogaty człowiek, który miał tak piękną żonę, że piękniejszej niż ona nie znalazłbyś ani na ziemi, ani na morzu. Była tak niezwykłej urody, że gwiazdy migotały na jej ramionach, a światło księżyca lśniło na jej czole. Bogaty człowiek był bardzo szczęśliwy. Powiedziała mu jednak kiedyś żona:

— Zachowaj w tajemnicy, że masz taką piękną żonę, nie pokazuj mnie nikomu ani też nie chwal się mną.

Mąż obiecał spełnić jej prośbę.

Pewnego razu wybrał się do miasta, gdzie mieszkał król. Poproszono go do pałacu na przyjęcie. Wszystko było tam wspaniałe i błyszczące: podłogi ze srebra, kolumny ze złota, a sufit z drogocennych kamieni. Siedział gość w towarzystwie za srebrnym stołem, jadł i pił, aż się upił nieco. Przy końcu stołu siedziała królewska córka, piękna dziewczyna. Na głowie miała złotą koronę, a włosy jak płynne, najczystsze złoto.

Król zaczął chwalić jej urodę:

— Moja córka jest najcudowniejszą kobietą na świecie. Nie ma drugiej tak pięknej jak ona. Wnieśmy toast na jej cześć!

Rozgniewał się bogaty człowiek na królewskie słowa nazywające córkę najpiękniejszą kobietą na świecie. Pomyślał, że trzeba i własną żonę trochę pochwalić, bo była przecież sto razy piękniejsza od królowny.

Rzekł tedy do króla:

— Oczywiście, mogę wypić kielich za córkę miłościwego pana, ale z tym, że jest ona najpiękniejsza na świecie, nie zgadzam się.

Słyszając te słowa, towarzystwo przy stole zamarło, a rozgniewany król krzyknął:

— Żądam wyjaśnień! Czyż moja córka nie jest najpiękniejszą kobietą na świecie?!

Bogaty człowiek musiał teraz odpowiedzieć wprost:

— Oczywiście, miłośniwy królu, piękna jest twoja córka, ale moja żona jest stokroć piękniejsza. Jest tak piękna, że gwiazdy migocą na jej ramionach, a światło księżycy lśni na jej czole. Czeka teraz na mnie w domu.

Król rozzłościł się jeszcze bardziej i rozkazał wrzucić swego bogatego gościa do więziennej celi. Na koniec powiedział:

— Niech sobie teraz żona czeka. Przyszedł tu ubliżyć królewskiej córce!

Siedział bogaty człowiek w ciemnej celi na wieży, do której tylko pod wieczór wpadało kilka promieni słońca i która pełna była wygłodzonych myszy.

Kiedy żona dowiedziała się, że kłótnia wybuchła między jej mężem a królem i że męża wtrącono do lochu, gorzko zapłakała. A gdy się już wypłakała, zaczęła myśleć, jak wydostać go z więzienia, aż znalazła sposób. Kazała uszyć piękne męskie szaty, takie jak dla księcia, obcięła krótko włosy i przebrała się. Ha, stoi teraz piękny książę w kapeluszu z piórem i mieczem u boku! A była nim żona bogatego człowieka. Kupiła potem szklaną karetę zaprzęzoną w cztery wspaniałe konie. Najęła woźnicę i kazała mu jechać do królewskiego zamku.

Po przybyciu na zamek przedstawiła się jako książę z sąsiedniego kraju, który przyjechał prosić o rękę córki króla. Ucieszył się król, przyjechał przecież konkurent, piękny młodzian. Jeszcze bardziej ucieszyła się królewska córka. Wspaniały był bowiem narzeczony, księżyc błyskał mu na czole, a gwiazdy migotały na jego ramionach. Wyszedł król w ukłonach na podwórze, żeby przywitać gościa. Wprowadził go do komnat, poił, karmił i przyobiecał oddać mu swoją córkę. Ucieszyła się z tego królewna. Trafił się jej piękny mąż, we dwoje będą stanowić najpiękniejszą parę na świecie.

Jednakże w matce króla obudziła się nieufność i szepnęła synowi do ucha:

— Nie dawaj córki temu przybyszowi. To wcale nie jest mężczyzna, to kobieta.

— Nie żartuj sobie! — krzyknął król. — To jest mężczyzna i to w dodatku najpiękniejszy na świecie.

Stara królowa nie poddawała się jednak i powiedziała:

— Rozkaż nagrzać w saunie i wyślij strażnika do pilnowania, wtedy się dowiemy, czy to jest kobieta.

Zgodził się w końcu król i rzekł do księcia:

— Zanim wydamy bal, umyj się, mój kochany. Kazałem już napalić w saunie.

Żona bogatego człowieka zaraz domyśliła się, że na dworze zaczynają coś podejrzewać -i zaczęła się zastanawiać, jak też wybrnąć z trudnej sytuacji. Spacerowała po parku, w którym żyły różne leśne zwierzęta: zające, wiewiórki, kuny, gronostaje i wiele, wiele innych. W końcu wsadziła wiewiórkę do jednej kieszeni, a gronostaja do drugiej.

Wraca książę do pałacu i rusza do sauny. Czerwonym suknem wyłożono dziedziniec aż po jej drzwi. Złote były w saunie ławy, piec z drogich kamieni, a zamiast wody lano na kamienie miód.

Kiedy książę zaczął rozbierać się do kąpieli, wyciągnął z kieszeni wiewiórkę. Ta zaczęła biegać po ścianach, a strażnicy wlepili w nią wzrok, tak że niczego nie widzieli.

Spytał ich król:

— Czy był to mężczyzna, czy też była to kobieta?

— Mężczyzna! — odkrzyknęli chórem strażnicy, którzy i tak przyglądali się tylko wiewiórcie. Poszedł król do matki i mówi:

— Co też, matko, naopowiadałaś! Nasz gość to przecież mężczyzna!

Ale matka tylko syknęła, nadal upierała się, że to kobieta i kazała posłać nowych strażników, żeby podglądali. Posłał tedy król księcia drugi raz do sauny, tym razem z lepszymi strażnikami. Teraz książę, rozbierając się, wypuścił z kieszeni gronostaja, który skakał tak wesoło, tak żywo, że strażnicy oczu od niego oderwać nie mogli i zupełnie zapomnieli, kogo mają pilnować.

Znowu spytał król strażników:

— Czy książę jest kobietą? A **strużnicy odparł i:**

— A skądże! Przecież to mężczyzna!

Stara królowa upierała się jednak jeszcze bardziej.

— Sama będę strażnikiem — powiedziała do króla.

— Też coś! — odparł na to król. — Nie uwierzyłbym w twe słowa, gdybyś ty była strażnikiem. Jesteś już stara i słabo widzisz. Teraz urzędę dla mojej córki i księcia z sąsiedniego królestwa wspaniałe pożegnanie.

Nic na to nie mogła już poradzić matka króla, więc rozpoczęło się przyjęcie. To dopiero była uczta! Przez pięć tygodni podejmowano cały lud w królewskim parku, gdzie na brzozech rosły jabłka, na świerkach rodzyнки, a na modrzewiach ziarnka kawy. Przez pięć tygodni świętowano, a najpiękniejszym wśród gości był narzeczony.

W ostatni dzień uczty rzekł książę do króla:

— Raz tylko w życiu ma człowiek prawdziwe wesele. Trzeba i gorszym dać trochę uciechy. Wypuść teraz wszystkich więźniów, żeby sobie chociaż popatrzyli na nasze wesele.

Król przystał na propozycję i rozkazał wypuścić wszystkich więźniów, a był wśród nich także ów bogaty człowiek. Ruszył w końcu wielki pochód pożegnalny z zamku: stu grajków z przodu i stu z tyłu. Narzeczona jechała w złotej karecie, a przebrany książę na **czarownym** rumaku. Po obu stronach drogi stały kłaniające się w pas tłumy. Rozglądał się uważnie narzeczony po twarzach gapiów, żeby znaleźć swego męża. A ten stał, stał w tłumie, z czapką w garści, w więziennej **sukmanie**, stał bogaty człowiek między dwoma zbójami. „Oj, zupełnie podobny ten książę do mojej żony”, pomyślał sobie. „Ale mojej żony już nigdy nie zobaczę”, westchnął i zapłakał. Podjechał wtedy do niego książę i mówi:

— Jestem twoją żoną i przyjechałam, żeby cię uratować! Wskakuj na siodło i uciekajmy! To najlepszy koń króla, sama go wybierałam.

Ucieszył się bogaty człowiek, skoczył zaraz na ognistego rumaka i dają ostrogę. Ruszył koń z kopyta jak strzała, tak że gapie zbili się w gromadę gęstą jak gradowa chmura. W tłumie zrobiło się zamieszanie: krzyk, zgiełk i pośpiech. Stu rycerzy ruszyło w pościg, ale na próżno; uciekinierzy **zniknęli** już w lesie.

Podeszła zapłakana królowna do ojca i pyta:

— Dlaczego, ojcze, oddałeś mnie mężczyźnie, który uciekł i zabrał z sobą więźnia?

Wtedy matka króla odezwała się:

— To nie był mężczyzna, to była kobieta. Cały czas tak mówiłam.

Lud zaś orzekł:

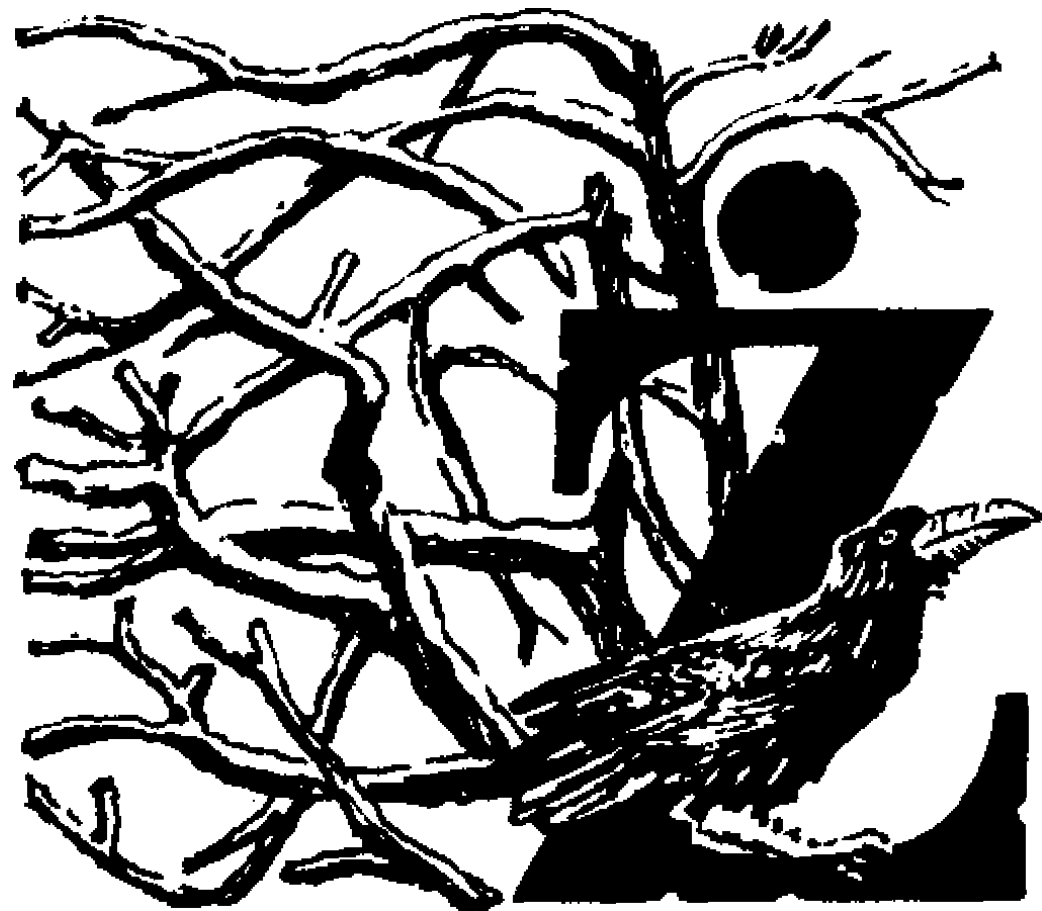
— To była kobieta, ale najpiękniejsza na świecie: słońce błyszczało na jej czole, a gwiazdy migotały na jej ramionach.

— To była żona tego bogatego człowieka, którego kazałem uwięzić — powiedział król.

— Tak, tak — rzekła matka króla. — A mówią „długie włosy, krótki rozum”, nieprawdaż? — dodała złośliwie.

— Ale ta obcięła włosy na krótko! — odciął się król.

Zamieszkał potem bogaty człowiek z żoną w małym, ukrytym pałacyku i już nigdy nie poszedł na królewski zamek.



Dziewczyna i wilk

Żyła kiedyś w lesie czarownica. Nie miała zwyczaju zaglądać do siedzib ludzkich, ale za to często włóczyła się po lesie. Kiedy pewnego razu szła przez las, spostrzegła dziewczynkę zbierającą jagody. Zabrała ją z sobą do domu, ale ponieważ dziewczyna bardzo jej się nie podobała, cały czas zastanawiała się, jak ją zabić. Pewnego więc razu kazała jej iść nad rzekę i tak wyprać czarne płótna, żeby zrobiły się białe.

— Jeżeli wrócisz znad rzeki, a płótno nie będzie białe, to cię zabiję — zagroziła.

Ruszyła dziewczyna z płaczem nad rzekę, ale i tak wiedziała, że płótno nigdy nie zbieleje. Kiedy jednak szła ścieżką, z naprzeciwka wyszedł wilk i

zapytał:

— Dlaczego płaczesz? Odparła na to:

— Kazano mi tak wyprać te płótna, żeby zrobiły się białe. Wilk dał jej wtedy laskę i powiedział:

— Weź tę laskę i zbij nią płótna, to zrobią się białe. Dziewczyna zrobiła tak, jak jej poradził wilk i płótno rzeczywiście zrobiło się białe jak śnieg. Zabrała je i poszła do czarownicy. Widząc płótna, czarownica wpadła w straszny gniew, rozzłościła się, że nie może zabić dziewczyny i w końcu powiedziała:

— Jeżeli teraz szybko nie wypierzesz płótna tak, żeby zrobiło się czarne, to cię zabiję.

Poszła nieszczęsna dziewczyna nad rzekę, ale tym razem już nie płakała. Spodziewała się bowiem, że i teraz jej się uda. I rzeczywiście, na ścieżce znowu spotkała wilka, który dał jej laskę i poradził:

— Zbij tą laską płótna, a zrobią się czarne.

Zrobiła tak, jak kazał i płótno zaraz stało się czarne. Gdy czarownica zobaczyła, że i tym razem nie uda jej się zabić dziewczyny, wpadła na nowy pomysł. W pobliżu jej chaty było małe jeziorko, ponad którym wznosił się bardzo słaby most. Po drugiej stronie jeziora mieszkała inna czarownica imieniem **Tiina**. Zawzięta jędza wysłała swoją **wychowanicę** z listem do **Tiiny**, sądząc, że most nie wytrzyma, dziewczyna wpadnie do wody i utopi się. Dla pewności napisała jednak w liście: „Jeżeli dziewczyna przedostanie się do ciebie, to zabij ją”.

Ruszyła nieszczęsna w drogę, ale tuż przed mostem wyszedł jej naprzeciw wilk i powiedział:

— Weź tę laskę, a przechodząc przez most, mieszaj nią wodę tak często, jak tylko możesz i powtarzaj: „Moście przede mną, wodo za mną”, wtedy szczęśliwie przedostaniesz się na drugi brzeg. Kiedy będziesz już u Tiiny, to pamiętaj, nie jedz niczego, bo będzie chciała cię otruć.

Dziewczyna ruszyła w drogę i tak jak jej radził wilk, często mieszała wodę. mówiąc: „Moście **praede** mną. wodo za mną". W ten sposób udało jej się przedostać na drugi brzeg. Spotkała tam konia. Wyciągnęła z kieszeni kawałek chleba i dała mu. Ruszyła dalej i po pewnym czasie zobaczyła wygasający ogień. Podsyciła go, dorzucając do niego trochę drewna. Poszła dalej, aż w końcu dotarła do chaty czarownicy. Kiedy weszła do izby. nagle z pieca spadł pogrzebacz i ułożył się na progu. Dziewczyna podniosła go i postawiła w kącie. Następnie podeszła do czarownicy i oddała jej list. Po przeczytaniu go Tiina poczęstowała dziewczynę kielbasą, ale ta. pomna ostrzeżenia wilka, wsadziła ją do paleniska, zaraz gdy tylko czarownica wyszła. Po powrocie Tiina zapytała:

— Kielbaso, gdzie jesteś? A kielbasa na to:

— Tutaj jestem, w palenisku.

Czarownica znowu dała dziewczynie kielbasę i rozkazała:

— Musisz ją zjeść!

Kiedy jednak Tiina wyszła na chwilę, dziewczyna wsadziła kiełbasę pod ławę.

Wróciła czarownica i pyta:

— Kielbaso, gdzie jesteś? A kielbasa na to:

— Tutaj jestem, pod ławą.

Wiedźma wyciągnęła ją spod ławki, podała dziewczynie i powiedziała wychodząc:

— Musisz ją zjeść!

Tym razem dziewczyna wsadziła kielbasę pod koszulę i nadal nie miała zamiaru wypełnić rozkazu czarownicy. Wróciła Tiina i zapytała:

— Kielbaso, kielbaso, gdzie jesteś? A na to kielbasa:

— Tutaj jestem, między koszulą a skórą.

Tiina była jednak nieco przygłuchawa, nie dosłyszała, co powiedziała kielbasa i zrozumiała: „Tutaj jestem, między skórą a żołądkiem”.

Ucieszyła się więc, myśląc, że tym razem dziewczyna już na pewno umrze.

Ruszyła biedaczka z powrotem, ale kiedy Tiina spostrzegła, że dziewczyna jeszcze żyje, pobiegła za nią i krzyknęła:

— Pogrzebacz, zabij ją! Ale pogrzebacz odparł:

— Nie zabiję jej, zrobiła dla mnie wiele dobrego. Postawiła mnie na miejsce, kiedy leżałem w progu.

Tiina pobiegła dalej i znowu krzyknęła:

— Ogniu, ogniu, spal ją! Ale ogień odparł:

— Nie spalę jej, zrobiła dla mnie wiele dobrego. Dołożyła mi gałęzi, kiedy już przygasiałem.

Tiina pobiegła jeszcze dalej za dziewczyną i krzyknęła:

— Koniu, koniu, kopnij ją! Ale koń odparł:

— Nie kopnę jej, zrobiła dla mnie wiele dobrego. Dała mi chleba.

Czarownica jednak jeszcze nie zrezygnowała i dalej ścigała dziewczynę.

Po chwili krzyknęła:

— Kielbaso, kielbaso, utop ją!

Ale dziewczyna, słysząc to, zaraz wyciągnęła kielbasę z za ko-

Ucieszyła się dziewczyna, że wilk odzyskał swą dawną postać. Wyszła za niego za mąż i razem stanowili szczęśliwą parę, bo bardzo się kochali. Wybudowali sobie wspaniałą pałac. Potem odbyło się wesele. I ja tam byłem i dostałem wielki kosz z jedzeniem, ale otworzyłem go dopiero w domu. A były w nim śledzie i kromki chleba.

I to **wszystko!**



O rozrzutnym królu

Był sobie kiedyś rozrzutny król, który przez swoje uciążliwie przepychu i hulawczy tryb życia roztrwonił całe królestwo, choć mógł nim jeszcze rządzić przez długie lata. Ze wstydem opuścił swą ojczyznę i udał się w dalekie kraje. Nie miał przy sobie nic oprócz trzech marek i starej kobyły.

Po długiej podróży przybył do pewnego miasta, w którym panował taki zwyczaj, że gdy umarł biedak i nie zostawił po sobie żadnego spadku, musiał leżeć na ulicy, pod nogami przechodniów. Zubożały król widział wielu nie pochowanych nieboszczyków, a że miał dobre serce, pogrzebał jednego z nich za trzy marki. Gdy stracił ostatnie pieniądze, smutny wsiadł na kobyłę i ruszył przed siebie.

Wyszedł mu na spotkanie chłopak odziany w biedne łachmany i zapytał:

— Kim jesteś i skąd pochodzisz?

— Jestem królem i przybywam z dalekiego kraju — odrzekł jeździec.

— Jak to, król, i nie ma świty? — zdziwił się przechodzień.

— Jestem tak biedny, że nie stać mnie na służbę — odparł zapytany.

— Królowi nie przystoi podróżować samotnie, weź mnie, panie, na swego sługę, chętnie będę ci towarzyszył — zaproponował chłopak.

— Przecież potrzeba ci jedzenia i zapłaty, a ja nie mam nic — odrzekł król.

— Jedzenia nam nie zabraknie i na pewno dogadamy się co do zapłaty

— zapewniał go tajemniczy nieznajomy.

— No to chodź, jeśli się tak upierasz — zdecydował król — lecz i tak wiem, że gdy przyjdzie głód, na pewno mnie opuścisz.

Podróżowali przez cały dzień, a gdy zbliżył się wieczór, król powiedział:

— Nadchodzi wieczór. Gdzie będziemy nocować?

— Nie martw się, panie — odrzekł chłopak — znam na to sposób, niedaleko stąd jest wieś, ja wyruszę wcześniej, żeby przygotować nocleg i posiłek.

Tak mówiąc, opuścił sługa swego pana. Doszedł do wsi, napotkał chatę i wchodząc, rzekł:

— Dobry wieczór, gospodarzu, czy znajdzie się tutaj miejsce na nocleg? Mój pan jedzie za mną.

— Któż to taki? — zapytał gospodarz.

— To król z bardzo dalekiego kraju — odparł pewnie chłopak.

— Oj, oj — zakłopotał się mężczyzna — jakże przyjmiemy tak godnego gościa? W naszych izbach nie jest ani czysto, ani ciepło.

— Jeśli tylko obiecacie nocleg, ja wszystko przygotuję — pocieszył go przybysz.

Gdy już napalił w piecu, zamiótł pokój i przyniósł gałązki jodły na podłogę, wybiegł na spotkanie swego pana, zawiódł go do chaty, rozsiadł konia i o wszystko zadbał.

Gospodarz, który po raz pierwszy gościł króla, szepnął słudze do ucha:

— Dobry gościu, mamy wprawdzie dużo jedzenia, lecz nie umiemy go przygotować tak, jak to królowie zwykli jadać.

— Zaprowadź mnie do kuchni — odrzekł chłopak — a ja przygotuję posiłek, nie martw się.

Zgodnie z obietnicą podał swemu panu wspaniałą wieczerzę i pościelił łóżko tak wytwornie, jakby to był pałac, a nie wiejska chata.

Następnego dnia przygotował śniadanie i odprowadził króla na drogę, sam zaś powrócił do chaty. Spotkawszy gospodarza, zapytał:

— Ile kosztuje nocleg?

— Gościu drogi — odparł mężczyzna — jeśli tylko jako tako poradziliście sobie w moim skromnym domu, to nie trzeba mi żadnej zapłaty.

— Wspaniale sobie daliśmy radę — odrzekł sługa.

— Skoro tak było, jak mówisz, to ja muszę ci zapłacić, ponieważ wyręczyłeś mnie w przyjęciu tak dostojnego gościa. Jeśli ci się nie odwdzięczę, na mój dom spadnie jakieś nieszczęście. Dam z chęcią wszystko, co tylko zechcesz — powiedział gospodarz.

— Chodźmy więc do szopy — zaproponował chłopak.

Tak też zrobili.

Mężczyzna kazał mu wybrać, co chce spośród wszystkich rzeczy, które się tam znajdowały. Były tam różności, chłopak jednak zwrócił uwagę na wiszącą pomiędzy innymi, nowymi, stary, pilśniowy kapelusz.

— To bym wziął — zdecydował sługa.

— Co też mówisz? — oburzył się gospodarz. — Są tu przecież nowe, dam ci je.

Lecz chłopak, nie zważając na sprzeciwy mężczyzny, włożył stary kapelusz na głowę i pożegnał się słowami:

— Bardzo dziękuję, niech wam się dobrze wiedzie. Wyszedł na drogę, spotkał swego pana i powiedział wesoło:

— No, dogadałem się w sprawie zapłaty.

— To dobrze, ale jak to zrobiłeś? — zdziwił się król.

— Tak jak umiałem. Dostałem nawet taki kapelusz na głowę. Król obejrzał podarunek i zauważył:

— Nie jest zbyt ładny. Jeśli ci już coś obiecali, to mogli dać lepszy.

Chłopak jednak był zadowolony z prezentu i rzekł:

— Znam takie miejsce, gdzie będzie sto razy cenniejszy, nie martw się, panie!

Podróżowali razem następnego dnia, a wieczorem król znowu zaczął się martwić o nocleg.

— Nie kłopotz się, panie, pójdę przed tobą i znajdę jakieś miejsce — rzekł sługa.

Poszedł do wsi, poszukał największej chaty i zapytał gospodarza:

— Czy znalazłby się tu jakiś pokój dla pana i jego sługi?

— A kim jest twój pan? — zapytał mężczyzna.

— Królem — odpowiedział pewnie chłopak.

— Nie możemy przyjąć takiego gościa, w domu jest straszny bałagan — zmartwił się gospodarz.

— To nic — odparł chłopak — ja posprzątam pokoje i przygotuję jedzenie.

— No, jeśli jesteś tak dobry, dam ci klucze. Weź wszystko, czego **wam** trzeba, żeby tak dostojny gość czuł się tu dobrze — odrzekł gospodarz.

Ucieszyły chłopaka słowa mężczyzny. Nagrzał, zamiótł i posprzątał pokoje, wybiegł na drogę po swego pana i przywiódł go do chaty. Tam dał mu dobrą kolację, jako że miał dostęp do wszystkiego. Z powodu wizyty tak znacznego gościa domownicy przenieśli się na noc do innej chaty, król mógł więc spędzić noc spokojnie i w ciszy.

Rankiem osiodłał chłopak konia swego pana i odprawił go na drogę. Sam został, żeby poczekać na gospodarza i dogadać się w sprawie zapłaty.

Wrócił właściciel ze **wsi** i sługa podszedł do niego, mówiąc:

— Mojemu panu **spieszno** było w drogę i już **wyrus/ył** przede mną. Ile jesteśmy winni za nocleg i jedzenie?

— Nic nie jesteście winni — odrzekł gospodarz uprzejmie. — Jeśli tylko jako tako daliście sobie radę w mojej skromnej chacie, to ja mam u was dług. Pierwszy raz pan z tak wysokiego rodu gościł u mnie.

— Dobrze, chodźmy więc do szopy, jeśli taka jest twoja wola — powiedział chłopak — może znajdzie się tam coś niepotrzebnego.

Tak też zrobili.

Weszli do środka i wśród mnóstwa różnych rzeczy sługa wypatrzył szablę, z których jedna była bardzo zardzewiała i wyszczerbiona. Wskazując ją, powiedział:

— Taka broń przydałaby mi się.

— Cóż za pomysł! — krzyknął gospodarz. — Weź sobie lepszą, ładniejszą.

— Ta będzie dla mnie zupełnie odpowiednia — zapewnił chłopak, **wziął** starą szablę, zostawiając gospodarzowi nową, i wyszedł na poszukiwanie swego pana.

Nie szedł długo, król czekał na drodze. Widząc go, zawołał sługa z radością:

— I tym razem wszystko jest zapłacone, a jeszcze w dodatku dostałem od gospodarza taką szablę!

— Oj, biedny chłopcze — pokiwał głową pan, patrząc na prezent. — Co z tym zrobisz? Czy nie mogłeś wziąć czegoś lepszego? Chłopak nie przejął się wymówkami i rzekł:

— Znam takie miejsce, gdzie będzie ona sto razy cenniejsza.

Uradowany wsadził szablę za pas, a wyglądał teraz mężnie, tak jak przystało na królewskiego sługę.

Szli tak razem trzeci dzień, a gdy zbliżał się wieczór, król jak zwykle zaczął się martwić o nocleg:

— A gdzie spędzimy tę noc?

— Nie martw się, panie, może i tym razem znajdziemy dobre miejsce na spanie — pocieszył go chłopak. — Gdy ty, panie, będziesz tu odpoczywał, ja pójdę do wsi i rozpylam się. To powiedziawszy, ruszył przed siebie. Zaszedł do pewnej chaty i tak rzecze do gospodarza:

— Pewien wysoko urodzony pan prosi o nocleg, czy znajdzie się dla niego jakiś ką?

— A któż to taki? — spytał mężczyzna.

— To przybywający z daleka książę Gustaw — odrzekł chłopak.

— Musicie iść gdzie indziej — odparł słysząc to gospodarz. — Nic możemy przyjąć tak znamienitego gościa.

— Dlaczego? — zapytał przybysz.

— W izbach jest zimno, a i jedzenie nie jest przygotowane.

— Dajcie mi tylko klucze, a ja przygotuję i strawę, i poślanie.

Dobry gospodarz dał klucze, a sam wraz z rodziną przeniósł się do wsi, ustępując miejsca tak wielkiemu i znacznemu gościowi.

Chłopiec posprzątał pokoje, przygotował miejsce do spania i zadbał o wszystko tak, że król mógł spędzić noc spokojnie i z wygodami.

Rankiem, sługa znów wyprawił swego pana w drogę, a sam pozostał w domu, czekając na gospodarza. Gdy ten wracał ze wsi, chłopak podszedł doń i zapytał:

— Miły gospodarzu, ile kosztuje nocleg?

— Nic, gościu drogi, nic nie kosztuje — odparł gospodarz — to ja mam dług u ciebie, co chcesz w zapłatę? Chodź ze mną do szopy, może znajdzie się tam coś dla ciebie?

Poszedł królewski sługa za gospodarzem i gdy weszli do środka, rozglądnął się uważnie. Były tam różności, a wśród nich trzy jedwabne mieszki: jeden stary, a pozostałe **nowiusieńkie**. Chłopiec wskazał ten stary, mówiąc:

— To bym chciał.

— Przecież są tu też nowe, weź je — zaproponował gospodarz. Lecz przybysz wziął ten stary, podziękował i ruszył w drogę. Trzymając mieszki w ręce, pobiegł do swego pana i krzyknął radośnie:

— O, jaki prezent dostałem od gospodarza!

— Oj, biedny chłopcze, mogłeś przecież lepszy dostać — skrzywił się król, lecz zadowolony sługa zapewnił: — Znam takie miejsce, w którym będzie on sto razy cenniejszy, przekonasz się, panie.

Podróżując czwarty dzień, dotarli do stolicy sąsiedniego królestwa. Gród był tu piękny i kolorowy, lecz pałac władcy pokrywało czarne sukno. Zdziwili się na ten widok przybysze. Zbliżała się noc, więc ruszyli za miasto, żeby poszukać miejsca na nocleg. Rankiem, gdy odpoczęli po podróży, poszedł sługa do pałacu, aby zasięgnąć języka. Tam usłyszał, że okrutny, owłosiony i **wielorogi** potwór, który pokazywał się tylko w nocy, zagroził, że zniszczy cały pałac, jeśli król nie da mu swojej córki za żonę. Królowa zaś musiała codziennie, po zapadnięciu zmroku, odwiedzać bestię i błagać ją, żeby nie wypełniała jeszcze swojej groźby.

Słyszając to, pośpieszył chłopak do nieszczęśliwego władcy i tak rzekł:

— Jestem sługą króla z dalekiego kraju. Przybywam tu z posłaniem: mój pan pragnie pojąć waszą córkę za żonę.

Krói rozkazał chłopcu, żeby zaprosił swego pana na obiad. Zaproszenie zostało przekazane i rozrzutny król wyruszył po południu do pałacu. Został wspaniale ugoszczony, a po uczcie poprosił o rękę królowy. Rodzice zgodzili się, lecz wtedy narzeczona upuściła na podłogę swój pierścionek i tak rzekła:

— Jeśli przyniesiesz mi jutro w to samo miejsce moją zgubę, wtedy zostanę twoją żoną.

Nie śmiał jednak kandydat na męża podnieść pierścionka spod stołu. Wrócił na noc do chaty za miastem.

Spytał go sługa:

— Co słyhać w królewskim pałacu?

— Słyhać dobre i złe — odrzekł rozrzutny król. — Prawie że dogadałbym się w sprawie ożenku, lecz królowna upuściła swój pierścionek i postawiła warunek, że muszę go odnaleźć i przynieść jutro w to samo miejsce.

Nazajutrz nie chciał król iść na śniadanie do pałacu, ale wierny sługa zachęcił go:

— Idź odważnie, a jeśli zapytają cię o pierścionek, poszukaj, panie, w kieszeni!

Rozrzutny król wyruszył do zamku. Czekają już na niego wspaniałe śniadanie. Gdy uczta dobiegała końca, wsadził rękę do kieszeni, znalazł tam pierścionek i położył go na stole, tak żeby wszyscy widzieli.

Królowna wzięła klejnot i rzekła:

— A teraz drugi warunek. Będiesz moim mężem, jeśli jutro podczas śniadania powiesz mi, kogo ostatniego pocałowałam dzisiaj wieczorem.

Zmartwiony poszedł narzeczony do swego sługi, a ten zapytał go tak jak poprzednio:

— Co słyhać w pałacu króla?

— Słyhać dobre i złe — odpowiedział rozrzutny król. — Wprawdzie znalazłem pierścionek w kieszeni, lecz teraz królowna postawiła mi drugi warunek: muszę do jutra odgadnąć, kogo ostatniego dzisiaj wieczorem pocałuje.

— Nic w tym trudnego — rzekł sługa. — Kogóż mogłaby całować, na pewno rodziców, ale mogę się jeszcze upewnić. Ten stary, filcowy kapelusz, który dostałem w prezencie od jednego gospodarza, jest taki, że gdy go ktoś włoży na głowę, staje się niewidoczny. Pójdę rozeznaczyć sprawę.

Tak mówiąc, włożył kapelusz i w tym samym momencie jakby rozplynął się przed królem.

Wyruszył do królewskiego pałacu. Był tam cały dzień i śledził królową. Jak cież posuwał się za nią, widząc wszystko, co robi, lecz niczego nadzwyczajnego nie zauważył. W końcu, późnym wieczorem, królewska córka opuściła domowników i wyszła z zamku. Chłopak podążył za nią, dziwiąc się, że o tak późnej porze opuszcza rodziców. Dziewczyna zaś wyszła do okalającego pałac ogrodu. Przystanęła na chwilę i w tym samym momencie ziemia zaczęła się rozstępować, a z jej wnętrza wyłoniła się okropna bestia. Miała obrzydliwe, wielkie uszy i rogi na głowie. Zbliżyła się do królowej, objęła ją, tuliła i całowała.

Chłopak, który zdobył w podróży szablę i stary jedwabny worek, podszedł niewidoczny do bestii, odciął jej głowę i włożył ją do worka. Zabrał wszystko do domu i schował.

Rano dał worek swemu panu i powiedział:

— Gdy przyjdiesz do pałacu i zapytają, kogo ostatniego całowała królowa wczoraj wieczorem, opróżnij, panie, worek i powiedz królowi: oto głowa tego potwora, którego wasza córka całowała.

Rozrzutny król zrobił tak, jak mu sługa poradził. Ruszył do zamku i po śniadaniu wyrzucił głowę bestii z worka na stół. Ura-



dował się wtedy cały dwór. Okazało się bowiem, że królowna musiała całować bestię wbrew swojej woli. W przeciwnym razie rozzłoszczony potwór zburzyłby całe miasto. Teraz, gdy ujrzała jego głowę leżącą na stole, opuścił ją strach. Król natychmiast posłał swe sługi, żeby zdjęli czarne sukno, a w to miejsce dali nowe, czerwone.

Wesele rozrztutnego króla i ocalonej królowny było wspaniałe i trwało wiele tygodni.

Chłopak służył młodemu królowi i jego pięknej żonie aż do czasu, gdy ich dziecko zaczęło chodzić. Wtedy przyszedł do swego pana i powiedział:

— Nadszedł już czas, żebym was opuścił. A król na to:

— Nie mogę ci tego zabronić, chociaż chętnie bym cię zatrzymał, przecież tyle ci zawdzięczam. Skoro jednak chcesz mnie opuścić, porozmawiajmy o zapłacie.

— Czy dostanę taką zapłatę, jakiej zechcę? — zapytał chłopak.

— Dam ci wszystko, czego tylko zapragniesz — odparł król.

— Dobrze, więc zamiast zapłaty **odetnę** twojemu synowi głowę — powiedział sługa.

— Wiele chcesz, ale też dużo zarobiłeś — odparł zmartwiony król.

Wtedy sługa z zimną krwią odciął dziecku głowę i rzekł:

— Niech ci się dobrze wiedzie.

W tej samej chwili zdarzył się cud. Dziecko odzyskało życie i było całe i zdrowe.

Tak wiernego sługę dostał król w nagrodę za to, że za ostatnie grosze pochował wzgardzonego przez wszystkich nieboszczyka. Kiedy zaś przy jego pomocy dopełnił miary swego szczęścia, sługa mógł oddalić się do krainy, z której pochodził — w zaświaty.



Niedźwiedź sędzią

Pewnego razu między lisem, kotem, wilkiem i zającem wybuchła kłótnia, której za nic zwierzęta nie mogły rozstrzygnąć. Odszukały więc niedźwiedzia, aby ten w końcu orzekł, które z nich jest najlepsze.

— O co się kłóćcie? — spytał niedźwiedź.

— Spieramy się o to, ile każde z nas ma sposobów, żeby wyjść cało ze śmiertelnego niebezpieczeństwa — odparły zwierzęta.

— No, ile ty masz sposobów? — zapytał

niedźwiedź wilka.

— Sto — odparł wilk.

— A ty? — spytał lisa.

— Tysiąc.

— A ty, zającu? — pytał dalej niedźwiedź.

— Mam tylko jeden, swoje długie nogi.

— No, a ty ile masz? — spytał w końcu niedźwiedź kota.

— Tylko jeden — odparł kot.

Teraz niedźwiedź postanowił spróbować, jak też skłócone zwierzęta poradzą sobie przy pomocy swoich sposobów w prawdziwym niebezpieczeństwie. Złapał więc wilka i potrząsnął nim tak mocno, że ten prawie ducha wyzionął. Widząc to, lis zrobił w tył zwrot i próbował czmychnąć, ale niedźwiedź złapał go zębami za ogon i od tego czasu, aż po dzień dzisiejszy, lisy mają na nogach białe plamy po niedźwiedziach zębach. Zając, który miał długie nogi, rzucił się do ucieczki i uszedł cało. Kot zaś wdrapał się na drzewo i **zamiauczał**:

— Sto sposobów dostało lanie, tysiąc sposobów oszpecono, długie nogi dały nogę, jeden sposób wlaź na drzewo i tam sobie siedzi.

I tak skończyła się kłótnia.

Gadatliwa baba



Żyli kiedyś dziad i baba. Oj, baba niezwykle gadatliwa; czego się w domu dowie, to zaraz po całej wsi rozniesie. Dziad zaś był dobrym myśliwym i rybakiem.

Znalazł pewnego dnia podczas polowania w lesie skarb i myśli, jak by tu po cichu zanieść go do domu — baba przecież pleciucha, jak się dowie, to zaraz po wsi rozniesie. Trudno, coś trzeba jednak wymyślić. W ten sam dzień złapał w sieci szczupaka, a w sidła wpadł mu głuszec. Zamienił zdobycz: rybę wsadził w sidła, a ptaka do sieci.

Wrócił potem do domu i rzekł do żony:

— Znalazłem w lesie skarb i jutro pójdziemy zabrać pieniądze.

— A to ci dopiero, skarb znalazłeś! — wykrzyknęła baba i już miała ochotę latać po całej wsi z radosną nowiną. Na to jednak mąż jej nie pozwolił. Kazał jej zaraz iść spać, żeby już nigdzie nie mogła wyjść.

Minęła noc, a wczesnym rankiem rozpoczęły się przygotowania. Następnie oboje ruszyli do lasu po skarb.

Kiedy przechodzili obok stawu, rzekł dziad:

— Zobaczmy, może jest tu jakaś zdobycz.

Patrzą, a w sieci miota się głuszec! Przeszli kawałek drogi, dotarli do polany, na której dziad zastawił sidła na ptaki, patrzą, a w sidłach leży szczupak! Zabrali zdobycz i doszli do miejsca, w którym znajdował się skarb. Załadowali pieniądze do sakwy i ruszyli w drogę powrotną. Dotarli do wsi, mijają podwórko sąsiadów, a baba już wytrzymać nie może. Chciałaby zająć do chałupy i nowinę rozpowiedzieć, ale i tym razem mąż jej nie pozwolił. Na nic to się jednak zdało, bo i tak baba zboczyła w kierunku obejścia. Na szczęście na podwórku gryzły się psy — warczały i groźnie szczekały.



Krzyczy więc mąż:

— Nie wchodź tam, **kochaniutka!** Nie słyszysz, że w tej chacie baba swego męża bije, że aż drzazgi lecą?!

Wystraszyła się żona, do chaty nie zaszła i w ten sposób udało się mężowi donieść skarb do domu bez niczyjej wiedzy.

Przespali spokojnie całą noc, ale ledwo zaświeciło słońce, baba już dłużej na miejscu usiedzieć nie mogła. O brzasku pobiegła do **wsi**. Wpadła do chaty, obok której wczoraj przechodziła i opowiada z przejęciem domownikom:

— Znaleźliśmy skarb w lesie. Mój mąż już przedwczoraj go tam znalazł, a kiedy wrócił do domu, to mi o tym powiedział, ale było już ciemno i nie mogliśmy iść po pieniądze. Dopiero wczoraj

poszliśmy w pewne miejsce i stamtąd przynieśliśmy dwie sakwy pieniędzy, oj, jakie wielkie!...

— Ha, a gdzie wy znaleźliście ten skarb? — zapytał gospodarz.

— Tam, no tam w lesie — wyjaśniała pośpiesznie baba. — Ja i **Matti** szliśmy przez uroczysko. Najpierw sprawdziliśmy, czy jest jakaś zdobycz. W sieci był głuszec, a w sidłach szczupak. Potem poszliśmy dalej...

— Kłamiesz! — przerwał jej gospodarz. — Kłamiesz jak najęta. W sieci głuszec, a w sidłach szczupak! W to nawet głupi nie uwierzy!

— A nie wierz sobie! — kłóciła się dalej baba. — Znaleźliśmy skarb, dwa worki pieniędzy przynieśliśmy wczoraj z lasu, a kiedy przechodziliśmy koło twojej chaty, to właśnie biła cię żona.

— Przestań już wreszcie kłamać! — wrzasnął rozgniewany gospodarz i **trzepnął** babę w ucho. — Gdzie i kiedy mnie żona biła?! Kłamiesz i ani źdźbła prawdy nie **ma** w twoich słowach! Uciekaj, bo...

Nie pozostało babie nic innego, jak tylko wziąć nogi za pas i zmykać do domu.

Od tego czasu przestała po **wsi** roznosić, co mąż opowiada i co się w domu dzieje. Stała się posłuszna i uważała, co mówi.

Jezus i święty Piotr w stodole



Dawno, dawno temu chodził Jezus i święty Piotr po świecie. Kręcili się tu i tam, żeby popatrzeć, jak żyją ludzie. W czasie wędrówki zaszli wieczorem do pewnego domu, aby poprosić o nocleg. Nie wzbraniał się przed tym gospodarz, a co więcej, ugościł przybyłych i przygotował im posiłek, tak jak to zresztą zawsze czynił.

Zdarzyło się akurat, że już od wczesnego ranka gospodarz musiał zabrać się do młócenia, a że pomocników miał niewiele, zboża zaś w stodole co niemiara, postanowił więc i swoich gości poprosić o pomoc. Wysłał parobka z odpowiednim poleceniem, ale goście, jeszcze zmęczeni wczorajszym marszem, wcale nie mieli ochoty zabrać się do pracy. **Poprzeciągali** się tylko, przewrócili na drugi bok i nie zamierzali posłuchać prośby swego gospodarza. Wysłał więc własną córkę, ponawiając polecenie, ale i tym razem goście nie wykazali najmniejszej ochoty do pracy. Zdenerwował się w końcu gospodarz i sam ruszył po pomocników do młócki, zabierając po drodze sękaty kij, żeby w razie potrzeby nadać swoim słowom odpowiednią moc. Wszedł do izby, stanął przy łóżku, zbudził śpiących i zagroził im tęgim laniem, jeśli zaraz nie stawią się w stodole. Podnieśli się więc strudzeni wędrowcy i obiecali, że za chwilę będą na miejscu, skoro taka jest wola ich dobroczyńcy. Ubrali się pokornie w stare, wytarte szaty i posłusznie ruszyli za gospodarzem. Po wejściu do stodoły polecili, aby wszyscy obecni poszli sobie pospać, zostać zaś ma tylko gospodarz, stanąć w progu i pilnować ich pracy. Potem nazbierali, skąd tylko się dało, wiórow i szczap, a następnie rozpalili na środku klepiska niewielki ogień. Odpalili od ognia szczapy i przyłożyli ogień do belek stodoły, jeden z jednej, drugi z drugiej strony. Wtedy stało się coś niezwykłego.

Biały płomień ze szczap rozszedł się wśród snopków, wymłócił ziarno, które posypało się na klepisko, a słoma sucha i wy młócona ułożyła się pod dachem.

Widząc to, pomyślał gospodarz: „A to ci dopiero wspaniały sposób młócenia. Muszę go sam wypróbować, jak tylko stodoła będzie znowu pełna”.

Wyszedł potem z gośćmi, zarządził dla nich suty posiłek, a kiedy ruszyli w drogę, pięknie im podziękował i pochwalił za szybkość i zręczność w pracy.

Poszli dziwni goście, ale nowy sposób młócenia nie dawał gospodarzowi spokoju i spędzał mu sen z powiek. Nie zazna odpoczynku, dopóki sam go nie wypróbuje. Przez następne trzy dni zwieziono do stodoły wystarczająco dużo fur zboża. Ruszył więc niecierpliwy gospodarz wczesnym rankiem do stodoły, żeby spróbować, czy i jemu się uda. Rozpalił z wiórów mały ogień, odpalił odeń szczapy i tak jak jego goście jął podpalać belki. Niewiele było jednak pożytku z tej pracy, bo prawie natychmiast płomień skoczył na zboże, które w mig się zajęło. Pojął gospodarz, że głupio zrobił. Wskoczył szybko ze stodoły, trzaskając wrotami w nadziei, że od podmuchu ogień zgaśnie. Na nic zdała się jednak ta sztuczka, bo płomienie buchały już z dachu, a od małego ogniska na klepisku zajęły się ściany i wkrótce cała stodoła stała w ogniu. Nie pozostało gospodarzowi nic innego, jak tylko odsunąć się od buchającego żaru i na własne oczy oglądać, jak płonie podpalona przez niego stodoła.

Teraz dopiero zaczął lamentować, gorzko żałując swej dumy i natręctwa wobec strudzonych wędrowców.



Lis i zając

Pewnego razu spotkał lis zająca i tak doń powiedział:

— Ciebie na pewno nikt się nie boi.

— A któż boi się ciebie? — odparł na to zając.

— Wszyscy — stwierdził chełpliwie lis. — Mam długi ogon, więc gdy mnie ktoś zobaczy, to myśli, że jestem wilkiem. Właśnie dlatego wszędzie się mnie boją. Ciebie za to nie boi się nikt.

— Załóżmy się w takim razie — zaproponował zając. — Udowodnię ci, że i mnie się boją.

Zrobili tak, jak powiedział zając i ruszyli razem drogą.

W pewnym momencie zając dostrzegł stado owiec śpiące na obrzeżu pastwiska. Uradował się na ten widok i skoczył w środek stada. Owce wystraszyły się i rozoiegły na wszystkie strony.

Z radości, że udało mu się wygrać, zając zaczął się śmiać i to tak mocno, że aż pękła mu warga. Od tego czasu wszystkie zające mają zajęczą wargę.

Jak szewc został lekarzem



Żył sobie kiedyś pewien szewc, któremu znudziła się ciężka i mozolna praca. Dumął nad tym, jak by tu poszukać lepszego zajęcia.

Usłyszał przypadkiem, że pewien bogaty szlachcic dał w nagrodę lekarzowi, który go uzdrowił, tak wielką sumę pieniędzy, że trudno było je policzyć. „Muszę spróbować zostać medykiem”, pomyślał i na dobre postanowił skończyć ze swoim poprzednim zajęciem.

Wyprzedził więc wszystkie swe szewskie przybory, a w zamian kupił lekarstwa, papier i piękny stół z krzesłem. Potem kazał napisać na bramie wielkimi literami:

„Wszystkowiedzący lekarz”.

Minęło nieco czasu. W miasteczku nadszedł akurat czas jarmarku, podczas którego jednemu z chłopów skradziono konia. Właściciel, któremu przytrafiło się to nieszczęście, zaszedł w poszukiwaniu zguby pod bramę, na której widniał znany nam napis. Przeczytawszy tablicę, wszedł do środka i rzekł:

— Na bramie zobaczyłem taki mądry napis, czy to tutaj urzęduje ten Wszystkowiedzący lekarz?

— Tak, to ja nim jestem — oświadczył szewc bardzo dumnie i wielkopańsko.

— A czy nie wiecie, panie, gdzie odnajdę mojego konia, którego ukradziono mi zeszłej nocy?

Nic nie mówiąc, usiadł medyk za stołem, napisał coś na kartce, dał ją chłopu i kazał iść do apteki. Chłop wziął posłusznie kartkę, zapłacił parę groszy i poszedł do apteki, tak jak mu poradzono. Aptekarze zaś, kiedy popatrzyli na świstek, zaczęli się śmiać i **na-igrawać**. Okazało się bowiem, że nie było na nim ani jednej prawidłowo napisanej litery i nie można było odgadnąć treści. Nic

w tym dziwnego, bo szewc wcale nie umiał pisać. Dla żartu dali jednak chłopu dziwną miksturę do zażywania.

Mężczyzna, ledwo tylko wyszedł z apteki na ulicę, zaraz spróbował lekarstwa, które zaczęło go okropnie palić w gardle. Pobiegnął do najbliższej stojącej chaty, żeby zdobyć trochę wody lub cokolwiek do picia, a kiedy znalazł się na podwórzu, stanął jak wryty. Stał tam złodziej i sprzedawał sobie w najlepsze skradzionego konia. Gdy zwierzę poznało swego prawowitego właściciela, uciekło oszustowi, szczęśliwe, że wyrwało się z obcych rąk. „A jednak ten lekarz nie kłamał”, pomyślał chłop, który w końcu znalazł swego konia. Wrócił więc do Wszystkowiedzącego, żeby mu podziękować i jeszcze dopłacić za tak dobrą radę. Potem w dobrym humorze ruszył do domu.

„A więc rzeczywiście, wiem wszystko, chociaż do dziś nie miałem o tym pojęcia”, pomyślał szewc.

Minęło trochę czasu i zdarzyło się, że koło domu medyka przejeżdżał król. Zdziwiony napisem na bramie, wysłał swego sługę z poleceniem, aby wezwał Wszystkowiedzącego na rozmowę. Zgodnie z rozkazem przyszedł szewc do króla, a wtedy ten zapytał:

— Czy to ty jesteś tym Wszystkowiedzącym lekarzem?

— Tak, jestem nim — odparł zapytany, kłaniając się przed swym władcą.

— Przyjdź więc jutro do mego pałacu, bo będziesz potrzebny — rzekł król i ruszył naprzód.

Następnego dnia wybrał się przestraszony medyk do zamku. Bał się, bo nigdy przedtem nie gościł w królewskich komnatach i nie znał dworskich obyczajów. Nie miał jednak odwagi sprzeciwić się królewskiemu rozkazowi.

Gdy przybył na miejsce, zaprowadzili go słudzy do wielkiej komnaty przed oblicze króla, gdzie czekał już nań cały dwór.

Król zaś przemówił ze swego tronu:

— Ponieważ tak dumny napis umieściłeś na swojej bramie, musisz do jutra dowiedzieć się, gdzie jest mój złoty pierścień, który zginął mi pół roku temu, a jeśli ci się to nie uda, to zostaniesz, kłamco, powieszony.

Słyszając tę groźbę, zmartwił się szewc, nie widząc dla siebie

zadnego ratunku. Czekala go niechybna smierc, nie wiedzial bowiem, jak znalezc zaginiony pierścien. Zrozpaczony wyszedl na dziedziniec.

Zblizala sie pora obiadu i sludzy nosili jedzenie na królewskie stoły. Szewc, widzac wspaniale i smakowite dania, zaczal liczyc półmiski, chcąc w ten sposob rozproszyć smutne myśli.

Idzie najpierw jeden sluga i niesie tacę z jedzeniem, a szewc mówi do siebie dość głośno:

— Oto pierwszy.

Wkrótce podaza następny, dźwigając półmisek z pieczenia.

— Oto drugi — rzecze, a gdy po chwili inny sluga pojawil sie w bramie, szewc, przechodząc obok n^ego, powiedzial: — A oto i trzeci.

Sludzy, którzy slyszeli, co stojący w bramie gość mowil, zaczęli dociekać znaczenia jego słów. Doszli do wniosku, że człowiek, który chwail się, iż jest Wszystkowiedzącym lekarzem, wie, kto ukradł pierścien. A to właśnie oni byli złodziejami. Wyslali jednego spośród siebie, aby poszedl do lekarza i go wypytal:

— Chyba wiesz, że to my ukradliśmy pierścien?

— Oczywiście, że wiem — odparl medyk.

— Jeśli powiesz nam, jak się wykręcić od kary, to nieźle ci zapłacimy — zaproponowal sluga.

— Czemu nie, pomogę wam w waszym kłopotcie — zgodzil się szewc.

— Włóżcie klejnot do tego pieczonego koguta, który ma znalezc się przed królem, i nie martwcie się.

Sludzy zrobili tak, jak im poradzil szewc. Gdy biesiadnicy zasiedli do stołu, zapytal król tak, żeby wszyscy goście slyszeli:

— No, Wszystkowiedzący lekarzu, czy dowiedziales się czegoś o pierścieniu?

— Tak — odparl medyk — około pół roku temu ten kogut, który leży upieczony na półmisku przed wami, Wasza Wysokość, połknal wasz pierścien, który zgubiliście, panie, na dziedzińcu. Teraz zaś klejnot jest w jego wnętrznościach.

Nie wierzył słowom medyka nikt ze sluchających. Wszyscy podejrzewali go o głupi żart. Król jednak rozkazal poćwiartować pieczone i rzeczywiście, znaleziono w nim pierścien.

Widząc to, rzekł zdziwiony władca:

— Chyba jednak i ja będę musiał uwierzyć w to, że wiesz wszystko. Jeśli jeszcze odgadniesz, co jest w tej złotej szkatułce, którą moja żona trzyma w ręce, wówczas rozwiejesz resztę moich wątpliwości.

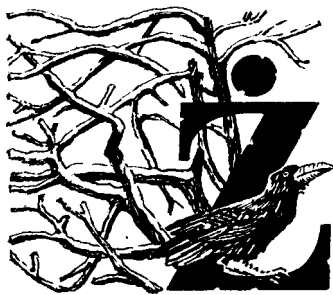
W owych czasach królowie i szlachta mieli w zwyczaju trzymać w drogich szkatułach lub pudełkach jakieś małe, miłe lub dziwne zwierzątka. Nie wiedział o tym nasz szewc, ale na starość miał taki nawyk, że ilekroć miał jakieś zmartwienie, zawsze przypominał sobie powiedzonko, które jego zdaniem odpowiadało sytuacji. Dumając nad zagadką, wymamrotał:

— Lepiej małemu świerszczowi w ciasnej klatce, niżli człękowi w celi.

— Ależ tak! — przyklasnęła królowa z zachwytem. — A jednak Wszystkowiedzący lekarz i to odgadł, oto prawdziwy mężczyzna, któremu nie brakuje rozumu!

— Dłaczegóż nie miałbym tego odgadnąć — rzekł szewc, udając zdziwienie — przecież w jeszcze ciaśniejszej klatce niż wasza złota szkatuła świerszcz sobie długo pożyje, człek zaś nie.

Król przyznał rację szewcowi i nie chciał już więcej wystawiać go na próbę. Dał mu tyle pieniędzy, że medyk mógł przez całe życie mieć co tylko dusza zapagnie, a zawód szewca, który uważał za tak męczący i nudny, mógł pozostawić innym.



O brudnym człowieku

Żył sobie kiedyś młody człowiek, który bardzo nie lubił pracować. Całymi dniami nie robił nic innego, tylko wylegiwał się na ławie. Pewnego razu, gdy szedł drogą, z naprzeciwka nadjechała karetka, zatrzymała się przed nim, a jej właściciel zapytał:

— Kim jesteś, chłopcze?

— Szukam posady parobka, ale nie mam zamiaru wykonywać żadnej ciężkiej pracy — odparł na to leniuch.

— W takim razie chodź do mnie na służbę, nie jest ciężka — zaproponował przejezdny.

— Dobrze, zgadzam się — odparł na to chłopak.

— Ile chcesz zapłaty? — zapytał właściciel karety.

— Ile dacie, tyle będzie — odparł leniwy parobek.

— Praca u mnie nie jest ciężka, ale za to bardzo brudna — ostrzegł jeszcze pan.

— Ee, to mi nie przeszkadza — zapewnił chłopak, wskakując do karety.

Ruszyli drogą i wkrótce dotarli do zamku. Tam zaprowadził go właściciel karety do obszernej komnaty, kazał usiąść za stołem i rzekł:

— Nigdy nie wolno ci wycierać nosa, jak już ci sople polecą, to niech lecą. Nie wolno ci też wychodzić za potrzebą. Tu jest stół, na którym masz wystarczająco jedzenia. Spędzisz tutaj trzy lata.

— A co mam robić? — zapytał wtedy chłopak. Pan dał mu do ręki srebrnego rubla i powiedział:

— Ilekroć uderzysz monetą w stół, to obok pojawi się druga. Podnieś ją i uderz znowu, a pojawi się następna. I tak będzie za każdym razem, gdy tylko będziesz miał ochotę to zrobić. Taka wła-



śnie będzie twoja praca. Przyjdę do ciebie, gdy upłyną trzy lata.

Leniwy chłopak, a na imię miał **Risto**, został w komnacie, a jego pracodawca wsiadł do karety i odjechał.

Siedzi więc Risto sam w zamku i pracuje. Zrobił już taką górę pieniędzy, że ledwo go zza niej widać.

Niedaleko zamku stał bardzo zadłużony dwór, a jego właściciel miał trzy córki. Pewnego razu zapytał je:

— Która z was pójdzie do Risto zwanego **Osmarkanym** pożyczyć pieniędzy? Słyszałem, że ma ich w bród.

— Dobrze, ja pójdę — odparła najstarsza. Zaprzęła konie, wzięła sakwę na pieniądze i ruszyła. Kiedy przybyła na zamek, zapytał Risto:

— Jaką sprawę masz do mnie?

— Przyszłam, żeby poprosić cię o pieniądze — powiedziała.

— Najpierw musisz mi dać całusa — odparł na to **Osmarkany Risto**.

— Nie, nigdy! — sprzeciwiła się dziewczyna.

— W takim razie nie dostaniesz pieniędzy — rzekł chłopak. Wróciła więc dziewczyna do domu, a ojciec pyta:

— Czyż nie dał ci Osmarkany Risto pieniędzy?

— Dałby, ale najpierw chciał się ze mną całować, a strasznie śmierdzi, w pokoju też — wyjaśniła najstarsza córka. Zmartwił się właściciel dworu:

— W przyszłym tygodniu przyjdzie nasz wierzyciel, a wtedy pójdziemy na żebry.

— Ojczy, może ja teraz spróbuję — odezwała się młodsza córka.

Wzięła ciepłą wodę i ruszyła do Risto. Nie powiodło się jej jednak i tak jak starsza siostra, wróciła do domu z niczym.

Rozplakała się wtedy najmłodsza z córek i powiedziała:

— Oj, dziwne jesteście, siostry. Teraz kolej na mnie. Wzięła ciepłą wodę i mydło i ruszyła na zamek.

— Czego chcesz? — zapytał Osmarkany Risto, gdy weszła do komnaty.

— Chcę, żebyś pożyczył mi pieniędzy — powiedziała.

— Dobrze, ale najpierw musisz mi dać całusa — rzekł Risto. Dziewczyna zatkała sobie usta chusteczką i zbliżyła się do chłopaka.

— No, nie bój się — zachęcił ją Risto.

Zdenerwowała się, złapała go za szyję i szybko pocałowała. Potem wybiegła na podwórze, wymiotowała, umyła sobie twarz, a następnie wzięła z wozu sakwę i wróciła do zamku.

Osmarkany Risto powiedział:

— Weź tyle pieniędzy, ile tylko chcesz. W przyszłym tygodniu przyjdę do ciebie oświadczyć się, ale wtedy będę już czysty i porządnie odziany.

Dziewczyna załadowała sakwę monetami, rzuciła ją na wóz i wróciła do ojca.

— No, teraz mamy dosyć pieniędzy, żeby spłacić dług, i jeszcze zostanie — powiedziała.

Właściciel zaraz zapłacił wierzycielowi.

Na początku następnego tygodnia upłynęły trzy lata pracy **Ris-to**. Przyszedł wtedy właściciel zamku i powiedział:

— Byłeś bardzo sumiennym parobkiem. Idź teraz nad rzekę i umyj się trochę. Potem przyjdź do mnie, to wyszoruję cię mydłem.

Poszedł **Osmarkany Risto** posłusznie nad rzekę, obmył się nieco i wrócił. Gospodarz zamku uszykował tymczasem na dziedzińcu balię wody i pół beczki mydła. Umył chłopaka dokładnie, a następnie zawiódł go do swej garderoby, ubrał w najwspanialszą szatę, jedwabny kapelusz, piękne buty, a na koniec dołożył jeszcze złoty zegarek. Risto wypiękniał, że aż dziw. Potem gospodarz zamku wprowadził go na dziedziniec i dał mu pozłocaną i posrebrzaną karetę zaprzęzoną we wspaniałego czarnego rumaka. Na końcu powiedział:

— Słyszałem, że chcesz się żenić. Przyjdź w przyszłym tygodniu po swoje pieniądze i posprzątaj tutaj dokładnie wszystkie komnaty. Pamiętaj jeszcze, że w czasie twojego wesela na podwórku domu weselnego ma stać beczka rumu i beczka wódki, żeby i nieproszeni goście mogli się napić. Zaprosz i mnie na wesele **jciko** swego ojca. Jeżeli w nagrodę dostanę choć jedną duszę, będziesz mógł się ożenić.

Osmarkany Risto ruszył w drogę, a kiedy zajechał przed dwór, wyszła najstarsza córka, żeby się przywitać. Rzekł do niej Risto:

— Odejdź, śmierdzisz!

Zawstydzona się wtedy dziewczyna, pobiegła do matki i pyta:

— Mamo, czy ja naprawdę śmierdzę? Wychodzi druga siostra, żeby się przywitać, a Risto znowu mówi:

— Odejdź, śmierdzisz!

W końcu wyszła z domu najmłodsza, a wtedy Risto powiedział:

— Teraz mogę wyjść z karety i podać ci rękę, ty bowiem nie śmierdzisz.

Wprowadziła najmłodsza córka gościa do komnaty, gdzie podano mu posiłek.

Przy stole powiedziała do ojca:

— Oto właśnie ten Osmarkany Risto, który dał nam pieniądze.

— Aha — rzekł ojciec — jemu zatem oddam dwór, bo przecież za jego pieniądze spłaciłem długi.

Zaczęły się przygotowania do wesela. Najpierw jednak Risto najął trzy baby, zabrał z dworu trzy wozy i wrócił na zamek. Tam przesywał pieniądze do worków i załadował je na wozy. Kobiety wymyły w tym czasie do czysta komnaty, a chłopak zapłacił każdej z nich po srebrnym rublu. Przywiózł na dwór trzy wozy pełne pieniędzy, a potem zaczęło się wesele.

Najpierw Risto z narzeczoną udali się do kościoła, potem podano posiłek, a kiedy zaczęły się tańce, przybył w pięknej karecie ojciec Risto wraz z służbą. Nie wszedł jednak do środka, zatrzymał się na werandzie i kazał pić nieproszonym gościom wódkę i rum z przygotowanych beczek, ile tylko w brzuchach zmieszczą. O północy stanął w progu izby weselnej i powiedział głośno:

— Teraz już odchodzę. Żegnaj, chłopcze. Dziękuję ci, chciałem jednej, a dostałem dwie.

Nieco później zaczęto szukać dwóch starszych córek gospodarza dworu, których nigdzie nie było widać. Dopiero rano znaleziono obydwie na poddaszu — powiesiły się, jedna na jednej belce, druga na drugiej. Ale wesela nie przerwano.

Dwór stał się potem bardzo bogaty, pieniędzy było tyle, że jeszcze dla innych starczyło.

O dziewczynie, którą wychowano w beczce



Pewna matka wychowywała córkę w beczce, a przez otwór na szpunt dawała jej jeść. Kiedy matka umarła, ojciec wypuścił córkę z beczki i postanowił wysłać ją w świat.

—
Idź, kochana córeczko — powiedział — idź do sąsiada pożyczyć ziarna.

Córka poszła do sąsiada, który chodził właśnie po świeżo zaoranej ziemi, siał i siał garścią złote ziarna.

— Ojciec przysłał mnie, żebym pożyczyła ziarna — zwróciła się dziewczyna do siewcy.

— Owszem, pożyczę wam, ale najpierw musisz pobłogosławić mój siew — odparł sąsiad.

Dziewczyna zgodziła się na to i powiedziała:

— Niech ziarno z ziarna wyrośnie. Zdenerwował się wtedy siewca i krzyknął na nią:

— Skoro obrażasz moje pole, to nie pożyczę wam ziarna! Poszła dziewczyna zmartwiona do domu i mówi do ojca:

— Sąsiad nie pożyczył nam ziarna, chociaż pobłogosławiłam jego siew.

— Co powiedziałaś? — spytał ojciec.

— Niech ziarno z ziarna wyrośnie — powtórzyła córka.

— Oj, oj, nieszczęsna — westchnął ojciec. — Trzeba było powiedzieć: „Daj Boże stokrotnie!” Córka chwilę pomyślała i rzekła:

— Teraz już będę pamiętała, co powiedzieć.

—
Palił się kiedyś we wsi dwór i wielu jej mieszkańców przybyło na miejsce pożaru, żeby gasić ogień. Dziewczyna wychowana

w beczce też tam pobiegła, a kiedy już dotarła pod płonący budynek, krzyknęła:

— Daj Boże stokrotnie! Zaczęli ją wtedy wszyscy ganić:

— Aha, modlisz się, żeby dom spalił się sto razy. Marsz zaraz do domu!

Poszła zmartwiona do ojca i mówi:

— Wyrzucono mnie spod płonącego domu, kiedy powiedziałam „Daj Boże stokrotnie!”

— Oj, córko moja — westchnął ojciec. — Miałaś nabrać wody i lać ją na ogień.

— Teraz już będę wiedziała, co zrobić — przyrzekła dziewczyna.

Poszła potem kiedyś dziewczyna na święto w odwiedzin. Weszła do chaty, w której dwie staruszki czytały grubą księgę. Zaczepnęła wtedy **nabierką** wody z beczki i wylała ją na głowy czytających. Staruszki poderwały się na równe nogi, złapały dziewczynę i wyrzuciły z chaty.

Wróciła zapłakana do domu i żali się ojcu:

— Poszłam w gości. Weszłam do chaty, gdzie dwie staruszki czytały grubą księgę, zaczerpnęłam nabierką wody z beczki i wylałam im na głowy. Wtedy złapały mnie za włosy i wyrzuciły z domu.

— Oj, kochana córeczko — odparł na to ojciec — trzeba było grzecznie usiąść obok nich i słuchać.

— No, teraz to już na pewno będę wiedziała, co trzeba zrobić, przyrzekła dziewczyna.

*

Szła kiedyś wiejskim traktem. Na rozdrożu gryzło się całe stado psów. Dziewczyna weszła między nie i usiadła w środku walczącej sfory, a psy boleśnie ją pogryzły.

Wróciła pokaleczona do ojca i mówi:

— Psy gryzły się na rozdrożu. Usiadłam obok nich i grzecznie słuchałam, ale mnie pogryzły.

— Oj, znowu nie tak, biedna dziewczyno — zmartwił się ojciec. —
Trzeba było wziąć grubą pałkę i zbić je.

— Następnym razem zbiję — zapewniała ojca pokornie dziewczyna.

Pewnego razu szedł zakurzoną drogą w stronę cmentarza orszak pogrzebowy. Dziewczyna wzięła z podwórza grubą pałkę i nuże okładać nią **pogrzebników**. Zaraz jednak dostała pałką, którą biła innych, zdrowo po grzbiecie.

Powłokła się biedna do domu i płacze przed ojcem:

— Do niczego się nie nadaję. Drogą szedł orszak pogrzebowy, wzięłam grubą pałkę i zaczęłam ich okładać, ale oni mi ją odebrali i mało mi nią kości nie połamali.

— Czemu w końcu nie zmądrzejesz?! — krzyknął ojciec. — Trzeba było powiedzieć: „Niech niebo zabierze duszę”.

— Teraz już wiem, co trzeba powiedzieć — przyrzekła córka.

Poszła do lasu, a tam jakiś człowiek wieszał wściekłego psa. Na ten widok dziewczyna wykrzyknęła:

— Niech niebo zabierze duszę!

— Co za głupstwa wygadujesz?! — zawołał nieznajomy. — Pies nie ma duszy! — I zbił dziewczynę. Wróciła do domu z płaczem i narzeką:

— W lesie jakiś człowiek wieszał psa. Kiedy powiedziałam: „Niech niebo zabierze duszę”, zbił mnie.

— Nie rób już nigdy takiego głupstwa! — powiedział groźnie ojciec.

— Trzeba było powiedzieć: „Ciało w ogień, nogi do rzeki”.

— Teraz już na pewno zapamiętam — zapewniła córka.

*

Odbywało się wesele u pewnego szlachcica i goście weselni wyszli z kościoła. Dziewczyna wybiegła przed parę młodą, ukloniła się i rzekła:

— Ciało w ogień, nogi do rzeki!

Zdenerwował się na te słowa szlachcic i powiedział:

— Jakżeż ośmielasz się opowiadać takie rzeczy! Chcesz, żeby mnie spalono?! Zakuć ją w dyby, żeby nauczyła się mądrzej mówić! Zakuto dziewczynę wychowaną w beczce w dyby w przedsionku kościoła. Stała tam smutna jak trafiona w skrzydła kaczka i płakała, gdy goście szli do domu weselnego.

razu syn



Biała zmija

parobka dostał w spadku po babce trzydzieści penni i tak dumiał: „Teraz, gdy dostałem taki spadek, nie będę już dłużej parobkiem. Wyruszę w świat”.

Idzie, idzie drogą, aż spotyka mężczyznę z kotem na ręce. Chłopiec pyta go:

— Dokąd niesiesz kota? Mężczyzna na to:

— Niosę go do rzeki. To niebezpieczny kot.

Narobił szkody na dziesięć penni, więc trzeba

go zabić.

— Nie zanoś go do rzeki! — poprosił chłopiec. — Dam ci za niego piętnaście penni!

I dał mężczyźnie pieniądze, a ten oddał mu kota. Ruszył dalej z kotem na ręce i ujrzał na drodze człowieka chło-szczącego psa. Był to taki bezpański pies. Chłopiec natychmiast skoczył mu na pomoc, wyrwał batog z rąk mężczyzny i zawołał:

— Czy jesteś przy zdrowych zmysłach?! Dlaczego chłoszczesz tego psa?

Wtedy mężczyzna wyjaśnił:

— Ten pies jest niebezpieczny, narobił szkody na dziesięć penni i trzeba go zabić, a ponieważ nie daje się powiesić, muszę go zachło-stać!

— Nie bij go — zaproponował chłopiec. — Dam ci za niego piętnaście penni!

I włożył w ręce nieznajomego pieniądze, a ten oddał mu zwierzę.

Ruszył chłopiec dalej drogą z kotem na ręce i psem z tyłu. Nagle usłyszał dobiegający z lasu żalony głos wołający pomocy. Podążył więc w tym kierunku, a gdy podszedł do wielkiego, roz-

szcepionego na dwie części drzewa, zauważył, że duża, biała żmija wpadła do szpary. Gałęzie chwiały się na wietrze, naciskały na bledne stworzenie, które w żaden sposób nie mogło się wydostać i krzyczało rozpaczliwie.

„Nie mogę patrzeć, jak jakieś stworzenie się męczy”, pomyślał chłopiec. Zostawił kota pod drzewem, wspiął się na nie, rozszerzył szparę i wyciągnął żmiję, która wtedy przemówiła tymi słowami:

— Chętnie służyłabym ci tak jak ten pies i kot, ale człowiek i żmija nigdy nie byli przyjaciółmi, więc nie mogę być z tobą. Jeśli jednak udasz się ze mną, to wynagrodzę cię za twój szlachetny uczynek.

Chłopiec ruszył z psem i kotem za żmiją. Szedł drogą, a żmija pęzła z przodu. Doszli w końcu do rozwidlenia trzech dróg. Żmija nie pozwoliła chłopcu iść dwoma z nich i poprowadziła ich trzecią. Tą doszli do starego, zniszczonego w czasie wojny zamku, którego dach porośnięty był już mchem. Do zamku prowadziła zardzewiała brama. Żmija prześliznęła się pod nią, a wtedy wrota rozwarły się. Chłopiec, a za nim kot i pies weszli do środka. Ujrzeni wysoką, błyszczącą werandę. Żmija wpełzła po schodach, a chłopiec poszedł za nią. Stanęli przed wielkimi drzwiami: żmija prześliznęła się pod nimi i drzwi zaraz się otworzyły. W końcu dotarli do przestronnej izby. Wtedy żmija **zniknęła** tak błyskawicznie, że chłopiec nawet tego nie zauważył.

Rozejrzał się dokoła. Był bardzo zmęczony, bo tego dnia sporo się nachodził i napracował. Zapragnął usiąść, żeby nieco odpocząć, ale w całej izbie nie było żadnego krzesła. Ledwo o tym pomyślał, a w jednej ze ścian otworzyły się drzwi. Zobaczył przez nie jeszcze większy pokój, a w nim złote, wygodne krzesło. Wszedł do środka, usiadł na złotym krześle i myśli: „Gdybym tak teraz dostał coś do zjedzenia!” Ledwo o tym pomyślał, a już w ścianie rozwarły się następne drzwi i jego oczom ukazał się złoty stół zastawiony najlepszymi przysmakami. Je chłopiec do syta, karmi też psa i kota, a kiedy już się najadł, tak pomyślał: „Oj, jak mi się chce spać! Gdyby tu była jakaś kupka liści albo wiązka słomy, na której mógłbym się położyć!” Ledwo o tym pomyślał, a już w ścianie otwierają się drzwi prowadzące do jeszcze większej komnaty. Wchodzi do niej

i widzi piękne, złote łóżko, a w nim pierzyny. Rzucił się na nie i spał twardo przez wiele godzin.

Kiedy się obudził, znów ujrzał otwierające się w ścianie drzwi, a za nimi wielką salę, która świeciła jak słońce i mieniła się jak złoto i srebro. Pełno w niej było dużych żmij, które pełzały po ścianach, kolumnach i stropie, a ich łuski błyszcząły jak u złotej rybki.

Przy końcu sali, na pięknym kobiercu leżała biała żmija. Teraz miała na głowie czerwony grzebień, jak u kogutu. I tak przemówiła do chłopca:

— Nie bój się, wejdź do środka! Ocaliłeś mi życie, a ja ci teraz wypłacę nagrodę.

Chłopiec wszedł z psem i kotem do sali, a żmije z obu stron kłaniały mu się i śpiewały jak słowiki.

Biała żmija zapytała:

— Co chciałbyś w nagrodę? Możesz wybrać mnie albo złoty pierścień. Jeżeli przezeń spojrzysz i pomyślisz o czymś, to zaraz spełnią się twoje marzenia.

Gdy tylko to powiedziała, wyrosły jej ręce i nogi. Usta zrobiły się piękne, oczy niebieskie i błyszczące, a jej twarz otaczały śliczne włosy. Zmieniła się w tak piękną dziewczynę, że chłopiec wprost oczu nie mógł od niej oderwać.

— Jestem z czarowaną żmiją i tylko raz w tygodniu mogę przybrać ludzką postać — powiedziała. — Co chcesz teraz w nagrodę: mnie czy złoty pierścień?

Chłopiec chciałby mieć dziewczynę, chociaż przeraziło go, że tylko raz w tygodniu była człowiekiem. Chciałby też mieć złoty pierścień. W końcu odparł:

— Nie mógłbym utrzymać takiej wielkiej pani, nie mam pieniędzy, ani nawet niczego dla siebie prócz tego psa i kota. Wezmę złoty pierścień.

Dziewczyna zmartwiła się, zdjęła z serdecznego palca lewej ręki błyszczący pierścień i dała go swemu wybawcy.

Z radością zszedł chłopiec z psem i kotem ze schodów na dół, podszedł do żelaznej bramy, a ta sama się przed nim otworzyła.

I tak wyszedł na wiejską drogę pełną słońca. Szedł i szedł, aż blisko południa przysiadł zmęczony na rowie obok drogi.

Zdjął pierścień z palca, popatrzył przez niego na słońce i pomyślał o wspaniałym posiłku: „Niech staną tutaj najsmaczniejsze potrawy!” W tej samej chwili zaczęły przed nim spadać jak owoce z drzewa pierogi, jajka z masłem, kasza na melasie i świeże mleko w dzbanku z dwoma uchami. To jest dopiero życie! Je i pije chłopak do syta, a pies z kotem patrzą na niego łakomie. „Ach, trzeba i **wam** coś dać”, pomyślał. Znowu popatrzył na pierścień:

— Pełen garnek tłustej śmietany i dużą nogę baranią! — powiedział, i w tym samym momencie pojawiły się żądane przysmaki. Kot chleptał ze swej miski śmietaną, a pies obgryzał mięsną kość baranią.

Na noc poszedł chłopak nocować do karczmy, a pies i kot razem z nim. Jadł teraz tak dobrze, że nie chciał żywić się w zajazdach, tylko pił i jadł własne przysmaki i karmił nimi swoich dwóch przyjaciół. Nie chciał też spać w najlepszym nawet w całej karczmie łóżku, tylko kładł się w swoim, złotym.

Pewnego razu zbójcy podglądnęli przez okno wszystkie te przysmaki i złoto. W nocy, kiedy zasnął, zakradli się do jego pokoju. Chcieli go zabić i obrabować. Chłopiec przebudził się, słysząc hałas, ale nic z tego nie rozumiał. W porę przypomniał sobie jednak o pierścieniu, spojrzął przez niego w ciemności i krzyknął:

— Siedmiu mężczyzn na pomoc!

W tym momencie w pokoju pojaśniało i pojawiło się siedmiu czarno odzianych mężczyzn z mocnymi pałkami w rękach i tak zaczęło okładać zbójców, że ci szybko uciekli.

Chłopiec spał spokojnie przez całą noc, spał do późna, a kiedy się obudził, pomyślał o wyruszeniu w dalszą drogę.

„Ale po co miałbym męczyć swoje nogi”, pomyślał. „Przydałaby się para siwych koni, złote wozy i stangret w złotym i srebrnym ubraniu”. Podnosi pierścień do oczu, patrzy przezeń i zaraz pojawia się przed nim błyszczący powóz, konie i woźnica, który w godnej postawie siedzi na koźle. Chłopiec żwawo skoczył do powozu, a woźnica pyta:

— Dokąd jedziemy, panie?

Chłopiec właściwie nie wiedział, dokąd się udać i odpowiedział bezmyślnie:

— Jedźmy choćby do pałacu cesarza!

Jadą tak, że aż się na drodze kurzy i wkrótce widać już pozłacane wieże cesarskiego pałacu. W tej samej chwili stają u bram.

„Teraz należałoby zostać panem młodym i dostać córkę cesarza za żonę!”, pomyślał chłopak.

Starano się o nią wielu dostojnych książąt, ale żaden z nich nie odpowiadał cesarzowi, bo mimo że byli wysokiego urodzenia, cesarz uważał ich za zbyt biednych. Wszystkich kazał wtrącić do wieży wynurzającej się z morskiej otchłani.

Chłopiec rozkazał zniknąć koniom, powozowi i woźnicy, a sam poszedł na zamek w ubraniu parobka. Chciał porozmawiać z cesarzem i poprosić o rękę jego córki.

— A jakże ja mógłbym ci dać swą córkę?! Przecież jesteś żebrakiem i z niskiego rodu pochodzisz — powiedział cesarz. — Gdybyś chociaż miał taki sam pałac i służących jak ja!

— Proszę poczekać do jutra — odparł chłopiec i wyszedł. Pałac cesarza stał nad morzem. Następnego ranka, ledwo się cesarz obudził, podszedł do okna, patrzy, a za morzem lśni ogromny zamek ze złota i srebra i ze wszystkiego, co tylko sobie można wyobrazić. Pośpieszył go obejrzeć, a w zamku ujrzał wczorajszego gościa w nędznym ubraniu, któremu usługiwali lokaje w złotych i srebrnych liberiach.

— Czy teraz dostanę twoją córkę? — zapytał chłopak.

— Och, cudowny pałac zbudowałeś, ale nie mogę ci oddać swojej córki. Gdybyś zrobił w jedną noc most ze szkła pomiędzy pałacami, tak prosty, żeby nie było na nim zakrętu ani na cal, a po obu jego stronach dwieście pomników ze złota, którym dałbyś ludzką postać i które mówiłyby w obcych językach, to wówczas oddałbym ci moją córkę.

— Zaczekaj, proszę, do jutra — odpowiedział chłopiec. Nazajutrz, gdy cesarz się obudził, usłyszał jazgot obcej mowy. Kiedy podszedł do okna, zobaczył przeciągnięty od jego pałacu ponad morzem szklany most. Był tak prosty, że nie było na nim zakrętu ani na koński włos. Po obu jego stronach stało dwieście

złotych pomników o ludzkich twarzach z brylantów, a pomniki te przekrzykiwały się nawzajem we wszystkich językach świata.

Cesarz wsiadł do karety i ruszył na most, żeby mu się lepiej przyjrzeć, ale już za pierwszym krokiem kopyta rumaków pośliznęły się i cesarz nie mógł posunąć się ani o cal. Wszedł więc z karety i zaczął czołgać się na brzuchu, ale było tak ślisko, że ręce i nogi miast posuwać się naprzód, cofały się, i nie mógł nawet wejść na most.

Wtedy chłopak przyjechał do niego końmi, które były szybkie jak wiatr i podkute brylantowymi podkowami. Brylantowe gwoździe wykrzesywały iskry ze szklanego mostu, konie rżały, a pomniki przekrzykiwały się jeszcze głośniej. Chłopak wziął cesarza do karety i popędzili do złotego zamku.

— Czy teraz dasz mi swoją córkę za żonę? — zapytał.

— Och! — krzyknął cesarz. — Dam ci, pod warunkiem, że w jedną noc zbudujesz na obu końcach szklanego mostu dwa szklane kościoły. Ich dzwonnice mają być ze szkła, wszystkie dzwony dzwonić, kościoły mają być pełne ludzi, a kościelni śpiewać.

— Zaczekaj do jutra — odparł chłopak.

Gdy następnego ranka cesarz obudził się, grzmiały już i **dźwię-czały** dzwony. Podeszedł do okna i co ujrzał: wieże złotego koloru lśniły jak s? **3**ńce, a osiem kościołów stało na moście; po cztery z obu jego stron. Na drodze i na moście rozłożone było czerwone sukno, a po nim kroczyły wytworne damy z parasolkami i przechadzali się eleganccy panowie z laskami. Było ich tak dużo, że cesarz jeszcze nigdy nie widział tyle szlachty.

„No, cóż, stało się, jak się stało. Ale czy naprawdę muszę dać swoją córkę temu parobkowi, który jest tak niskiego pochodzenia?“, zastanawiał się cesarz. Zamknął w końcu córkę w izbie o ośmiu zamkach i rozkazał żołnierzom, żeby odebrali chłopakowi kościoły, most, zamek i uwięzili go. Chłopak popatrzył jednak tylko przez swój czarodziejski pierścień i pomyślał: „Niech z pomników skoczy dwanaście tysięcy mężczyzn i walczy z żołnierzami cesarza!“ Wtedy z cokołów skoczyło dwanaście tysięcy wojowników i zrzuciło cesarskich żołnierzy z mostu do morza. Następnie chłopak pojechał kareta z szklanym moście, zdjął pierścień z palca i po-

myślał: „Niech teraz córka cesarza wyjdzie z zamknięcia i przyjdzie do mnie do karety”. W tej samej chwili, jakby z powietrza, zjawiła się w jego karecie cesarska córka. Cesarzowi nie pozostało nic innego, jak tylko oddać mu ją za żonę.

Goście nieśli narzeczonego przez szklany most, trzy tysiące grajków grało na złotych trąbkach, ludzie szli do szklanych kościołów, a kościelni śpiewali.

Cesarz jednak nienawidził chłopca i zazdrościł mu, że mimo tak niskiego pochodzenia jest taki bogaty. Nie wiedział jednak, jakim sposobem chłopak potrafi czynić takie cuda.

Pewnego razu tak rzekł do córki:

— Wypytaj narzeczonego, w jaki sposób dostał zamek, most, kościoły i ciebie, a potem opowiedz to wszystko mnie.

Córka, posłuszna woli ojca, zapytała swego narzeczonego:

— W jaki sposób dostałeś pałac, most, kościoły i mnie, mimo że jesteś tak niskiego pochodzenia?

— Mam taki pierścień, że jeśli przezeń popatrzysz i pomyślisz o czymś, to zaraz spełni się twoje życzenie — odparł jej na to chłopak.

Wraca cesarzówna do ojca i mówi:

— On ma taki pierścień, że jeżeli przez niego popatrzysz i pomyślisz o czymś, to się spełni.

Cesarz, cnieiał ukradł czarodziejski pierścień i kiedy chłopak spał, zakradł się do jego pałacu, żeby zdjąć mu go z palca. Chłopak jednak przebudził się, spojrział przez pierścień i krzyknął:

— Szybko siedmiu mężczyzn na pomoc!

Natychmiast zjawiło się siedmiu czarno odzianych mężczyzn, wpełnęli cesarza do worka od mąki i kiedy już mieli wyrzucić go przez okno w morze, cesarz zaczął błagać o łaskę i wybaczenie. Zlitował się dobroduszny chłopak i kazał go puścić.

Po kilku dniach cesarz tak rzekł do córki:

— Namów narzeczonego, żeby dał ci pierścień. Jest niskiego stanu i nie może być twoim mężem.

Cesarzówna namawiała nieszczęsnego chłopaka, żeby oddał jej pierścień, ale na próżno, nie dał się przekonać. Był taki ostrożny, że gdy szedł spać, zdejmował pierścień z palca i chował go w ustach.

Przebiegła cesarzówna pocałowała kiedyś nocą śpiącego chłopaka i pierścień wypadł z jego ust. Od razu pobiegła do ojca i dała mu pierścień. Cesarz podniósł go do oczu popatrzył przezeń na sosny i powiedział:

— Chłopca wrzucić do wieży na środku morza, tam gdzie są inni narzeczeni, i przywiązać żelaznymi łańcuchami do ściany.

Siedzi uwięziony chłopiec w kamiennej celi na środku morza. Siedzi w ciemnościach, bo przez małe okienko w suficie nie widać ani skrawka nieba i nie wpada przez nie ani jeden promyczek słońca. Na podłodze leżą ciała poprzednich narzeczonych, których cesarz uważał za zbyt biednych i którzy umarli tutaj z głodu. Taki sam los czekał też naszego chłopca. Upłynął rok, a biedak siedział w wieży, nie mogąc w żaden sposób się z niej wydostać.

Pewnego dnia usłyszał dochodzący z góry głos psa i kota. Pies szczekał:

— Jak tam możesz siedzieć na dole, gospodarzu kochany? Chcą cię zabić, ale my spróbujemy ocalić twoje życie, bo i ty nas uratowałeś. Kot skoczył mi na plecy i powiedział, że musimy dostać się do naszego pana. Skoczyłem więc do wody i przypląnąłem z kotem tutaj. Co mamy teraz czynić, panie?

— Nie wiem — odrzekł chłopak. — Gdybyście jednak mogli wydostać od cesarza i jego córki mój złoty pierścień, byłoby wspaniale!

Kot skoczył pośpiesznie na grzbiet psa, a pies do wody. Kot trzymał się mocno pazurkami psa, a ten płynął tak szybko do pałacu cesarza, że aż piana szumiała mu pod pyskiem. Wieczorem dotarli na miejsce, a kiedy w pałacu wszyscy kładli się spać, kot po kryjomu przedostał się przez uchylone drzwi do sypialni, a pies czuwał na zewnątrz. Szukał kot na stołach, komodach, w szafkach, ale nie znalazł pierścienia. Nagle, w środku nocy, w kącie zaczęły chrobetać szczury. „Aha”, pomyślał kot i zaczął się na nie. Złapał ostatniego, największego szczura w pazurki i grozi:

— Zabiję cię!

Lamentuje i płacze biedny szczur:

— Nie zabijaj mnie, nie zabijaj! A kot na to:

— Jeśli mi szybko nie znajdziesz złotego pierścienia mojego pana, to zabiję ciebie i wszystkie szczury w całym kraju!

— Ależ tak, znajdę pierścień, tylko daruj mi życie. Kot wypuścił szczura, a ten **przekradł** się pod most i gwizdnął na wszystkich swoich braci i siostry, żeby przybyli na pomoc. Wszystkie szczury weszły do pokoju i zaczęły przegryzać szuflady w szafach i komodach. Niestety, pierścienia nigdzie nie było. Złapały więc szczury wszystkie myszy i zmusiły je do szukania pierścienia. Niestety, i one niczego nie znalazły. Przestraszyły się **szczury** i myszy, patrząc na błyszczące w kącie oczy kota.

Wtedy odezwał się świerszcz siedzący w szparze u drzwi:

— Nie ma pierścienia w szafach ani szufladach. Jest w ustach córki cesarza.

Zaraz pobiegła najmniejsza myszka na okno w sypialni cesarza, na którym leżała tabakierka. Wzięła szczyptę tabaki w łapkę i podreptała do pokoju **cesarzówny**. Wdrapała się na jej łóżko i wepchnęła trochę tabaki w obie dziurki nosa śpiącej.

„A **psik!**”, kichnęła dziewczyna tak, że otworzyła usta, ale pierścienia tam nie było.

— W takim razie jest w ustach cesarza — powiedział świerszcz.

Pobiegł największy szczur na okno, wziął w obie łapki tabaki, **podkradł** się do łóżka cesarza i nakładł mu w obie dziurki tabaki.

„A **psik!**”, kichnął cesarz, otwierając szeroko usta, z których wypadł mu złoty pierścień.

Uradowały się na ten widok szczury i myszy. Największy szczur oddał pierścień kotu, a kot poklepał go po grzbiecie i powiedział:

— Teraz powinieneś zostać królem wszystkich myszy i szczurów!

Niestety, choć kot nie zjadł szczura, to jednak poklepał go zbyt mocno i niedoszły król zdechł.

Rankiem zaczął się w pałacu ruch. Kot, nie chcąc wypuścić z mordki pierścienia, bał się miauczeć. Czekał więc cierpliwie przy drzwiach, aż ktoś będzie wychodził, żeby przy okazji i on mógł się wymknąć na podwórze. „Dziwny ten kot. Tak nauczony, że nawet

nie miauczy w komnacie", zdziwił się cesarz i otworzył mu drzwi. Na dziedzińcu czekał już na kota pies. Kot dał łapą znak, że trzeba uciekać, pies skoczył do wody, kot na jego grzbiet i zaczęła się podróż na wyspę.

Płynie, płynie, śpieszy się pies tak, że aż piana szumi mu pod pyskiem. Dopiero na pełnym morzu zapytał kota:

— Masz pierścień?

— Mam — **zamiauczał** kot, a wtedy pierścień wypadł mu z mordki i wpadł do wody.

— Och, ty paplo! Teraz sam popłyniesz! — zezłościł się pies i zrzucił go z grzbietu do morza.

— Dlaczego nie spytałeś na brzegu? — miauknął kot. Leży teraz pierścień głęboko pod wodą, a głodny chłopak czeka w więzieniu. Kto wydostanie pierścień z głębin?

Kot i pies, źli na siebie, wdrapali się na skałę wystającą z wody. Chodzą, chodzą, szukają czegoś do jedzenia, aż tu nagle kot zobaczył na brzegu dużego szczupaka. Chwycił go szybko pazurkami za grzbiet i mówi:

— Zabiję cię! Zjem cię!

— Nie rób tego — prosi szczupak. — Zrobię wszystko, czego zażądasz.

Podszedł do nich pies i zaczyna gryźć rybę.

— Dlaczego mnie męczycie? Czego chcecie? — lamentuje szczupak.

Na to pies:

— Właśnie wpadł nam do morza złoty pierścień, skacz i poszukaj go, bo jak nie, to...

Szczupak obiecał poszukać pierścienia i wskoczył do wody. Płoszy leszcze, okonie, **jazgarze** i pyta:

— Czy nie widzieliście gdzieś złotego pierścienia?

— Nie widziałyśmy — odpowiadają ryby. Tylko jeden mały **jazgarz** nic nie mówi. Patrzy przebiegle i próbuje uciec. Zauważył to szczupak:

— Aha, ty mały urwisie, **stroszysz** płetwy! Czy widziałeś złoty pierścień? — spytał i ścisnął mu tak niemiłosiernie grzbiet, że malec zawołał:

— Tak, tak, widziałem taki! Wyglądał jak mała obręcz.

— A więc widziałeś! To ty go połknąłeś! Wypluj go szybko! - krzyknął szczupak.

Cóż miał zrobić jazgarz, wypluł pierścień, a szczupak oddał go psu i kotu. Ucieszyli się obaj, ale wkrótce wybuchła między nimi kłótnia o to, kto zanieśie go panu.

Pies mówi:

— Daj go mnie, ty masz rzadkie zęby i znów go upuścisz. Gdy to nie poskutkowało, pies zaczął gryźć kota, kot zaś prychać i drapać; w końcu jednak zwyciężył pies.

Ruszyli w stronę wieży. Pies zadowolony, a kot obrażony na jego grzbiecie. Płyną, płyną, słoneczko świeci, a woda odbija jego promienie. Nagle tuż przed psem błysnęły na powierzchni wody małe rybki. Pies dostrzegł je i pomyślał: „Chyba pierścień wypadł



mi z mordy i tak błyszczy w wodzie!" Spróbował go chwycić i wtedy rzeczywiście pierścień wpadł do morza.

— A nie mówiłem, ty niezdaro! — miauknął kot.

I co teraz? Trzeba było wracać na skałę, a biedny pan-czeka głodny w więzieniu.

Wrócili na skałę i na szczęście spotkali szczupaka. Ponownie go wystraszyli i rad **nierad** musiał jeszcze raz odnaleźć ich zgubę.

Płynie pies z kotem do swojego pana. Kot siedzi na grzbiecie psa, a pies płynie tak szybko, że aż piana szumi mu pod mordą.

— Płyń, leniu, szybciej, nasz pan się martwi, oj, martwi! — przynagła kot.

Pies chciałby mu coś **odszczeknąć**, ale nie ośmiela się, w pysku ma przecież drogocenny pierścień.

W końcu dopłynęli na środek morza, do wieży, w której uwięziony był chłopiec. Kot wyjął pierścień z mordy psa, wdrapał się na szczyt wieży i przez okno krzyczy do chłopca:

— Rzucam pierścień, łap go!

Chłopiec chwytą go w dłonie, pośpiesznie przezeń patrzy i szepce:

— Łańcuchy, rozerwijcie się! Bawmy się! Niech gra muzyka! *Wala się mury*, rozrywają **łańcuchy**, a tłum grających na skrzypcach i fujarkach siedzi na gruzach.

— Przywróćmy życie tym umarłym! — krzyczy chłopiec, patrząc przez pierścień.

W tej samej chwili zmarli z głodu **zalotnicy** zrywają się pełni życia. Zaczął się taniec radości. Chłopiec uniknął śmierci i wy dostał się na wolność!

Tańczą, tańczą, chłopiec, zalotnicy, pies i kot, wreszcie oswobodzony więzień zmęczył się, przysiadł na kamieniu, żeby coś zjeść i odpocząć. Następnie zdjął z palca pierścień, podniósł go przed oczy i zażyczył sobie:

— Przybądź tutaj, biała żmijo!

W tej samej chwili stanęła przed nim biała żmija z czerwonym grzbietem.

— Czego chcesz? — pyta.

— Chciałbym, żebyś wzięła z powrotem ten pierścień! — odpowiada chłopiec. — Wolę wziąć ciebie, chociaż przez sześć dni jesteś

żmiją, aniżeli ten pierścień, bo więcej z niego szkody niż pożytku.

Ledwo to powiedział, biała żmija zamieniła się znów w piękną dziewczynę, tak piękną, że chłopcu aż zakręciło się w głowie.

— Miałam być żmiją tak długo — rzekła dziewczyna — aż nie zjawi się mężczyzna, który będzie wołał mnie, a nie ten pierścień. Teraz już nigdy nie będę żmiją. Jestem teraz twoja!

W tej samej chwili podpłynął do nich wielki okręt z żaglami w złote i srebrne paski. Dziewczyna i chłopak wraz z psem i kotem weszli na pokład i popłynęli do pięknego zamku zaczarowanej żmii.

Jak **Matti** był służącym u diabła

Dawno, dawno temu żyło sobie trzech braci. Byli bardzo biedni, więc żeby zarobić na życie, musieli iść na służbę.

Najstarszy brat wyruszył pierwszy. Idąc drogą, spotkał diabła.

Dokąd tak maszerujesz, człowieku?
— zapytał bies. Szukam pracy —
odparł chłopak.

Chodź do mnie — zaproponował diabeł —
potrzebuję służącego.

— Dlaczego by nie — odpowiedział odważnie idący.

— Możesz u mnie pracować, ale pod jednym warunkiem: żeby zapobiec wszelkim kłótniom i sprzeczkom, dogadajmy się tak. że temu, który pierwszy



się rozzłości, drugi zedrze skórę z pleców i zrobi z niej podeszwy — uprzedził diabeł.

Chłopak przystał na to i ruszyli do diabelskiego domu.

Rankiem zapytał chłopak gospodarza:

— Co mam robić?

Idź do drewnutni i **narąb** drew na opał — rozkazał zły.

Sługa chciał wypełnić polecenie, lecz za nic nie mógł wbić siekiery w polano. Tak go to zdenerwowało, że porzucił pracę i zaczął uciekać na łeb na szyję. Daleko jednak nie pobiegnął, diabeł go dogonił i zgodnie z umową zdjął mu skórę z pleców, a następnie zrobił z niej podeszwy.

Wtedy opuścił dom najmłodszy z braci, i tak jak starszy, spotkał na drodze diabła. Ten wziął go na służbę na takich samych warunkach jak i poprzednika. Gdy dotarli do diabelskiej siedziby, bies kazał mu **narąbać** drew. Chłopak poszedł do drewnutni, zabrał się do pracy, lecz i tym razem siekiera odmówiła

posłuszeństwa.

Sługa rozzłościł się i pośpieszył do domu. Zły dopadł go na drodze i zdarł mu skórę z pleców.

Ruszył w końcu szukać pracy średni brat, **Matti**, i tak jak poprzednio tamtym, tak i jemu wyszedł na spotkanie diabeł. Po krótkiej rozmowie zaproponował **Mattiemu** miejsce służącego. Chłopak zgodził się, i znów zawarli taką umowę, że jeśli się któryś z nich rozzłości, to drugi zedrze mu skórę z pleców i zrobi z niej podeszwy.

W drodze do domu bies posłał sługę, żeby **narąbał** drewno. Chłopak wziął polano i z całych sił wbijał weń siekierę, ale ostrze bez przerwy odskakiwało. Pomyślał chwilę i postanowił przewrócić stertę drewna. Znalazł pod nią dół, a w nim szarego kota. Odrąbał kotu głowę i wyrzucił ją; ponownie wbił siekierę w polano i tym razem udało mu się.

Gdy wrócił po pracy do chaty, zapytał go diabeł:

— Czy **narąbałeś** drewno?

— Chodź ze mną, to zobaczysz! — odparł **Matti**.

Diabeł poszedł sprawdzić, a gdy wrócili do domu, zapytał sługę:

— Czy znalazłeś coś pod stertą drewna?

— Tak, znalazłem szarego kota i wyrzuciłem go — rzekł chłopak.

Diabeł na to:

— Nie trzeba było, bracie drogi, tak robić.

— No, gospodarzu miły, chyba się z tego powodu nie rozzłóscisz? —

zapytał chytrze **Matti**.

— Nie, nie rozzłoszczę się — odparł bies przyjaźnie. Następnego dnia wysłał diabeł swego sługę z wozem zaprzężonym w dwa woły do lasu po drzewo. Dał mu też swego czarnego

psa i powiedział:

— Gdy będziesz wracał, musisz jechać tą drogą, którą wskaże ci pies.

Pojechał **Matti** do lasu, załadował wóz drzewem, a gdy wracał do domu, biegnący przed nim pies skoczył przez szparę w ścianie stodoły na podwórze. Pamiętając słowa gospodarza, że musi wybrać tę samą drogę, którą biegnie pies, przerzucił wszystkie polana przez otwór na podwórze, potem rozebrał wóz na części i rzucił je tą samą drogą, w końcu zabił woły i poćwiartował je tak, żeby

zmieściły się w szparze. Gdy już wszystko znalazło się przed chatą, przecisnął się w ten sam sposób co pies i wszedł do domu. Zapytał go diabeł:

— Czy wóz jest na podwórzu?

— Idź, zobacz! — odrzekł **Matti**.

Diabeł wybiegł przed chatę, wrócił i spytał srogo:

— Jak to zrobiłeś?

— **Chyba się nie rozzłościłeś?** — zapytał **sługa**. — **Zrobiłem tak, jak mi kazałeś.**

Bies nie chciał pokazać złości i odparł:

— Nie, wcale się nie gniewam.

Nie wspominał już chłopcu o tym zdarzeniu, ale swojej żonie rzekł w tajemnicy:

— Zabijemy tego **Mattiego** i wrzucimy go nocą do jeziora. Zaczyna nikczemnie **knuć** i działa mi na nerwy.

Zdarzyło się jednak, że Matti podsłuchał ich rozmowę, i nocą, gdy diabeł i **diablica** twardo spali, przeniósł babę na swoją ławę. a sam położył się koło gospodarza. Po chwili obudził go i powiedział:

— Wstańmy i zabijmy chłopaka. Teraz na pewno mocno śpi! Diabeł przebudził się, zdjął ze ściany topór, i poszli tam, gdzie stało łóżko Mattiego. Zły zamachnął się wielkim toporem tak mocno, że gdy uderzył, **bryznęła** krew, a leżący raz westchnął i umarł. Bies wziął trupa z jednej strony, chłopak z drugiej i zanieśli ciało do jeziora. Wrócili do chaty, położyli się i zasnęli twardo.

Rankiem diabeł zaniepokojony nieobecnością żony zaczął jej szukać. W końcu zdziwiony, że Matti żyje, spytał go o **diablicę**.

— Przecież to ty zaniósłeś ją w nocy do jeziora, a ja ci tylko pomagałem. Czemu mnie o to pytasz? — zdziwił się chłopak.

Gdy zły zrozumiał, co zrobił, podszedł smutny do łóżka, łypiąc złym

okiem, ale nie powiedział nic więcej, tylko:

— Nie trzeba było, drogi bracie, tak robić. Na to Matti:

— Chyba się nie złościsz, dobry gospodarzu? Diabeł odrzekł:

— Nie. nie gniewam się, drogi bracie. — I tak, jakby zapomniał o całym wydarzeniu.

Minęło parę dni. Diabeł wyruszył na poszukiwanie drugiej żony, bo pierwsza tak nieszczęśliwie skończyła swój żywot. Gdy opuszczał chatę, kazał Mattiemu zrobić tak, żeby do jego powrotu cały dom był ognistoczerwony.

Gdy chłopak usłyszał, że gospodarz wraca, podpalił chatę i wyszedł na drogę.

Diabeł zapytał:

— Czy zrobiłeś tak, jak ci kazałem?

— Tak — odparł Matti.

Przyszli razem na podwórze, a dom złego stoi w ogniu.

— Rzeczywiście, dom jest ognistoczerwony! — przyznał bies.

— Tak jak widzisz, i będzie jeszcze czerwieńszy — dodał sługa.

— Nie trzeba było tak robić, drogi bracie — odrzekł gospodarz ze łzami w oczach.

— Chyba się nie rozzłościliście? — spytał odważnie Matti. Diabeł, pamiętając o umowie, zaczął się śmiać i odrzekł:

— Nie, nie jestem zły, drogi bracie.

Za parę dni diabeł znów wyruszył do narzeczonej i kazał Mattiemu pod swoją nieobecność zbudować trzy mosty przez zatokę. Postawił jednak warunek: nie mogły być zrobione ani z drewna, ani z kamienia, ani z żelaza, ani z błota. Chłopak nie przestraszył się trudnego zadania. Długo nie myśląc, pozabijał wszystkie woły, jakie tylko znalazł w gospodarstwie, i zbudował jeden most z głów zwierząt, drugi z nóg, a trzeci z grzbietów.

Po powrocie obejrzał zły budowlę Mattiego i pyta:

— Jak to, drogi bracie, zrobiłeś?

— Ale nie rozzłościsz się? — zapytał sługa. — Zrobiłem tak, jak mi kazałeś, i z tego, co miałem.

— No tak, drogi bracie — odparł diabeł — nie jestem zły. Tym razem gospodarz wyjeżdżał na swój ślub i tak rzekł do chłopca:

— Zapraszam cię na moje wesele, lecz pod warunkiem, że wy-lupiesz oczy i wyrzucisz je.

Matti, posłuszny rozkazowi, zabił byka w oborze, wziął z sobą jego zakrwawione oczy i poszedł na ucztę.

Gdy przybył do domu weselnego, zastał diabła wraz z jego no-

wo poślubioną żoną przy stole. Stanął w drzwiach i rzucił zakrwawione oko byka tak, że trafiło w policzek biesa. Ten, gdy zauważył **Mattiego**, odgadł, że to jego sprawka. Podeszedł do sługi i spytał uprzejmie:

— Dlaczego to zrobiłeś?

— Sam kazałeś mi **wyłupić** oczy i wyrzucić je.

W tej samej chwili cisnął drugim okiem w twarz gospodarza.

Diabeł już, już miał się rozzłościć, ale zapytał:

— Jak to zrobiłeś?

— Mam na to sposób. Nie złość się, chyba się cieszysz, że ocaliłem swoje oczy — odparł **Matti**.

— No, niech i tak będzie — zgodził się bies.

Gdy już zamieszkała z nimi młoda **diablica**, kombinował zły, jak tu się pozbyć sługi. Zasięgnął w tajemnicy rady żony, ale sprytny chłopak podsłuchiwał ich rozmowę i dowiedział się, że mają go zabić w czasie snu. Musiał więc być tej nocy bardzo ostrożny. Nie położył się do łóżka, lecz ułożył w nim **maślnicę** i kamień jako głowę, przykrył wszystko skórą, tak żeby wydawało się, że to on tam śpi, a sam położył się za piecem.

W środku nocy, gdy diabeł myślał, że Matti już śpi, wszedł do izby z toporem w ręce i zamachnął się nim, chcąc odciąć chłopcu głowę, lecz topór odskoczył od kamienia na skórę, tak że ta aż się zatrzęsła.

— Ma ten obrzydły twardą szyję — powiedział zły, patrząc na swoje narzędzie. — Prawdziwe żelazo stępiło się na jego kościach, a jeszcze żyje. Teraz uderzę jeszcze mocniej, musi umrzeć.

Podniósł topór drugi raz, by z całych sił rąbnąć Mattiego w głowę. I tym razem uderzenie było za słabe, topór trafił w kamień, a diabeł przestraszył się tak, że pobiegł do drzwi. Pomyślał jednak chwilę, wrócił i spróbował raz jeszcze. Po tym ciosie rozpadła się **maślnica**, a obręcze rozleciały się po ścianach.

— No, w końcu go zabiłem, słysząc, jak się jego zebra od ścian odbijają — powiedział do siebie zadowolony, poszedł do żony i rzekł: — Nie uwierzysz, jakie mocne kości miał ten chłopak! Gdy uderzyłem pierwszy raz, topór wcale się w niego nie wbił. rąbnąłem więc go w czoło, lecz kości tylko zadźwięczały, poprawiłem potem



trzeci raz, a wtedy słychać było **gruchot** żeber. Na pewno już umarł.

Rankiem, gdy diabeł się obudził, był w wyjątkowo dobrym humorze, myśląc, że na wieki pozbył się swego męczącego sługi. Lecz **Matti** znów sprawił mu niespodziankę. Przespał spokojnie noc za piecem, wstał na śniadanie i udawał, że nic nie wie o nocy.

Zły spytał go zdziwiony:

— Jak ci się, drogi bracie, spało?

— Bardzo dobrze — odparł chłopak — tylko jakaś pchła mi przeszkadzała, zdaje się, że ugryzła mnie parę razy.

I znów bies i jego żona zaczęli radzić, jak tu się pozbyć natręta, który porządnie im **zalazł** za skórę.

Rzekła w końcu **diablica** do swego męża:

— Trudno jest znaleźć na niego sposób, ale spróbujemy raz jeszcze. Położmy chłopaka spać do stodoły, a w nocy ją podpalimy. Tym razem na pewno się od niego uwolnimy.

Rada ta była po myśli diabła, więc tak i zrobili. Ale chłopak znów **podstłyszał**, jakim to sposobem chcą się go pozbyć, uciekł ze stodoły, i nie było go tam, gdy diabeł ją podpałił. Wrócił dopiero wtedy, gdy stodoła spaliła się doszczętnie, położył się tam, gdzie mu wieczorem posłano, i rankiem, gdy przyszedł diabeł, leżał na tym miejscu.

— No i jak się, braciszku, spało? — zapytał zaskoczony widokiem sługi bies.

— Nadzwyczaj dobrze — odparł **Matti** — było mi tylko trochę zimno.

Nie wiedziały już diabły, co zrobić z chłopakiem, postanowiły więc przepłynąć w nocy na diabelską wyspę, a sługę zostawić w starej chacie. Matti i tym razem zwęszył, co się szykuje i wieczorem przebrał się w stare ubranie gospodarza. Popłynęły nocą biesy na wyspę.

Rankiem rzekł zły do swej żony:

— Nie będzie już nas Matti więcej dręczył.

— Tak łatwo się ode mnie nie uwolnicie! — krzyknął na to chłopak ukryty w łodzi i ruszył w ich stronę. Zgnębiony bies zaczął lamentować:

— Wyczerpałem już wszystkie swoje sposoby, a na pewno po dobroci nas nie opuści.

— Cóż nam pozostało — odparła diablica — spróbujemy jeszcze raz obciąć mu głowę, gdy będzie spał.

Chłopak oczywiście znów usłyszał rozmowę i gdy diabelska para smacznie spała, przeniósł babę na własne łóżko, a sam położył się koło gospodarza. Po chwili obudził go i powiedział:

— Chodźmy zabić **Mattiego**, teraz twardo śpi.

Zły zdjął ze ściany wielki topór i obciął głowę własnej żonie, myśląc, że to sługa.

Rankiem zaczął diabeł szukać połowicy i nie znalazł. Niczego nie pojmując, zapytał o nią **Mattiego**, który ku jego zdziwieniu żył.

Chłopak odparł:

— Przecież to ty zabiłeś swoją babę, dlaczego mnie o to pytasz?

Diabeł nie mógł **ścierpieć**, że przez swego sługę stracił drugą żonę, rozzłościł się okrutnie i zaczął łajać chłopaka. Ale **Matti** wcale się tym nie przejął, zgodnie z umową złapał biesa, zdarł mu skórę z pleców, zrobił z niej podeszwy i zdziera je do dziś.

Ptaki czarownicy



Żyło kiedyś małżeństwo, które miało dwoje dzieci: syna i córkę. Pewnego dnia rodzice wybrali się do miasta i przykazali dziewczynce, aby opiekowała się swoim braciszkiem, który był jeszcze bardzo mały. Dziewczynka wyszła na dwór, posadziła chłopca pod oknem chaty, a sama pobiegła do wsi, żeby pobawić się z dziećmi.

Bawiła się, zapomniała o bracie, i stało się nieszczęście. Nagle bowiem nadlecieli słudzy czarownicy — wielkie czarne ptaki. Przelatywały nad okolicą i wypatrzyły małego chłopca bawiącego się trawie. Sfrunęły na ziemię, złapały go w swoje szpony i wzbiły się w powietrze.

Przypomniała sobie w końcu dziewczynka o bracie, pobiegła do chaty, ale chłopca nie było już na trawniku. Wystraszyła się, biegała tu i tam, krzyczała, nawoływała, lecz wszystko na próżno. Pobiegła w końcu na pole i tam w oddali dostrzegła stado ptaków znikające za lasem.

„Na pewno ptaki porwały mego brata”, pomyślała i biegiem rzuciła się w pogoń.

Biegła co sił w nogach, dotarła na skraj lasu i zauważyła piec stojący przy leśnej drodze. Zapytała go:

— Powiedz mi, piecu kochany, dokąd poleciały ptaki?

— Jeśli zjesz mój żytni placek, to ci powiem — odparł piec.

— Za nic w świecie! — krzyknęła dziewczynka. — U mnie w domu placków nawet z pszenicy się nie jada — dodała i ruszyła dalej.

Przebiegła kawałek i dostrzegła przy drodze małą jabłonkę pełną owoców. Zapytała ją:

— Drzewko kochane, powiedz mi, dokąd poleciały ptaki?

— Zjedz najpierw jedno z moich jabłek, potem ci powiem — odparło drzewo.

— Ha, kwaśne dzikie jabłka! W domu nie jemy nawet słodkich, wyhodowanych w naszym sadzie! — krzyknęła dziewczynka i ruszyła dalej, aż dotarła do rzeki — do bardzo dziwnej rzeki. Zamiast wody płynęło w niej mleko, a brzegi były z kaszki z jagodami.

— Powiedz mi, rzeko, dokąd poleciały ptaki? — zapytała.

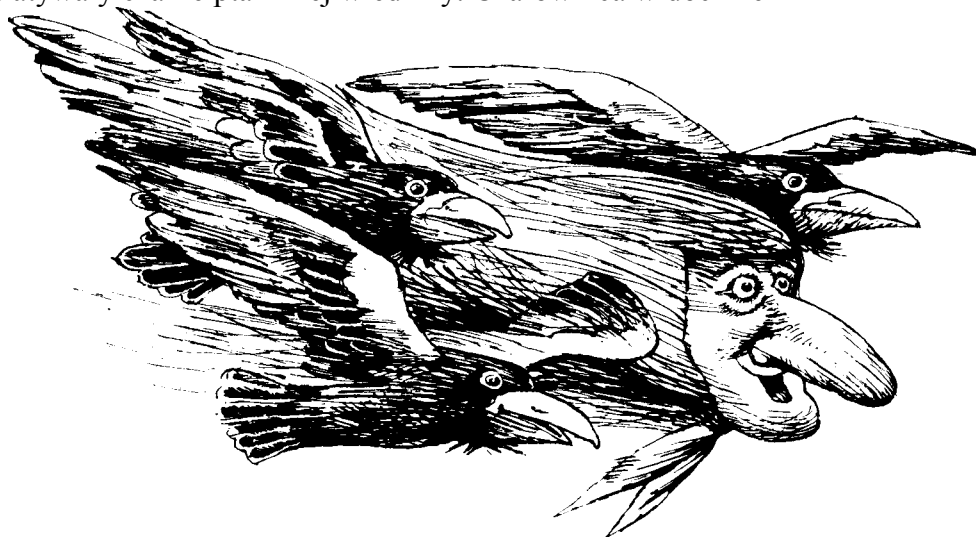
— Jeśli zjesz mojej kaszki z mlekiem, to ci powiem — odparła rzeka.

— Też coś! — krzyknęła dziewczynka. — U nas w domu kaszkę je się tylko ze śmietaną — dodała i odwróciła się na pięcie.

Długo biegały na próżno po lesie, gdyby nie mała myszka, którą spotkała, i która wskazała jej właściwą drogę. Pobiegła więc we wskazanym kierunku i dotarła do chaty, która stała na kurzych łapach i kręciła się to w jedną, to w drugą stronę. W chacie zaś na piecu spała brzydka czarownica, a na ławie pod oknem bawił się srebrną piłką porwany braciszek.

Dziewczynka podkradła się cichutko do okna, złapała brata w ramiona i co sił w nogach ruszyła do domu.

Kiedy biegła, posłyszała nagle gdzieś nad głową szum skrzydeł. To nadlatywały czarne ptaki złej wiedźmy. Czarownica widocznie



przebudziła się, zauważyła brak chłopca i wysłała pościg. Strach ogarnął dziewczynkę, bo dostrzegli ją ptasi słudzy, zaskrzeczeli przeraźliwie i zaczęli zniżać lot. Dziewczynka przyśpieszyła kroku, już jej zapierało dech i w ostatniej chwili dotarła do rzeki, której brzegi były z kaszki z jagodami, a zamiast wody płynęło mleko.

— Rzeko kochana, ukryj mnie — poprosiła błagalnie.

— Zjedz najpierw mojej kaszki z mlekiem, potem cię schowam — odparła rzeka.

Cóż miała zrobić dziewczynka? Pośpiesznie zjadła kaszki **poła-nej** mlekiem, a wtedy rzeka ukryła ją w swojej toni i ptaki przeleciały obok.

Posiedziała trochę w rzecznej kryjówce, a potem pomyślała, że służący czarownicy z pewnością zdążyli już daleko odlecieć. Puściła się więc biegiem w dalszą drogę.

Nie ubiegła zbyt daleko, kiedy znowu usłyszała łopot skrzydeł. To ponownie ptaki krążyły wysoko w powietrzu nad jej głową. Dziewczynka przyśpieszyła kroku i zdążyła dobiec do jabłoni w chwili, gdy jeden z ptaków już sięgał jej dziobem.

— Drzewko kochane, ukryj mnie — poprosiła.

— Zjedz najpierw jedno z moich jabłek — odparło drzewo. Dziewczynka szybko zerwała najbliższej wiszący owoc i zjadła go. Wtedy jabłoń ukryła ją w gęstwinie liści swej korony i ptaki znowu przeleciały obok. Posiedziała chwileczkę w ukryciu, a potem ruszyła biegiem przed siebie. Biegnie, biegnie, ale ptaki z wysoka znowu wypatrzyły jej postać i zaczęły zniżać swój lot. Wytężyła biedna resztki sił i dobiegła do pieca.

— Piecu kochany, ukryj mnie — powiedziała błagalnie.

— Zjedz najpierw mój zwykły, żytni placek — odparł piec. Dziewczynka szybko przełknęła żytni placek, wtedy piec ukrył ją w swoim wnętrzu, a ptaki jeszcze raz przeleciały obok niej. Po chwili wygrzebała się z pieca i ruszyła w drogę. W końcu dotarła do pagórka, z którego już widać było dach rodzinnego domu. Odetchnęła wtedy z ulgą i przysiadła na kamieniu, żeby choć chwileczkę odpocząć, ale w tym samym momencie na horyzoncie, między gęstymi koronami drzew znowu ukazały się złowieszcze ptaki. Zerwała się więc biedaczka i jak strzała popędziła w dół pagórka, a **pta-**

ki za nią. Powoli doganiały ją czarne ptaszyska i już, już miały jej wyrwać spod pachy małego braciszka, ale ostatnim wysiłkiem dziewczynka dobiegła do chaty. Drzwi na szczęście były uchylone, więc wpadła do izby. Zatrzasnęła za sobą drzwi, zaciągnęła łańcuch, a potem pozamykała okiennice.

Ptaki jeszcze przez pewien czas krakały ze złości nad chatą, ale kiedy zauważyły, że chłopiec jest już bezpieczny, odleciały ponad lasem do swojej czarownicy.



Kostuch i jego parobek

Żył kiedyś stary człowiek, zwany powszechnie Kostuchom, który miał parobka — młodego chłopaka. Parobek wypełniał wszystkie polecenia swego pana i czynił to w dodatku bardzo sumiennie. Kostuch chciał jednak dokuczyć swemu służącemu i wydał mu następujące polecenie:

— Musisz się dowiedzieć, kto jest najbogatszy na świecie, kto najmądrzejszy i kto ma miecz króla Salomona.

Ruszył tedy parobek, żeby dowiedzieć się tego, o co prosił jego pan, i dotarł do pewnego miasta, w którym mimo że bez przerwy kopano studnie, za nic nie można było wydostać wody.

Spytali zmartwieni mieszkańcy miasta parobka:

— Dokąd zmierzasz?

— Wędruję, żeby się dowiedzieć, kto jest najbogatszy, kto najmądrzejszy na świecie i kto ma miecz króla Salomona — odparł parobek.

Poprosili wtedy mieszczanie:

— Zajmij się, kochany, i naszą sprawą. Dowiedz się, dlaczego w naszych studniach nie ma wody.

— Dobrze, spróbuję wyjaśnić i to — obiecał parobek. Ruszył potem w drogę i dotarł do następnego miasta, a tam z kolei zapytano go:

— Dokąd zmierzasz, chłopcze?

Powtórzył więc parobek tak jak i poprzednio:

— Wędruję, bo muszę się dowiedzieć, kto jest najbogatszy, kto najmądrzejszy na świecie i kto ma miecz króla Salomona.

Na miasto to spadło wielkie nieszczęście, albowiem córka króla zaniemogła na oczy i nie pomagało jej żadne lekarstwo.

Poprosił więc król wędrowca:

— Dowiedz się, młodzieńcze, dlaczego nie można wyleczyć oczu mojej córki.

— Dobrze, dowiem się i tego — obiecał parobek. Ruszył dalej i dotarł do przedziwnego miejsca, w którym spieniona woda rzeki zagradzała drogę. Była tak czarna i tak straszna, że na jej widok aż ciarki przechodziły. Przy brzegu, w małej łódeczce, siedział stary przewoźnik. Parobek podszedł do niego, a wtedy starzec spytał:

— Dokąd idziesz?

— Wędruję, żeby dowiedzieć się, kto jest najbogatszy, kto najmądrzejszy na świecie i kto ma miecz króla Salomona — odparł na to chłopak.

— Zapytaj więc, dlaczego nie mogę wydostać się z tego strumienia — poprosił przewoźnik.

Nie mógł on bowiem pozbyć się swojej posady. Wykonywał swoje zajęcie przez całe życie i na starość czuł się już mocno zmęczony.

Parobek obiecał i tego się dowiedzieć, o ile przewoźnik zawiezie go na drugą stronę. Stało się tak, jak sobie życzył, i łódeczką tak małą, że ledwo mogła pomieścić dwie osoby, przedostał się na drugi brzeg.

Ruszył potem rażno w dalszą drogę i dotarł do siedziby diabła. Czarta, starego już zresztą, nie było w domu.

Spytała czarcia żona:

— Dokąd to zmierzasz, człowieku?

— Chodzę po świecie, żeby dowiedzieć się, kto jest najbogatszy, kto najmądrzejszy na świecie i kto ma miecz króla Salomona — odparł jej na to parobek.

— A owszem, tutaj się tego dowiesz — rzekła baba — ale musisz wleźć pod ławę i dobrze się schować, bo mój mąż jest piekielnie zły, szczególnie dla obcych, a jeśli jeszcze będzie do tego głodny, to cię zje.

Zrobił więc parobek, jak poradziła mu **diablica** i dobrze się schował.

Wieczorem wrócił czart głodny jak wilk. Od razu więc podała mu baba kwartę kaszy. Zjadł diabeł wieczerę i legł obok baby na

ławie. Po chwili baba udaje, że zasypia i że coś jej się śni. Krzyczy więc:

— Och, och, miałam sen! Ktoś mnie pytał, dlaczego w tym a w tym mieście nie ma wody w studni. Odparł na to diabeł:

— Nawet tego nie wiesz! Trzeba przejechać na białej kobyle przez miasto, a kiedy kobyła się **spieni**, to w miejscu, w którym upadnie pierwszy płat piany, należy wywiercić studnię.

Kopnęła wtedy baba nogą w podłogę i niby to do siebie rzekła:

— Słyszał ktoś coś takiego?!

Potem położyła się i dalej udawała, że śpi. Wiedziała bowiem, że jej złośliwy mąż zbyt wiele od razu i tak nie powie. Po chwili znowu się zbudziła i wykrzyknęła:

— Ojej, ojej, znowu miałam sen! Zbudził się czart i krzyknął ze złością:

— Jakie znowu sny miałaś! Spać nie mogę, bo bez przerwy się drzesz!

Odparła na to mądra **diablica**:

— A bo znowu ktoś mnie pytał przez sen, co zrobić, żeby w takim a takim mieście wzrok królownie przywrócić. Odburknął na to diabeł:

— To nawet takiej prostej rzeczy nie wiesz! Kiedy czesano królownie włosy, to włożono ich pęk między ramy okna, i od tego zaczął się ból głowy i choroba oczu. Wystarczy wyjąć stamtąd włosy i spalić je, a choroba minie.

Usłyszawszy to, baba znowu tupnęła w podłogę i powiedziała niby do siebie:

— Słyszał ktoś coś takiego...

Potem znowu się położyła i przez chwilę udawała, że śpi, bo przecież już dwie zagadkowe sprawy udało się jej wyjaśnić. Po chwili udała znowu, że coś jej się śni, obudziła się i krzyknęła:

— Ojej, ojej, miałam sen!

Zerwał się czart na równe nogi, bo prawie że oka nie zdążył jeszcze zmrużyć, i wrzasnął:

— Skąd, u licha, ciągle ci się coś śni?! Spać przez ciebie nie mogę!

Rzekła wtedy baba:

— A bo znowu ktoś mnie we śnie zapytał, dlaczego przewoźnik z Czarnego Strumienia nie może pozbyć się swojej posady. Odparł na to diabeł:

— Aj, nawet tego nie wiesz?! Kiedy nadejdzie chętny do przedostania się na drugi brzeg, trzeba wysiąść z łódki, stanąć na lądzie i powiedzieć: „A siedź ty, diable, na mojej posadzie tak długo, jak ja tu siedziałem!” W ten sposób przewoźnik może pozbyć się swojego zajęcia.

I tak jak poprzednio, baba tupnęła nogą, mówiąc:

— Słyszał ktoś coś takiego!

Położyła się potem spokojnie na ławie udając, że śpi, ale już po chwili zerwała się z krzykiem:

— Ojej, ojej, znowu miałam sen! Wrzasnął wtedy diabeł:

— Jakie znowu sny?! Jak teraz wstanę, to już na amen się zamkniesz, przez całą noc ani chwili spokoju nie miałem! Rzekła wtedy baba:

— Kiedy znowu miałam sen. Ktoś mnie pytał, kto jest najbogatszy, kto najmądrzejszy na świecie i kto ma miecz króla Salomona?

Westchnął na to diabeł:

— Zęby czegoś takiego nie wiedzieć! Kostuch jest najbogatszy, ja jestem najmądrzejszy, a miecz króla Salomona wisi tam na gwoździu.

Ponownie kopnęła baba w podłogę, mówiąc:

— Słyszał ktoś coś takiego!

Położyła się teraz baba spokojnie, nie miała już żadnych snów i dała strudzonemu diabłu pospać do samego rana.

Nastał dzień, ruszył czart swoimi ścieżkami, a przybysz wyszedł ze swojej kryjówki. Czarcica dała mu miecz i zadowolony parobek ruszył z nowinami do domu.

Dotarł do przewoźnika, a ten zapytał:

— Dowiedziałeś się czegoś w mojej sprawie? — I dodał: — Wiesz już, dlaczego nie mogę uwolnić się od tego przeklętego zawodu?

— A tak, wiem, ale zanim ci powiem, musisz mnie najpierw przewieźć na drugi brzeg.

Przewoźnik zrobił to, co mu kazano, a wtedy parobek rzekł:

— Kiedy pojawi się pierwszy chętny do podróży, to nie pozwól mu zejść na brzeg. Zejdź ty, pchnij łódkę na wodę i powiedz: „A siedź ty, diable, na mojej posadzie tak długo, jak i ja siedziałem!” W ten sposób **pozbędzisz** się swego zajęcia.

Wielce uradował się stary przewoźnik z rady i dał parobkowi w nagrodę trzy statki wraz z ładunkiem za to, że ktoś go wreszcie wybawił z dożywotniego przewożenia.

Ruszył chłopak swoją drogą i dotarł do miasta, w którym królewska córka zaniemogła na oczy.

— Czy udało ci się dowiedzieć czegoś o mojej sprawie? — spytał król.

— A tak, wiem wszystko. Kiedy czesano córkę Waszej Wysokości, wsadzono pęk jej włosów między ramy okna i od tego zaczęła się choroba. Wystarczy je tylko stamtąd wyciągnąć i spalić, a wówczas oczy przestaną boleć.

Słyszając to, uradowany nowiną król rozkazał obdarować chłopaka sześcioma załadowanymi statkami.

Ruszył parobek z królewskiego dworu i dotarł do miasta, w którym nie można było wykopać wydajnej studni. Ledwo znalazł się za murami, a już spytali go mieszkańcy:

— Czy dowiedziałeś się czegoś w sprawie naszego nieszczęścia? Dlaczego nie możemy wykopać studni, w której będzie woda?

— A tak, wiem już, co należy uczynić. Trzeba na białej kobyle jeździć po ulicach miasta, kiedy zaś koń będzie już spieniony, to w miejscu, w którym upadnie pierwszy płat piany, należy wywiercić studnię.

Uradowani wieścią mieszczenie wynagrodzili chłopaka za radę dziewięcioma statkami wraz z ładunkiem, dzięki czemu stał się niezwykle bogaty.

Ruszył potem chłopak w drogę i w końcu dotarł do swego pana, Kostucha. Spytał go gospodarz:

— Znasz już odpowiedź na moje pytanie?

— Tak, wiem już wszystko: ty jesteś najbogatszy, diabeł **naj-**

mądrzejszy na świecie, a miecz króla Salomona mam ja — odparł parobek.

Kiedy Kostuch zobaczył, jak bogaty stał się teraz jego parobek, ruszył tą samą drogą co i on, żeby pomnożyć jeszcze swój majątek. Dotarł do rzeki, gdzie pracował stary przewoźnik. Wsadził starzec Kostucha do łodzi, przewiózł na przeciwny brzeg, ale z łódki nie wypuścił. Sam skoczył na ląd, pchnął łódkę na wodę i krzyknął:

— A siedz ty, diable, na mojej posadzie tak długo, jak i ja siedziałem!

Został więc Kostuch na miejscu starego przewoźnika i siedzi tam pewnie i do dzisiaj, do końca świata się stamtąd nie wydostanie, a może i nigdy. I to już wszystko.

Zaloty kowala Ilmarinena



W sieczny kowal, **Ilmarinen**, pracował w swej kuźni, wsunął żelazo w ogień i rozżarzył do czerwoności. Wtem na progu kuźni stanęła kobieta, mała, **maciupėnka**, wielka, **wielgachna** i rzekła do kowala:

— Kowalu **Ilmarinenie**, gdybyś wiedział, jaką ci przynoszę wiadomość, nie kładłbyś żelaza do paleniska. Odparł na to kowal:

— Mała kobieto, **maciupėnka**, wielka kobieto, **wielgachna**, jeśli przynosisz mi dobre wieści, ofiaruję ci piękny podarek. Jeśli zaś przynosisz złe wieści, wsadzę ci rozżarzone żelazo do gardła.

— Oto moja wieść — rzekła kobieta. — Do córki króla krainy **Hiihtoin**, olśniewająco pięknej **Katrin**y, podąża dwóch **zalotników** na łodziach.

Usłyszawszy te słowa, kowal **Ilmarinen** wyjął natychmiast żelazo z ognia i rozważając sprawę w myślach, ruszył z kuźni do domu. Poszedł porozmawiać z matką:

— O, matko rodzona — rzekł — zagrzej miedzianą łaźnię, rozpal w niej tak, aby była gorętsza niż rozżarzone żelazo, gorętsza niż rozżarzony kamień.

Matka nagrzała w łaźni i przygotowała kąpiel. Wtedy kowal **Ilmarinen** rzekł znowu:

— Daj mi, matko rodzona, moją **lnianą** koszulę i obcisłe spodnie.

Matka przyniosła synowi koszulę i spodnie, a kowal wszedł do łaźni. Kiedy już się wykąpał, wyszedł z sauny i pobiegł prędko do domu. Nie przepasał się nawet i nie włożył na nogi butów. Rzekł do swego sługi:

— Mój stary, wiemy słuگو, zaprzęgnij wspaniałego ognistego

trzyletniego źrebca do kolorowych sań, z żelazną uzdą, miedzianymi szorami, stalowymi cugłami i cynowym **podpiersiem**.

Stary wierny sługa przyprowadził wspaniałego ognistego trzyletniego źrebca i zabiera się do zaprzęganía, ale nie może dopiąć **podpiersia**. Sam więc kowal **Ilmarinen**, nie przepasany, boso, przychodzi pomóc słudze, zaciąga mocno **podpiersie** i wprowadza źrebca między dyszle. Potem wchodzi znów do izby, **przyodziewa** się prędko i rzuca matce słowa pożegnania:

— O, matko rodzona, pobłogosław mnie na drogę. Jadę teraz się oświadczyć.

Otrzymawszy błogosławieństwo matki, kowal Ilmarinen wsiada do kolorowych sań zaprzęgniętych w trzyletniego ognistego źrebca z żelazną uzdą, miedzianymi szorami, stalowymi cugłami i mknie ku otwartemu morzu. Nie zamoczyły się kopyta końskie, nie został ślad po płozach sań. Powozi kowal i zastanawia się, kiedy dotrze na miejsce, gdy wtem spotyka dwóch wioślarzy, o których mówiła mu kobieta, i udaje się wraz z nimi w dalszą drogę.

Patrzy zza morza córka króla **Hiihto**, olśniewająca **białolica**, piękna **Katrina** z trzeciego piętra zamku. Patrzy na morską kipiel i dostrzega tam podróżnych. Zwraca się więc do ojca:

— O, mój ojczulku, przybywa do mnie trzech **zalotników**, dwóch wiosłuje na łodziach, a trzeci jedzie saniami.

Nie upłynęło wiele czasu, a już podróżni dobijają do celu, docierają do zamku Hiihto, w którym król przyjmuje ich uprzejmie i częstuje najlepszymi potrawami i napojami. Najadłszy się do syta, mężczyźni przystępują do rzeczy, kłaniają się nisko i mówią:

— Przybyliśmy do ciebie, nasz królu, ubiegać się o rękę pięknej **Katrin**y.

— Najpierw musicie sobie na to zasłużyć — odparł król i zapytał zaraz: — Który z was potrafi bez butów, bez onuc, z bosymi stopami zaorać moje pole, na którym aż roi się od węży?

— Och, **zaorzę** twoje pole — odparł śmiało kowal Ilmarinen. Dwaj pozostali **zalotnicy** nie mieli odwagi zabrać się do takiej pracy, toteż pokłonili się królowi i ruszyli w swoją drogę.

Po ich odejściu kowal Ilmarinen zaprzął zaraz swego wspaniałego ognistego źrebca do pługa i zaczął orać pole. Węże wzbijały

się na wysokość dwóch łokci, nad polem kipiało i syczało, to podrywały się spod pługa, to leciały nad kowalem, ani jeden wszakże go nie dotknął. Kowal wykonał swą robotę jak należy, stanął śmiało przed obliczem króla i rzeki:

— Zorałem, mój królu, twoje pole pełne węży.

— Dobrze — odparł król. — Jeśli jednak zdołałeś wykonać taką pracę, mógłbyś wobec tego wyczarować na moim dziedzińcu sadzawkę, w której pływałyby duże ryby, a małe się pluskały.

— Owszem, uczynię i to — powiedział kowal **Ilmarinen** i nie ociągając się, wyszedł na dziedziniec. Ledwie tam zaśpiewał swoją czarodziejską pieśń, a na dziedzińcu pojawiła się natychmiast sadzawka, w której wielkie ryby pływały, a małe się pluskały. Kiedy tego dokonał, stanął znów przed obliczem króla i pokłoniwszy się, rzekł:

— Wykonałem pracę, jaką mi wyznaczyłeś.

— I tę robotę dobrze wykonałeś — odparł król. — A teraz idź i przynieś swej narzeczonej, pięknej **Katrinie**, rodzinną szkatułkę, która od niepamiętnych czasów leży w ukryciu gdzieś nad brzegiem morza.

Cóż było na to poradzić? Kowal wyruszył na poszukiwanie rodzinnej szkatułki. Skierował się nad brzeg morza. Tam zaś zobaczył trzy młode panny siedzące na zboczu wydmy. Zagadnął je i spytał:

— Hej, moje panny, czy nie wiecie, kto ma szkatułkę, którą mam przynieść jutro pięknej Katrinie jako zaręczynowy prezent?

— Jest ona w rękach starca **Untamoinena** — rzekły panny. — O, tam widać jego chałupę. Idź i zapytaj, czy zgodzi ci się ją oddać, ale wiedz, że grozi ci wielkie niebezpieczeństwo. Wielu poszło przed tobą, niewielu wróciło.

Kowal zgodnie z radą udał się do chałupy Untamoinena i zajrzał przez okno do środka. Leżał tam na podłodze starzec **Unta-moinen**, zwinięty w kłębek, z głową i nogami koło drzwi.

Kowal, skradając się, podszedł do drzwi, przeskoczył jednym susem przez starca wprost na środek izby i zawołał głośno:

— Daj mi, starcze **Untamoinenie**, szkatułkę, którą mam ofiarować pięknej Katrinie jako zaręczynowy prezent.

— Jeśli potrafisz wleźć na mój język — odparł starzec **Unta-moinen** — skakać na nim i tańczyć, dam ci szkatułkę.

Kowal nie zastanawiał się długo, skoczył zwinnie na język **Untamoinena** i zaczął na nim skakać; w tej samej chwili starzec rozwarł na półtora łokcia szczękę, błysnął długimi na łokieć zębami i bez zachłyśnięcia połknął **Ilmarinena**, który w mig znalazł się w jego żołądku.

I to go jednak nie przeraziło. Zrzucił tylko z siebie ubranie, z koszuli zrobił kuźnię, ze spodni miechy, lewego kolana użył jako kowadła, lewej ręki jako imadła, prawej jako młota kowalskiego i zaczął w brzuchu **Untamoinena** kuć i walić. Ze swej koszuli wyjął miedzianą klamrę, wykuł z niej ptaka, któremu dorobił żelazne szpony i stalowy dziób. Kiedy skończył ptaka, zaśpiewał swoją czarodziejską pieśń i tchnął w niego ducha, każąc mu wzbić się do lotu w brzuchu **Untamoinena**. Kiedy ptak zaczął latać, porozrywał swymi żelaznymi szponami wnętrzności **Untamoinena**, a swym stalowym dziobem wywiercił w jego boku dużą dziurę. Starzec **Untamoinen** poczuł straszny ból i w pośpiechu zaczął błagać:

— Kowalu **Ilmarinenie**, jeżeli przestaniesz rozrywać mi ciało, dostaniesz szkatułkę, która ma być zaręczynowym prezentem dla pięknej **Katryny**. Idź na brzeg morza. Ujrzysz tam trzy panny siedzące na brzegu. Tam też między nimi zagrzebana jest w piasku szkatułka.

Usłyszawszy to, kowal **Ilmarinen** wygramolił się z brzucha **Untamoinena** dziurą wywierconą przez ptaka, wyskoczył przez drzwi na podwórze i podążył na brzeg morza. Tam ujrzał te same trzy panny co poprzednio i rzekł:

— O, moje dobre panny, dajcie mi szkatułkę, prezent dla pięknej **Katryny**. Starzec **Untamoinen** już mi ją obiecał.

— Weź więc! Szkatułka jest tutaj w piasku, **wydobądź** ją i zabierz — rzekły panny i pokazały kowalowi, gdzie jest ukryta.

Kowal wygrzebał wtedy szkatułkę z piasku, zaniósł ją królowi i rzekł:

— Oto prezent dla pięknej **Katryny**, którego kazałeś mi szukać. Odzyskana przez kowala szkatułka i jego poprzednie czyny **bar-**

dzo ucieszyły króla. Oddał mu więc za żonę swą córkę, olśniewająco białolicą, piękną **Katrinę** i pobłogosławił ich na drogę.

Wtedy kowal **Ilmarinen** wsiadł wraz ze swą małżonką do kolorowych sani zaprzęgniętych we wspaniałego ognistego trzyletniego źrebca, z żelazną uzdą, miedzianymi **szorami**, stalowymi cugłami, cynowym **podpiersiem**, i pomknął na otwarte morze; kopyta końskie nie zamokły, sanie nie zostawiły śladów. Jechał, jechał, aż nad morzem zapadła noc. Wtedy kowal zaśpiewał swą czarodziejską pieśń i w tej samej chwili z morza wyłoniła się wyspa, na którą udał się wraz z małżonką na spoczynek.

Wypoczywali tam całą noc aż do rana. Kiedy kowal **Ilmarinen** zbudził się ze snu, zauważył, że u jego boku nie ma **Katrinę**. Wtedy wstał ze swego posłania, poszedł na brzeg morza i policzył kaczki dookoła wyspy. Prawie natychmiast stwierdził, że jest o jedną kaczkę za dużo. Kiedy to spostrzegł, zaśpiewał natychmiast swą czarodziejską pieśń i zawołał:

— Nie kryj się, **Katrimo!** Jesteś tutaj!

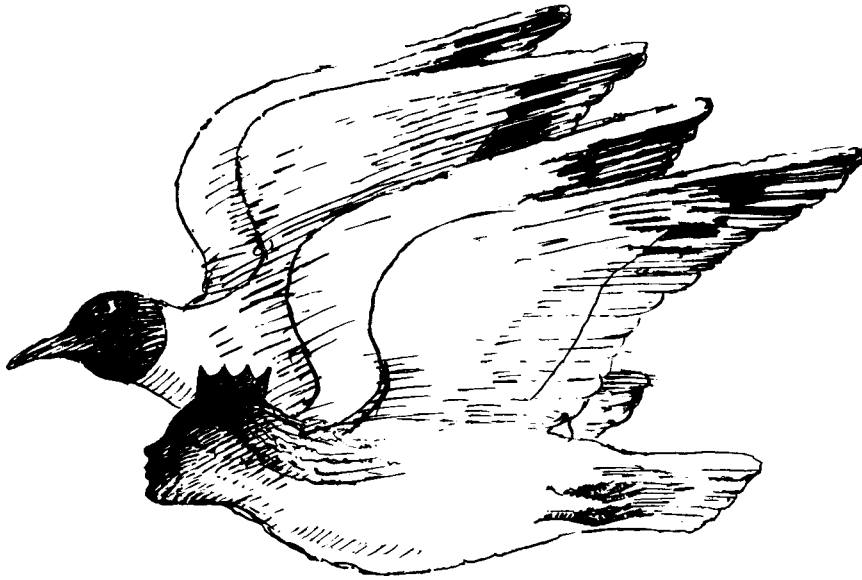
I w tej samej chwili kaczka przybrała postać niewiasty.

Znowu pomknęli przez otwarte morze. Jechali i mknęli tak długo, aż noc zaskoczyła ich w drodze. Wtedy kowal **Ilmarinen** zaśpiewał swą czarodziejską pieśń i wyłoniła się wyspa, na którą udali się, aby wypocząć.

Minęła noc, nastał ranek, kowal zbudził się ze snu i rozejrzał dookoła, ale niewiasty już nie było. Wstał tedy pośpiesznie z posłania i policzył wszystkie drzewa na wyspie. Stwierdził, że jest o jedno drzewo za dużo. Zaśpiewał więc swą czarodziejską pieśń i zawołał:

— Nie ukrywaj się, piękna **Katrimo!** Tu jesteś! I natychmiast niewiasta przybrała swą postać. Kowal **Ilmarinen** wsiadł wraz z nią znowu do kolorowych sani zaprzęzonych we wspaniałego ognistego trzyletniego źrebca i ruszył w drogę po otwartym morzu. Mknęli cały dzień, aż zapadła noc, a wtedy kowal **Ilmarinen** zaśpiewał, podobnie jak przedtem, swą czarodziejską pieśń i z morza wyłoniła się wyspa, na której kowal spoczął obok swej żony.

Noc minęła, nastał świt i kowal ocknął się ze snu. Spojrzał



przez ramię, ale nie było tam niewiasty. Wtedy rozgniewał się na swą małżonkę, zerwał się z posłania i zaczął krążyć wzdłuż brzegów wyspy. Kiedy szedł, liczył kamienie na wyspie i znów stwierdził, że jest o jeden za dużo.

— Nie kryj się, **Katrino**, tu jesteś — rzekł prędko, a gdy tylko zaśpiewał swoją pieśń, niewiasta przybrała dawną postać. Rzekł wtedy, zagniewany:

— Dla ciebie, piękna **Katrino**, wykonałem różne prace i utrudziłem się, jak przystało na mężczyznę, a ty ciągle mnie oszukujesz. Idź więc na morze i mieszka tam po wiek wieków.

Rzekłszy to, kowal zaśpiewał raz jeszcze swą pieśń i zaklął swą małżonkę, olśniewająco **białplicą**, piękną **Katrinę** w mewę, aby po wieki wieków latała pod wiatr.

Jednakże życie bez niewiasty stało się smutne, toteż kowal zaczął wykuwać sobie żonę z miedzi. Zaśpiewał swą czarodziejską pieśń i narodził się człowiek; zaśpiewał drugą i duch wstąpił w serce niewiasty.

Z wykutą przez siebie kobietą zaczął dzielić łożę, jedną rękę kładł na jej łonie, drugą zaś na własnym. Kiedy budził się rano

i sprawdzał swe dłonie, okazało się, że ręka, którą trzymał na własnym łonie, była ciepła, natomiast ręka, która spoczywała na łonie niewiasty, była zawsze lodowato zimna. Rzekł wtedy do siebie **Ilmarinen**, wieczny kowal:

— Niechaj nikt nie tworzy sobie sam niewiasty, niechaj bierze już stworzoną!

Zaśpiewał potem swą czarodziejską pieśń i mewa przeobraziła się znowu w jego małżonkę, w olśniewająco **białolicą**, piękną **Katrinę**.

Wtedy kowal wsiadł z nią do sani zaprzężonych we wspaniałego ognistego źrebca i pomknął do swego domu, gdzie matka przyjęła synową z otwartymi ramionami.

Mikko Miehelainen



Dawno temu pewien myśliwy polował cały dzień w lesie, a wieczorem, kiedy wracał przez gąszcz do domu, wyszła mu nagle na spotkanie Tapiotar, córka Tapio — ducha lasu, i rzekła:

— Jeśli pójdziesz ze mną, nie zabiję cię. Jeśli jednak nie podążysz za mną po dobroci, to zabiję cię na miejscu.

Mężczyzna zadrżał na słowa Tapiotar i nie odważył się jej przeciwstawić, lecz pokornie ruszył razem z nią w drogę. Wędrowali długo przez mroczny, gęsty bór, aż dotarli wreszcie do siedziby ducha lasu — do Tapioli, gdzie Tapiotar wprowadziła mężczyznę do swego domu i rzekła:

— Możesz gospodarzyć się tutaj, jak ci się tylko spodoba, jeśli będziesz mi wierny. Jeżeli jednak sprzeniewierzysz się i spróbujesz uciec ode mnie, to natychmiast cię zabiję.

Mężczyzna, nie widząc innego wyjścia, przystał na żądanie Tapiotar i pojął ją za żonę. Żyli z sobą przez pewien czas, aż Tapiotar stała się brzemienna i urodziła syna, któremu nadano imię Mikko Miehelainen. Chłopak szybko wyrósł na tak silnego i barczystego mężczyznę, że nie można by tego wyrazić ani w psalmie, ani też wypowiedzieć w kazaniu.

Pewnego razu skończyły im się zapasy. Tapiotar ruszyła więc, aby zdobyć coś do jedzenia. Na odchodnym zaś rzekła:

— Kiedy mnie tu nie będzie, nie macie wychodzić z chałupy, pamiętajcie!

Mikko i ojciec obiecali, że będą siedzieć w domu. Ledwie jednak Tapiotar zdążyła wyjść za próg, a już chłopak podszedł do ojca i rzekł:

— Ojczulku, ogarnia mnie tęsknota, żeby zobaczyć twoje rodzinne strony. Ruszajmy więc, aby popatrzeć na nie.

— O, mój synku — westchnął ojciec — i mnie bierze wielka ochota, żeby zobaczyć mój dawny dom. Pamiętaj wszakże, co powiedziała matka. Zabroniła nam przecież ruszać się dokądkolwiek z domu!

Mikko nic sobie z tego nie robił, lecz nalegał w dalszym ciągu na ojca, który wreszcie uległ namowom syna. Rzucili się do ucieczki, ale nie zawędrowali daleko. Wkrótce bowiem wróciła do domu Tapiotar z tłustym bobrem na pieczeń, a gdy w izbie nie zastała nikogo, domyśliła się zaraz wszystkiego i ruszyła w pogoń za zbiegami. Niebawem dopędziła męża i syna. Dосkoczyła do nich, stanęła przed nimi i spytała gniewnie:

— Dlaczego uciekliście? Czyż **wam** nie zabroniłam? Ojciec przeląkł się tak okropnie, że nie mógł wymówić ani słowa, ale Mikko stawiał Tapiotar odważnie czoła i krzyknął na nią:

— Z drogi!

Tapiotar rozzłościła się i obiema rękami schwyciła syna. Nie wytrzymał tego Mikko; złapał oburącz Tapiotar i cisnął nią z całej siły o przydrożny płot, **gruchocząc** jej kości. Potem razem z ojcem ruszył dalej w drogę.

W końcu dotarli w rodzinne strony i ojciec zamieszkał z synem we własnym domu, jak ongiś.

Mikko z każdym rokiem męźniał coraz bardziej i stawał się coraz silniejszy, tak że w końcu miał w sobie siły ponad miarę. Pewnego dnia wyruszył powłóczyć się trochę po okolicy i przyłączył się do innych chłopców i dziewcząt, którzy zabawiali się w różne gry. W końcu zaczęli się bawić w rzucanie piłki. Kiedy przyszła kolej na Mikko, rzucił piłkę z taką siłą, że jednej z dziewcząt złamał

rękę.

Ludzie przybiegli ze skargą do ojca Mikko:

— Wygnaj swego syna! On pozabija nam wszystkie nasze dzieci! Ojciec skarcił syna i rzekł:

— Dlaczego zrobiłeś to, mój synku? Uważaj, co robisz!

— Sądziłem, że rzuciłem piłkę najzwyczajniej w świecie — odparł Mikko. — Musiałem pewnie niechcący rzucić ją zbyt silnie.

Ojciec zaczął wówczas rozważać: „Muszę zapędzić chłopaka do roboty, żeby nie zrobił czego złego”.

Po czym rzekł do Mikko:

— Idź, synu, i przynieś drewna z lasu, żebyśmy mieli czym grzać łaźnię!

— Zaraz to zrobię — odparł Mikko. — Ale czy masz gdzie sanie i uprzęż?

— Mam — odrzekł ojciec i dał synowi sanie i uprzęż. Mikko ruszył po drewno i trafił do najlepszego lasu sosnowego. Tam zwęszyły go leśne potwory i rzuciły się na niego. Ale Mikko nie przestraszył się ani trochę, walczył dzielnie i zabił wielu przeciwników. Wtedy potwory przestraszyły się i zaczęły błagać Mikko:

— Nie morduj nas, odwziewamy ci się za to.

— No, dobrze, możecie sobie żyć dalej, jeśli tylko zawieziecie mi drewno do domu — powiedział Mikko.

Wybrał spośród leśnych stworów najsilniejszego i zaprzęgnął do swych sani. Następnie ściał w lesie wielką sosnę, położył ją wraz z gałęzmi na saniach i pojechał swym zaprzęgiem do domu, gdzie zeskoczył prędko z sani i zawołał do ojca:

— Tu, ojczulku, masz drewno, a tu jest koń dla ciebie!

— Ty go zdobyłeś i możesz go zatrzymać dla siebie. Ja nie mogę go wziąć — odparł ojciec.

Po pewnym czasie Mikko wyruszył znowu na zabawę. Wspólnie z innymi chłopcami i dziewczętami zaczął rzucać piłkę. I co się stało? Gdy rzucił piłkę, trafił nią w jedną z dziewcząt i złamał jej nogę.

Rodzice przybiegli znów na skargę do ojca i rzekli:

— Wypędź swego syna! On nas wszystkich wymorduje przez ten nadmiar sił.

Ojciec rozgniewał się na syna, że znów źle postąpił, ale ponieważ nie mógł wymyślić nic innego, znalazł nową pracę dla chłopaka i rzekł:

— Idź, Mikko, i nałap mi ryb ze stawu, abym mógł raz jeszcze najeść się zupy rybnej do syta!

— No to daj mi, ojczulku, starą szkapę ze swej stajni, którą przywiozę ryby do domu. Wkrótce będziemy mieli posiłek — odparł Mikko.

Ojciec dał synowi konia. Kiedy Mikko przyjechał na brzeg sta-

wu, złamał sosnę, zrobił z niej sobie wędzisko, usiadł na brzegu i zaczął łowić ryby. Łowił i łowił, aż tu raptem na haczyku wędki zawisł duch stawu. Mikko wyciągnął go na ląd, i nuże okładać wędziskiem, ale wtedy duch zaczął błagać:

— Nie zabijaj mnie, dobry człowieku. Odwdzięczę ci się za to!

— No, jeśli mi złowisz ze stawu furę ryb, żebym mógł nagoto-wać dla mego ojca zupy rybnej, to zostawię cię przy życiu — odparł Mikko i wrzucił ducha z haczykiem w ustach z powrotem do stawu.

Po chwili nieszczęśnik przyniósł ze stawu cały wór ryb, a Mikko podniósł worek w górę i rzekł:

— Przynieś jeszcze jeden. To zbyt mało dla mężczyzny. Duch zanurzył się ponownie w stawie i przyniósł drugi wór pełen ryb.

— No, teraz będzie dość! — powiedział Mikko. — Chodź razem ze mną, poniesiesz ryby do domu.

Duch musiał nieść worki z rybami i obaj przybyli do domu Mikko. Gdy tylko zbliżyli się do ojca na tyle, że ten mógł ich usłyszeć, Mikko zawołał:

— Oto tutaj, ojczulku, są ryby, a tutaj gospodarz, który będzie nam gotować!

Kiedy wszakże ojciec zobaczył zdobycz syna, rzekł do niego:

— To, co zdobyłeś, synku, możesz zatrzymać dla siebie. Ja nie potrzebuję takiego gospodarzenia.

Jakiś czas żyli spokojnie, ale Mikko znowu wyruszył się bawić, i z innymi chłopcami i dziewczętami ćwiczył rzucanie piłki. Ale cóż to się znów stało? Kiedy rzucił piłkę do jednej z dziewcząt, trafił je w bok tak, że złamał jej żebro.

Ludzie przybiegli znowu ze skargą do ojca i zawołali:

— Teraz musisz już wypędzić syna! Przez swoją nieludzką siłę pozabija nas wszystkich!

Ojciec był wielce zatroskany i zastanawiał się, jak zapobiec temu, żeby jego syn nie zrobił już nic złego. Rozważał to długo, wreszcie postanowił wysłać go z domu w daleką podróż. Rzekł więc:

— Od trzech lat król Waregów jest mi winien dwie beczki złota. Idź do niego, synku, i upomnij się o te pieniądze.

Mikko gotów był to zrobić i szykował się do podróży. Zaprzągnął dzikie zwierzę leśne do sani, usiadł w nich, a lejce oddał duchowi stawu. W ten sposób jechali wiele, wiele dni, aż wreszcie przybyli do kraju Waregów i zbliżyli się do królewskiego zamku; tam wjechali na dziedziniec z takim impetem, że pałac zaczął się trząść. Przeraziło to króla Waregów, który obawiając się, że jego pałac runie, rzekł do swych służących:

— Idźcie i spytajcie podróżnego, czego sobie życzy i dajcie mu wszystko, czego zażąda, byle tylko pojechał dalej.

Służący pośpieszyli rozmówić się z Mikko. Kiedy zobaczyli, jakiego ma konia i jakiego woźnicę, przerazili się jeszcze bardziej i dygocąc ze strachu, spytali:

— Czego żadasz, gościu?

— Wasz król winien mi jest dwie beczki pełne złota — odparł śmiało Mikko.

Słudzy, pomni rozkazu króla, przynieśli bez wahania beczki złota. Mikko Miehelinen ułożył je na swych saniach i ruszył galopem do domu. Gdy znalazł się na własnym podwórzu, wyprzągnął dzikie zwierzę i pognął je do lasu, ducha natomiast wpuścił z powrotem do stawu, a sam stanął przed ojcem i rzekł:

— Tutaj, ojczulku, masz pieniądze, które kazałeś mi przywieźć z kraju Waregów. Bierz je!

Co miał na to powiedzieć ojciec? Prawdę mówiąc, nie miałby nic przeciwko temu, żeby Mikko został gdzieś w czasie tej podróży. Ale to mnóstwo pieniędzy zawdzięczał przecież jemu. Tak więc musiał podziękować synowi, że spisał się dzielnie.

Minęło dużo czasu i ojciec nie miał żadnej przykrości z powodu syna. W końcu jednak chłopakowi znudziło się to życie w domu, w piłkę też nie chciał już grać, bo zawsze kończyło się to nieszczęściem. Stanął tedy przed ojcem i rzekł:

— Uszyj mi, ojczulku, podróżny worek. Mam ochotę obejrzeć świat.

Było to całkiem po myśli ojca, uszył więc prędko worek ze skóry i dał go synowi. Z workiem na plecach ruszył zaraz Mikko na wędrowną. Wędrował długo przez różne kraje, aż pewnego dnia dotarł do wysokiego wzgórza, na którego szczycie siedział chłopak

i bezustannie walił jedną skałą o drugą. Kiedy zobaczył zbliżającego się wędrowca, pozdrowił go i zawołał do niego:

— Witaj, Mikko Miehelainen! Przyjm mnie za swego towarzysza.

— Chodź więc, wyglądasz na silnego człowieka, a we dwóch lepiej się wędruje — zgodził się Mikko Miehelainen. Waligóra zszedł ze szczytu i ruszył z Mikko w drogę. Wędrowali jakiś czas, aż zobaczyli chłopaka, który rękami połączył dwie rzeki, kierując je ku sobie. Gdy podróżni zbliżyli się do niego, Łączyrzeka przerwał natychmiast swą robotę i rzekł do Mikko:

— Witaj, Mikko Miehelainen! Czy nie zechcesz wziąć mnie jako swego towarzysza?

— Chodź z nami, jeśli masz ochotę. W drodze przyjemnie jest mieć towarzystwo — odparł Mikko Miehelainen i w trójkę ruszyli dalej.

Po pewnym czasie weszli w gęsty las i w oddali ujrzeli coś, co w ich oczach wyglądało na dom, a gdy podeszli bliżej, zobaczyli, że jest to ludzka siedziba, chociaż na zamek za mała, a na chatę za duża. Kiedy weszli na podwórze, ujrzeli w ogrodzeniu stado krów. Toteż pomyśleli, że dom jest zamieszkany i weszli do izby. Ale nie było tam żywej duszy, cały dom był jak wymarły. Chłopcy, którzy w czasie wędrowki zmęczyli się i wygłodnieli, rozłożyli się w izbie, aby odpocząć i naradzali się, skąd by zdobyć coś do jedzenia. Wtedy Mikko Miehelainen powiedział do pozostałych:

— Dom jest całkiem opuszczony, ale w ogrodzeniu jest pełno krów. Nie zabraknie nam więc jedzenia, choćbyśmy chcieli wyprawić sobie nie wiem jaką ucztę. Zabijmy jedną krowę z zagrody!

Ta rada była po myśli pozostałych. Udali się więc wszyscy natychmiast do zagrody, wybrali sobie najlepszą krowę i zarznąli ją. Waligóra miał przygotować mięso, a dwaj pozostali poszli do lasu, aby ściąć drzewo na opał.

Chata należała jednak do czarownicy, która w tym czasie była w lesie. Wróciła właśnie do domu i zastała tam Waligórę, gotującego mięso z krowy. Zasycała na kucharza:

— Ach, ty, hultaju! Ośmieliłeś się wtargnąć do mojej izby, rozpalić ogień i gotować mięso?!

Schwyciła chłopaka, jedną ręką uniosła kłóc krokwi i wsadziła pod kloc głowę Waligóry. Potem poszła zobaczyć, co się gotuje, połknęła mięso i ruszyła znowu w drogę.

Chłopak wiercił się i wiercił i w końcu udało mu się uwolnić spod kłoca. Zebrał resztkę kości, które zostawiła czarownica, i ugotował na nich zupę. Potem zawołał towarzyszy na posiłek i wszyscy zaczęli jeść. Posilając się, towarzysze narzekali, że jedzenie jest niesmaczne. Mówili:

— To doprawdy dziwne, że ta zupa jest taka chuda. Zabiliśmy przecież tłustą krowę!

— Ta chałupa jest stara — wyjaśnił Waligóra. — Kiedy gotowałem, chwiała się cała, i zupa wylała się na ziemię, a kiedy ugotowałem resztę na nowo, nie wyszło już z tego nic dobrego.

Trzeba więc było zjeść zupę taką, jaka była, i zadowolić się nią przez cały dzień.

Gdy nastał ranek, zabili drugą krowę z zagrody. Tym razem został w domu Łączyrzeka, aby ugotować mięso, a dwaj pozostali poszli narąbać drewno, jak wczoraj.

I co się stało?

Kiedy chłopak gotował, do izby weszła wiedźma i krzyknęła na niego:

— Co, znów jesteś, hultaju, w mojej izbie, choć zabroniłam ci wczoraj?

Schwyciła chłopaka i wsadziła jego głowę pod kloc. połknęła jedzenie i poszła znowu w swoją drogę.

Chłopcowi udało się w końcu wydostać spod kłoca, zebrał resztkę kości, które zostawiła czarownica, i ugotował na nich nową zupę. Potem zawołał towarzyszy z lasu i zabrali się do posiłku. Ci zaś, jedząc, narzekali znowu, że zupa jest taka niesmaczna:

— To doprawdy dziwne, że ta zupa jest taka chuda. Zabiliśmy przecież tłustą krowę.

A Łączyrzeka wyjaśnił tak, jak wczoraj Waligóra:

— Kiedy gotowałem zupę, chałupa chwiała się tak bardzo, że zupa wylała się na ziemię, a kiedy ugotowałem resztę na nowo, nie wyszło z tego nic dobrego.

Co mieli robić? Dzień im jakoś minął, noc też przeszła, ale ledwie

ranek zaświtał, poczuli straszliwy głód. Przez całe dwie poprzednie doby musieli się przecież zadowolić skąpym jedzeniem. Zabili więc trzecią krowę z zagrody.

Tym razem Mikko Miehelainen został sam, aby ugotować obiad, a pozostałych dwóch posłał po drewno. Czas mu się dłużył przy gotowaniu i kiedy zupa perkotała, zrobił sobie kantele, małe skrzypce. W izbie nie było ławy, na której mógłby usiąść, przyniósł więc z podwórza wielkie koryto, postawił je na podłodze dnem do góry, usiadł na nim i zaczął grać na swoich kantele. W tejże samej chwili wróciła do chaty czarownica i natychmiast ryknęła na Mikko:

— Hej, Mikko Miehelainen, jakim prawem przyszedłeś tutaj hałasować w mojej izbie?!

— No, spokojnie, spokojnie, moja staruszko! — powiedział Mikko Miehelainen. — Ja tu przygrywam twoim dzieciom. A gdzie są twoje dzieci?

Czarownica rozeźliła się na to jeszcze bardziej i wrzasnęła:

— Co mnie obchodzi twoja muzyka? Chodź, hultaju, zmierzymy się!

Wtedy Mikko Miehelainen schwycił oburącz staruchę z taką siłą, że zmiażdżył jej kości, a potem wsadził pod dębowe koryto, które stało na podłodze dnem do góry. Skończył spokojnie gotować zupę i zawołał kolegów na posiłek. Nadeszli niebawem z lasu, a kiedy zabrali się do jedzenia, Mikko Miehelainen spytał ich:

— No, czy dobra jest dzisiaj zupa?

— Tak, bardzo dobra — zapewniali i chwalili swego towarzysza, że tak ją smacznie ugotował.

Mikko wstał od jedzenia, podniósł koryto i rzekł:

— Oto ta, która trzęsła chałupą. Dlaczego mnie nie ostrzeegliście? Teraz już chałupa nie będzie się chwiała. My jednak ruszajmy stąd w dalszą drogę. Tu nie mamy już nic więcej do roboty.

Pozostali zawstydzili się i nie śmieli odezwać się słowem. Powędrowali dalej z Mikko. Wędrowali, wędrowali ciągle przed siebie, aż znaleźli w lesie dół, który był tak głęboki, że nie można było nawet zobaczyć dna.

— Należałoby sprawdzić, co jest w tym dole — rzekł Mikko Miehelainen. — Ale jak my się dostaniemy na dno?

Jego towarzysze zastanawiali się przez chwilę, a w końcu znaleźli sposób i rzekli:

— Mamy przecież z sobą skóry z trzech krów z domu czarownicy. Zrobimy z nich kołyskę i spuścimy się w niej na dół.

Ta rada wydała się dobra także Mikko Miehela~~in~~owi. Sporządzili więc ze skór kołyskę, do której przywiązali tak długie pasy skórzane, na jakie tylko starczyło skór, aby spuścić na nich kołyskę na dół. Gdy urządzenie było gotowe, Mikko spytał pozostałych:

— Który z nas wsiądzie do tej kołyski?

— Wsiądź ty. Mikko Miehela~~in~~ie — odparli jego towarzysze. — My jesteśmy słabsi od ciebie, ale wyciągniemy pasami to, co włożysz do kołyski.

— No, niech tak będzie — zgodził się Mikko Miehela~~in~~, wsiadł do kołyski i polecił towarzyszom, żeby go spuścili na dół. Towarzysze zrobili to i Mikko Miehela~~in~~ dzięki pasom opuszczał się coraz głębiej i głębiej, aż w końcu dosięgnął dna. Tam zaś jego oczom ukazała się całkiem obca kraina i nigdy nie widziane okolice. Przed nim rozciągał się nowy świat, podobny jednak do tego na górze, bo i tu było morze, a na brzegu stała chata. Mikko Miehela~~in~~ wysiadł z kołyski i wszedł do chaty, a tam siedziała prześliczna dziewczyna w białej sukni, która

*przędła złote płótno przetykane srebrną
nicią, złote miała rączki, nóżki srebrne aż
po kolana, słońce świeciło nad jej głową,
poświata księżycą okalała czoło, gwiazda
polarna zdobiła plecy, blask gwiazd z niej
promieniał, siedem gwiazd lśniło na jej
karku.*

Gdy dziewczyna spostrzegła Mikko, przestraszyła się i rzekła:

— O, człowieku z obcej krainy, jak tu, nieszczęsny, trafiłeś? Gdy moja matka wróci do domu, zabije cię ani chybi.

— Nie spotkałem jeszcze mężczyzny, który by mi dorównał

i którego musiałbym się bać. Czyż miałyby mnie teraz pokonać niewiasta? — odparł Mikko Miehelaianen i opowiedział dziewczynie, jak z górnego świata zjechał na dół w wiszącej kołysce.

Dziewczynie zrobiło się żal chłopca, gdyż spodobał się jej. Zaprowadziła Mikko Miehelaianena do alkowy, gdzie ukryła go pomiędzy ubraniami, ażeby nie znalazła go matka, a potem zamknęła za sobą drzwi.

Wkrótce jednak przyszła do domu starucha i krzyknęła już z progu do córki:

— Gdzie ukryłaś chłopaka?! Tylko co go tu widziałam! Przyprowadź go szybko, chcę się z nim zmierzyć!

Nie było już co zaprzeczać, dziewczyna musiała przywołać chłopaka i wtedy rozpoczęła się straszliwa walka między nim a matką. W końcu jednak Mikko zwyciężył i zabił staruchę.

Wtedy dziewczyna została żoną Mikko Miehelaianena i oboje szykowali się do drogi do górnego świata. Wszystkie rzeczy, zapasy i inne dobra w złocie i srebrze, jakie tylko znajdowały się w domu, zabrali z sobą. Zanieśli to wszystko do wylotu dołu, gdzie wisiała skórzana kołyska. Włożyli do niej część przyniesionych rzeczy, a towarzysze Mikko wciągnęli kołyskę pasami w górę, opróżnili ją i znowu spuścili, i tak trwało, dopóki nie wydobyto wszystkich rzeczy. Opuszczono potem znowu pustą kołyskę, a ponieważ nie było już niczego, co można by jeszcze do niej włożyć, Mikko Miehelaianen powiedział do swej małżonki:

— Teraz ty wsiądź do kołyski, moja najdroższa dziewczyno, a gdy wciągną cię na górę, ja z kolei pojedę za tobą.

Dziewczyna wsiadła do kołyski i wyciągnięto ją z dołu. Potem opuszczono jeszcze raz kołyskę i Mikko Miehelaianen bujał się w niej ostatni. Towarzysze zaczęli ciągnąć pasy, a kiedy kołyska była już w połowie drogi, jeden z nich powiedział do drugiego:

— Kiedy Mikko Miehelaianen wydobędzie się z dołu, nie da nam z pewnością nic ze zdobytych rzeczy, lecz wrzuci nas do dołu. Zostawmy go lepiej w dole i zatrzymajmy sobie wszystko!

Drugi przystał na propozycję towarzysza i zaraz przecięli pasy rzemienne, na których wisiała kołyska, i Mikko Miehelaianen spadł z połowy drogi na samo dno dołu.



Cóż miał teraz począć? Krążył więc zasmucony w podziemnej krainie wzdłuż brzegów morza i nagle ujrzał ptaka, który wzbijał się w niebo. Zawołał do niego:

— Chodź tu, moja ptaszyno! Ptak sfrunął na dół i rzekł:

— Witaj, **Mikko Miehelainenie!** Nad czym rozmyślasz?

— Rozmyślam nad tym, jak bym mógł dostać się do mego rodzinnego kraju — odparł Mikko. — Zanieś mnie tam, mój kochany ptaszku!

Ptak ulitował się nad chłopcem, wziął go prędko na swój grzbiet i pofrunęli. Leciał i leciał daleko, aż wreszcie zaniósł chłopca na miejsce, gdzie ten przedtem wraz ze swymi towarzyszami ścinał drzewa, aby gotować krowy. Tu ptak spuścił go z grzbietu i spytał:

— Czy poznajesz okolicę, w której się znajdujesz? Mikko rozejrzał się dokoła, poznał miejsce i rzekł:

— Teraz wiem już, gdzie jestem, mój ptaszku. Dziękuję ci serdecznie. żeś mnie tu przyniósł.

Rozstali się, ptak zaraz odleciał, a Mikko ruszył w stronę dołu, przy którym zostawił swych towarzyszy. Kiedy zbliżał się do tego miejsca, usłyszał odgłosy bójk przy dole, a kiedy podszedł jeszcze bliżej, zobaczył, że **Waligóra** i **Łączyrzeka** walczą z sobą zażarcie.

— Weź skarby! Daj mi dziewczynę! — krzyczał jeden do drugiego. Nie mogli się pogodzić, jak mają się podzielić rzeczami, które wydobyli z dołu za pomocą kołyski.

Nagle stanął przed nimi Mikko Miehelaianen i rzekł:

— Witajcie, towarzysze! Wy tu i ja tu! Jedną ręką schwycił pierwszego z brzegu, drugą ręką drugiego i obu cisnął do dołu, mówiąc:

— Idźcie, braciszkuwie! Tam, gdzie ja wędrowałem, możecie i wy wędrować!

W tejże samej chwili obaj runęli głowami naprzód pod ziemię i nikt ich do tej pory nigdy nie widział ani też nic o nich nie słyszał. Mikko Miehelaianen natomiast zabrał wszystkie skarby ze skraju dołu i wraz ze swą narzeczoną poszedł do chaty, w której mieszkała niegdyś czarownica. Ozdobili dom wszelkimi bogactwami, jakie mieli, żyli tam razem, w pełni zadowoleni i szczęśliwi. póki nie przysłała po nich śmierć.

Taka długa jest ta historia!



Wdzięczność nieboszczyka

pewnego letniego poranka Perełka, królewska córka, wybrała się do parku, żeby posłuchać śpiewu ptaków podczas wschodu słońca. Przysiadła na ławeczce w parkowej alei. Siedzi, przygląda się ptasim figlom i wspaniałym piórkom, z zachwytem przysłuchuje się porannym trelom.

W pewnej jednak chwili podbiegło do niej dwóch mężczyzn, którzy ją związali, zakneblowali jej usta, żeby nie mogła krzyczeć i uprowadzili przez parkowy mur.

Widział to co prawda kuchenny posługacz, kiedy otwierał okno, ale wcale się tym nie przejął i nie podniósł alarmu.

Zniknęła więc królewna gdzieś w szerokim świecie i nikt nie mógł się dowiedzieć niczego o jej losie, mimo że król rozesłał dziesięć tysięcy orłów po całym królestwie, żeby powiadomić podwładnych o nieszczęściu. W nagrodę zaś temu, kto odnajdzie królewnę i przyprowadzi ją na zamek, obiecał córkę i połowę królestwa.

Latały orły po całym królestwie, odwiedzały każde miejsce, w którym tlił się ogień w ludzkich sadybach, wszędzie opowiadały o zniknięciu Perełki i królewskiej nagrodzie za jej odnalezienie.

U podnóża pewnej góry siedział **Antti-Koszula**. Siedzi przy ognisku i piecze ziemniaki w gorącym popiele. Jest bogaty, ale tak leniwy, że nie chce mu się robić nic innego, tylko pasać owce, a do tego nie nosi na sobie nic innego, jak tylko zgrzebną koszulę, i dlatego też zwa go wszędzie **Anttim-Koszulą**. Siedzi więc **Antti** przy ognisku, przysłuchuje się trzaskowi pieczonych ziemniaków i beczeniu owiec zajadających trawę, aż tu nagle z łopotem zjawia się przed nim wspaniały orzeł; opowiada o zaginionej królewnie i nagrodzie dla tego, który ją odszuka. Zamyślił się potem Antti, myśli i myśli, aż w końcu podjął decyzję. Tego samego dnia sprzedał

swoje stado wraz z zagrodą i rażno ruszył przed siebie. Szedł wiejskim traktem i wieczorem dotarł do kościelnej wsi. Było już jednak na tyle późno, że nie wypadało mu w żadnej chacie prosić o nocleg. Poszedł więc do kościelnego. Owszem, otwarto mu tam drzwi, ale na widok Anttiego, odzianego tylko w zgrzebną koszulę, przestraszony kościelny zatrzasnął mu drzwi przed nosem i nie wpuścił do środka.

Noc była ciepła, ruszył przeto Antti pospacerować sobie i dotarł do cmentarza. Chodzi po cmentarzu, ogląda nagrobki, aż w końcu zmęczony położył się pod rozłożystym dębem, żeby pospać. Ledwo zasnął, a już po chwili rozległ się na cmentarzu straszliwy rumor. Rozgląda się Antti, rozgląda i wreszcie dostrzegł dwóch bijących się ze sobą nieboszczyków. Okładali się zaciekle. Złapał jeden drugiego za pas, uniósł w powietrze i trzasnął o ziemię, ale tamten podniósł się i dał swemu przeciwnikowi takiego tęgiego kopniaka, że złamał mu udo, i kościotrup rozłożył się jak długi.

Wstał więc Antti-Koszula z ziemi, podszedł do walczących i zapytał, dlaczego są tak z sobą skłócenii.

— Ten łobuz nie zapłacił mi za życia trzynastu groszy, które był mi winien — odparł ten, któremu złamano udo i który siedział teraz pokonany na ziemi.

— Dobrze, ja za niego zapłacę — rzekł na to Antti.

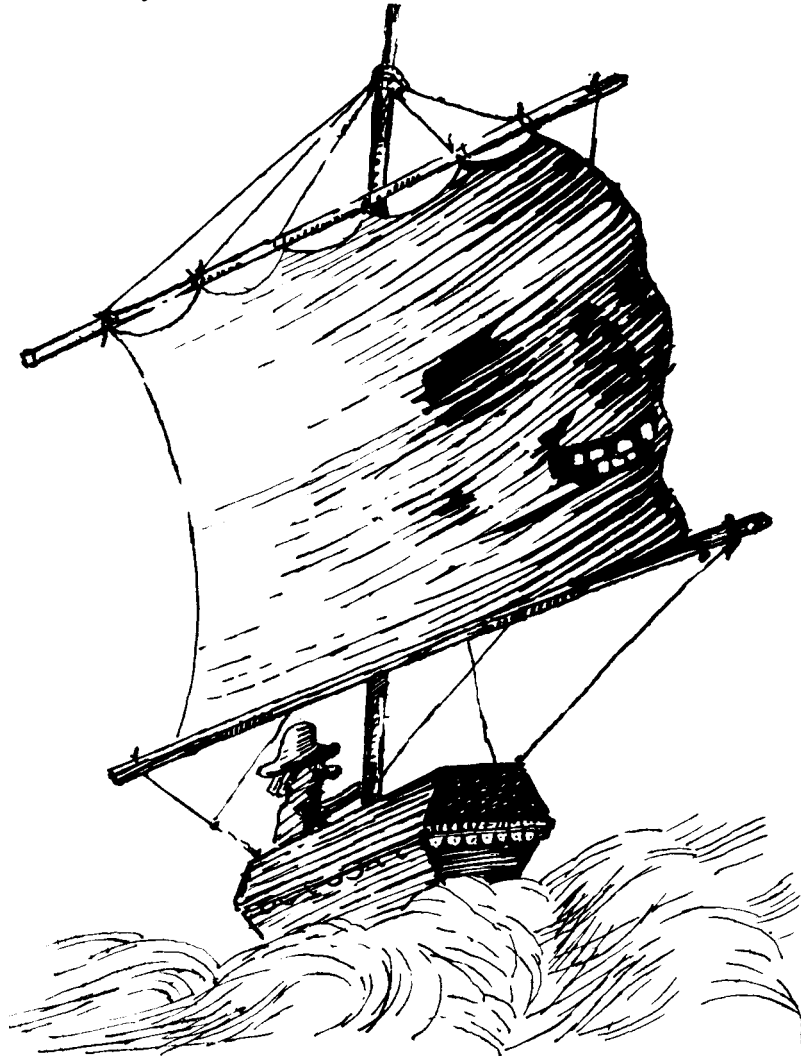
— Dla mnie to wszystko jedno, kto zapłaci, byleby tylko dług został uregulowany — ucieszył się połamanym.

— A ja nareszcie trafię do prawdziwego grobu — uradował się drugi kościotrup. — Mam już setnie dość tego siedzenia tutaj, w północnym kącie cmentarza, pogardzany przez ludzi i obgryzany przez szczury. Paskudne szczury, nie cierpię ich! Wczoraj szary szczur zjadł mi lewe oko. Musicie jednak powiadomić grabarza, że dług został zapłacony, wówczas uszykuje mi grób na spokojnej ziemi. Wdzięczny ci jestem za ten szlachetny czyn i będę o tobie zawsze pamiętał w czasie swoich podróży.

Wyciągnął Antti mieszek z gronostajowej skóry, dał połamanemu trzynaście groszy, a ten ścisnął ofiarowaną sumę w kościanej dłoni. Potem kościotrupy grzecznie się pokłoniły i rozeszły w swoje strony: połamanym z pieniędzmi w garści wskoczył do swojego gro-

bu, a drugi, pogwizdując wesoło, usiadł na swoim miejscu w północnym kacie cmentarza. Antti położył się znowu spać, a rano po przebudzeniu odszukał grabarza. Razem wykopali grób w mniej mrocznej części cmentarza i złożyli tam kościotrupa, który do tej pory nie miał swego miejsca.

Ruszył potem Antti w dalszą drogę. Wędruje jeden dzień, wędruje drugi, aż trzeciego dnia dotarł nad brzeg morza. Patrzy, a tu do brzegu podplywa czółno w kształcie trumny. Nie miał biedak



innego sposobu, żeby kontynuować podróż, jak tylko tę dziwną łódką. Wsiadł więc do niej, napięły się żagle i ruszył Antti po falach przed siebie. Żegluj, żegluj, aż po wielu dniach nareszcie ujrzał znowu brzeg, tam zaś jakąś postać, która orała i nie miała na sobie żadnego przyodziewku. Podpłynął do brzegu, zszedł na ląd i podszedł do wieśniaczki, aby zapytać, dlaczego pracuje nago.

— Jestem królewską córką, Perełką. Porwano mnie i zostałam tu niewolnicą — usłyszał w odpowiedzi.

Co sił w nogach pobiegł Antti-Koszula do dworu i ledwo otworzył drzwi, spytał gospodarza:

— Ile chcesz za swoją niewolnicę, która teraz pracuje w polu?

— Trzy tysiące groszy — odparł gospodarz.

Wyłożył Antti bez zmruczenia oka żadaną sumę na stół i zabrał Perełkę z pola. Dziewczyna znowu mogła przywdziać na siebie królewskie szaty i ozdoby.

Ruszyli potem razem czółnem w drogę powrotną. Żeglowali, żeglowali całymi dniami, a na noc przybijali do brzegu, żeby w gąszczu drzew zaznać snu i odpocząć. Perełce bardzo spodobał się jej wybawca i wcale nie tęskniła do domu. Kiedy dotarli do stałego lądu, kupili sobie mały domek na wsi i zamieszkali w nim. Perełka robiła wspaniałe ozdoby, a każdą z nich podpisywała imieniem swoim i swego ojca. Antti zaś sprzedawał je, podróżował po lądach i morzach, wzbudzając wszędzie zachwyt swoim towarem. Połowę jednak wszystkich ozdób, pierścionków, kolczyków i szlachetnych kamieni Perełka chowała do kufra na bieliznę, a potem po kryjomu wszywała je na lewej stronie koszuli Anttiego.

Pewnego razu dotarł Antti do portowego miasta. Spotkał tam wspaniałe odzianego generała, który spytał go:

— Gdzie mieszka człowiek, który wyrabia takie cuda?

— To moja żona — odparł Antti-Koszula i opowiedział całą historię.

Generał wówczas zmusił Anttiego, żeby został jego przewodnikiem i zawiódł go do wsi, w której żyła i pracowała Perełka. Przygotowano wspaniałą statek i generał wraz z Anttim ruszyli w morze.

Żeglowali wiele, wiele dni, a kiedy wreszcie przybili do lądu,

powędrowali do zagrody Anttiego i Perełki. Tam zaś generał namówił królową, żeby wróciła na zamek swego ojca. Perełka przystała na to pod warunkiem jednak, że i Antti będzie mógł popłynąć.

Ruszyli więc znowu w drogę, płyną, płyną po morskich falach, a generała zaczynają męczyć nieczne myśli. Boi się bowiem, że po powrocie wieśniak Antti-Koszula pojmie za żonę Perełkę i dostanie pół królestwa. W końcu w nocy, kiedy królowa śpi, każde pojmać Anttiego, zakneblować mu usta, przywiązać do drewnianego pala i wyrzucić za burtę. Tak też się stało, a statek popłynął dalej.

Palał był jednak na tyle duży, że nie zatonął, lecz dryfował po falach. Płynął tak Antti przez wiele dni i nocy. Pod sobą miał tylko morskie fale, nad sobą błękitne niebo. W końcu zmęczony zapadł w głęboki sen. Kiedy się zbudził, poczuł, że kłoda, na której płynął, obija się o kamienie i usłyszał szum liści na koronach drzew. Nareszcie przybił do brzegu! W tej samej chwili podszedł do niego wysoki, blady mężczyzna, który rozciął więzy krępujące Anttiego. Podniósł się Antti, namacał stopami trawę i niemal w tej samej chwili poczuł straszliwy głód i pragnienie. Wyczuł to blady nieznajomy. Pobiegł szybko do lasu i po chwili przyniósł stamtąd ogromne ilości jadła i napitku. Posiłkował się Antti, a potem przez wiele dni odpoczywał i przyglądał się sobie, zaś blady człowiek, który go uratował, kręcił się samotnie po brzegu i tylko od czasu do czasu podchodził do Anttiego, żeby zamienić z nim kilka słów.

Kiedy Antti nabrał sił i wypoczął po podróży, postanowił ruszyć na poszukiwanie Perełki. Blady mężczyzna poradził mu wtedy, aby wsiadł do czółna, które zaraz nadpłynie. Patrzy Antti na brzeg, a tam nadpływa i stuka o kamienie łódka podobna do poprzedniej — w kształcie trumny. Wsiadł więc do niej Antti, rozwinęły się żagle i łódź zaczęła się lekko ślizgać po grzbiecie fal. Po nadejściu zmroku strudzony Antti zasnął, a kiedy obudził się rankiem, jego łódka obijała się o burty jakiegoś wielkiego okrętu.

Uradował się Antti i wdrapał na pokład. Tam jednak nie znalazł żadnego człowieka, mimo że okręt stał pod pełnymi żaglami. Pomyślał więc, że wszyscy zeszli do mesy na posiłek. Zszedł więc pod pokład, ale i tam nikogo nie zastał. Stół jednak był suto zastawiony.

wiony, a Antti bardzo głodny. Zasiadł wobec tego do posiłku. Ledwo zdążył otrzeć usta, gdy rozległ się krzykliwy głos: „Na pokład!” Wychodzi Antti na pokład, ale nie widzi nikogo. Dopiero po długich poszukiwaniach znalazł na dziobie statku, pod kawałkiem starego żagla, leżącego na plecach marynarza i tak rzekł do niego:

— Hej, ty, wstawaj i chodź jeść!

— Nie potrzebuję jedzenia — odparł marynarz. — Jestem tym nieboszczykiem, za którego zapłaciłeś na cmentarzu dług. Już raz uratowałem cię z rąk morza, a teraz pomogę ci zdobyć królewską córkę i pół królestwa. Dam ci ten statek, a on zawiezie cię do tego miasta, w którym mieszka Perelka. Generał chce się z nią ożenić, ale tym statkiem dotrzesz tam, zanim zdąży to uczynić. Ledwo jednak wpłyniesz do portu, rzuć kotwicę, ściągnij żagle, a potem rozkaż, aby zagrzmiały wszystkie działa. Wypalą wtedy wszystkie armaty i zaczną ostrzeliwać królewski zamek. Kiedy zaś już gród poprosi cię o łaskę, powiedz „Stop armaty!”, a kanonada się skończy. Dostaniesz się potem na zamek. Tam zaś poszukują rzeźbiarza, zgłosisz się więc jako chętny do objęcia posady królewskiego artysty.

— Ale przecież ja nie potrafię rzeźbić! — wykrzyknął Antti--Koszula.
— Niczego innego nie robiłem w życiu, tylko pasłem owce i jeździłem po jarmarkach.

— Nie martw się tym — pocieszył go marynarz. — Weź tylko do ręki dłuto i pracuj nim, a rzeźba sama będzie powstawać, i to jeszcze jaka.

Uczył więc Antti, jak poradził mu majtek. Przybył do portu i zaczął ostrzeliwać królewską siedzibę z taką mocą, że już po chwili mury zaczęły się kruszyć, a wieże walić. Chwilę później na dachu zamku załopotą biała flaga, a na statek przybyli posłowie, żeby zaprowadzić dowódcę okrętu na rokowania do króla. Po drodze posłowie opowiedzieli Anttiemu, że na zamku odbywały się właśnie przygotowania do ślubu generała i Perelki, ale ze względu na bombardowanie uroczystości postanowiono przenieść o miesiąc.

Kiedy Antti dotarł przed królewskie oblicze, władca zapytał go, kim jest i skąd przybywa.

— Z zawodu jestem rzeźbiarzem — odparł Antti — i pochodzę z kraju, w którym ziemia jest zielona, a niebo niebieskie. Chciałbym zostać rzeźbiarzem Waszej Wysokości, bo słyszałem, że właśnie takowy jest potrzebny.

— Wspaniały był twój przyjazd, panie rzeźbiarzu — rzekł król i kazał Anttiemu rozpocząć pracę, bo na ślub Perełki cały zamek miał być ustrojony rzeźbami.

Wziął się więc Antti do dzieła i sam sobie się dziwił, że tak świetnie mu się wszystko udaje, mimo że nic innego w życiu nie robił, tylko pasał owce i handlował nimi. Przystraja więc Antti--Koszula wszystkie zamkowe komnaty rzeźbami, i to tak pięknymi, że piękniejszych nikt jeszcze nie widział.

Pewnego razu przysłała do pracowni Perełka, żeby zobaczyć pracę sławnego artysty. Patrzy, a to przecież nikt inny, tylko Antti. Uradowała się, rzuciła mu się w ramiona i wykrzyknęła:

— Antti, kochany, wiele z pewnością wycierpiałeś, ale w końcu do mnie dotarłeś. Pobiegnę zaraz zawiadomić ojca i matkę, że przybył mój prawdziwy wybawca.

— Nie, Perełko — rzekł na to Antti. — Jeszcze nie, ogłosimy to dopiero w dzień twego ślubu. Na ten dzień król zamówił u mnie podobizny rodziny królewskiej. Kiedy będą już gotowe, ujawnię, kim naprawdę jestem.

Wyrzeźbił Antti podobizny króla, królowej, podobiznę Perełki zaś wy rzeźbił nie patrząc zupełnie na model. Skończył pracę dokładnie w dzień ślubu Perełki i generała. Kiedy dwór i zaproszeni goście podziwiali piękno przedstawionych figur, spytał król rzeźbiarza:

— Jak to możliwe, że Perełka wygląda na posągu jak żywa, a przecież w czasie pracy nawet na nią nie spojrzaleś?

— Właśnie, że ją widziałem, i to wtedy, gdy jako niewolnica orała pole — odparł Antti.

Zdziwił się król i królowa, zdziwili się na te słowa wszyscy obecni, a Antti opowiedział im o swojej podróży i przygodach. Perełka zaś rzuciła mu się na szyję i pokazała ozdoby, które wszyła na lewej stronie koszuli Anttiego. Wszyscy ruszyli, żeby życzyć szczęścia Perełce i jej prawdziwemu narzeczonemu. Odbyło się po-

tem huczne wesele, na którym Antiego ogłoszono mężem Perełki i władcą połowy królestwa. Po weselnej uczcie król zapytał Antiego, w jaki sposób chce odplacić podłemu generałowi.

— Przywiążcie go tak samo jak on mnie do pala i rzućcie w fale na środku morza — odparł. I tak też się stało.

Żył Antti szczęśliwy i zadowolony z Perełką, mądrze zarządzili swoim królestwem, aż nagle w piętnaste urodziny ich córki zjawił się na zamku blady człowiek. Wziął dziewczynkę na ręce, a wtedy ona zmarła. W tej samej chwili zgasły wszystkie świece i łuczywa, smutek i ból ogarnął cały lud. zapłakała Perełka, zapłakał Antti i cały dwór — umarła przecież królewska córka.

Zapytał wtedy przybysz:

— Czy jesteście smutni?

— Nieopisany jest ból i smutek matki — odparła na to Perełka.

Dworzanie przytaknęli. W tej samej chwili rozbłysnęły świece i zapaliły się łuczywa. Blady człowiek postawił na podłodze dziewczynkę, która natychmiast ożyła i rzuciła się matce na szyję, tak jakby nic się nie wydarzyło.

— Czy jesteście teraz szczęśliwi? — zapytał blady przybysz. Wszyscy przytaknęli z radością, a mężczyzna rzekł:

— Tak samo ja byłem nieszczęśliwy, kiedy musiałem leżeć w północnym kącie cmentarza wysmiewany przez ludzi i obgryzany przez szczury. I tak samo zostałem uszczęśliwiony, gdy Antti zapłacił mój dług.

Rzekłszy to, wdzięczny nieboszczyk zniknął na wieki.



Czarodziejski kamień

Umarł kiedyś gospodarz. W jego chacie panował straszny niedostatek, więc gospodyni musiała ją sprzedać i dostała za nią trzysta marek. Na drugi dzień wysłała syna do miasta, żeby sprzedał jedyne dwie owce. Dodała mu jeszcze sto marek, żeby kupił mąki. Poszedł chłopak do miasta i sprzedał owce. Ruszył potem do młyna, żeby kupić mąki, aż tu spotyka na drodze człowieka, który wlecze z miasta psa.

— Dokąd to ciągniesz tego psa? — pyta chłopak.

— Na zabicie — odparł człowiek.

— Nie zabijaj go — poprosił chłopak — zapłacę ci za niego sto marek.

Ucieszył się obcy, wziął pieniądze i oddał w zamian psa. Potem za pieniądze ze sprzedanych owiec chłopak kupił mąki i wrócił do domu. W progu powiedział:

— Kupiłem psa, który kosztował sto marek. Biadoliła na to matka, aż w końcu rzekła:

— Rano znowu pójdziesz do miasta po mąkę, ale nie wydawaj już pieniędzy na żadnego psa.

Na drugi dzień rano idzie chłopak do miasta, patrzy, a przy drodze jakiś człowiek próbuje zabić kota.

— Nie zabijaj go, człowieku — poprosił chłopak — zapłacę ci za niego sto marek.

Ucieszył się mężczyzna, wziął sto marek, oddał kota i poszedł w swoją stronę. Chłopak uradowany, że udało mu się kupić tak piękne zwierzę, już w progu chałupy pochwalił się swym wspaniałym nabytkiem. Matka od razu domyśliła się, że znowu przetracił pieniądze i zapytała:

— Ileś za niego zapłacił?

— Nie pytaj, ile kosztował, bo gdyby kosztował więcej, niż miałem, to przecież nigdy bym go nie kupił — odparł rozrzutny syn.

A na to matka:

— Gdyby kosztował więcej, to nie przetrząciłbyś pieniędzy na takie głupstwa, tylko kupiłbyś jedzenie na wiele dni. Co będziemy teraz jeść?

Rano matka znowu wysłała syna do miasta, żeby kupił mąki i dała mu ostatnie sto marek, ostrzegając:

— Nie strać, synu, naszych ostatnich pieniędzy na głupstwa! Ruszył chłopak do miasta, ale na drodze spotkał mężczyznę, który chciał połamać kuszę. Rzekł do niego:

— Nie niszczy, dobry człowieku, tej kuszy, dam ci za nią sto marek.

Chętnie przystał na to właściciel kuszy, wziął sto marek i oddał chłopakowi broń. Wrócił uradowany syn do domu i już w progu pochwalił się, że za sto marek udało mu się kupić kuszę. Zmartwiła się matka i powiedziała:

— Przetrząciłeś już wszystkie pieniądze. Nie mamy ani jednego worka mąki. Co będziemy teraz jeść?

— **Ee**, na pewno wyżywię jedną staruszkę polowaniem! — odparł na to syn.

— Oj, oj, wątpię w to — biadoliła matka.

— Zobaczysz, matko, że będzie nam się dobrze powodzić — zapewnił syn.

Następnego dnia poszedł nad jezioro **narąbać** drzewa i tuż przy brzegu spostrzegł ogromnego szczupaka. Rozkazał wtedy psu i kotu:

— Wyciągnijcie go!

Kot i pies posłusznie rzucili się do wody i wkrótce ogromna ryba leżała na brzegu. Podniósł chłopak szczupaka i zaniósł go do domu. Ucieszyła się na ten widok matka i powiedziała:

— A to ci nagroda za trzysta marek! Następnego dnia poszedł chłopak na łąkę, patrzy, a tam płonie sosna. Na drzewie siedzi diabeł i woła o pomoc. Prosi młodzieńca,

żeby go ściągnął z drzewa i obiecuje sówitą zapłatę. Błaga dalej, tak długo, aż w końcu obiecuje wszystko, czego tylko wybawiciel zapragnie. Słyszając to, rozkazał chłopak psu i kotu:

— Ściągnijcie tego czarta z drzewa! Kot i pies w mig wykonali rozkaz swego pana, a diabeł stanął przed swym wybawcą i mówi:

— Chodź teraz do mnie!

Poszli do siedziby diabła, a gdy gospodarz wyszedł na chwilę, jego służący poradził:

— Nie bierz od diabła żadnej innej zapłaty, jak tylko ten kamień z siedmioma otworami. Wystarczy, żebyś tylko o czymś pomyślał, chuchnij wtedy na jeden z jego otworów, a twoje życzenie się spełni.

Wrócił diabeł, nakarmił chłopaka i zapytał:

— Czego chcesz za to, żeś mnie uratował?

— Nie wezmę od ciebie niczego innego, jak tylko ten oto kamień z siedmioma otworami — odparł chłopak.

Długo się diabeł targował, nie chciał dać kamienia, ale obiecane to obiecane, tak że w końcu ustąpił. Zabrał więc chłopak kamień i ruszył do domu. Już w drodze pomyślał sobie, żeby w chacie stał stół pełen najwspanialszych przysmaków. Chuchnął na kamień i rzeczywiście stało się tak, jak sobie zażyczył. Weszła do izby matka, patrzy na wspaniałą posilek i pyta:

— A skąd u nas takie pyszności?

Syn odpowiedział, co mu się przytrafiło w lesie i dodał:

— A widzisz, dzięki moim zakupom mamy psa, kota i kuszę, które dostarczały nam codziennie pożywienia. Dzięki nim możemy teraz żyć spokojnie przez wiele lat. Gdybyśmy przejedli nasze trzysta marek, to teraz nie mielibyśmy nic.

Żyli sobie szczęśliwie i dostatnio przez kilka lat. Podrósł trochę syn i pewnego razu rzekł do matki:

— Ruszam, żeby ożenić się z córką króla. Matka próbowała go powstrzymać, ale na próżno. Uparł się. Poprosiła go wtedy:

— Zostaw mi tyle jedzenia, żebym chociaż mogła wyżyć, gdy ciebie nie będzie.

Chłopak chuchnął na kamień i pomyślał: „Niech będzie jedzenia dla wielu osób na trzy lata, niech będzie tyle służby, ile tylko matka zechce, niech wyrosnie piękny dwór i worek pełen pieniędzy!”

Kiedy wszystko stało się tak, jak sobie zażyczył, ruszył karetą zaprzęzoną w piękne konie na królewski zamek. Na dworze przyjęto go jak wielkiego pana, a kiedy przedstawił swoje zamiary, król rzekł:

— Dobrze, dostaniesz moją córkę, jeśli postawisz **sześciopiętro-wy** pałac ze złota.

Chłopak, nie czekając, wyciągnął kamień, chuchnął na niego i pomyślał o pałacu. Ledwo to uczynił, a pałac już stał gotów, jeszcze piękniejszy od tego, jaki chciał król. Widok ten rozzłościł jednak króla, który zaczął dumać, jak pozbyć się przybysza i odebrać mu kamień, za pomocą którego postawił taką wspaniałą budowlę. W końcu powiedział do córki:

— Zażądaj od tego człowieka czarodziejskiego kamienia jako zaręczynowego podarunku. Wybuduję złote miasto zamiast tego, w którym teraz mieszkamy.

Chciał oszukać chłopaka, a córka była posłuszna jego woli.

Na drugi dzień przychodzi chłopak na zamek, a królewna zaraz prosi, aby dał jej w prezencie ów czarodziejski kamień. Podarował go jej, ale ostrzegł, żeby go nikomu nie dawała ani nie pokazywała, nawet królowi, bo przepadnie. Dziewczyna posłuchała rady chłopaka, schowała kamień i nie pokazywała go nikomu. Król domyślił się jednak podstępu i wraz z córką wsiadł na statek, żeby niby to ruszyć do obcych krajów. W nocy zaś zakradł się do kajuty córki, odnalazł kamień i wziął go do ręki. Wtedy jednak kamień spadł na podłogę, potoczył się po niej i wpadł do morza. Rozpłakał się król ze złości. Wrócił na zamek, ponieważ kamień przepadł, odprawił konkurenta córki.

Wraca syn z pustymi rękami do domu, a matka mówi:

— A widzisz, stało się tak, jak przewidywałam.

— Stało się jeszcze gorzej, niż przewidywałam, straciliśmy bowiem kamień, który dał nam to bogactwo — odparł syn. Rzekła wtedy matka:

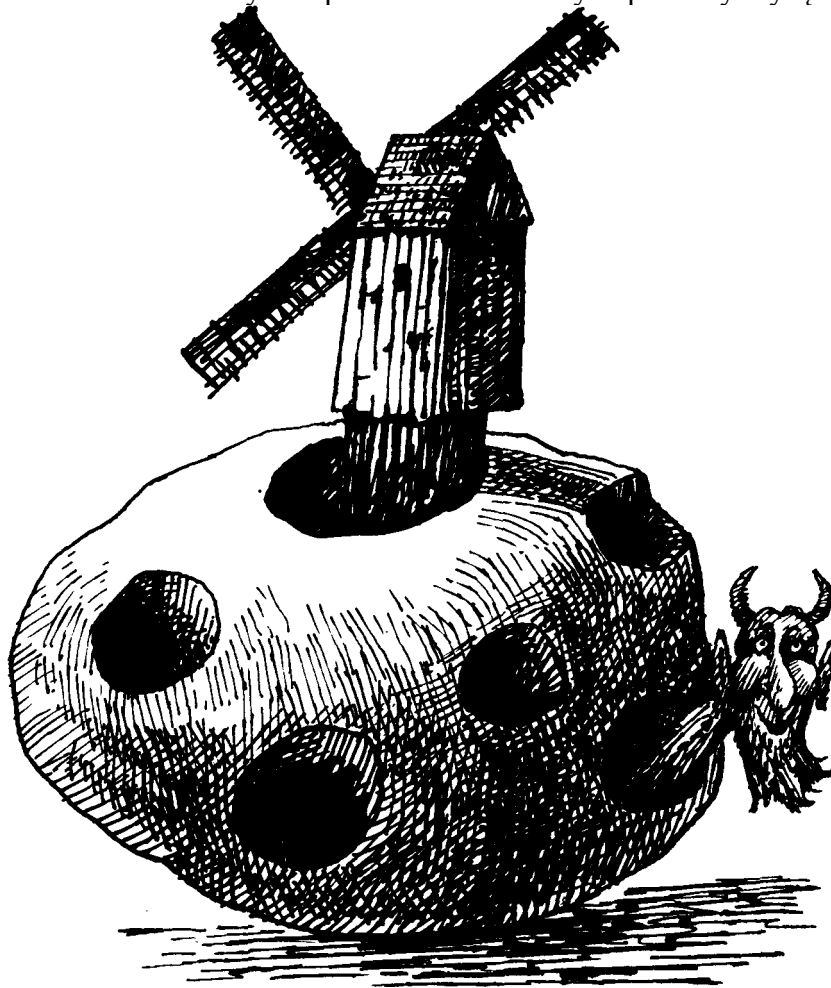
— Oj, oj, czego ty jeszcze nie wymyślisz!

Chodził chłopak zły po lesie przez wiele dni. Któregoś dnia, polując na ptactwo wodne, zaszedł nad brzeg jeziora. Patrzy, a tam w trzcinie zaplątał się wielki szczupak. Rozkazał wtedy psu i kotu:

— Skaczcie do wody i przynieście mi rybę, która się tam rzuca.

Pies i kot posłusznie skoczyli do wody i po chwili wynieśli z niej ogromnego szczupaka.

Wrócił zadowolony chłopak do domu i zaczyna patroszyć rybę.



Wtem kot **wydrapał** szczupakowi z paszczy kamień i zaczął się nim bawić.

— Zobacz, co kot znalazł! — zawołał **chłopak**. Matka popatrzyła na kamień i odparła:

— To tylko kamień i pełno w nim dziur.

Złapał syn kamień, popatrzył na niego i krzyknął:

— Przecież to ten kamień, którego tak żalowaliśmy! Od dzisiaj nie będzie już wędrował w brzuchu szczupaka!

Znowu nastały dla matki i syna dobre czasy, jakich już od wielu dni nie mieli. Wszystko zaś dzięki kamieniowi.

Pożyli sobie jakiś czas w spokoju, aż któregoś dnia chłopak znowu postanowił spróbować szczęścia. Przygotował wszystko na dworze, zaopatrzył matkę i ponownie ruszył na królewski zamek, aby porozmawiać w sprawie ożenku.

Pomyślał sobie król: „Skoro kamień przepadł, to teraz z łatwością pozbędę się nieproszonego gościa. Muszę tylko wymyślić jakieś życzenie, a tym razem chłopak na pewno go nie spełni”. Zażądał więc, aby przybysz postawił taki wiatrak, który miele mąkę, a wcale nie obraca skrzydłami. Chłopak chuchnął na czarodziejski kamień, pomyślał o wiatraku, a tu już stoi młyn, który miele mąkę w dzień i w nocy i wcale nie obraca skrzydłami. Przechytrzył tym razem króla, który musiał mu oddać córkę i wcale chyba nie żałował, skoro przybysz takie dziwne rzeczy potrafił budować. Zbudować w mgnieniu oka pałac ze złota i wiatrak, który miele mąkę, nie obracając skrzydłami!

Ruszył chłopak szybko do domu, żeby wyprawić wesele i sownie wynagrodził wszystkich woźniców w mieście. Wesele było tak wspaniałe, że jeszcze nikt o takim na świecie nie słyszał, a przysmaki takie, że nikt jeszcze lepszych nie jadł. Do dziś żyje chyba chłopak z żoną w dostatku i spokoju.



Posłanie śmierci

Działo się to wtedy, gdy śmierć chodziła jeszcze po świecie w ludzkiej postaci. Zaszła kiedyś do domu pewnego człowieka i powiedziała:

— Przyszłam po ciebie.

— Tak szybko? — zdziwił się człowiek. — Nie zawiadomiłaś mnie przecież o swoim przybyciu, nie jestem jeszcze przygotowany.

— No dobrze, w takim razie przyjdę po ciebie później — rzekła śmierć i wyszła z izby.

Nie minął rok, jak nasz biedak poczuł się słabo i na domiar złego zaczęło go łupać w całym ciele. Po kilku dniach zjawiała się u niego śmierć i mówi:

— Znowu przyszłam po ciebie. Czy tym razem jesteś gotowy?

— Przecież nie powiadomiłaś mnie o swoim przybyciu — odparł człowiek.

— Owszem, zawiadomiłam cię — odparła śmierć. — Czy łupało cię w kościach wtedy i wtedy?

— No, tak — zgodził się mężczyzna.

— A nie bolało cię w piersiach wtedy i wtedy?

— No, tak.

— A widzisz, to właśnie było moje posłanie dla ciebie i dlatego powinieneś być zupełnie gotów, żeby udać się ze mną — powiedziała śmierć i w tej samej chwili mężczyzna umarł.



O pastuszk

pewnego razu nad brzegiem rzeki siedział sobie pastuszek i rzeźbił figurki z drewna. Nagle nóż wypadł mu z ręki, wpadł do wody i utonął. Pastuszek zasmucił się i zaczął gorzko płakać. Jego płacz usłyszał Ahti — bóg wód. Podpłynął do pastuszka i spytał go:

— Dlaczego płaczesz?

Pastuszek odpowiedział, że płacze, bo wpadł mu do rzeki nóż i nie ma teraz czym rzeźbić.

Ahti dał nura do wody i przyniósł mu nóż.

Nóż był cały ze złota i pięknie błyszczał w słońcu.

Lecz pastuszek powiedział:

— To nie jest mój nóż. — I ciągle płakał.

Ahti jeszcze raz skoczył do rzeki i przyniósł mu srebrny nóż.

I tym razem pastuszek wykrzyknął:

— To nie jest mój nóż!

Cóż było robić, Ahti trzeci raz zanurkował i przyniósł zwykły, stalowy nóż pastuszka. Pastuszek uradowany wziął nóż i podziękował. A co zrobił Ahti?

Pochwalił pastuszka za uczciwość i podarował mu pozostałe noże.

Dowiedzieli się o tym zdarzeniu ludzie we wsi. „Może i mnie się poszczęści”, pomyślał drugi pastuszek. Poszedł więc nad rzekę, wrzucił nóż do wody i zaczął płakać. I tym razem przyplłynął Ahti, przyniósł nóż cały ze złota, pokazał go pastuszkowi i zapytał:

— Czy dlatego płaczesz, że ten nóż wpadł ci do wody? Chłopiec odpowiedział:

— Tak, właśnie dlatego.

I wyciągnął rękę, żeby wziąć podarunek. Ale **Ahtiemu** nie spodobała się nieuczciwość pastuszka i odpłynął, zabierając z sobą złoty nóż. I w ten sposób drugi pastuszek został zupełnie bez noża, bo przecież sam pozbył się własnego.

Narodziny bekasa



Dawno temu żył biedny człowiek, któremu urodziło się dziecko. Poszedł więc szukać dla niego chrzestnych rodziców. Na **drodze** mężczyznę, który spytał go:

— Dokąd idziesz?

— Wyruszyłem, aby poszukać chrzestnych rodziców dla mego dziecka — odparł zapytany.

— Weź mnie za kuma — rzekł obcy.

— A kimże ty jesteś? Nieznajomy odparł:

— Jestem Bogiem.

— Nie wezmę Boga za kuma — odparł mężczyzna. — Jest oszustem, jednego czyni biednym, innego bogaczem. Nie jest więc sprawiedliwy.

To powiedziawszy, ruszył dalej. Uszedł kawałek drogi i znów spotkał nieznajomego, który zapytał:

— Dokąd idziesz?

— Szukam chrzestnych dla mego dziecka.

— Weź mnie za kumę — zaproponował wędrowiec.

— Kim jesteś? — spytał poszukujący chrzestnych. Obcy odparł:

— Jestem Śmiercią.

— No, ciebie wezmę za kuma. Jesteś sprawiedliwa — rzekł szukający chrzestnych. — Nie oszczędzasz ani bogatego, ani biednego, ani młodego, ani starego. Wszystkich traktujesz jednak.

Teraz więc **Śmierć** poszła z mężczyzną do domu, gdzie odbyły się chrzciny.

— Czy chrzestni zawsze dają coś chrześniakowi? — spytała Śmierć po ceremonii.

— Coś tam dają — odparł ojciec.

— Tak więc i ja muszę dać — rzekła Śmierć i dała w podarunku ławę i sakiewkę. Ława była tego rodzaju, że jeśli kogoś poprosiło się, żeby na niej usiadł, to nie mógł się z niej podnieść bez zezwolenia właściciela. Sakiewka zaś była taka, że nigdy w niej nie zabrakło pieniędzy. Po trzecie, Śmierć nauczyła swego kuma uzdrawiania chorych, tak że znał się teraz na wszystkich dolegliwościach, ale ostrzegła go, mówiąc:

— Jeżeli wezwą cię do chorego, a ja ukazę ci się u wezglowia, to nie czyni niczego. Powiedz: „Ten chory jest skazany na śmierć”. Jeżeli wszakże będę stała w nogach łóżka, wtedy zgódź się pomóc i powiedz: „Owszem, nastąpi poprawa”. I rzeczywiście chory wyzdrowieje.

Skoro chłop nauczył się już takich czarów, no to leczył swoich chorych, stając się wkrótce tak sławnym uzdrowicielem, że wiadomość o nim dotarła przez lud do króla. Wkrótce też zachorowała królowna. Posłał więc król po sławnego uzdrowiciela, żeby uleczył i jego córkę, obiecując wiele milionów nagrody.

Człowiek przybył zatem do zamku, aby wyleczyć dziewczynę, ale w komnacie, u wezglowia łóżka królowny, czekała już Śmierć. Zgodnie z jej przestroga nie powinien niczego czynić. Wzięła go jednak ochota, żeby choć spróbować zdobycia obiecanej przez króla zapłaty. Spróbował więc. Kazał zrobić pomost, który kręcił się na osi, i położył na nim córkę królewską, po czym zaczął kręcić pomostem tak zwinnie, że Śmierć nie mogła utrzymać równowagi i spadła z niego. Wtedy uzdrowiciel natychmiast skoczył do wezglowia i w tejże samej chwili uzdrowił królewską córkę, za co dostał od króla wielką nagrodę, którą mu obiecano. Śmierć jednak podeszła do niego i szepnęła mu do ucha:

— Zabiję cię, skoro nie pozwoliłeś mi zabić córki królewskiej.

Mężczyzna zadrżał na te słowa i zaczął błagać:

— Nie zabijaj mnie jeszcze. Pozwól wrócić do domu, abym mógł poradzić to i tamto moim dzieciom.

Śmierć zgodziła się i człowiek opuścił zamek królewski, śpiesząc do swego domu, aby udzielić ostatnich rad swym spadkobiercom.

Wędrował, wędrował biedny człowiek w swym smutku drogą, aż ciemności zastały go w podróży. Skręcił więc do stojącego przy drodze domu i poprosił tam o nocleg.

— Mógłbyś tu przenocować — odparł gospodarz domu, który z zawodu był garbarzem — ale ja nie mam w tej chwili innego wolnego pomieszczenia, jak tylko pokój, w którym garbuję skóry. Tam byłoby miejsce, ale w nocy nawiedzają warsztat złe duchy i nie dają nikomu spokoju.

Mężczyzna, mimo przestrogi, nie miał ochoty ruszać w dalszą drogę w ciemnościach, był już bardzo zmęczony dotychczasową wędrówką. Powiedział więc:

— Dam sobie radę z tymi złymi duchami. Proszę więc, pozwólcie mi położyć się w waszej pracowni.

I cóż dalej?

Minęło już parę godzin nocy, a mężczyzna nie słyszał niczego osobliwego. O północy jednak do pokoju wszedł herszt diabłów i ryknął na leżącego:

— Co to za człowiek śpi w moim pokoju?!

— Jestem podróżnym — odparł mężczyzna, budząc się ze snu.

— To nie miejsce dla ciebie! — ryknął znowu diabeł. — Ruszaj stąd w swoją drogę!

Mężczyzna jednak nie opuścił pracowni, tylko rzekł:

— Czy nie byłoby tu dość miejsca dla nas obu?

— Nie zmieścimy się — odparł diabeł. — Ten pokój ja sam wypełniam dostatecznie sobą.

— No, pokaż więc, jak wypełniasz sobą cały pokój, bo ci nie wierzę — rzekł mężczyzna.

Diabeł był gotów pokazać i zaczął się nadymać. Zrobił się tak szeroki, że mężczyzna ledwie, ledwie zdołał zachować życie, kryjąc się między beczkami.

— Czy teraz pokój nie jest mną wypełniony? — spytał diabeł. — Ale ja mogę stać się również tak mały, że nie można być już mniejszym.

Wtedy mężczyzna wyciągnął z kieszeni sakiewkę otrzymaną od Śmierci, pokazał ją diabłu i rzekł:

— A może zmieścisz się w mojej sakiewce?

— Och! — powiedział diabeł. — Pewnie, że tak!

— No, to spróbuj — zachęcał mężczyzna.

Diabeł zaczął wówczas pokazywać, jak potrafi się kurczyć i kurczyć. Małał coraz bardziej. W końcu zrobił się tak mały, że wsunął się do sakiewki, a człowiek w tejże samej chwili zamknął ją i uwięził go.

Potem zawiesił sakiewkę na gwoździu, a sam położył się z powrotem spać.

Gdy wstał rano, opowiedział wszystkim gospodarzom domu i poprosił, żeby mu pożyczili garbniki do skóry. Garbował nimi sakiewkę tak długo, póki zamknięty w niej diabeł nie umarł.

Pozbywszy się diabła, mężczyzna pożegnał mieszkańców domu, dziękując im serdecznie za nocleg i powędrował do swego domu.

Nie pobył w nim długo, gdy przyszła do niego Śmierć i powiedziała:

— Szykuj się! Teraz cię zabiję.

— Usiądź na chwilę na tej ławie, abym mógł pożegnać się z dziećmi — poprosił mężczyzna.

Śmierć usiadła, zapomniawszy o właściwościach, które sama tej ławie dała. Musiała więc siedzieć na niej tak długo, póki właściciel jej nie uwolni.

Człowiek nie śpieszył się i Śmierć siedziała na ławie trzysta lat. Sam zaś żył sobie przez cały czas dostatnio, dzięki ofiarowanej mu przez Śmierć sakiewce i sztuce uzdrawiania chorych. Niemniej jednak po trzystu latach czas zaczął mu się dłużyć i nie chciało mu się już żyć na świecie. Uwolnił więc Śmierć z ławy, a ta, powstawszy z niej, natychmiast zabiła go.

Kiedy człowiek umarł, jego dusza wyzwoliła się z ciała i poszła do nieba. Jednak nie przyjęto jej tam, mówiąc:

— Nazwałś Boga oszustem. Nie nadajesz się do nieba. No cóż? Skoro nie został przyjęty do nieba, musiał udać się do piekła, bo nie było dlań innego miejsca zamieszkania. Tam znów prosił, żeby go wpuszczono do środka, ale powiedziano mu we drzwiach:

— Temu, który zamordował naszego przywódcę, nie udzielimy tu gościny!

Tak więc, skoro dusza człowieka nie dostała się i tam, pozostała pośrodku, między niebem a piekłem, i z niej zrodził się bekas, który jeszcze i teraz beczy w powietrzu.

I tak kończy się ta opowieść.



Mysz narzeczoną



dawno temu żył król, który miał trzech synów. O dwóch starszych ojciec — dbał jak mógł najlepiej, najmłodszym natomiast pogardzał. Nazywał go kocmołuchem, głuptakiem albo jeszcze inaczej, zależnie od tego, co mu przyszło na język, i kazał mu służyć w wojsku.

Tak mijały lata, chłopcy wyrosli na dojrzałych mężczyzn, a wtedy król postanowił ich ożenić. Wezwał wszystkich trzech do siebie i rzekł:

— Teraz wyruszyście w zaloty. Jutro, gdy zegar wybije, godzinę dziewiątą, wszyscy macie mieć narzeczone.

Usłyszawszy ojcowskie polecenie, synowie zaczęli szykować się do konkurów. Dwaj starsi bracia wyruszyli w drogę pięknymi zaprzęgami, które dał im król. Najmłodszy zaś nie miał nic.

Najstarszy syn pojechał i zaręczył się z córką ministra. Średni zaręczył się z córką senatora, która jego zdaniem była dla niego odpowiednią narzeczoną. Najmłodszy natomiast był w gorszym położeniu.

„Skoro ojciec nie dał mi nic — rozważał w duchu — dokąd mogę wyruszyć w zaloty? Nikt się mną nie zainteresuje”.

Niemniej wyszedł z domu, bo i tak nic by mu nie pomogło, gdyby pozostał. Poszedł w stronę lasu i chodził tam bez celu, to w jedną, to w drugą stronę.

Wędrował, wędrował, już nie wiadomo jak długo, aż w końcu trafił na starą chałupę. Wszedł tedy do niej, aby trochę odpocząć. Gdy wkroczył do izby, nie było w niej nikogo poza jedną, jedyną myszą, która siedziała na stole. Chłopaka nie zaskoczyło to zbytnio.

— A co w tym dziwnego, że nikogo nie ma. Pewnie wszyscy poszli w pole albo do lasu do pracy.

Potem, nie zastanawiając się dłużej, ruszył w stronę łąwy, ale zaledwie zdążył tam usiąść, zapytała go mysz:

— Dokąd to się, człowieku, wybierasz?

Gadająca ludzkim głosem mysz zaskoczyła chłopaka, ale odparł:

— Skoro nie możesz mi w mojej podróży ani pomóc, ani też przeszkodzić, na co ci wiedzieć, dokąd idę?

— Powiedz jednak, dokąd wędrujesz — upierała się mysz. — Może mimo wszystko będę mogła ci pomóc. W każdym razie wiadomo, że prosty lud pomaga sobie wzajemnie.

Chłopakowi spodobała się odpowiedź myszy, więc **wyłuszczył** jej swoją sprawę i rzekł wprost:

— Wyruszyłem z domu, aby się ożenić, ale wątpię, czy coś z tego wyjdzie.

— Weź więc mnie sobie za narzeczoną — odparła mysz i podeszła do szczytu stołu, przy którym siedział gość. Była to ze strony myszy propozycja tak osobliwa, że chłopak nie mógł myśleć o niej, nie śmiejąc się w duchu. Kiedy jednak przypomniał sobie dom i polecenie ojca, przestał się śmiać, rozważał:

„No, jeśli nazywają mnie kocmołuchem, przyprowadzę im też kocmołucha. Tak, przyprowadzę!”

Tak rozważając, wziął mysz za swoją narzeczoną i od razu się z nią zaręczył.

Spędził potem noc w chacie swej narzeczonej, ale już wcześniej rano przyszła mysz, mówiąc:

— Wstawaj i wracaj na czas do domu, jak kazał ojciec, żebyś nie był gorszy od swych braci.

Chłopak wyruszył więc, pożegnał mysz i dotarł do zamku przed powrotem braci. Tam jednak poczekał na nich, aby w trójkę stawić się przed królem. Na zamku zajęli swoje siedzenia, każdy wedle swej godności: najstarszy brat siedział najwyżej, średni obok niego trochę niżej, najmłodszy, nazywany kocmołuchem, siedział najniżej. Gdy usiedli, król spytał:

— Czy macie już narzeczone?

— Tak — odparli wszyscy.

— To dobrze — powiedział król i spytał najstarszego syna:
— Z kim się zaręczyłeś?
— Z córką ministra — odparł tamten.
— No, a z kim ty, syneczku? — spytał król średniego syna.
— Z córką senatora — odparł średni.
— Dobrze — rzekł na to król. — Słusznie postąpiłeś, mój syneczku.
— A ty? — spytał król najmłodszego syna. — Może i ty znalazłeś narzeczoną i zaręczyłeś się?
— Znalazłem — odparł najmłodszy syn.
— To ci dopiero! Znalazłeś, no! Gdzież to zdobyłeś narzeczoną? — spytał ojciec.
— Znalazłem w lesie.
— A kogóż to? — pytał król.
— Co jest w lesie, to las daje — odparł syn, nie odpowiadając wprost na pytanie ojca, gdyż nie miał odwagi powiedzieć mu, jaką to zdobył narzeczoną.
— Ach, ty! — rzekł król. — Głuptakiem jesteś i głupstwa pleciesz! A teraz ruszaj stąd i nie waz się pokazywać mi na oczy, póki nie otrzymasz mego rozkazu. Wracaj do wojska!

Chłopak posłuchał ojca, wrócił do swego oddziału i służył tam jak przedtem. I znów upłynęło trochę czasu, służył spokojnie w wojsku, aż wreszcie kazano mu stanąć przed królem. Natychmiast wyruszył w drogę, a kiedy dotarł do zamku, jego bracia byli już na miejscu i siedzieli na wyznaczonych fotelach. Król był w dobrym humorze i rzekł:

— Musicie teraz, moi synaczkowie, ruszyć stąd i udać się do swych narzeczonych, a jutro, gdy wybije godzina dziewiąta, przynieście mi po butelce piwa, które uwarzy narzeczoną każdego z was, dowiem się dzięki temu, czyja narzeczoną jest najlepszą gospodynią.

Usłyszawszy to, synowie opuścili ojca i dwóch starszych udało się do domów swych narzeczonych, a najmłodszy, kocmołuch, powędrował do lasu, do myszy, której opowiedział, co mówił ojciec i jakie wydał polecenie.

— No, to błahostka — rzekła mysz. — Przygotuję piwo na rano, a ty, mój narzeczoną, połóż się i śpij.

Mężczyzna, któremu ta rada bardzo odpowiadała, udał się na spoczynek. Mysz natomiast, gdy zobaczyła, że jej narzeczony już śpi, poszła w drugi kąt izby i tam zawołała:

— Wy, posłuszne mi sługi, przybywajcie tu na moje wezwanie!

Natychmiast zaczęły przybiegać myszy, a było ich tak wiele, że zajęły całe podwórko. Gdy przybyły już wszystkie, spytały:

— O, nasza miła gospodini, czy wzywałaś nas, żebyśmy ci usłużyły, czy też chcesz nas wyrzucić ze służby?

— Wezwałam was do usługi — odparła mysz—gospodini. — Idźcie teraz, moje sługi, do miasta i przynieście mi mąki słodowej i chmielu. Piwo musi być gotowe na jutro rano.

Teraz dopiero zaczął się ruch na dobre. Myszy pomknęły jak strzały, że tylko świstały im ogony i nie upłynęło wiele czasu, gdy były już z powrotem, niosąc zamówione rzeczy: jedne słód, inne chmiel, wszystkiego zaś było tyle, że napełniły beczkę.

Gdy nadszedł ranek, mysz zbudziła królewicza i rzekła:

— Podnieś się już ze snu, wracaj do swego domu. Inaczej twoi bracia ubiegają cię.

Mysz nakarmiła i napiła swego narzeczonego, a następnie wręczyła mu butlę piwa uwarzonego w nocy, ażeby zaniósł ją królowi, jak było przykazane. Chłopak wziął piwo, opuścił chatę swej narzeczonej i dotarł na zamek ojca przed starszymi braćmi. Znowu zaczął jakiś czas, póki i tamci nie przyszli ze swymi butelkami. Wtedy, podobnie jak i ostatnio, udali się do króla. Gdy już usiedli, ojciec spytał:

— Czy macie, moi **synaczkowie**, piwo od swych narzeczonych?

— Mamy — odparli synowie i dwóch starszych nalało ze swych butelek do szklanek po łyku piwa ojcu, aby spróbował, co też potrafią uwarzyć ich narzeczone.

Ale co z tego? To nie było nic innego, jak gotowana, zabarwiona czymś woda, która wcale nie przypominała piwa, jakiego życzyłyby sobie ojciec. Zwrócił się więc król do najmłodszego syna i spytał:

— A ty, kocmołuchu, dostałeś piwo od swej narzeczonej?

— Dostałem — odparł najmłodszy syn i wyciągnął zza **pazu-**

chy butelkę, a ponieważ piwo mocno pracowało, nie dało się utrzymać w butelce, lecz wypływało spienione, tak jak powinno być. Kiedy król przyłożył szklanę z piwem do ust, rzekł:

— To już całkiem co innego. Tak dobrego piwa nie piłem jeszcze nigdy w życiu.

Syn napełnił ojcu znowu szklanę i król wypił z niej do dna. A później podsunął jeszcze jedną, która też została opróżniona. Na koniec podziękował synowi, zapytał o jego narzeczoną, która nawarzyła tak dobrego piwa, ale syn odparł tak samo wykrętnie jak poprzednio:

— Ojczulku, co jest w lesie, to las daje.

Opuściwszy ojca, chłopak udał się znów do wojska, jadł, pił, wysypiał się, ale nie upłynęło wiele czasu, gdy z zamku nadeszła znów wiadomość, że ma się stawić przed ojcem.

Cóż było robić? Chłopak musiał wstać z łóżka i udać się do ojca, zgodnie z rozkazem. Kiedy przybył do zamku, bracia już siedzieli na wyznaczonych miejscach, a król dał ręką znak przybyłemu, żeby i on usiadł. Później przemówił do synów:

— Musicie, moi **synaczkowie**, do jutrzejszego ranka, zanim wybije godzina dziewiąta, otrzymać od swych narzeczonych szerokie na dłoń łańcuchy, które trzy razy **opaszą** dokładnie mój zamek.

Usłyszawszy to, synowie opuścili czym prędzej zamek; każdy chciał załatwić **poruczoną** sprawę. Starsi poszli do domów swych narzeczonych, na dwory senatora i ministra. Najmłodszy powędrował, smutny, do lasu, gdzie znajdowało się mieszkanie myszy. Ta spytała natychmiast narzeczonego:

— Co masz teraz, mój miły narzeczony, do zrobienia? Chłopak wyjaśnił sprawę, mówiąc o rozkazie ojca, zgodnie z którym ma dostarczyć takie a takie łańcuchy, ale skąd i jak je zdobyć, tego nie wie.

— To nic wielkiego — odparła mysz. — Nie ma w tym żądaniu nic niezwykłego. Ranek jest mądrzejszy od wieczoru. Połóż się lepiej spać!

Chłopak, któremu spodobała się rada myszy, ułożył się, jak poprzednio, do snu, a mysz znowu zwołała swoje sługi i rzekła do nich:

— Idźcie teraz i zmierzcie obwód zamku królewskiego, a potem udajcie się do miasta po złoto.

Ledwie mysz zdążyła wydać polecenie, a już jej sługi pomknęły załatwić, co im kazała. I oto raz, dwa powróciły do chaty, składając na podłodze izby wielki stos złota, z którego zaczęły odlewać łańcuchy. Byli wśród nich kowale, mistrzowie, którzy potrafili wykonać wszystko, był tam miech kowalski i dmuchawy. Zaczęło się więc kucie. Dzięki temu, gdy dzień zaświtał, łańcuch był gotów i mysz zbudziła swego narzeczonego, każąc mu iść prędko do zamku, tak jak rozkazał ojciec.

Chłopak szykował się do odejścia i zaczął podnosić z podłogi łańcuch, ale nie mógł go udźwignąć, taki był długi i masywny.

Wtedy mysz rzekła do niego:

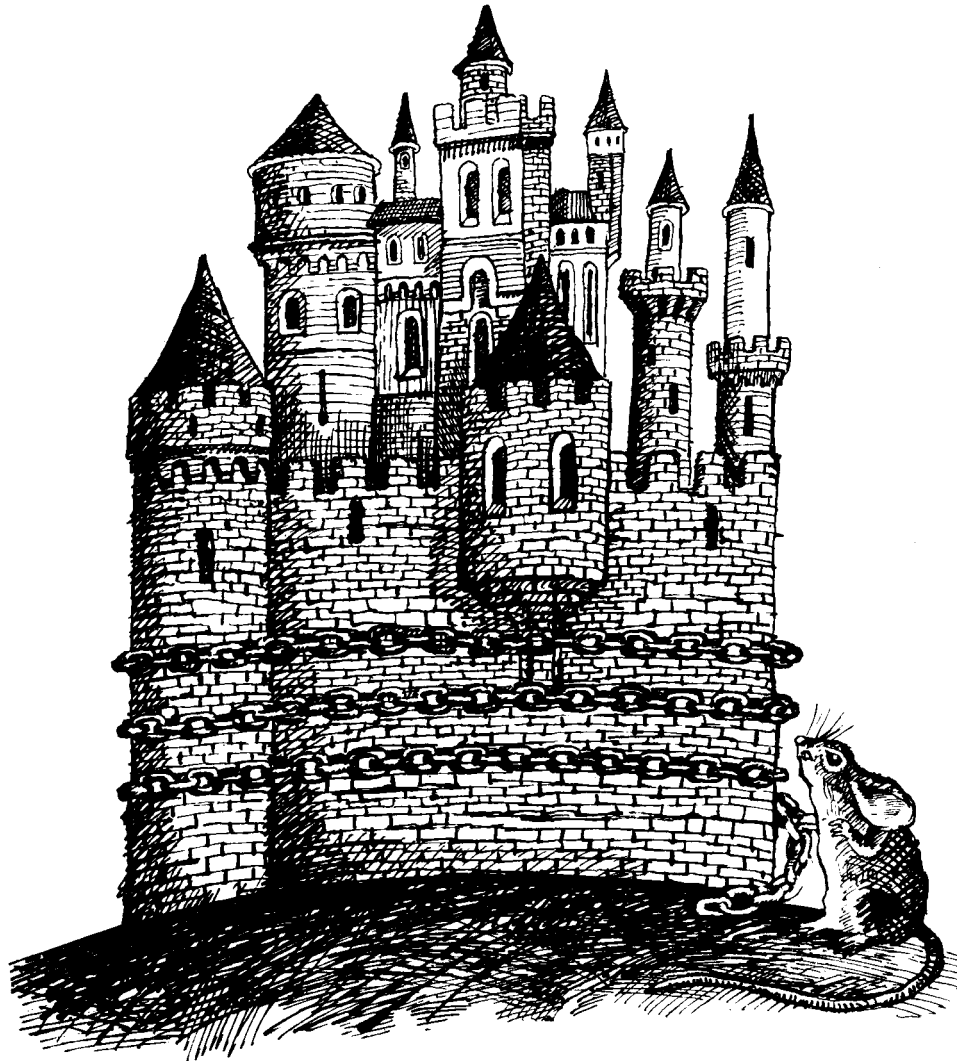
— Niech w takim razie łańcuch zostanie jeszcze tutaj, a ty idź sam. Kiedy dotrzesz do zamku, będzie tam stał koło bramy stary człowiek, trzymający w ręku gąsior i butelkę. Kiedy poczęstuje cię, wypij jedną butelkę do dna, a potem jeszcze drugą, wtedy starzec da ci łańcuch.

Chłopak zrobił, jak mu poradziła mysz, ruszył do zamku z pustymi rękami, pożegnawszy się najpierw z narzeczoną. Gdy znalazł się u wrót miasta, spotkał tam człowieka z gąsiorem i butelką w ręku. Ten poczęstował dwukrotnie chłopaka, a następnie wręczył mu łańcuch. Teraz nie wydawał się on wcale ciężki, i chłopak miał wrażenie, że ma puste ręce. Uradowało go to i ruszył w dobrym humorze do zamku ojca. Braci jeszcze nie było, ale wkrótce i oni nadeszli, tak że wszyscy trzej stanęli razem przed ojcem.

Najstarszy brat dał najpierw swój łańcuch do obejrzenia i król kazał spróbować, czy **opasze** się nim trzykrotnie zamek, ale łańcuch wystarczył tylko na połowę tego, co było wyznaczone. Król nie rozzłościł się jednak, bo mimo wszystko łańcuch był dobrze wykonany, choć za krótki.

Następnie zaczął próbować średni brat. Jego łańcuch starczył zaledwie na trzecią część obwodu zamku.

W końcu zaczęto oglądać łańcuch najmłodszego brata, rozciągnięto go dookoła zamku i okazało się, że jest dokładnie tak długi, jak żądał ojciec.



Podziwiając to, król zapytał znów najmłodszego syna o narzeczoną, co to za bogata i zdolna dziewczyna, ale syn i tym razem wykręcił się słowami:

— Moja narzeczoną mieszka w lesie. Co jest w lesie, ojczulku, to las daje.

— **Głuptak** zawsze opowiada głupstwa! — zdenerwował się król. — Ruszajcie więc do siebie, a ty, kocmołuchu, wracaj do wojska i nie pokazuj się, póki cię nie wezwę.

Starsi bracia wrócili z ojcem do swych komnat na zaniku, a **naj-**

młodszy opuścił zamek i powędrował do koszar, gdzie miał wyznaczoną służbę. Odpoczął tam kilka dni, pędząc beczynne życie, ale oto ponownie nadeszła doń wieść, żeby przybył spiesznie do ojca, który podobno miał coś ważnego do powiedzenia.

No, nie było rady! Chłopak posłuchał rozkazu i przybył do zamku, gdzie już starsi bracia siedzieli. Król kazał usiąść i jemu, a potem rzekł:

— Teraz każdy z was musi przyprowadzić swoją narzeczoną, abym ją poznał. Gdy jutro zegar wybije godzinę dziewiątą, macie tu być już wszyscy.

Starszym braciom takie polecenie sprawiło radość. Mieli przecież narzeczone odpowiadające ich pochodzeniu. Toteż ruszyli natychmiast do ich dworów, aby nazajutrz przedstawić narzeczone ojcu. Ale najmłodszy brat nie był bynajmniej w dobrym nastroju. Miał pokazać narzeczoną, która była taka, jaka była, i wydawało mu się, że nie ma w niej nic do pokazywania.

Cóż miał jednak zrobić? Ruszył więc zmartwiony do lasu, do swej myszy. Gdy wszedł do izby, mysz natychmiast pozdrowiła go rozradowana:

— Witaj! Co cię teraz, mój narzeczone, sprowadza do mnie? Powiedz, o co chodzi?

— Przyszedłem po ciebie, ażeby pokazać cię ojcu — odparł chłopak.

— No, skoro przyszedłeś, jestem gotowa — rzekła mysz. — Pozostań tu na noc. Jutro ruszymy.

Chłopak nic na to nie powiedział położył się, aby zasnąć i zapomnieć o całym ożenku, bo zaczynał już powoli żałować, że się nań zdecydował.

Ocknął się ze snu dopiero rano, kiedy mysz go obudziła.

— Wstawaj! — rzekła. — Czas już, żebyśmy ruszyli. Zajrzę tylko jeszcze do schowka pod podłogą i zaraz będę gotowa.

To powiedziawszy, mysz wśliznęła się do znajdującego się pod podłogą schowka i przebywała tam jakiś czas.

Królewicz natomiast ubrał się w izbie. Czekał na narzeczoną, ale ta nie nadchodziła. Przyszła mu więc w końcu do głowy myśl:

„Czyżby w ten sposób moja narzeczone odeszła ode mnie? No,

nie byłoby wielkiej straty, gdyby się już nie zjawiała. Wstyd byłoby przecież zaprowadzić mysz do ojca. Jeśli nie przyjdzie, to i lepiej!" Gdy tak sobie myślał, stanęła przed nim nagle dziewczyna tak piękna i urocza, że nie wiadomo, gdzie można by znaleźć piękniejszą i bardziej Uroczą. Spytała:

— Czemu stoicie, gościu, w mojej izbie?

— Czekam na moją narzeczoną — odparł chłopak.

— To ja jestem waszą narzeczoną — rzekła na to zmieniona z myszy piękna dziewczyna i podała chłopcu rękę, ale ten był tak onieśmielony, że nie odważył się dotknąć jej nawet palcami. Rzekł tylko zawstydzony:

— Wy, piękna dziewczyno, nie jesteście moją. Mówicie tak tylko po to, aby ze mnie żartować. Moją narzeczoną jest mysz.

— No, przecież ja jestem myszą — odparła dziewczyna i jednocześnie zmieniła się w mysz, po czym zeszła przez otwór w kącie do podziemnego schowka.

Przebywała tam jakiś czas, a później wróciła do izby znowu jako dziewczyna, jeszcze piękniejsza niż przedtem i pozdrowiła ponownie chłopaka, zapewniając, że jest jego narzeczoną, ale ten w dalszym ciągu czuł się wobec niej onieśmielony, nie mógł ruszyć się z miejsca, nie wierząc własnym oczom.

Wówczas dziewczyna zmieniła się raz jeszcze w mysz i poszła z powrotem do swego podziemnego schowka, mówiąc na odchodnym do chłopaka:

— Gdy wrócę tu po raz trzeci i ostatni jako dziewczyna, a wy mnie nie zechcecie, to nie pójde wcale z wami. Pozostanę myszą.

To mówiąc, **zniknęła** pod podłogą, a chłopak został sam. Upłynęło bardzo dużo czasu. Chłopak czekał, czekał, ale dziewczyny ani widu, ani **słychu**. Ogarnęło go już przygnębienie i zaczął rozważać w duchu:

„Oj, ja, głupi, nie wziąłem od razu takiej pięknej dziewczyny. Jeśli ukaże się jeszcze raz, nie odepchnę już jej, o nie! Nie puszczę jej ani na dobrą, ani na złą dolę!"

Kiedy tak dumał, do izby weszła znów mysz przemieniona w dziewczynę, ale była jeszcze piękniejsza niż poprzednio, a samo **mieszka-**

nie, dawna, stara chałupa, przeobraziła się w tejże samej chwili w królewski zamek, a cały las, który rósł dookoła, zmienił się w takie miasto, że Petersburg nie był piękniejszy. Chłopak jednak w ogóle tego nie dostrzegł, bo całą swoją uwagę skupił na dziewczynie, głaskał ją, całował, jak przystało na narzeczonego. Rzekł do niej:

— Chodź teraz, moja najdroższa, razem ze mną do zamku. Dziewczyna wszakże odparła:

— **Warn**, królewskiemu synowi, i mnie, królewskiej córce, nie przystoi iść pieszo.

Potem poszła w róg pokoju i kazała sługom, którzy beczynn timerzęcili się po dziedzińcu, żeby zaprzęgli do ojcowskiego odświętnego powozu.

Królewscy słudzy wybrali dla swej pani takie konie i powóz, że królewicz nie widział czegoś takiego ani nawet nie słyszał o takim zaprzęgu. Wszystko już było gotowe do podróży, nie pozostawało nic innego, jak ruszyć, ale dziewczyna siadając do powozu, zerknęła na swego narzeczonego, obok którego miała usiąść, stanęła i jednocześnie powiedziała:

— Nie pojedę z wami, bo jesteście w wojskowym mundurze. To nie pasuje ani do mnie, ani do was. Musicie się przebrać.

Kazała następnie sługom przynieść najlepsze ubranie odświętne, buty, czapkę, wszystko takie, że sam ojciec królewicza nie miał równie wspaniałego ubrania.

Narieczony przebrał się. Gdy włożył odświętne ubranie na siebie, usiadł w powozie obok swej narzeczonej i ruszyli w drogę. W tej samej chwili rozległo się bicie dzwonów, huk strzelb i gra przeróżnych instrumentów. Taką to radością rozbrzmiewało miasto w czasie przejazdu pary królewskiej.

Podróż przebiegła prędko i pomyślnie. Droga była bowiem piękna i szeroka, choć niedawno temu ta sama droga, gdy chłopak chodził nią do myszy, była tylko wąską leśną dróżką. Dzięki temu już wkrótce dotarli do domu narzeczonego. Tam nie poznano go, gdyż był **przyodziany** w piękny, ślubny strój. Kiedy jednak wreszcie król rozpoznał syna, ugościł go z jeszcze większymi honorami niż pozostałych synów. Pozwolił mu obsługiwać się i być w pobliżu, tak jak

przedtem starszym synom, a do jego narzeczonej odnosił się tak mile i z takim szacunkiem, jak wypada odnosić się do córki wielkiego magnata.

Później wyprawiono wesela wszystkim królewiczom jednocześnie. Zamek pełen był panów i chłopów. Podawano jedzenie i napoje najrozmaitsze, jakie tylko gość zechciał.

Piękne i **chędogie** były także narzeczone starszych braci, córka ministra i córka senatora, żadnej nie można było nic zarzucić. Nie dorównały wszakże narzeczonej najmłodszego brata. Ta była od nich znacznie, znacznie **urodziwsza** i piękniejsza. W drodze na ślub król siedział w karocy swego najmłodszego syna, a starsi jechali ze swymi narzeczonymi oddzielnie.

Gdy przyjechali do kościoła i śluby się odbyły, ruszyli z powrotem do królewskiego zamku. W drodze król spytał swego syna, który jechał wraz ze swą małżonką w tej samej karocy:

— A gdzie to, mój syneczku, znalazłeś taką narzeczoną?

— Przecież powiedziałem ci już, ojczulku — odparł syn. — Co jest w lesie, to las daje: z lasu i z myszy jest moja narzeczona.

— A, ty jak zwykle swoje! — rzekł król, ale mimo to nie nazwał już syna kocmołuchem i nie dręczył dłużej całą sprawą, ale zaczął pytać narzeczoną, skąd pochodzi i z jakiego wywodzi się rodu.

Ta opowiedziała od razu całą historię:

— Mój ojciec był dawniej wielkim, sławnym królem, chciał mnie wydać za mężczyznę, który mi się wcale nie podobał. Nie wiedzieliśmy, że to był czarownik. Kiedy więc nie chciałam wyjść za niego, zaczarował nas wszystkich i cały nasz naród w myszy. I ten okres zaczarowania miał trwać czterdzieści lat. Ponieważ wiedziałam, że pewnego dnia przyjdzie do mnie wasz syn, aby mnie poślubić, nie martwiłam się, a kiedy w końcu zjawił się i zaręczył ze mną, wtedy wszyscy zaczęliśmy żyć znowu życiem ludzi. Teraz znowu jestem człowiekiem, a w lesie stoi mój zamek, pełen moich podwładnych.

Opowieść synowej zachwycała króla, który nie wiedział nawet, jak wyrazić swoją radość.

A kiedy wrócili z kościoła, jedli i pili na królewskim zamku, gdzie uroczystości weselne trwały pięć dni, od rana do wieczora,

póki wreszcie tłum gości nie opuścił zamku. A najmłodszy syn, którego przedtem nazywano kocmołuchem, został królem w państwie swej narzeczonej, gdzie żyli z sobą cały czas szczęśliwie. Taka długa jest ta opowieść.

Kogut śpiewa na królewskim dworze



pewnego razu traktem wiodącym na królewski dwór szedł kogut. Szedł, żeby przed królewskim zamkiem oznajmić, że król umrze, a wieśniak dostanie młyn.

Wyszedł mu naprzeciw wilk i zapytał:

— A dokąd to idziesz, kogucie?

— Idę śpiewać pod bramą królewskiego zamku — odparł kogut.

— A nie wzięłbyś mnie z sobą? Może będziesz miał ze mnie jakiś pożytek, gdy

znajdziesz się w niebezpieczeństwie — poprosił wilk.

— Dobrze, wezmę cię. Zamień się tylko w pchłę i schowaj się w moim ogonie.

Wilk zamienił się w pchłę i schował się w kogucim ogonie. Kogut ruszył w drogę, a po chwili spotkał niedźwiedzia, który go spytał:

— Dokąd idziesz, kogucie?

— Idę śpiewać pod bramą królewskiego zamku — odparł kogut.

— Weź mnie z sobą, pomogę ci, gdy będziesz w potrzebie — powiedział niedźwiedź.

— Wezmę cię, zamień się tylko w pchłę i schowaj w moim ogonie.

Niedźwiedź zamienił się w pchłę i schował się w ogonie koguta.

Ruszyli dalej.

Szli pewno z minutę, a tu z lasu wychodzi łoś i pyta:

— A dokąd to, kogucie?

— Idę śpiewać pod bramą królewskiego zamku — odparł kogut, tak jak i poprzednio.

— Pójdę z tobą. Pomogę ci, jeśli będziesz potrzebował pomocy —
zaofiarował się łoś.

— Chodź, zamień się tylko w małą pchłę i schowaj w moim ogonie.

Kiedy łoś zamienił się w pchłę i schował w ogonie koguta, ruszyli
dalej.

Po chwili wyszedł im naprzeciw przymrozek i pyta:

— Dokąd się wybierasz, kogucie?

— Idę śpiewać pod bramą królewskiego zamku — odrzekł kogut.

— Pójdę z tobą, może ci się na coś przydam — zaproponował
przymrozek.

— No dobrze, zamień się tylko w pchłę i schowaj w moim ogonie.

Przymrozek zrobił tak, jak kazał kogut i ruszyli dalej. W końcu
wyszedł im naprzeciw mróz z dwóch zim i zapytał:

— Dokąd to idziesz, kogucie?

— Idę śpiewać pod bramą królewskiego zamku.

— Pójdę z tobą, jeśli mnie weźmiesz — powiedział mróz.

— Dobrze, chodź. Zamień się tylko w pchłę i schowaj w moim ogonie
— odparł kogut.

Mróz zrobił tak, jak poradził kogut i ruszyli w drogę.

Dotarli wreszcie do zamku. Kogut skoczył na schody wiodące do
bramy i odważnie zaśpiewał: „Król umrze, a wieśniak młyn dostanie”.

Kiedy król usłyszał, co wyśpiewuje kogut, strasznie się rozzłościł.
Kazał koguta złapać i wrzucić go między barany, żeby zdeptały go na
śmierć. Rozkaz zaraz wykonano, złapano koguta, wrzucono go między
barany, a służący odeszli. Kogut jednak zaraz wypuścił wilka, który rzucił
się na stado, rozdarł wszystkie barany i ani jednemu nie udało się umknąć.

Następnego dnia kogut znowu zaśpiewał na schodach: „Król umrze, a
wieśniak młyn dostanie”.

Tym razem król kazał wrzucić koguta między rozjuszony byki, żeby
rozdarły go na kawałki. Od razu też wykonano królewskie polecenie i
wrzucono go między byki. Kogut wypuścił wtedy z ogo-

na niedźwiedzia, który w mig rozprawił się z bykami, a kogut pozostał cały i zdrowy.

Następnego dnia kogut stanął na schodach i zaśpiewał: „Król umrze, a wieśniak dostanie młyn”.

Król rozkazał służącemu rzucić koguta między swoje ogniste rumaki. Służba zrobiła, jak kazał władca, ale kogut wypuścił z ogona łosia, który zabił wszystkie konie.

Następnego dnia, tak jak i poprzednio, kogut wyśpiewał na schodach swoją pieśń.

Rzekł wtedy król do swoich służących:



— Nie pozbedziemy się tego bezczelnego koguta, zanim go nie upieczemy. Napalcie w piecu i wrzucie go do ognia!

Wkrótce piec był gorący i wrzucono weń koguta. Wypuścił wtedy kogut z ogona przymrozek, który zaraz **wystudził** piec, a kogutowi nie przypaliło się nawet jedno piórko.

Rano kogut, zgodnie ze swym zwyczajem, zaśpiewał na schodach, a wtedy rozeźlony strasznie król kazał rozgrzać piec do białości. Służący posłusznie palili w piecu cały dzień, a wieczorem wrzucili tam koguta. Tym razem kogut wypuścił z ogona mróz z dwóch zim, który był tak zimny, że w jednej chwili skuł wszystko dookoła lodem.

A rano kogut cały i zdrowy, zaśpiewał na schodach przed królewską bramą: „Król umrze, a wieśniak dostanie młyn”.

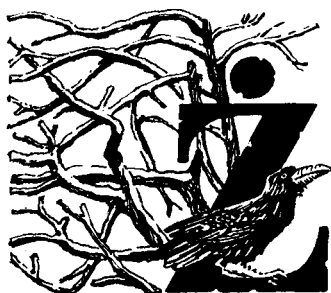
Za wiele było już tego królowi. Rozkazał więc:

— Przynieście mi tego wstrętnego koguta, połknę go, bo inaczej nigdy nie przestanie śpiewać tej swojej złośliwej piosenki.

Zgodnie z rozkazem natychmiast przyniesiono koguta, a król go połknął. Na wszelki wypadek kazał jednemu ze swych żołnierzy stać obok siebie z mieczem w ręce, żeby gdy tylko kogut wychylił głowę, obciąć mu ją raz na zawsze.

Stał żołnierz posłusznie i patrzył na usta króla. Nagle król wyciągnął język, chcąc oblizać wargi. Żołnierz myśląc, że to kogut wychylił głowę, zamachnął się mieczem i obciął królowi język i brodę, a wtedy król padł martwy na ziemię.

Spór o zaklęte przedmioty



Żył kiedyś wdowiec, który miał jednego syna. Zestarzała mu się chata, więc postawił nową. Kiedy pierwszej nocy ojciec i syn położyli się w niej spać, starzec rzekł:

— Jeśli komuś się coś przyśni, to musi opowiedzieć swój sen.

Rano chłopak nie chciał opowiedzieć, co mu się śniło, ojciec zaś powiedział, co widział w nocy; śniła mu się żmija, długa jak belka w ścianie.

Przyszedł potem do starca czarownik i

zapropozował:

— Jeśli dasz mi połowę, to wyjaśnię ci twój sen. Przystał na to ojciec i opowiedział, co mu się przyśniło. Czarownik wyjaśnił wtedy, że pod podłogą chaty leży skarb, długi jest jak belka i składa się z monet. Skarb wykopano, starzec podzielił się sprawiedliwie z czarownikiem po połowie, a syna za to, że nie chciał opowiedzieć swego snu, wtrącono do lochu na królewskim zamku.

W tym samym czasie z zamku wyruszył syn króla, żeby poślubić córkę władcy sąsiedniego królestwa. Powiedział wtedy uwięziony chłopak do króla:

— Miałem taki sen, że jeżeli królewicz nie weźmie mnie z sobą, to nie uda mu się zdobyć królowy.

Cóż miał król począć? Wypuścił chłopaka, dał mu jeszcze dwóch towarzyszy i ruszyli w drogę. Królewicz popłynął morzem, a chłopak ze swymi kompanami podążył lądem.

Idą, idą, aż po pewnym czasie chłopak spostrzegł, że na drodze bije się dwóch mężczyzn. Powiedział wtedy do swych towarzyszy:

— Zostańcie tutaj. Ja pójde zobaczyć, co się tam dzieje. Ci dwaj bili się o stary kozuch.

Chłopak podszedł do nich i pyta:

— Dlaczego bijecie się o taki stary kozuch?

— Już od trzech lat się o niego spieramy — odparli. — Zostawił nam go w spadku ojciec. Kto go na siebie włoży, stanie się niewidzialny.

— Wystrzelę z łuku — zaproponował chłopak. — Kto pierwszy dogoni strzałę, ten dostanie futro.

Kiedy tamci dwaj pobiegli w pogoni za strzałą, chłopak zabrał ich spadek i wrócił do swych towarzyszy.

— O co tamci się bili? — zapytali.

— A, o to stare futro — odparł.

Uszli kawałek, a tu znowu ktoś się bije na drodze.

— A co to znowu? — zdziwił się chłopak. — Pójdę zobaczyć, co się tam dzieje.

Ci z kolei bili się o starą czapkę.

— Dlaczego bijecie się o taką starą czapkę? — zapytał ich chłopak.

— Bijemy się już o nią trzy lata — odparli. — Dostaliśmy ją od ojca w spadku. Ten, kto ją włoży, staje się niewidzialny.

— Wystrzelę z łuku, ten, kto pierwszy dogoni strzałę, dostanie czapkę — zaproponował chłopak i strzelił.

Kiedy tamci ruszyli w pogoń za strzałą, chłopak zabrał czapkę i dołączył do towarzyszy.

— O co ci się bili? — spytali.

— A, o tę starą czapkę — odparł.

Przeszli kawałek, a tu znowu ktoś się bije na drodze. Tak jak i poprzednio chłopak powiedział do swych towarzyszy:

— Zostańcie tutaj, a ja zobaczę, co się tam dzieje. Ci z kolei walczyli o starą skórę.

— Dlaczego się o nią bijecie? — zapytał walczących.

— Bijemy się już o nią trzy lata. Dał nam ją w spadku ojciec. Kto na niej stanie i powie: „Leć, skóro, do nieba”, ten przeleci choćby nad górami i morzami — wyjaśnili.

— Wystrzelę z łuku, a ten, który pierwszy złapie strzałę, dostanie skórę — zaproponował im i strzelił.

Kiedy tamci pobiegli za strzałą, chłopak stanął na skórze, krzy-

knął: „Leć, skóro, do nieba” i poszybował do swych kompanów. Potem wszyscy na niej usiedli, chłopak zawołał: „Leć, skóro, do nieba” i polecieł nad dziewięcioma morzami na królewski zamek, gdzie przybył już królewicz, żeby się oświadczyć.

Postawiono mu tam jednak warunek: nie dostanie królewny, jeśli następnego dnia nie będzie miał takiej samej szaty jak ona. Jeśli nie spełni tego warunku, to zetną mu głowę. Odszedł zmartwiony królewicz z zamku i zaszedł do ubogiej chaty, żeby pożalić się nad swoim nieszczęściem biednemu chłopakowi, który w niej mieszkał. Pocieszył chłopak królewicza, schował skórę, wdział na siebie stary kozuch i czapkę. W tej samej chwili stał się niewidzialny i podążył na zamek. W nocy dworzanie kazali zaprząć konie i pojechali do pewnego krawca, który szył dla dworu. Krawiec właśnie szył stroje i gotowe szaty wkładał na manekiny. Niewidzialny zdjął jedną z nich, schował do kieszeni i wyszedł. Krawiec zaś musiał uszyć nową. Potem chłopak poszedł do królewicza, dał mu strój i kazał go oddać po uroczystości.

Rano przychodzi królewna i mówi:

— No, pokaż teraz swój strój! A królewicz na to:

— Najpierw ty pokaż!

Kiedy już sprawdzono obydwu, okazało się, że są dokładnie takie same. A i pewnie, przecież szył je ten sam krawiec!

Postawiono królewiczowi drugi warunek: rano ma mieć takie same buty jak dworzanie, jeśli nie, to będzie o głowę krótszy. Znowu poszedł królewicz do biednego chłopaka po radę. Wdział więc chłopak kozuch i czapkę. Stał się niewidzialny i podążył na zamek.

W nocy dworzanie kazali zaprząć konie i pojechali do szewca, który szył buty dla dworu. Gotowe pary wkładał na kopyta. Niewidzialny ściągnął jedną z nich, schował do kieszeni i wyszedł. Szewc zaś musiał zrobić jedną parę więcej. Zaniósł chłopak buty królewiczowi i kazał je oddać po uroczystości.

Rano wychodzi królewna i mówi:

— No, pokaż, jakie masz buty!

— Najpierw ty pokaż swoje — powiedział królewicz.

Kiedy sprawdzono buty, okazało się, że są takie same. A i nic

w tym dziwnego, skoro szył je ten sam szewc!

Postawiono królewiczowi trzeci warunek: rano ma mieć takie same włosy jak królowa. Poszedł zmartwiony królewicz do biednego chłopaka poprosić o pomoc. Znowu włożył chłopak kozuch i czapkę i niewidzialny podążył na zamek. W nocy królowa pobiegła nad brzeg morza i z płaczem poprosiła swego wuja, żeby już po raz ostatni pozwolił jej popatrzeć na swoje włosy. Podniósł się więc wuj z morza, a był nim sam Vetehinen — bóg wód.

Dziewczyna powiedziała:

— Pozwól, że po raz ostatni popatrzę na twoje włosy.

— A popatrz sobie — zgodził się Vetehinen, który miał włosy z miedzi, srebra i złota.

— Daj mi, wujku, jeden włos — poprosiła.

— Weź — zgodził się.

Dziewczyna wyrwała jeden włos, a niewidzialny chłopak, który za nią podążył, wyrwał całą garść. Zapłakał Vetehinen:

— Oj, jak zabolalo.

— Przecież wyrwałam tylko jeden włos! — tłumaczyła królowa. — Pozwól, wujku, że wyrwę jeszcze jeden — poprosiła.

— No dobrze, ale nie rób tego tak gwałtownie — zgodził się Vetehinen.

Dziewczyna wyrwała jeden włos, a chłopak całą garść. Znowu rozplakał się Vetehinen z bólu, a dziewczyna szybko powiedziała:

— Mam dopiero dwa włosy, pozwól, że wezmę jeszcze jeden. Zgodził się władca mórz po raz trzeci. Królowa i tym razem wyrwała tylko jeden włos, a niewidzialny całą garść. Wrócił chłopak do chaty, schował do szafy trzy garście włosów, królewiczowi zaś dał po jednym włosie z każdej.

Rano znowu przyszła królowa i mówi:

— No, pokaż teraz, jakie masz włosy.

— Najpierw pokaż ty! — odparł królewicz.

Kiedy sprawdzono włosy królowy i królewicza, okazało się, że są takie same. I nic dziwnego, skoro pochodziły z tej samej głowy!

Kiedy wreszcie rozpoczęła się weselna uczta, zaproszono do stołu także trójkę kompanów królewicza. Podejrzewano bowiem, że jeden z nich jest tym, który dostarczył mu potrzebnych przedmio-

tów. Posadzono ich razem i podano tylko jedną łyżkę. Ten, który ją weźmie pierwszy, jest wybawcą królewicza. Jednak wcześniej mądry chłopak poradził kompanom, żeby podnieśli ją równocześnie, wtedy unikną niebezpieczeństwa. Nie udało się dworzanom w ten sposób znaleźć winnego, więc położyli całą trójkę razem spać. Ten, który zajmie najwięcej miejsca, jest pomocnikiem królewicza. Jednak i tym razem chłopak kazał wszystkim ułożyć się równo i zająć dokładnie tyle samo miejsca na ławie. Kompani zrobili tak, jak kazał chłopak i dzięki temu wybrnęli z tarapatów.

W końcu pozwolono im ruszyć do domu. Chłopak ze swymi towarzyszami usiadł na skórze i pofrunął do królewskiego zamku, żeby być tam przed królewiczem, który wracał morzem. Na zamku poprosił króla, żeby zamknął go w lochu i wypuścił dopiero wtedy, gdy syn wróci.

Wraca królewicz do domu i mówi do ojca:

— Trzeba zabić tego chłopaka z nowej chaty. Twierdził bowiem, że bez jego pomocy nie dostanę królowy, a przecież się ożeniłem!

— Jak to? — powiedział chłopak wypuszczony z lochu. Wyciągnął z kieszeni szatę i pyta: — Uratowałeś dzięki niej swoją głowę za pierwszym razem?

Zdziwił się królewicz, a chłopak wyciąga buty i pyta:

— Uratowałeś dzięki nim swoją głowę za drugim razem? Na koniec wyciągnął włosy i zapytał:

— Dostałeś dzięki nim królową za trzecim razem? Zdziwił się królewicz jeszcze bardziej, opowiedział o swych przygodach i dziwnym pomocniku. A potem król dał chłopakowi z nowej chaty, który potrafił być niewidzialny, swoją córkę za żonę i pół królestwa, gdzie też chyba do dzisiaj mieszka.



Przygody bliźniaków

W małej chatce mieszkała staruszka, która miała dwóch synów bliźniaków. Była tak biedna, że nie stać jej nawet było na imiona dla dzieci.

Pewnego razu chłopcy poszli na brzeg błękitnego morza i jeden z nich powiedział:

— Skoro już jesteśmy tak biedni, że nie nadano nam nawet imion, to nadajmy je sobie teraz i ochrzcijmy się morską wodą.

Przytaknął na to drugi i spytał:

— Jakie chcesz imię? Takim cię ochrzczę. Odparł na to brat:

— Chcę mieć na imię **Pekka**.

Wtedy drugi oblał go wodą i ochrzcił brata, nadając mu imię Pekka.

Zapytał Pekka bezimiennego:

— A jakie ty chcesz imię? Brat odparł:

— Chciałbym mieć na imię **Lassi**. Pekka ochrzcił wtedy **Lassiego**.

Ruszyli Pekka i Lassi znad brzegu morza, a kiedy dotarli na rozstaje drogi, Lassi powiedział:

— Musimy się teraz rozstać, niech każdy z nas pójdzie swoją drogą spróbować szczęścia. Jeśli zaś któryś z nas znajdzie się w niebezpieczeństwie, to niech zawoła na pomoc drugiego. Jeżeli jednak zawoła bez potrzeby, to drugi może go zabić za to, że musiał fatygować się na próżno.

Pekka przystał na to i bracia ruszyli, każdy w swoją stronę.

Lassi poszedł drogą prowadzącą na wschód. Nagle wyszła mu naprzeciw mała staruszka, która miała tylko jedno oko i niepodobna była do człowieka. Lassi wydłubał jej to jedyne oko i wsadził je do kieszeni.

Wtedy staruszka zaczęła błagać:

— Oj, oj, cóż ja teraz pocznę, kiedy zabrano mi moje jedyne oko, jestem ślepa jak kret! Gdybym dostała swoje oko z powrotem, to dałabym w zamian taki okręt, który zmieści się w kieszeni, a mimo to uniesie tysiąc ludzi i żegluję w powietrzu.

Lassi oddał oko staruszce i otrzymał obiecany okręt. Wsadził go do kieszeni i ruszył dalej.

Po chwili znowu wyszła mu naprzeciw jednooka staruszka. Tak jak i tej poprzedniej, zabrał jej oko, a na to ona:

— Oj, oj, co ja teraz pocznę, gdy zabrano mi jedyne oko, jestem ślepa jak kret! Gdybym dostała je z powrotem, to dałabym w zamian taką beczkę, która zmieści się w kieszeni, a mimo to starczy z niej piwa dla tysiąca ludzi.

Lassi oddał oko i dostał za nie beczkę, małą jak kurze jajo.

Wepchnął ją do kieszeni i ruszył w drogę.

Idzie, idzie, aż tu nagle wychodzi mu naprzeciw trzecia jednooka staruszka. I tej zabrał oko, a ona na to:

— Oj, oj, gdybym dostała swoje oko z powrotem, to dałabym za nie takiego psa, który zmieści się w kieszeni i który słyszy na pięć mil nadchodzących złodziei i zaczyna szczekać.

I tym razem oddał Lassi oko staruszce, wsadził psa do kieszeni i poszedł dalej.

Idąc pomyślał: „Trzeba by wypróbować ten okręt, czy rzeczywiście zmieści się w nim tysiąc ludzi i czy naprawdę żegluję w powietrzu”.

Wyciągnął go więc z kieszeni, położył na ziemi i wsadził weń jeden palec od nogi, okręt urósł do wielkości buta. Wsadził całą nogę — okręt zrobił się jak wiadro. Kiedy wsadził drugą nogę, okręt był już jak balia. Chodził Lassi tam i z powrotem po okręcie, który rósł z każdym jego krokiem.

— Hej! — krzyknął Lassi, i w tej chwili po obu stronach okrętu wyrosły wielkie skrzydła, które zaczęły trzepotać i raz dwa unio-

sły go w powietrze. Jak piórko wznosił się w stronę chmur, a kiedy był już wyżej niż najwyższa wieża kościelna, popłynął naprzód. Lassi trzymał ster, zastanawiając się, dokąd się teraz udać. Wtem dostrzegł piękny zamek. Skierował się w jego stronę.

W oknie zamku siedział król i spostrzegłszy okręt zdziwił się: „Co to za srebrna chmura, co to za ptak-olbrzym, co to za dom ze skrzydłami, co to za machina latająca?”

Lassi wylądował na murze otaczającym zamek, wyszedł, a wtedy statek zmniejszył się do rozmiarów łódki z kory. Wsadził ją do kieszeni, zlął z muru i poszedł do królewskiej kuchni. Był bowiem tak głodny, że chciał poprosić kucharza o pracę w zamian za jedzenie.

Kucharz powiedział:

— Możesz nanosić drzewa z drewni i napalić w piecu, wtedy będziesz mógł wylizać garnki.

Lassi przystał na warunki.

A stary król dziwił się: „Gdzież to się podział ten okręt powietrzny, ten latający dom? Już myślałem, że to goście do mnie jadą”. Nie znalazł jednak odpowiedzi na to, co stało się z okrętem.

Miał król dwie córki bliźniaczki, ale porwała je czarownica i ukryła w morzu, w błękitnym, głębokim morzu. Król martwił się strasznie utratą córek i ogłosił, że ten, kto wydobędzie je od czarownicy, otrzyma tę, którą zechce i pół królestwa.

Pewnego dnia przybył na zamek rycerz imieniem Tolppönen i oświadczył, że spróbuje wyrwać królewskie córki z rąk czarownicy. Ucieszył się na to król, dał Tolppönenowi łódź i tysiąc marynarzy, a rycerz niezwłocznie wyruszył na ratunek porwanym.

Tego samego dnia, gdy Tolppönen ruszył w morze, Lassi przyszedł do kuchni i zapytał kucharza:

— Czy i ja mógłbym pójść za nimi, żeby popatrzeć, jak Tolppönen walczy z czarownicą? Kucharz odparł:

— Idź, ale wróć, zanim obiad będzie na piecu. Przynieś po drodze naręcz drewna z szopy!

Poszedł **Lassi** nad brzeg morza popatrzeć, jak rycerz walczy z czarownicą. W kieszeni miał swoją łódź. Rycerz ze swoją załogą wypłynął w morze, ale ledwo dotarł do wyjścia z zatoki, a już czarownica wynurza z wody swój zielony dziób i spienioną twarz i wzburza morze. Łapie pazurami burtę statku i kołysze, kołysze nim tak mocno, że okręt prawie tonie.

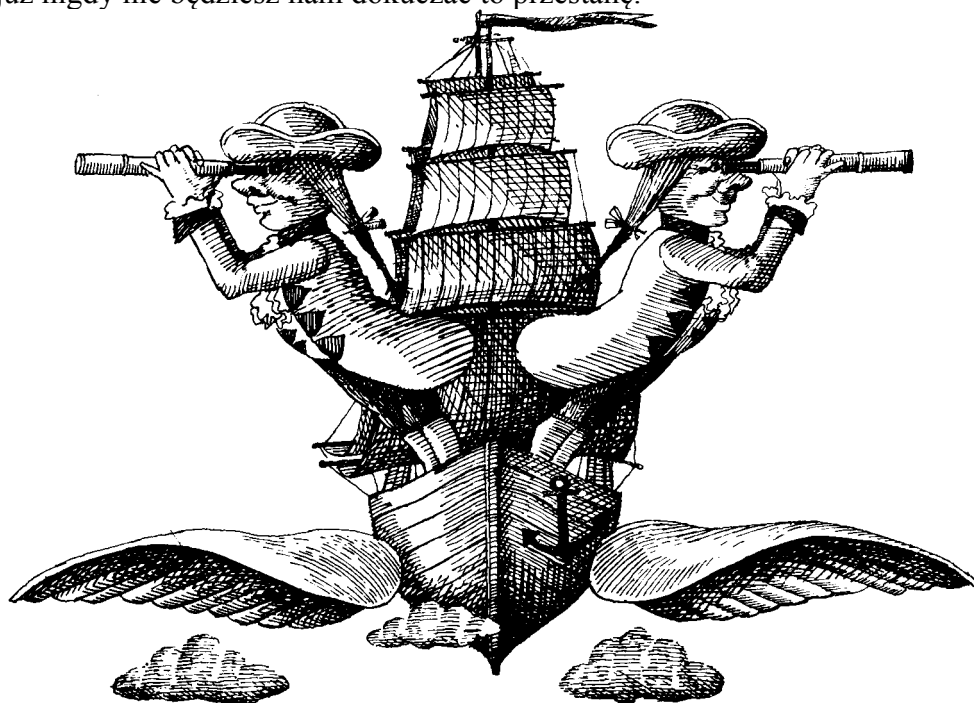
Tolppönen podnosi wrzask:

— Toniemy, toniemy, na pomoc!

Widząc to, Lassi wyciągnął okręt z kieszeni i wsadził weń palec od nogi — statek jak but, wszedł obydwoma nogami, a statek już jak balia. Po chwili, jak na powietrznym żaglowcu ruszył Lassi z brzegu w morze. Wzbił się nad okręt **Tolppöna**, zabrał stamtąd rycerza i jego załogę, a potem zaczął okładać straszną czarownicę. Nic nie mogła na to poradzić, bo okręt **Lassiego** był w powietrzu. Bije, bije Lassi czarownicę, tak że w końcu zaczęła błagać o łaskę.

Powiedział wtedy:

— Jeżeli wpuścisz nas do swojego domu na dnie morza i przysięgniesz, że już nigdy nie będziesz nam dokuczać to przestanę.



Czarownica przysięgła i obiecała wpuścić ich do swej siedziby. Lassi przestał ją okładać i rzekł do Tólpónena:

— Teraz czarownica zanurzy się w wodzie. Idź za nią, zabierz córki, a ja poczekam w łodzi.

Wyciągnięto kotwiczny łańcuch i jednym jego końcem owinięto w pasie rycerza. Potem spuszczo go z okrętu, a na szarpnięcie łańcucha miano go wyciągnąć. Zanurza się Tólpónen, woda sięga mu już do ramion, niknie głowa i w końcu rycerz sięga dna. Tam między wodorostami stoi niebieska skała, a w niej znajdują się błyszczące drzwi. Rycerz otwiera wrota i wchodzi do domu czarownicy.

W jednej z komnat, na ławkach, siedzą obydwie królewskie córki. Pilnuje ich jednak tysiąc ośmiornic z oczami na głowie i setką zębów w pysku jak szczupak. Ośmiornice nie chcą oddać Tolppóne-nowi córek i grożą, że go zjedzą. Wystraszył się wtedy rycerz i szarpnął za łańcuch. Kiedy już go wyciągnięto na pokład latającego okrętu i zapytano, co się stało, powiedział:

— Byłem w strasznym niebezpieczeństwie. W komnacie czarownicy tysiąc ośmiornic pilnuje królewskich córek, na głowie mają straszne oczy, a w pyskach sto zębów jak szczupak. Nie chciały mi oddać córek i groziły, że mnie zjedzą.

Zawrócił wtedy Lassi na brzeg, wysadził rycerza i jego załogę, schował okręt do kieszeni, a potem sam popłynął małą łódką w morze. Skoczył do wody w miejscu, gdzie była kotwica i zanurkował. Idzie, idzie po dnie, aż dotarł do niebieskiej skały, otworzył błyszczące drzwi i wszedł do komnaty czarownicy.

Tam, na niebieskich ławach, odpoczywały królewskie córki. Pilnuje ich tysiąc ośmiornic — na głowach mają wielkie oczy, a w paszczach sto zębów jak szczupak. Mówią do Lassiego:

— Aha, znowu ktoś przyszedł po córki! Nie damy ci ich, tylko cię zjemy.

A na to Lassi:

— Nie przyszedłem tu, żeby dać się zjeść, tylko pokazać wam cuda!

Wyciągnął z kieszeni beczkę wielkości kurzego jaja, a stamtąd jak nie zacznie się lać piwo, to jakby rzeka popłynęła! Piją ośmiornice, piją i piją, aż w końcu się upiły. Kiedy potem wszystkie tysiąc

ośmiornic zasnęło, Lassi zdjął ze ściany miecz, odciął im głowy, a języki schował do worka. Następnie zabrał królewskie córki i wspinając się po łańcuchu, wciągnął je za sobą. Cisnął do łodzi wór z językami ośmiornic i popłynął do brzegu.

Kiedy już przybili do brzegu, Lassi zapomniał zupełnie o językach. Królewskie córki poradziły mu:

— Pośpij trochę w naszych ramionach po tak ciężkiej pracy. Lassi usnął w ramionach jednej z sióstr, a wtedy one pozdejmowały z palców pierścionki, przywiązały je do włosów Lassiego i ukryły w jego czuprynie. Kiedy wybawiciel zbudził się, poszli we troje do zamku — córki do swych komnat, a Lassi do drewni. Wziął drewna i zaniósł je do kuchni.

Tymczasem brzegiem morza przechadzał się rycerz Tolppönen, znalazł łódź, a w niej tysiąc języków ośmiornic. Zabrał je zaraz, szybko pobiegł do króla i oznajmił:

— To ja uratowałem twoje córki. Pilnowało ich tysiąc ośmiornic, miały wielkie ślepia na głowach, a w paszczach po sto zębów jak szczupak. Ale ja obciąłem im głowy — oto ich języki.

Ucieszył się wielce król i kazał szykować wesele rycerza z jedną z córek.

Trwa wesele, wszyscy tańczą, cieszą się, czas już iść przed ołtarz, aż tu nagle wchodzi Lassi, staje obok narzeczonej i mówi:

— To moja narzeczona!

Wtedy Tolppönen dobył miecza, chcąc pchnąć nim Lassiego, ale królewna krzyknęła:

— Nie zabijaj mojego ukochanego! To on nas uratował, a nie ty!

Wtedy zbadano sprawę i znaleziono we włosach Lassiego pierścionki, a dziewczyny opowiedziały, jak to Lassi upił ośmiornice, zabił je i zapomniał tylko wziąć języki. Teraz od razu dano mu rękę tej, którą sobie wybrał, i pół królestwa. Tolppöнена zaś powieszono za kłamstwo i kradzież.

A oto przygody Pekki:

Kiedy Pekka opuścił Lassiego, ruszył drogą prowadzącą na zachód. Szedł, szedł, aż tu nagle z naprzeciwka wybiegł wilk z dzieckiem

w paszczy. Nie myśląc wiele, Pekka wyrwał mu dziecko, wziął je w ramiona i poszedł dalej. Po chwili wybiegła mu naprzeciw jednooka staruszka i biadoli:

— Oj, oj, stary wilk ukradł mi dziecko, a ja nie mogę go dogonić.

Pekka na to:

— Nie płacz, nie martw się, oto twoje dziecko. Wyrwałem je wilkowi z paszczy.

Ucieszyła się staruszka i mówi:

— Cóż chcesz w nagrodę za to, że uratowałeś moje dziecko?

— O nic nie proszę, to nie była ciężka praca — odparł Pekka. Ale staruszka upiera się:

— Wszystko wymaga pracy. Co chcesz w nagrodę? Niczego nie chciał Pekka, więc kobieta powiedziała:

— Dam ci żarna, które są małe jak kamyki na dnie wodospadu, ale będziesz miał z nich tyle mąki, ile zechcesz. Wystarczy je tylko obrócić ręką.

Pekka wziął żarna, wsadził do kieszeni i ruszył dalej. Znalazł mały domek i postanowił zatrzymać się w nim na noc.

Gospodyni powiedziała:

— Owszem, możesz tu przenocować, na piecu jest ciepło, ale jedzenia niestety nie mam. Odrzekł wtedy Pekka:

— Nastaw wody, będzie kolacja!

Gospodyni zagotowała wodę, a kiedy wszystko było już gotowe, Pekka wyciągnął żarna i zaczął je obracać w dłoni. Wyprysnęło spomiędzy nich tyle mąki, że starczyło na smaczną polewkę i najedli się do syta.

Kiedy Pekka spał na piecu, gospodyni wyciągnęła mu z kieszeni żarna i wsadziła na ich miejsce zwykłe kamienie z wodospadu.

Rano Pekka obudził się i ruszył w dalszą drogę, nie zauważywszy, że skradziono mu czarodziejskie żarna.

Wieczorem zaszedł do następnej chaty i zaczął obracać żarna, lecz mąki jak nie ma, tak nie ma. Zmartwił się wtedy Pekka i pomyślał: „Ukradziono mi wczoraj w nocy czarodziejskie żarna, a na ich miejsce dostałem zwykłe kamienie z wodospadu”.

Przewraca się całą noc na piecu, a rano rusza z powrotem do chaty, gdzie go okradzione. Idzie, żeby je odebrać. Idzie, idzie smutny, aż nagle staje przed nim jednooka staruszka i pyta:

— Czym się martwisz, biedny chłopcze? Pekka na to:

— Martwię się, bo ukradziono mi czarodziejskie żarna, kiedy nocowałem w pewnej chacie, i dano w zamian zwykłe kamienie z wodospadu.

Staruszka pocieszyła go:

— Dam ci taki worek, że kiedy nim **potrząsniesz** i powiesz:

„Wychodźcie chłopcy z worka, stół do stołu”, wtedy wyskoczy dziesięciu mężczyzn i **nakryją** stół. Będziesz mógł jeść i pić, ile tylko zechcesz, ale pamiętaj, żeby powiedzieć; „**stół do stołu**”. Jeśli tego nie powiesz, wtedy skoczą na tego, co trzyma worek i nieźle go zbiją. Jeśli zaś będziesz chciał, żeby wrócili do worka, musisz powiedzieć „Z powrotem do worka”, a wtedy tam wskoczą. Zapamiętaj to sobie!

Pekka obiecał zapamiętać, wziął worek i poszedł do chaty, w której skradziono mu żarna, i poprosił o nocleg.

— Proszę, na piecu jest ciepło, ale jedzenia nie ma — powiedziała gospodyni.

— Znajdzie się jedzenie — odparł Pekka. Potrząsnął workiem i krzyknął:

— Chłopcy, wychodźcie z worka, stół do stołu! Z worka wyskoczyło dziesięciu mężczyzn, którzy **naznosili** mnóstwo wspaniałych przysmaków. Potem Pekka po cichu, tak żeby gospodyni nie słyszała, wyszeptał:

— Z powrotem do worka.

Służący wrócili posłusznie.

Pekka z gospodynią najedli się do syta, a po posiłku młodzieniec poszedł spać na piec i wsadził worek pod głowę. W nocy gospodyni wdrapała się na piec, ciągnie i wrywa worek spod jego głowy, lecz ledwo go złapała w swoje ręce, chłopiec obudził się i krzyknął:

— Chłopcy, wychodźcie z worka! — Nie powiedział jednak „stół do stołu”. Ponieważ tego nie zrobił, z worka wyskoczyło **dzie-**

sięciu mężczyzn i nuże bić chytrą gospodynię! Przestraszyła się bardzo i zaczęła błagać:

— Nie bijcie mnie, dostaniesz swoje żarna z powrotem i coś jeszcze. Dam ci taką kuszę, z której nawet muchę możesz trafić z odległości pięciu mil, jeśli tylko wycelujesz w tym kierunku i pomyślisz, w co chcesz trafić.

— Z powrotem do worka — rozkazał Pekka.

Służący posłusznie wrócili do worka, który Pekka zaraz schował. Gospodyni oddała mu czarodziejskie żarna, dodała czarodziejską kuszę i Pekka zaraz ruszył w drogę.

Idzie, idzie, aż tu nagle, a był to wieczór, widzi na wysokiej górze pełno olbrzymów zgromadzonych dookoła ogniska. W ogniu pałą wielkie sosny i pieką nad nim całe łosie. Wtem jeden z nich bierze łosia w ręce, a kiedy już, już miał go ugryźć przez głowę Pekki przemknęła myśl:

„A gdybym tak wypróbował kuszę”.

Olbrzym trzymał zwierzę za tylną nogę i wtedy Pekka wycelował z odległości pięciu mil, myśląc o tym, strzelił i natychmiast łos wypadł z łapy olbrzyma.

„A co to znowu, że pieczeni nie mogę w ręce utrzymać”, pomyślał olbrzym. Złapał za drugą nogę i podniósł do ust. Pekka znów strzelił i łos upadł. W ten sposób Pekka ustrzelił cztery razy łosia z rąk olbrzyma.

W końcu biesiadnicy pomyśleli: „Ktoś sobie z nas kpi. Poszukajmy go!” Szukają, szukają, potykają się o gałęzie, aż w końcu w odległości pięciu mil złapali Pekkę.

— Aha, to ty masz kuszę! To ty ustrzeliłeś pieczeń z rąk naszego przywódcy! Teraz cię zabijemy! — zawołali.

— Nie przejmujcie się. Ja tylko tak dla żartów chciałem wypróbować kuszę, przecież do was nie strzelałem. Pozwólcie mi usiąść razem z wami przy ognisku. Wyciągnę własne jedzenie i na pewno będziecie mieć ze mnie dużo pożytku.

Olbrzymi przystali na propozycję i nawet dali mu kawałek pieczeni.

W końcu Pekka powiedział:

— Nastawcie wodę, a ja wam zmielę mąkę. Zjecie sobie polewkę.

Olbrzymi postawili ogromny kocioł na ogniu, Pekka wyjął z kieszeni czarodziejskie żarna i miele, miele do garnka, aż uzbierało się wiele worków.

Kiedy już wszyscy zjedli polewkę, Pekka powiedział:

— No, a teraz kolej na przysmaki. Potrząsnął workiem i krzyknął:

— Chłopcy, wychodźcie z worka, stół do stołu! Z worka wyskoczyło dziesięciu służących i zastawiło stół samymi przysmakami.

Potem Pekka rozkazał:

— Z powrotem do worka! I służący posłusznie do niego wrócili. Kiedy wszyscy się już najedli, olbrzymi zwrócili się do chłopaka:

— Jesteś bardzo mądrym człowiekiem. Czy nie oddałbyś nam przysługi?

— A co miałbym zrobić? — zapytał Pekka.

— No, chodzi o to, że już od dłuższego czasu chcemy okraść pewien piękny zamek, ale pilnuje go mały pies, który ma taki dobry słuch, że już na pięć mil czuje złodziei i zaczyna szczekać. Kiedy jesteśmy pięć mil od zamku, pies podnosi taki hałas, że cały zamek się budzi. To zwierzę trzeba zabić, a wtedy dostaniemy się do środka.

Pekka udał, że przystał na to, i wszyscy ruszyli w kierunku zamku. Kiedy zbliżyli się do niego na pięć mil, Pekka znów wypróbował swoją kuszę. Strzelił, myśląc o małym piesku przed bramą. Pies padł, nie wydawszy żadnego głosu. Dotarli potem na zamek. Olbrzymi zrobili w murze otwór, żeby dostać się do środka. Pekka przełazi pierwszy, a za nim ruszył jeden z olbrzymów. Kiedy już wyciągał głowę, Pekka uderzył go ramą kuszy i zabił. Potem wciągnął trupa na dziedziniec i zawołał:

— Niech wejdzie drugi!

Kiedy następny wsadził głowę w otwór, Pekka uczynił z nim to

samo co z pierwszym. W taki sposób zabił wszystkich olbrzymów i poukładał ich na zanikowym dziedzińcu. Zmęczył się tym zajęciem i przysnął sobie obok otworu w murze.

Piękny zamek był tym samym, w którym królował jego brat. Kiedy rano Lassi podszedł do okna i zobaczył podwórko pełne olbrzymów, pomyślał, że śpią, choć przecież już nie żyli. Na ten widok ogarnęła go straszna trwoga. Przypomniał sobie umowę z bratem i zaczął krzyczeć:

— Pekka, Pekka, pomóż mi, jestem w niebezpieczeństwie! Krzyknął tak dwa razy, lecz zmęczony Pekka nadal spał. Krzyknął więc Lassi trzeci raz, wtedy Pekka obudził się i zdumiał: „Czy to Lassi w oknie? Król?” Podbiegł więc do okna i powiedział: „Dlaczego wzywasz pomocy? Przecież nie jesteś w niebezpieczeństwie. Zabiłem wszystkich olbrzymów. Pamiętasz naszą umowę, że jeżeli któryś z nas zawoła o pomoc bez potrzeby, to drugi może go za to zbić?”

Ucieszył się Lassi, że brat znalazł się w zamku, i odrzekł:

— No dobrze, zbij mnie, skoro prosiłem o pomoc bez potrzeby.

A na to Pekka:

— Ee, nie będę się zajmował królem, bo i tak już zabiłem twojego psa.

— Jak to, zabiłeś mojego psa? — zdziwił się Lassi. Wtedy Pekka wyjaśnił:

— Mam taką kuszę, z której z pięciu mil można zabić nawet muchę, jeśli się tylko pomyśli o tym i strzeli. A Lassi na to:

— To ci dopiero dziw, ale ja mam taki okręt, który żegluje w powietrzu i taką beczkę, z której można wytoczyć tyle piwa, ile się tylko zechce.

Pekka zaś dodał:

— A ja mam takie żarna, z których leci tyle mąki, ile się tylko zechce, i worek, z którego można dostać tyle przysmaków, ile dusza zapagnie!

— A ja mam za to królewską córkę i pół królestwa — pochwalił się Lassi.

Wtedy Pekka pobiegł do króla, ożenił się z drugą córką i otrzymał drugą połowę królestwa.

Teraz już bracia byli jednakowo bogaci i pożeglowali latającym okrętem po matkę, żeby przywieźć ją do zamku. A to się dopiero staruszka ucieszyła, że z synów wyrosli tacy bohaterowie i w dodatku zostali jeszcze królami.

Przepowiednia



Żył kiedyś niezwykle okrutny i nikczemny człowiek. Znęcał się nad zwierzętami, zabijał konie, krowy, cielęta. Zabił też człowieka, i to niejednego; zamordował aż dziewięciu ludzi. Był wielkim grzesznikiem, opamiętał się jednak w końcu i tak pomyślał: „Jestem nędznym zbrodniarzem, nigdy nie zaznam innego życia i radości oglądania Boga. Pójdę wszakże do klasztoru wyznać grzechy, może mnie tam wysłuchają”. Ruszył więc do klasztoru, stanął

przed mnichem i poprosił, żeby ten wysłuchał jego grzechów.

— Nie przyjmę cię, idź do innego — rzekł mnich i nie chciał go słuchać.

I co wtedy?

Okrutny człowiek poszedł do drugiego mnicha, tak jak mu poradzono, ale ten z kolei powiedział:

— Ja również nie mogę wysłuchać twojej spowiedzi. Idź do najstarszego z nas, przeora, może on cię wysłucha.

Człowiek poszedł i upadł na kolana przed przeorem, wyznając mu wszystkie swoje grzechy i nieczne czyny.

Poradził mu wtedy stary mnich:

— Jesteś wielkim grzesznikiem, idź więc na pobocze drogi. Znajduje się tam **mielerzysko** — miejsce, gdzie kiedyś wypalano węgiel drzewny — a obok leży smolisty pniak. Jeśli zdołasz przenieść sitem tyle wody, aby dół wypełnił się po brzegi, a smolisty pniak pokrył się listowiem, odpuszczę ci twoje grzechy.

To rzekłszy, przeor klasztoru wręczył człowiekowi sito, przykazując mu, żeby postąpił zgodnie z jego poleceniem.

Okrutny człowiek ruszył natychmiast na wskazane mu miejsce, i zabrał się do pracy. Jednego dnia nosił wodę do **mielerzyska**, a dru-

giego podlewał smolisty pniak, żeby zaczął rosnąć. Czynił tak przez blisko trzydzieści lat, ale próżne były jego wysiłki.

W trzydziestym roku swej pokuty ujrzał pewnego dnia mężczyznę, który rankiem kroczył w stronę miasta, mrucząc głośno. Był wyraźnie w złym nastroju. Kiedy jednak wracał wieczorem, tańczył i wesoło podśpiewywał.

Powtarzało się to codziennie, a modląc się koło smolistego pniaka grzesznik rozważał zawsze w duchu:

„Co to może być za nicpoń, skoro zachowuje się w taki sposób. Na pewno nie jest to dobry człowiek. Zamordowałem przedtem dziewięciu, zabiję jeszcze dziesiątego. Niech się stanie, co chce!”

Jak pomyślał, tak uczynił, i zamordował nieznajomego wędrującego codziennie do miasta. Później wrócił, jak poprzednio, do swojej pokuty, dalej nosił wodę do mielerzyska, ale teraz dół wypełnił



się wodą po brzegi. A to dopiero cud! Poszedł potem pomodlić się koło smolistego pniaka i przeżegnał się: pniak rozrósł się i zazielenił listowiem.

— Och, Panie Boże, jesteś wielki — rzeki do siebie mężczyzna. — Modliłem się tu trzydzieści lat i nigdzie nie odchodziłem. A teraz sprawiłeś, że pełno wody jest w mielerzysku, a smolisty pniak okrył się liśćmi. Co dobrego uczyniłem, że sprawiłeś ten cud?

Żeby wyjaśnić sprawę, udał się do klasztoru, do starca, który wyznaczył mu pokutę, i opowiedział, co się zdarzyło:

— Teraz mielerzysko jest pełne wody, a na smolistym pniaku zieleni się pełno liści.

— Nie wierzę, wcale ci nie wierzę. Kłamiesz — odparł przeor. Ruszył jednak na pobocze drogi, aby samemu zobaczyć, co się stało. Nie wierząc własnym oczom, rzekł do człowieka:

— No, tak jest, tak! Cóżżeś uczynił w tym czasie dobrego, że Bóg sprawił ten cud?

— Było to tak — odparł mężczyzna — tu obok chodził zawsze drogą człowiek w stronę miasta. Gdy szedł rano, kroczył w złym humorze i mruczał pod nosem, ale gdy wracał wieczorem, skakał radośnie z nogi na nogę, był wyraźnie zadowolony i rozbawiony. Pomyślałem sobie: „Skoro zamordowałem już dziewięciu ludzi, zabiję i dziesiątego”. Tak też uczyniłem i zgrzeszyłem.

Teraz przeor domyślił się, na czym polegała cała sprawa i rzekł:

— Był to największy nikczemnik w całej okolicy. Jego śmierci pragnęli wszyscy, ty zaś pozbawiłeś go życia. Łotr ten sprawował urząd sędziego. Ze spraw zawiłych czynił proste, z prostych natomiast zawiłe. Wszystko zależało od tego, czy obwiniony dał mu wystarczającą sumę pieniędzy. Dobrześ uczynił, zabijając go. Bóg odpuści ci za to twoje dawne grzechy.

Słowa te ucieszyły dawnego grzesznika. Przez resztę swego żywota prowadził się już uczciwie i przykładowie. Po śmierci zaś stał się własnością Boga i stanął przed jego obliczem.

O instrumentach ofiarowanych przez diabła

W pewnym lesie stał dom osadników. Mieszkał w nim stary mężczyzna, który miał jednego syna. Chatę otaczał brzozowy las, w którym gnieździły się stada cietrzewi. Chłopak prosił ojca, żeby pozwolił mu do nich strzelać, ale ojciec zawsze surowo zabraniał, mówiąc:



— Nie wolno zastrzelić ani jednego, choćby nie wiadomo co się działo:

W końcu jednak chłopak nie wytrzymał dłużej, nie posłuchał zakazu ojca, zabrał bez jego wiedzy łuk i w brzezynie strzelił do jednego z ptaków. Nie zabił go jednak na miejscu, lecz postrzelił tylko, tak że cietrzew zdołał jeszcze poderwać się i dopiero **prze-frunąwszy** kawałek, upadł na ziemię.

Chłopak puścił się na jego poszukiwanie. Chciał schwycić ptaka. Ilekroć jednak podchodził bliżej, cietrzew zawsze leciał dalej i chłopak musiał ciągle biec za nim, aż oddalił się od domu na wiele wiorst. I tak, tropiąc cietrzewia, dotarł w końcu w głąb głuszy leśnej. Zaczęło już zmierzchać, więc rad **nierad** musiał zostawić w spokoju ptaka, tym bardziej że i tak przepadł on nagle gdzieś w lesie.

Chłopak zamierzał udać się do domu, ale zgubił do niego **drogę**. **Kłuczył** w tę i w tamtą stronę, byle iść przed siebie, nigdzie niestety nie znalazł ludzkiej siedziby.

Zapadła już noc i chłopak chciał ułożyć się do snu w lesie, ale w tej samej chwili ujrzał diabła, który biegł obok, uciekając przed wilkami deptającymi mu po piętach. Złapał więc łuk i wycelował w stado wilków. Jeden z nich padł, a pozostałe przestraszyły się i rzuciły do ucieczki. Wprawiło to diabła w dobry humor, bo wy dostał się z tarapatów. Zbliżył się do chłopca i podziękował mu za **urato-**

wanie życia. Obiecał dać mu jeszcze sutą zapłatę, jeśli tylko chłopak uda się z nim do jego siedziby.

— Owszem dobrze byłoby, gdybym znalazł w waszym domu nocleg. Błąkałem się dziś cały dzień, zabłądziwszy w lesie i nie mogąc dotrzeć do własnego domu — odparł chłopak i przystał na zaproszenie.

— No, to chodź ze mną — rzekł diabeł i zaprowadził chłopca do swej siedziby. Wszedłszy tam, chłopak ułożył się natychmiast do snu, bo po tej długiej bieganinie czuł się bardzo zmęczony.

Gospodarz natomiast ruszył do lasu, żeby przynieść coś do jedzenia i nakarmić swego wybawcę. W tym czasie kucharka usiłowała obudzić chłopaka i wypędzić go na dwór. Ostrzegała go, że jest w niebezpieczeństwie i radziła uciekać czym prędzej. Do chłopaka jednak nic nie docierało. Parokrotnie otworzył tylko z lekka oczy, a później ponownie mocno zasypiał.

Wrócił z lasu diabeł i kazał kucharce przygotować prędko posiłek. Niebawem jedzenie było gotowe, przywoływano chłopaka do stołu, ale nie zdołano go obudzić. Musieli zjeść posiłek sami, po czym stary poszedł znowu do lasu i przyniósł stamtąd nową porcję jedzenia. Chłopak i tym razem nie podniósł się.

Tak więc diabeł poszedł do lasu po raz trzeci.

W tym czasie chłopak ocknął się wreszcie ze snu i zaczął rozmawiać z kucharką. Kiedy zaś ta dowiedziała się, że chłopak oddał gospodarzowi wielką przysługę, za co miał dostać sowitą zapłatę, kazała chłopakowi, żeby się podniósł i oboje zaczęli zastanawiać się, o co ma poprosić czarta. Wreszcie powiedziała chłopcu:

— Poproś diabła o konia, który stoi przy jego stajni w trzeciej przegrodzie, po prawej stronie.

Nadszedł gospodarz z lasu, zobaczył, że chłopak się obudził, nakarmił go i napił do syta, a potem spytał go:

— Co chciałbyś, mój chłopaczku, jako zapłatę?

— Nie chcę niczego innego — odparł chłopak — jak tylko tego konia, który w twojej stajni stoi w trzeciej przegrodzie, po prawej stronie. Czeka mnie daleka droga do domu i nie dałbym rady dojść tam pieszo.

— Ach, mój chłopcze! — rzekł diabeł. — Domagasz się sutej

zapłaty, gdyż jest to najlepsza z moich klaczy. Weź sobie coś innego, co chcesz. Tego dać ci nie mogę.

Chłopak jednak uparł się przy klaczy i w końcu diabeł musiał mu ją dać, a na dodatek wręczył mu jeszcze **kantele**, skrzypce i fujarkę, mówiąc:

— **Jeśli** kiedyś znajdziesz się gdzieś w biedzie, zagraj na kantele. Jeśli nie nadejdzie pomoc, zagraj na skrzypcach. A jeśli i wtedy nie nadejdzie pomoc, weź fujarkę i dmuchnij, a pomoc na pewno się zjawi.

Chłopak podziękował gospodarzowi za jego podarki. Zabrał z sobą instrumenty i **pokłusował** na swej klaczy. Ujechał kawałek drogi, a wtedy klacz przemówiła do niego:

— Nie powinienes teraz jechać do swego domu, tam twój ojciec sprawi ci tęgie lanie. Jedźmy do pewnego miasta, tam przyjmą nas serdecznie.

Chłopak rozważył sprawę, uznał, że rada klaczy jest dobra i ruszyli w stronę miasta.

Gdy przybyli na miejsce, chłopak spostrzegł, że wszyscy zwracają na niego uwagę ze względu na jego klacz. Opowiedziano o niej królowi, który przyszedł sam ją zobaczyć i zachwycony zaczął prosić chłopca, żeby mu sprzedał konia. Obiecał, że zapłaci każdą żadaną cenę. Klacz wszakże przeszkodziła sprzedaży i rzekła do chłopca:

— Nie sprzedawaj mnie, tylko poproś króla, żeby wziął cię na **staj^ennego**, a mnie dawał **obroku**. Wtedy wszystkie jego konie zrobią się tak piękne jak ja.

Chłopak zaproponował to królowi, który wziął go na stajennego, zaś jego klacz kazał wprowadzić do stajni. Starego stajennego usunięto z pracy.

Niebawem po przyjściu chłopca wszystkie konie króla przytyły i wypiękniały, ale poprzedni stajenny, zły na chłopca, szukał wszelkich sposobów, aby się go pozbyć. Nachodził i nachodził króla ze wszelkiego rodzaju skargami, ale król wcale się nimi nie przejmował i nawet ich nie słuchał. Wreszcie dawny stajenny skłamał, że chłopak chwalił się, iż potrafi odnaleźć sławnego rumaka bojowego, który przed wieloma laty zaginął w lesie.

Teraz króla zaczęła nękać myśl o odzyskaniu wspaniałego **ko-**

nią. Wezwał do siebie chłopca i surowo mu zapowiedział, że jeżeli nie przyprzewodzi tego konia w ciągu trzech dni, to źle z nim będzie.

I oto przysłała na chłopaka bieda. Poszedł zaraz do swej klaczy i spytał ją o radę.

— Nie martw się — odparła klacz. — Idź do króla, poproś go o sto byków i każ pociąć je na kawałki. Zabierzemy je z sobą w drogę. Kiedy dotrzemy do pewnego źródła, wynurzy się z niego koń, ale nie bierz go. Kiedy wynurzy się drugi, nie troszcz się także o niego. Dopiero gdy wynurzy się trzeci, schwytaj go i załóż mu na łeb moją uzdę.

Chłopak zrobił, jak radziła klacz, i pojechał do źródła. Tam kolejno wychodziły z niego trzy konie. Chłopak schwytał trzeciego z nich i założył mu uzdę klaczy na łeb. Wtedy ta rzekła znowu do niego:

— Teraz, kiedy stąd odjedziemy, kruki diabła będą chciały nas pożreć, ale ty rzucaj na drogę kawałki mięsa. Rzucaj tak wiele, ile tylko zdążysz i pędźmy szybko.

Chłopak posłuchał i tej rady. W ten sposób udało mu się dostarczyć rumaka królowi.

Poprzedni stajenny nie przestał jednak oskarżać chłopca przed królem. Teraz z kolei doniósł, że chłopak chwalił się, iż może przyprzewodzić królowi z powrotem jego żonę, która już dawno temu gdzieś przepadła.

Wtedy król kazał chłopcu odnaleźć królową, skoro chwalił się swoją mocą. Jeżeli nie zrobi tego, grozi mu śmierć.

Teraz na chłopca spadła nowa bieda. Poszedł do stajni do klaczy i zaczął się uzalać nad swoim nieszczęściem:

— Muszę ponoć odnaleźć małżonkę królewską, ale jak to zrobić, jeśli już dawno temu przepadła i to nie wiadomo gdzie.

— Owszem, odnajdziesz ją — odparła klacz. — Nie martw się, dosiądź mnie i jedźmy do tego samego źródła, z którego zdobyliśmy konia. Wrzuć mnie do niego, a wtedy ja zmienię się w człowieka, gdyż to ja właśnie jestem małżonką królewską, której teraz szukają, chociaż tam u diabła musiałam być koniem.

Słyszając taką wiadomość, chłopak przestał się martwić.

Pocwałowali natychmiast do źródła, a tam chłopak wprowadził do niego klacz. Wtedy zmieniła się ona w człowieka, stała się piękna, tak piękna, jak była kiedyś, i wraz z chłopcem powędrowała do zamku króla.

Rozradowało wielce władcę, że odzyskał swą piękną małżonkę, podziękował chłopcu w obecności wszystkich mieszkańców zamku i w nagrodę dał mu hojne dary. Chłopak nie zaznał jednak jeszcze spokoju. Stary stajenny powiedział znów królowi, że chłopak odgrażał się, że zgładzi króla, a sam zacznie rządzić.

Król rozgniewał się ogromnie na chłopca i kazał go natychmiast powiesić. Zabrano się więc do wieszania chłopca, zgodnie z królewskim rozkazem, ale skazaniec poprosił króla o zgodę na to, aby mógł przed śmiercią pograć jeszcze na swym **kantele**. Król przystał na prośbę, a wtedy chłopak zaczął grać, ile tylko sił w palcach.

W chwili, gdy z kantele popłynęły dźwięki, wszyscy, w tym także kaci, rozpoczęli taniec. Chłopak grał przez cały dzień. Tańczyli oprawcy, tańczył zgromadzony tłum. Kaci tak się zmordowali tym bezustannym tańcem, że nie byli zdolni do niczego. I tak powieszenie chłopca odłożono do następnego dnia.

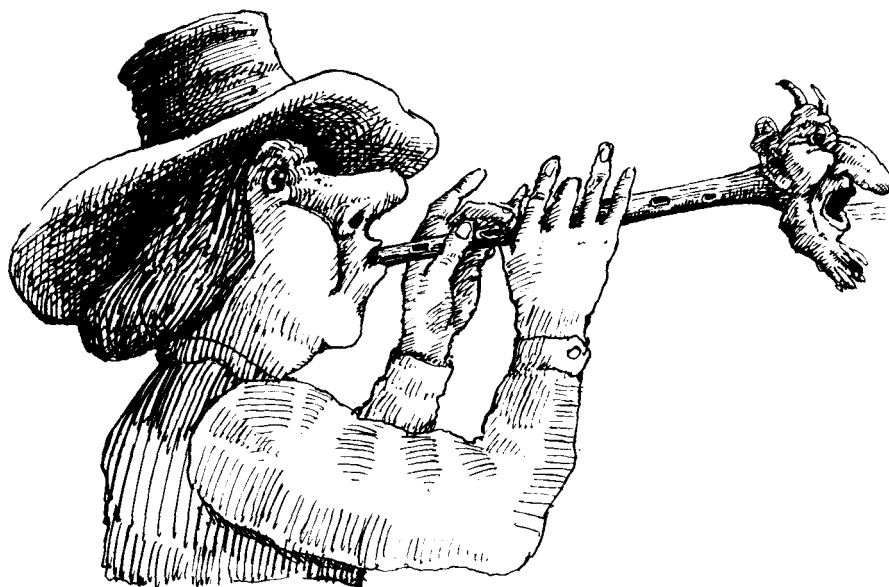
Nazajutrz zebrała się znowu cizba na miejscu, gdzie miano wieszać chłopca, a ten tym razem poprosił króla, żeby pozwolił mu zagrać na skrzypcach, zanim rozstanie się z tym światem, i król wyraził na to zgodę.

Chłopak zaczął więc ciągnąć smyczkiem po strunach, a wtedy król i cała cizba puścili się znowu w tany. W ten sposób udało mu się zająć wszystkich zgromadzonych i ponownie przełożyć egzekucję na następny dzień.

Trzeciego dnia znowu zabrano się do wieszania chłopca, ale ten poprosił, żeby pozwolono mu zagrać na fujarce. Król jednak sprzeciwił się i rzekł:

— Przez dwa dni grałeś i kazałeś mi tańcować, jeżeli i tym razem ci pozwolę, to ja sam zatańczę się na śmierć. Nie, nie zezwalam. Teraz nie ma czasu na granie. Przepadnij ze sznurem na szyi!

Chłopak poprosił jeszcze pokorniej, a wtedy dworzanie zwrócili się do króla:



— Pozwólcie, panie, biednemu chłopcu pograć trochę, i tak musi młodo umrzeć!

Wobec nalegań król ustąpił, podobnie jak i poprzednio. Przywiązał się jednak mocno do wielkiego świerka, obawiając się, że w przeciwnym razie musiałby znowu tańczyć.

Kiedy przywiązano króla, chłopak zaczął grać na fujarce, ile sił w płucach, i wtedy natychmiast wszyscy puścili się w płąsy. Jeden tylko król, przywiązany do drzewa, podrygiwał to w górę, to w dół, tak że szaty podarły się na nim, a na plecach otarła mu się skóra.

Wtedy sam stary diabeł przyszedł chłopcu z pomocą i spytał:

— Co za bieda przyszła na ciebie, że wyprawiasz tu takie żarty?

— Chcą mnie tu powiesić — odparł chłopiec. — A tam jest ta szubienica, na której mnie powieszają.

— Coś takiego! A to sobie wymyślili! — rzekł diabeł i w tej samej chwili wyrwał wraz z korzeniami wielki pień sosny, która służyła za szubienicę, i cisnął ją w powietrze tak wysoko, że w ogóle nie było jej widać. Później spytał jeszcze chłopca:

— Któż to chce ciebie powiesić?

Chłopak wskazał na króla przywiązanego do świerka, i wtedy diabeł schwycił w rękę świerk i cisnął nim tak mocno, że świerk **wzleciał** razem z człowiekiem, który był doń przywiązany, w górę, zniknął ludziom z oczu i przepadł chyba gdzieś w chmurach. W ten sposób chłopak uwolnił się z rąk oprawców, a lud wybrał go na króla na miejsce poprzedniego władcy.

I na tym też skończyła się cała opowieść.

Jagodowa dziewczynka i duch leśny



pewnego pięknego, letniego popołudnia mała dziewczynka poszła do lasu na jagody. Kiedy uzbierała już pełen koszyk i chciała wracać do domu, spostrzegła, że zaszła za daleko i że się zgubiła. Chodziła po lesie aż do zmroku, ale nie znalazła żadnej ścieżki. W końcu straciła nadzieję na wydostanie się z lasu, położyła się w trawie i zaczęła płakać, choć płacz niewiele mógł jej pomóc.

Nagle usłyszała gdzieś obok hałas. Kiedy się odwróciła, ujrzała między drzewami postać niezdarnego, brzydkiego starca. Na głowie miał złotą koronę, a plecy okryte wyszywanym płaszczem. Dziewczynka krzyknęła ze strachu i zerwała się do ucieczki, ale nie mogła ruszyć się z miejsca, nogi miała jakby przywiązane do ziemi.

Staruch zbliżył się do niej, wyszczerzył zęby i powiedział:

— Myślę, panienko, że zabłądziłaś. Widzisz chyba, że noc się zbliża. Niebezpiecznie tak samej w lesie, i to jeszcze w nocy. Chodź, zaprowadzę cię do mojego zamku.

Dziewczynka bała się jednak starucha i wcale nie miała zamiaru z nim iść. Powiedziała więc, że najchętniej pozostanie na noc w lesie pod opieką sosny. Wtedy staruch nastraszył ją, że w nocy budzą się krwiożercze zwierzęta i jeśli pozostanie w lesie, to ją zjedzą. Musiała więc biedna posłuchać rady starucha. Chwył ją wtedy za rękę i pociągnął za sobą. Próbowwała się opierać, ale na próżno, stary był silny jak niedźwiedź.

Brzydki staruch, a był nim zły duch leśny, zaciągnął ją do swego zamku. Zamek był niezwykle piękny, ale nie spostrzegła tego ledwo żywa ze strachu dziewczynka. Duch leśny Wtrącił ją do wieży i zamknął na klucz.

Następnego dnia, wcześniej rano, przyszedł do niej ze szkatułką

pełną wspaniałych kosztowności. Pokazał je dziewczynce i rzekł:

— Wszystko to będzie twoje, jeśli zostaniesz ze mną. Będiesz moją **żoneczką**. Uczynię cię bogatą panią, bogatszą niż jakakolwiek królowa na świecie. Czyż to nie jest wspaniałe? Pomyśl tylko, z biednej wiejskiej dziewczynki wyrośniesz na najpotężniejszą kobietę świata. No, uśmiechnij się, rozchmurz liczko!

Dziewczynka jednak nie uśmiechnęła się, nie spojrzała nawet na bogactwa. Zdenerwował się na to staruch:

— leszcze się złamiesz — wymamrotał wychodząc z izby i zamykając drzwi na klucz.

Następnego dnia duch znowu przyszedł do dziewczynki, ale i tym razem nie dała się skusić. Znowu musiała biedna zostać sama w zamkniętej izbie. Teraz duch postanowił **zamorzyć** ją głodem, ale kiedy była już bliska śmierci, wpadła na świetny sposób, żeby oszukać natrętnego starca.

Kiedy zjawił się następnego ranka, przywitała go uśmiechem i powiedziała, że czas zaczyna jej się dłużyć, bo nie nawykła żyć bez pracy. Poprosiła go więc o mąkę, żeby upiec ciastka. Ucieszył się na to duch, sądząc, że dziewczynka zaczyna się poddawać. Szybko więc zaprowadził ją do kuchni, przyniósł mąkę i inne potrzebne składniki. Dziewczynka cały czas podśpiewywała sobie i wyglądała na szczęśliwą. Cieszył się też duch. Od czasu do czasu przychodził, żeby sprawdzić, jak idzie praca. Upłynął dzień, a dziewczynka upiekła tyle ciastek, że ledwo mieściły się na długich kuchennych ławach.

— Posłuchaj, wujku — zwróciła się dziewczynka do ducha — zanieś te ciepłe jeszcze ciasteczka do moich rodziców. Upewnią się, że żyję i nie będą się na próżno smucić ani o mnie martwić.

Duch nie odważył się sprzeciwić prośbie dziewczynki, przygotował się więc do podróży i przyniósł kosz na ciasteczka.

— Ale do tego się nie zmieszczą — powiedziała dziewczynka.
— Weź większy!

Duch upierał się, że ten jest wystarczająco duży, bo nie miał ochoty zbyt wiele dźwigać.

— Weź ten większy! — obstawała przy swoim dziewczynka.
— Rodzice bardzo dużo jedzą i musisz im zanieść jak najwięcej!

Ustąpił w końcu duch leśny i przyniósł większy koszyk.

— Pamiętaj jednak, że nie możesz w drodze otwierać koszyka, ani też nie wolno ci zjeść ani jednego ciastka. Od razu zauważę, że jesz — ostrzegła go dziewczynka.

Kiedy duch wyszedł na chwilę, wskoczyła do koszyka i położyła na wierzch nieco ciastek, żeby nie było jej widać. Nadchodził wieczór i zaczęło się ściemniać. To właśnie była właściwa dla ducha pora, żeby udać się w drogę. Pod osłoną nocy spokojnie dotrze do wsi, nie miał bowiem odwagi pokazywać się ludziom. Zarzucił kosz na plecy i ruszył.

Droga była długa, a kosz wydawał mu się bardzo ciężki.



— Rzeczywiście, nakładła pełen kosz — narzekał duch. — A co by się stało, gdybym tak zjadł jedno ciastko i trochę odpoczął?

Przysiadł więc na kamieniu, a wtedy dziewczynka krzyknęła z kosza:

— Widzę cię, widzę! Nie siedź, ciastka stygną! „Rzeczywiście, ma dobry wzrok, skoro aż tutaj widzi”, pomyślał duch, wstając pośpiesznie. Ruszył posłusznie w dalszą drogę. Noc była ciepła, więc zrobiło mu się gorąco. Pot spływał mu po całym ciele i czuł w nogach coraz większe zmęczenie.

— Chyba jednak usiądę — westchnął. — Tutaj już na pewno mnie nie dojrzy.

— A właśnie, że widzę! — krzyknęła dziewczynka z kosza. — Widzę i słyszę wszystko!

Rad **nierad** ruszył dalej. W końcu las stał się rzadszy i widać już było wieś. Zupełnie na jej skraju, tuż przy lesie stał dom dziewczynki. Stękając dotarł duch do drzwi chaty. Zrzucił kosz z pleców na ziemię i zapukał w okno. Nie czekając na odpowiedź, szybko uciekł i skrył się w bezpiecznym miejscu między drzewami. Z chaty wyszła kobieta, żeby sprawdzić, kto pukał. Zauważyła kosz, podniosła pokrywę i spostrzegła ciasteczka. Krzyknęła do męża, żeby jej pomógł i razem wnieśli kosz do chaty. Wielka była ich radość, gdy z kosza wyskoczyła ich córka! Długo, długo opowiadała o pobycie we wspaniałym zamku ducha leśnego.

A duch maszerował zadowolony do swego zamku i myślał o małej ślicznej dziewczynce, z którą jutro miał się ożenić.



O spaniu w środku

pewnego razu duża grupa wieśniaków z **Ha-me**, zwanych wskutek braku rozumu **Głuptaczkami**, kosiła trawę. Skończył się dzień, nadszedł wieczór i czas spoczynku. Zaczęli więc kosiarze kłaść się spać, lecz nie mogli się dogadać co do miejsc, chociaż cała łąka służyła im za posłanie. Każdy z nich rozłożył się na trawie jak długi, tak że przypominali zbitą masę. Każdy z nich chciał jednak spać w środku i dlatego ci z zewnątrz przechodzili

nad innymi, aby tam się dostać. Nie zdążyli jednak dojść do środka, bo ci, którzy dzięki temu znaleźli się na brzegu, zaczęli robić tak samo i przelazeni nie było końca. Przechodził obok łąki nieznany wędrowiec i zbliżył się do kosiarzy, aby przyjrzeć się lepiej tej przedziwnej zamianie miejsc. Opowiedzieli mu strapieni **Głuptaczkowie**, że chcą położyć się spać, ale w żaden sposób nie mogą się wszyscy położyć w środku, chociaż nie wiadomo jak próbują.

— No cóż, pomogę **wam**, skoro bez tego nie możecie zaznać spokoju — powiedział nieznajomy i wbił w ziemię swą laskę. Następnie kazał wieśniakom przysunąć się do niej i położyć dookoła w taki sposób, że każdy z nich będzie ją miał między stopami. Zrobili wszyscy tak, jak im poradził, a potem powiedzieli:

— No, wreszcie każdy z nas może spać w środku. Nieznajomy, śmiejąc się w duchu z tego, że mężczyźni byli tak zadowoleni, bo znaleźli się w środku, ruszył swoją drogą.

Wrócił jednak wczesnym rankiem, aby zapytać **Głuptaczków**, jak też im się spało.

— Oj, wspaniale — odparli chórem. — Wszyscy spaliśmy w środku, tak jak chcieliśmy, ale teraz mamy kłopot, bo nie bardzo

wiemy, co zrobić z nogami. Wszystkie tu na kupie leżą i nie wiadomo, która jest czyja!

— Nie przejmujcie się, pomogę wam — pocieszył ich nieznajomy i ruszył do pobliskiego lasu. Nazbierał tam gałęzi jarzębiny, rozpalił ognisko, wrócił do nieszczęśników i zapytał:

— Czy już daliście sobie radę z nogami?

— Nie! — odparli. — Jak tu sobie z nimi poradzić? Wszystkie nam się poplątały.

Słyszając to, nieznajomy mężczyzna zaczął łaskotać leżących płonącymi gałęziami jarzębiny w stopy tak, że drąc się wniebogłose zerwali się ze swoich posłań. Bolesnie piekły ich przypalone stopy, ale i tak byli szczęśliwi, bo przecież każdy z nich znalazł swoje nogi.

Z radością pobiegli przed siebie, nie zatrzymując się nigdzie. Biegli tak szybko, że do dziś chyba jeszcze nikt o nich nie słyszał.

O głupiej babie i ludzkiej naiwności

Był sobie kiedyś chłop, który obiecał pewnemu mieszczaninowi sprzedać



krowę.
Przy-

gotowywał się właśnie do drogi, ale żona, uważająca się za wyjątkowo mądrą, rozzłościła się i powiedziała:

— Lepiej sama pojedę sprzedać krowę, bo ty jak zwykle przetrącisz wszystkie pieniądze.

— No, jeśli masz ochotę, to jedź! — odparł mąż bez złości, było mu wszystko jedno.

Kobieta nigdy przedtem w mieście nie była, ale była przekonana, że da sobie świetnie radę. Gdy dotarła na miejsce, znalazła dom kupca i weszła do środka.

— **Aj**, to gospodyni we własnej osobie tym razem do miasta przyjechała? — zdziwił się, widząc ją, mężczyzna.

— A tak, to ja — odparła. — Nie pozwoliłam mężowi sprzedać mojej krowy, bo gdy jest w mieście, zawsze traci tyle pieniędzy, że nigdy nie wraca do domu z pełną sakiewką.

Mieszczanin, który dobrze wiedział, że gospodarz był bardzo sumiennym człowiekiem i nigdy w podróży za dużo nie wydawał, postanowił spłatać gościowi małego figła. Złościło go to, że baba chwaliła się swoją mądrością i nie wierzyła swemu mężowi.

Tak myśląc, ugościł ją smakowitą kolacją i podał do picia najróżniejsze wina i wódki. Gospodyni rzuciła się na jedzenie, jadła z wielkim apetytem i łapczywie popijała, aż w końcu upiła się i zasnęła na ławie przy stole. Kupiec zdjął z niej chłopskie ubranie i odział ją w piękne, szlacheckie stroje, po czym wyszedł z pokoju.

Gdy gospodyni obudziła się, popatrzyła na siebie ze zdziwieniem i pomyślała, że chyba poplątało jej się w oczach. Nie mogła uwierzyć w tak nagłą zmianę, poszła więc do mieszczanina i spytała:

— Czy znacie mnie, panie, czy wiecie, kim jestem? Byłam inną kobietą, a teraz nie jestem sobą!

— Nie znam was, nie wiem — odpowiedział.

— Nie powinnam mieć na sobie tak pięknych szat — ciągnęła gospodyni — mieszkam przecież na wsi i tylko przywiozłam do miasta swoją krowę na sprzedaż, a teraz nawet nie wiem, gdzie ona jest! Nie widzieliście jej, panie?

— Nie, nie widziałem waszej krowy — odparł kupiec. Gospodyni uderzyła w płacz i chlipiąc mówiła:

— Na pewno nie jestem tą samą osobą co przedtem, mam na sobie takie dziwne ubranie, miałam też czarnego konia, lecz gdzieś znikł. Czy nie ma takiego w waszej stajni?

— Jest tam wiele koni, wszystkich nie znam — odpowiedział mieszczanin.

— Już wiem, jeśli jestem tą, którą byłam — pomyślała głośno kobieta — to na pewno mój koń mnie pozna, a skoro przemieniłam się w kogoś innego, nie da się nawet pogłaskać.

Poszła do stajni, lecz musiała poczekać, aż wszyscy podróżni zabiorą swoje konie. Gdy został tylko jeden, podeszła do niego, lecz zwierzę nie poznało jej w tym przebraniu i stanęło dęba.

Gospodyni znów zaczęła lamentować:

— Naprawdę nie wiem, czy jestem tą samą osobą, którą byłam, gdy przyszłam do miasta, muszę sprawdzić to jeszcze raz. Mam w domu psa, który szczeka na obcych, lecz nigdy na mnie. Wrócę do swoich, a jeśli pies, widząc mnie, zamacha ogonem, rozpozna swoją gospodynię. A co zrobię, gdy się na mnie rzuci? To nic, mam przecież dużo dzieci, a one wstydzą się obcych. Gdy przychodzą goście, chowają się w szafie na garnki, w kącie za łóżkiem i wszędzie, gdzie tylko mogą się wcisnąć. Mnie zawsze witają z radością. A jeśli i tak się niczego o sobie nie dowiem? No przecież mam w końcu dobrego i kochającego męża. Gdy wracam ze wsi do domu, zaraz obłapuje mnie za kolana, a z obcymi wcale nie chce gadać.

Tak sobie umyśliwszy, wyruszyła gospodyni w drogę. Gdy tylko weszła na swoje podwórko, pies podniósł straszny hałas. Z trudem dobrnęła do chaty, a dzieci, widząc ją, od razu uciekły do szafki z garnkami i w kąt za łóżkiem, żeby się przed nią schować.

Wszedł do izby gospodarz, usiadł w ulubionym kącie na ławie i nie powiedział ni słowa do żony. A kobieta w płacz:

— Na pewno nie jestem tą osobą, którą powinnam być, dobry Boże, co mnie tak odmieniło?!

Gospodarz oczywiście poznał swoją żonę. Nie przeszkadzało mu to, że jest tak dziwnie ubrana, lecz złościła go jej głupota, więc nie odezwał się ani słowem. W końcu jednak zrobiło się gospodarzowi żal kobiety, uznał, że odcierpiała już dosyć, **obłapał** ją za kolana i rzekł:

— Jesteś moją żoną i tu jest twój dom. Nie uwierzyła mu kobieta, bo nawet jej własne dzieci nie chciały przywitać się z matką, ale mąż wyjaśnił:

— Jak dzieci mogły cię poznać, jesteś przecież dziwnie ubrana. Skąd wzięłaś te suknie?

— Tego właśnie nie wiem! — odpowiedziała żona. — Gdy byłam w mieście, zasnąłam w domu kupca. Kiedy się obudziłam miałam już na sobie to ubranie i teraz boję się, że nie jestem tą samą osobą, która poszła sprzedać krowę.

— Nie mów nic więcej, na pewno jesteś moją żoną, ale zdradź mi, co zrobiłaś z koniem?

— Nie mam pojęcia, gdzie przepadł. Jak mogłam o nim pamiętać, jeśli nawet sama siebie nie poznaję?

— Widzę, że jesteś jednak bardzo głupia — rzekł mąż — i na pewno jeszcze bardziej zgłupiejesz!

„Z taką żoną się nie dogadasz, trzeba opuścić ziemię i wybrać się w drogę. Jeśli gdziekolwiek znajdę kogoś głupszego od mojej baby, wtedy wrócę, a jeśli nie, to będę podróżował do końca swego życia”, pomyślał gospodarz.

Tak i zrobił: wyruszył z domu i po paru dniach dotarł do pewnej chaty. Gospodyni, która była wdową, lecz wyszła za mąż drugi raz, zapytała go:

— Skąd przybywasz?

— Z **Niebielkowa** — odparł chłop. Kobieta była trochę **przygłuchawa** i nie bardzo zrozumiała odpowiedź gościa, więc rzekła:

— Oj, z nieba! A czy widziałeś tam mojego męża nieboszczyka?

- Oczywiście, widziałem go i jestem jego dobrym znajomym.
- A czy niczego mu tam nie brakuje? — dopytywała się.
- No, przydałoby mu się parę rzeczy — odpowiedział gość.
- Czy byłbyś tak dobry i zawiózł mu w podarku to, co mogę ci dać?
- Tak, zawiozę — odparł.

To słysząc, dała mu gospodyni tak dużo jedzenia, że ten ledwo mógł je unieść i zaproponowała:

— Wysłalabym też nieboszczykowi mężowi pieniądze, gdybyś był tak dobry i wziął.

— Oczywiście, zawiozę, jeśli sobie tego życzyacie — odrzekł chłop, a baba wręczyła mu wszystkie oszczędności, jakie tylko były w domu. Gość pięknie się pożegnał i z całym majątkiem gospodyni wyruszył w drogę..

Gdy gospodarz wrócił do domu, jego żona szybko opowiedziała o wizycie:

— Był tu taki jeden człowiek i mówił, że przybywa z nieba. Dałam mu jedzenia i wszystkie pieniądze, jakie były w domu, a on obiecał, że zawiezie to mojemu nieboszczykowi mężowi.

— Och, ty głupia! Któż taki mógłby przybyć z nieba? — zdenerwował się mężczyzna, wziął najlepszego konia i pojechał za gościem.

Gdy ten zauważył zbliżającego się gospodarza, wyrzucił worek do lasu i stanął pośrodku drogi, czekając na jeźdźca.

Goniący zbliżył się i spytał:

— Czy jechał przed tobą jakiś mężczyzna wiozący różne pakunki?

— Tak, jechał, ale gdy usłyszał za sobą zgrzyt mojego wozu, uciekł tam, do lasu — wyjaśnił zapytany i pokazał mu kierunek odwrotny do tego, w którym wyrzucił worek.

— Potrzymaj mi, dobry bracie, mojego konia, a ja złapię oszusta — poprosił zmartwiony gospodarz i pobiegł do lasu.

Pozostawiony na drodze mężczyzna wziął ukryty worek i wyruszył w drogę. Gospodarz zaś, po długim i próżnym bieganiu po lesie, wrócił na to miejsce, lecz nie zobaczywszy tam ani konia, ani jego opiekuna, pobiegł, żeby odebrać swoje zwierzę. Sił mu jednak nie starczyło i nie dogonił złodzieja. Trzeba było porzucić poszukiwania i iść do domu. Zły, wstydząc się swojej głupoty, wrócił do chałupy.

— Gdzie masz swojego konia? — spytała żona.

— Jeśli dobrze zrozumiałem, był tu gość z nieba, dałem mu więc jeszcze konia, żeby zawiózł go twemu nieboszczykowi mężowi — odpowiedział gospodarz poważnie.

Wtedy kobieta objęła go za szyję i rzekła:

— Teraz dopiero naprawdę cię kocham, bo jeszcze pamiętasz i dbasz o mojego pierwszego męża **Pekkę**.

Chłop, który opuścił swą żonę i ukradł konia, nadal podróżował. W końcu przybył do gospodarstwa, w którym znajdowała się świeżo wybudowana chata. Była dziwna, bo nie miała wcale okien, a w środku było ciemno. Żeby coś na to poradzić, gospodyni uszyła skórzany worek. Biegała, jak mogła najszybciej, z chałupy na podwórze i nabierała tak dużo światła, ile tylko się weń zmieściło. Następnie zamykała dokładnie worek i wносиła go do chaty.

— A cóż to gospodyni tu robi? — zapytał przybysz.

— Wnoszę do naszej nowej chaty światło, ale nie wiem, dlaczego mi się to nie udaje. Przecież gdy wychodzę na podwórze, łapię światło do worka, ale gdy wchodzę do środka, niczego w nim nie ma. W starej chacie, w której mieszkaliśmy przedtem, światła było dosyć, chociaż wcale nie musiałam przynosić z podwórka. Gdyby znalazł się jaki mądry i poradził coś na to, żeby w chałupie było jasno, **tobym** i setkę dała.

„I tej kobiecie brakuje rozumu, jest głupia”, pomyślał chłop. Wziął pieniądze i poszedł dalej. Idąc, napotkał na drodze bogaty pałac, taki wielki, **jaśniepański**. Zatrzymał się, żeby popatrzeć. „Nie mam nic do stracenia, pójdę sprawdzić, czy i tam mieszkają ludzie tak głupi jak moja żona”, pomyślał i poszedł do zamku. Na podwórku ujrzał świnię. Padł przed nią na kolana i zaczął się do niej **przymilać**:

— Ciotuniu moja ukochana, ciociu moja jedyna, przyjdź do mnie na ucztę.

Rozmawiał tak ze świnią, słysząc w odpowiedzi jej **chrząkanie**, aż na podwórze wyszły służące. Popatrzyły nań jak na głupiego i zaczęły się śmiać:

— Co z ciebie za mężczyzna, skoro tak pokornie ze świnią rozmawiasz i prawie że się do niej modlisz? — zapytały.

Mąż głupiej żony nic na to nie odpowiedział, więc kobiety **po-**

szły **naplotkować** o całym wydarzeniu **jaśnie** pani, bo pana nie było w domu.

Wychodzi pani na podwórze, patrzy surowo na mężczyznę, słucha uważnie i pyta:

— Kim jesteś, człowieku?

A przybysz znów nie odpowiada, cały czas zajęty jest rozmową ze świnią.

Widząc to, pani mówi wskazując zwierzę:

— Jeśli to jest twoja ciotka, weź ją do domu na ucztę.

Powiedziała tak, ciekawa, co też zrobi mężczyzna, gdy dostanie świnię, a on chwycił zdobycz i ruszył tak szybko, jak tylko mógł.

Przejechał kawałek drogi, zboczył do lasu, przebrał się, a miał z sobą dobre i gorsze ubranie, zostawił tam konia i wyszedł na trakt. Idzie zamyślony i nagle zauważył pełzającego żuka. Zerwał kapelusz z głowy, wsadził doń żuka i postanowił go popilnować.

Tymczasem do domu wrócił jaśnie pan, a żona zaraz mu powiedziała:

— Gdy ciebie tu nie było, przyszedł głupiec i zabrał nam świnię.

— Oj, wy, **czemuście** mu ją oddali? — rozzłościł się i ruszył w pogoń za złodziejem.

Już myślał, że go znalazł, ale ten, którego zauważył na drodze, nie uciekał, tylko stał bardzo spokojnie.

— Czemu tak stoisz? — spytał pan przystając.

— Złotopióry ptak przelatywał tędy, więc go złapałem, schowałem pod kapeluszem, a teraz go pilnuję — odrzekł z powagą mężczyzna.

— Czy przechodził ktoś tędy? — zapytał jaśnie pan.

— Tak, szedł taki źle ubrany chłop i wiózł na wózku świnię — odparł zapytany.

Pan zapomniał jednak o świni i zaczął się targować o złotopiórego ptaka, miał przecież większą wartość.

— No dobrze, ale jak wydostaniesz ptaka spod kapelusza, żeby ci nie uciekł? — zapytał sprzedającego.

— Gdybym miał sieć, rozciągnąłbym ją dookoła kapelusza, a wtedy ptak na pewno nie wydostałby się z niewoli — odpowiedział mężczyzna.

— Więc idź do mego pałacu i przynieś sieć, a ja w tym czasie popilnuję skarbu.

Tak jak mu pan kazał, poszedł mężczyzna na dwór i rzekł:

— Oj, biedna pani, stało się nieszczęście. Zbójcy porwali pana, jest teraz w ich rękach. Na szczęście przechodziłem tamtędy, a on zauważył mnie i przysłał tutaj po pieniądze, które ocalały mu głowę i życie.

— Jesteś oszustem, takim samym jak ten, który przed chwilą ukradł nam świnie — powiedziała doń pani.

— Nie jestem oszustem — sprzeciwił się mężczyzna — przecież mam konia jaśnie pana.

Uwierzyła mu więc pani i pobiegła po pieniądze. Wzięła wszystkie, jakie tylko były w domu, pożyczyła jeszcze od parobków, służących i skąd tylko mogła, a wszystko, co zebrała, dała mężczyźnie wysłanemu przez swego męża. Ten odjechał, szybko zбочzył w las, zostawił swoje rzeczy, zaprzął konie do wozu i pośpieszył do domu.

W tym czasie stał jaśnie pan przy kapeluszu i pilnował skarbu, chociaż wysłanego po sieć ani **słychu**, ani widu, a jemu zrobiło się zimno i smutno. W końcu, wiele nie myśląc, podniósł kapelusz. Ojej, znalazł pod nim zwyczajnego żuka. a w dodatku w nos uderzył go nieprzyjemny zapach. Kiedy spostrzegł, że został oszukany, spuścił głowę, wstydząc się własnej głupoty i pomyślał, że mądrzej byłoby pośpieszyć do domu.

Na spotkanie wyszła mu uradowana żona i zawołała:

— Jak to dobrze, że wydostałeś się z rąk zbójców, mój kochany.

— O jakich zbójcach mówisz? — zapytał zdziwiony pan.

— Przyjechał tu przecież jakiś człowiek na twoim koniu i opowiedział, że dostałeś się w ręce rozbójników, więc dałam mu pieniądze na twoje wybawienie.

— No tak, rzeczywiście, zdarzyło się tak nieszczęśliwie — przyznał ze wstydem oszukany.

Chłop, który opuścił żonę, przybył spokojnie do domu i rzekł przekraczając próg:

— Tu od dzisiaj będę żył, z własną babą. Jest wprawdzie trochę głupia, ale innym też brak rozumu, a zdarzają się nawet głupsze od niej.

I odtąd nie było już kłótni między gospodarzem i gospodynią. Żyli jeszcze długie lata w szczęściu i miłości. I tak to było.

Jak wieśniak odwiedził króla



Żył dawno temu pewien wieśniak. Był zamożny i w pracy przykładowy, ale choć bogaty i cieszący się powszechnym szacunkiem, to jednak nigdzie nie wyjeżdżał, u nikogo nie bywał i samotny siedział w chacie. Słyszał jednak wiele o królu, tak wiele, że w końcu postanowił chociaż raz zobaczyć swego władcę. Kazał więc napiąć pełne sanie placków, żeby zrobić mu jakiś prezent i ruszył do miasta, w którym żył i mieszkał król.

Dotarł do celu, jedzie powoli ulicą, a naprzeciw wychodzi mu królewski oficer i pyta:

— Co masz na sprzedaż, chłopie?

— Nic — odparł chłop.

— To co w takim razie wiesz na saniach? — dopytywał się oficer.

— Placki. Oddałbym je i jeszcze konia dołożył temu, kto pokaże mi Boga tego świata, bo tak wiele o nim słyszałem.

Oficer, który najpierw myślał, że trafił na głupka, potem zaś, że na **szczwanego** lisa, przestał wdawać się w targi i bez słowa ruszył swoją drogą.

Podążył więc chłop dalej, a po chwili spotkał generała, który tak jak oficer zapytał:

— Co masz na sprzedaż, chłopie?

— Nic nie mam do sprzedania — odparł chłop. — Mam tylko placki i dodam jeszcze konia z saniami temu, kto pozwoli mi popatrzeć na Boga tego świata.

— Dobrze, będziesz mógł go zobaczyć już dzisiaj — odparł generał i zabrał przybysza do swego domu.

Tam zaś placki schowano w spizarni, konia i sanie natomiast w stajni.

Koło południa generał zabrał chłopą z sobą i zawiódł pod bramę zamku. Oczekiwano bowiem, że król uda się dzisiaj do kościoła. Kiedy byli już na miejscu, generał krzyknął:

— Tam, tam jest król! Patrz uważnie! Wyciągnął chłop szyję, ale ledwo zdążył zerknąć we wskazanym kierunku, król był już daleko. Rzekł tedy zmartwiony do generała:

— Prawie nic nie widziałem i nie jestem zadowolony. Chciałbym go widzieć tak, jak teraz tobie w oczy patrzę.

— No cóż, skoro nie jesteś kontent z tego, co widziałeś, to pójdziemy przyjrzeć się mu dokładniej — rzekł generał i podążył z chłopem do kościoła, do którego udał się król.

Chłop, który potrafił już odróżnić króla od innych dworzan, patrzył na niego przez całą mszę. Sam pacierzy ani po fińsku, ani po rosyjsku nie odmawiał, ciągle tylko wpatrywał się w królewską postać. Zauważył to król. Nie dał jednak po sobie nic poznać w czasie nabożeństwa, ale zaraz po jego zakończeniu podszedł do wieśniaka i zapytał:

— Dlaczego Bogu nie służysz, ani po fińsku, ani po rosyjsku, tylko we mnie się cały czas wpatrujesz? Bez żadnej obawy odparł na to chłop:

— Bogu tego świata zawsze służyłem i dalej będę mu służył, ale dzisiaj zobaczyłem go po raz pierwszy i jemu musiałem się przyjrzeć.

— A jak mnie rozpoznałeś? — spytał król.

— Pewien generał wskazał mi Waszą Wysokość.

— Wziął coś za to? — dopytywał się król.

— Ee, gdzież tam, placki tylko, a na dokładkę konia i sanie — odparł chłop.

Król, któremu odpowiedzi przybysza bardzo przypadły do gustu, a co więcej, były dlań bardzo pochlebne, zabrał chłopą na zamek, żeby lepiej zbadać jego rozum. Zadał mu trzy pytania.

Pierwsze:

— Jak wysoko jest niebo?

— Nie jest zbyt wysoko — odparł chłop. — Wystarczy tylko wezwać Najwyższego, choćby po cichutku.



Drugie:

— Jaka głęboka jest ziemia?

— Oj, głęboka musi być, głęboka. Mojego syna już dwanaście lat temu pochowali, a do dziś żadnej wieści od niego nie mam — odrzekł zapytany.

Za trzecim razem zapytał król:

— Jaka szeroka jest ziemia?

Obrócił się na to chłop przed królem dookoła i odparł:

— Nic mądrzejszego już nie wymyślę.

Kiedy skończył się egzamin, król zebrał wszystkich swoich generałów i oświadczył im, że jeżeli któryś z nich nie odpowie na te same pytania tak jak chłop, to zapłaci mu pięćdziesiąt rubli za to, że biedak stracił w mieście placki, konia i sanie.

Generałowie, owszem, wszyscy zgodzili się odgadywać; myśleli,

dumali, co też król ma na myśli, ale im dłużej się zastanawiali, tym mniej z tego wychodziło. W końcu każdy z nich musiał zapłacić chłopu wyznaczoną sumę, zgodnie z rozkazem Jego Wysokości. Kiedy zebrano już wszystkie pieniądze, zapytał król:

— Który z generałów wskazał ci mnie? Chłop podszedł bez namysłu do generała, który pokazał mu króla,[!] rzekł:

— To ten, to ten pan wskazał mi Waszą Wysokość. Ledwo zdążył to powiedzieć, a już generalskie epolety pofrunęły w powietrze. Złapał je król i owinął wokół chłopskiej szyi, mówiąc:

— Boga tego świata należy pokazywać każdemu nie za placki i konia, nie wolno za to brać zapłaty, tak jak to uczyniła ta żalosna generalska kukła.

I tak skończyła się przygoda wieśniaka, który chciał zobaczyć swego króla.

O okręcie, który krążył po lądzie i

morzu

Żyło kiedyś trzech braci: dwaj byli kupcami, a trzeci to po prostu **Kopciuch** z Przypiecka.



Król kraju, w którym mieszkali bracia, nie miał innego potomstwa poza jedną córką. Gdy córka osiągnęła wiek dojrzały i nadeszła pora, żeby wyjść za mąż, król postanowił

przeszkodzić temu, gdyż trudno byłoby mu rozstać się z jedynym dzieckiem. Kazał więc rozgłosić w całym swym królestwie, że nie odda córki nikomu innemu, jak tylko temu, kto będzie miał okręt krążący po lądzie i morzu.

Zaczęto więc budować takie okręty w całym królestwie, ale nikomu nie udało się zbudować takiego, który spełniałby postawione warunki. Zabrali się do budowy również bracia **Kopciucha** z Przypiecka.

Najstarszy brat najął wielu robotników i razem z nimi ruszył do lasu, aby zdobyć tam materiał potrzebny do budowy. Idąc do lasu, natknął się na drodze na starą kobietę, która jak długa leżała w błocie. Staruszka jeszcze żyła, ale nie miała już sił, aby się podnieść z błota. Zaczęła tedy prosić młodzieńca, żeby jej pomógł:

— Pomóż mi, dobry człowieku, dźwignąć się stąd! Można było pomóc kobiecie, ale najstarszy brat nie chciał zatrzymywać się w drodze i minął ją, mówiąc:

— Nie mogę ci, biedna staruszko, teraz pomóc. Mam wielu najemnych robotników, których muszę przypilnować.

Ruszył dalej, ale nie uszedł jeszcze daleko, gdy z przeciwka nadszedł starzec i zapytał:

— Dokąd idziesz, człowieku?

— Idę budować okręt — odparł najstarszy brat. — Okręt, który będzie pływał po lądach i morzach.

— Ach, tak! — rzekł starzec. — Jeśli masz zrobić coś takiego, to weź mnie do pomocy!

Chłopak jednak nie przystał na propozycję i rzekł:

— Nie będę sobie zwracał głowy tobą, staruchu. Mam przecież dużo lepszych cieśli.

I powędrował szybko naprzód. Kiedy uszedł kawałek drogi, dotarł wraz ze swymi robotnikami do rosnącego na piaskach rzadkiego lasu, w którym było pod **dostatkiem** pięknych drzew. Zabrano się więc do budowy okrętu. Budowali, budowali cieśle i szkutnicy okręt, jak tylko potrafili, ale z ich roboty nic nie wychodziło. A przecież byłoby dobrze zbudować taki statek, który by poruszał się po lądzie i po morzu. Skoro jednak nic nie wychodziło z budowy i nie widziano żadnej rady, najstarszy brat postanowił rzucić wszystko i wrócić do domu. Młodszy bracia zaraz po jego powrocie spytali:

— Czyż już ukończyłeś budowę okrętu, że wróciłeś do domu?

— Ba, pewnie bym i zbudował okręt, który zacząłem, ale za nic nie chciałem pływać po lądzie — odparł najstarszy brat, który wrócił z lasu. — Co też temu królowi wpadło do głowy, że żąda takich niemożliwych rzeczy!

I co dalej?

Średni brat nie mógł wytrzymać w domu, choć usłyszał o niepowodzeniu brata. Postanowił sam spróbować. Najął więc wielu zręcznych robotników i zabrał się do dzieła. Przydarzyło mu się jednak to samo co najstarszemu: okręt był gotów, ale po lądzie nie mógł pływać.

W tym czasie **Kopciuch** z Przypiecka siedział spokojnie na przypiecku, rozmyślając w duchu: „Niech inni najpierw spróbują!”

Kiedy jednak i średni brat wrócił do domu, porzucając nie dokończoną robotę, Kopciuch pomyślał: „Teraz ja muszę spróbować, a nuż uda mi się zbudować taki okręt”.

Nie zwlekając, ruszył w drogę. Nie wziął z sobą robotników, a na drogę jeno nieco mięsa od kości i parę kromek chleba. Wędrował sam, wędrował, wędrował traktem, aż trafił na tę samą staruszkę co i jego bracia. Staruszka leżała w dalszym ciągu w błocie i błagała o pomoc:

— Pomóż mi, dobry człowieku, podnieść się!

— Pewnie, że pomogę — rzeki **Kopciuch** i podniósł babuleńkę. Staruszka, stanąwszy na nogi, dała **Kopciuchowi** w podzięcie miedzianą piszczałkę i rzekła:

— Weź ją, będziesz jej jeszcze potrzebował w drodze.

— Dziękuję za podarunek — odparł **Kopciuch**, wetknął piszczałkę za pazuchę i ruszył lekkim krokiem przed siebie.

Na końcu drogi spotkał starca, który spytał **Kopciucha** podobnie jak i przedtem jego starszych braci:

— Dokąd to idziesz?

— Idę budować okręt — odparł **Kopciuch**. — Okręt, który będzie pływał po łądach i morzach, aby dzięki niemu zdobyć córkę królewską.

— Weź mnie więc na pomocnika — zaproponował starzec.

— Chodź — odparł **Kopciuch** i zabrał z sobą starca. Ruszyli we dwójkę i po pewnym czasie doszli do rzadkiego lasu, gdzie zamierzali zabrać się do budowy okrętu. Najpierw jednak **Kopciuch** rozpałił ogień, aby postawić na nim kociołek. Chciał coś ugotować, bo w czasie marszu obydwaj bardzo zgłodnieli. Starzec jednak rzekł:

— Gotuj tutaj grochówkę, a ja pójdę do lasu poszukać drewna na dziób okrętu.

To rzekłszy, zapuścił się zaraz w głąb lasu.

Kopciuch zajął się więc gotowaniem grochówki: patrzył, poprawiał ogień, doprawiał. Kiedy jednak zupa była już prawie gotowa, zerwał się wiatr i kociołek niemalże zsunął się z ogniska. Rozgląda się zdziwiony kucharz, patrzy, a tu z lasu wynurza się okręt pod pełnymi żaglami, a za nim jak pasterz za swym stadem kroczy starzec.

— Czyżby okręt był już gotów? — spytał starca **Kopciuch**.

— Spójrz tylko, już gotów — odparł starzec.

— To ci dopiero robota! Prędko poszła — rzekł **Kopcius**, rad niespodziance. — Chodź teraz, przyjacielu, pojedz grochówki. Napracowałeś się i **pewnieś** bardzo głodny.

Zbliżył się starzec do **Kopciucha** i przysiadł przy ognisku. Pojedli, zapalili, a kiedy odpoczęli nieco, **Kopciuch** z **Przypiecka** poszedł obejrzeć okręt. Rzekł potem do starca:

— Czy nie ruszymy teraz do króla po córkę?

— Jedź sam — odparł na to starzec — cóż ja bym tam miał do roboty. Nie wypada staremu zalecać się.

Skoro starzec nie chciał jechać, **Kopciuch** z Przypiecka ruszył sam. Żeglował na swym okręcie lądem i morzem bez żadnej przeszkody. I oto nadszedł z naprzeciwka mężczyzna i spytał:

— Dokąd się wybierasz?

— Po córkę królewską — odparł Kopciuch.

— Zabierz mnie z sobą — poprosił podróżny.

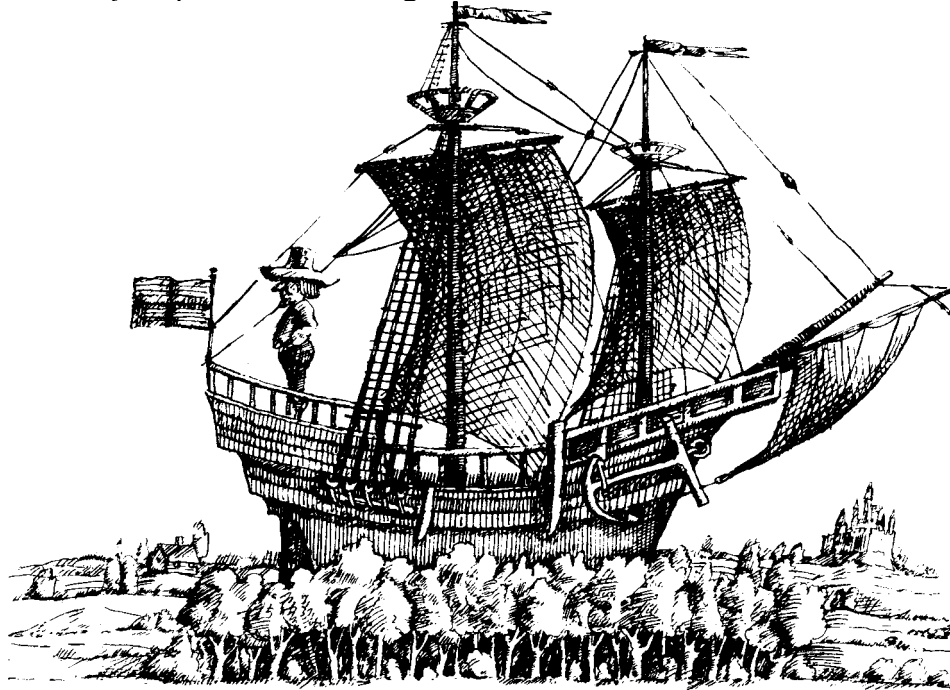
— A kim jesteś? — spytał Kopciuch.

— Jestem Zjadaczem Mięsa i Pożeraczem Kości — odparł mężczyzna.

— Weź mnie na swego towarzysza. Może będziesz mnie potrzebował w drodze.

— Wsiadaj więc, skoro masz ochotę! — rzekł Kopciuch i zabrał mężczyznę na swój okręt, po czym dalej żeglowali przed siebie. Jechali jakiś czas, a oto z przeciwka nadszedł mężczyzna i spytał:

— Dokąd to prowadzi was droga?



— Po królewską córkę — odparł **Kopciuch**. — A kim ty jesteś?

— Jestem **Połykaczem** Wódki i Piwa — odparł tamten. — Weź mnie z sobą!

— Chodź więc, jeśli masz ochotę — rzekł Kopciuch. — Jest przecież na moim okręcie dość miejsca.

Zabrali człowieka na okręt i ruszyli dalej. Ujechali we trzech kawałek drogi, a oto znów nadszedł z przeciwka mężczyzna i spytał:

— Dokąd to się, ludzie, wybieracie?

— Po królewską córkę — odparł tak jak i poprzednio Kopciuch. — A kimże ty jesteś, że pytasz mnie o drogę?

— Jestem Siewcą Zimna — odparł mężczyzna. — Weź mnie z sobą. Może ci się przydam.

— Dobra! Jeśli masz ochotę, to chodź — rzekł Kopciuch z Przypiecka, zabrawł na okręt Siewcę Zimna i ruszyli dalej.

Nie ujechali jednak daleko, gdy z przeciwka nadszedł znowu podróżny i spytał, dokąd jadą. Ten z kolei był **Dalekobiegaczem** i jak poprzednicy poprosił, żeby go z sobą zabrali.

No i cóż! Kopciuch z Przypiecka, który był dobrodusznym człowiekiem, nie robił żadnych trudności, podobnie jak nie robił ich przedtem innym, wziął więc **Dalekobiegacza** na swój okręt i w pięciu **pożegi** owali dalej.

Nie spotkali już nikogo więcej, żeglowali spokojnie przed siebie, aż wreszcie dotarli do królewskiego zamku. Tam Kopciuch z Przypiecka zatrzymał okręt na dziedzińcu, udał się na rozmowę z królem w swym roboczym przyodziewku i rzekł:

— Tu, na twoim dziedzińcu, miłościwy królu, stoi gotowy okręt, który pływa po łądach i morzach. Czy oddasz mi teraz swoją córkę?

— Nie ma przecież takiego pośpiechu — odparł król i wyszedł na dziedziniec, aby zobaczyć, czy okręt rzeczywiście choć trochę przypomina to, czego sobie zażyczył.

Ku swemu zdumieniu stwierdził, że jest pod każdym względem dobry i za nic nie można by zganić jego budowniczych. Bolało go jednak serce, że musiałby oddać córkę takiemu **oberwańcowi** jak Kopciuch, dlatego też zaczął wymyślać przeróżne trudności.

Miał na swym zamku trzysta zajęcy na uczy. Powiedział więc do **Kopciucha**:

— Dam ci córkę dopiero wtedy, gdy **popasiesz** moje zajęce przez cały dzień.

No cóż, **Kopciuch** musiał zadowolić się i tym, skoro nie otrzymał obiecanego wynagrodzenia, jakkolwiek nie po jego myśli był podobny układ.

Nazajutrz rano policzono wszystkie zajęce i polecono mu, żeby paść je cały dzień, a wieczorem przyprowadził z powrotem na zamek, inaczej nic nie będzie z umowy małżeńskiej.

Kopciuch ruszył, aby paść zajęce; zaledwie jednak szaraki wyszły poza obręb dziedzińca, rozproszyły się tu i tam po lesie, rozbiegły się we wszystkie strony świata i niepodobna byłoby ich odszukać! Gdy nie było już widać ani jednej sztuki, Kopciuch ruszył w ślad za nimi i wędrował beztrąsko po lesie.

Nadszedł wieczór, a wtedy Kopciuch wyciągnął zza pazuchy daną mu przez staruszkę miedzianą piszczałkę i dmuchał w nią, bo i tak nie miał nic innego do roboty. Wtedy raptem zaczęły dziać się dziwy. Ledwie zdążył dmuchnąć raz w piszczałkę, a w tejże samej chwili zaczęły się zbierać zewsząd zajęce.

„W tej piszczałce są przecie czary!”, pomyślał Kopciuch. Nie przestawał grać na piszczałce, póki nie przyprowadził wszystkich zajęcy do zamku. Wtedy udał się wprost do króla i rzekł:

— Pasłem cały dzień zajęce i proszę was, miłościwy królu, teraz o córkę.

Nie dostał jednak obiecaną narzeczoną. Król wynajdywał dalsze przeszkody i rzekł:

— Dam ci moją córkę wtedy, gdy zjesz wszystko mięsiwo, jakie jest w moim zamku. Jeśli nie zdołasz zjeść wszystkiego bez reszty, nic nie wyjdzie z twego ożenku.

— Zjem mięsiwo, niech go będzie nie wiem jak dużo — rzekł na to Kopciuch.

Przypomniał sobie bowiem towarzysza, którego zabrał w czasie swej podróży, spodziewając się od niego pomocy. Pożegnał się więc z królem i poszedł do swych kompanów. Tam powiedział Zjadaczowi Mięsa i Pożeraczowi Kości, czego żąda od niego król i poprosił

go, żeby zjadł mięsiwo. Nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Zaraz ruszył Pożeracz do królewskiej spiżarni wypełnionej po brzegi mięsem, spędził tam noc, a kiedy zajrzano rano, połykał już ostatnią kość i skarżył się, że jest głodny.

Obwieszczono więc królowi, że spiżarnia jest całkiem pusta, a **Kopciuch** stawił się wkrótce przed królem i poprosił o narzeczoną.

— Dostaniesz moją córkę dopiero wtedy — rzekł król — gdy wypijesz wszystką wódkę i wszystko piwo, jakie znajdują się w mojej piwnicy.

— Pewnie, że wypiję — rzekł Kopciuch — bo po zjedzeniu takiej masy mięsa czuję ogromne pragnienie. Mięso w waszej spiżarni było słone.

Potem poszedł do swych towarzyszy i opowiedział im swoją sprawę. Poprosił **Połykacza** Wódki i Piwa, żeby ten opróżnił królewską piwnicę. **Połykacz** przystał z ochotą na taką prośbę i przelewał beczkę po beczce do swego brzucha. Gdy rano królewscy służący przyszli zobaczyć, co się dzieje, opróżnił już ostatni antałek i wołał, że dokucza mu pragnienie.

Po tym wszystkim król miał niemały kłopot, jaką robotę wyznaczyć teraz **Kopciuchowi**, który, jak się zdawało, potrafił zrobić wszystko. W dalszym ciągu było mu przykro oddać córkę. Rozmyślał, rozważał sprawę i, jak mu się wydawało, znalazł wreszcie sposób. Kiedy więc Kopciuch przybył znów prosić o córkę, rzekł:

— Teraz dam ci córkę, jak obiecałem. Idź jednak najpierw ze swymi ludźmi wykapać się w saunie. Potem wyprawimy wesele.

Król kazał jednak nagrzać tak mocno miedzianą saunę, że słudzy, którzy stali od niej oddaleni o dziesięć kroków, o mało się nie spalili. Sądził, że teraz Kopciuch wraz ze swymi ludźmi roztopi się.

Ale cóż się stało?

Kiedy mężczyźni ruszyli do sauny, na przedzie szedł Siewca Zimna. Stanął najpierw w drzwiach i ledwo tylko mocno sapnął, ściany sauny zaraz pokryły się szronem. Wtedy w ślad za nim wszyscy weszli do sauny, wykąпали się do woli, bo i pary było pod dostatkiem.

Po kąpeli Kopciuch z Przypiecka stanął wraz ze swymi towarzyszami przed królem i rzekł:

— Teraz, nasz królu, wykąpaliliśmy się i można już wyprawiać wesele.

Król nie wierzył tym słowom. Kiedy jednak wszedł do sauny, przekonał się: ktoś się w niej kąpał, a wszystkie ściany pokryte były szronem.

Bolało serce króla, bolało, bo nie miał ochoty oddać córki takiemu prostakowi jak **Kopciuch** po dobroci, powiedział więc, aby uwolnić się od niego:

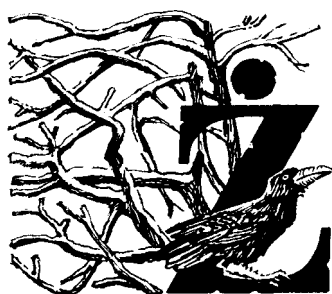
— Jutro wyprawimy wesele i dlatego musisz przynieść wodę życia. Potrafisz to zrobić, dokonałeś przecież trudniejszych rzeczy.

Kopciuchowi dano do ręki butlę, w której miał przynieść wody życia. Ale **Kopciuch** zaniósł ją swemu towarzyszowi, **Dalekobiega-czowi**, i polecił mu, żeby przyniósł w niej wody. **Dalekobiegacz** natychmiast popędził i przyniósł butlę z wodą do zamku, nim minęła północ.

Cóż, obudzono króla pośrodku nocy i **Kopciuch z Przypiecka** wręczył mu butelkę, w której była woda.

Król nie mógł już znaleźć więcej wybiegów, bo ten chłopak potrafił zrobić wszystko. Rozpoczęto więc w końcu przygotowania do wesela i **Kopciuch z Przypiecka** otrzymał królewską córkę za żonę, tak jak to od początku było obiecane.

Tak długa jest ta baśń.



Trzy siostry

Żyły kiedyś trzy siostry, dwie dobre, trzecia niby trochę gorsza, wszystkie zaś jednakowo piękne. Kiedy umarli ich rodzice, córki musiały iść na służbę, aby w ten sposób zarobić na życie. Dwie starsze postanowiły powędrować na zamek królewski, aby tam poszukać miejsca. Poszłyby chętnie i najmłodsza, ale starsze siostry były bardzo dumne i nie przystały na jej towarzystwo, ruszyły same, zostawiając najmłodszą siostrę w domu.

Uszedłszy kawałek drogi, spotkały świnie, która miała przed sobą koryto z jedzeniem i tak przemówiła do dziewcząt:

— Moje miłe dziewczuszki, zabierzcie to koryto, bo objem się tak, że pękne.

— Oho! — powiedziały dziewczęta. — Nie będziemy sobie czymś takim brudzić rąk.

Minęły świnie i poszły przed siebie.

Nieco dalej spotkały idącą naprzeciw krowę z wiadrem na rogach, która błagała:

— Zabierzcie, dobre dziewczęta, wiadro z moich rogów, będziecie mogły mnie do niego wydoić. W zapłacie napijcie się mleka, resztę wylejcie na moje nogi, po czym włożycie wiadro z powrotem na miejsce!

— Nie mamy czasu. Musimy dotrzeć do zamku — odparły dziewczęta i poszły swoją drogą.

Wędrowały chwilę i oto spotkały kuśtykającego naprzeciw staruszka, który rzekł:

— Poszukajcie, dziewczęta, mojej głowy. Dam **wam** w zapłacie moją łaskę.

— Oho, ani nam w głowie zabierać się do czegoś takiego, bo

idziemy do królewskiego zanku — powiedziały dziewczęta i rażno ruszyły przed siebie, aż wreszcie dotarły do celu i tam dostały się do służby.

Najmłodsza siostra tymczasem rozmyślała w domu: „Nic mi nie pomoże to siedzenie w domu, ja również muszę postarać się o służbę, jeśli nie inną, to choćby jako świniarka.

Ruszyła więc także do królewskiego zamku. Na drodze i ona spotkała *świnię-obżartucha*, która prosiła, żeby zabrała koryto. Odsunęła je więc i ruszyła dalej przed siebie. Gdy uszła kawałek drogi, napotkała krowę z wiadrem na rogach, która rzekła do niej podobnie jak i do jej sióstr:

— *Wydój* mnie, dziewczuszko, do tego wiadra. Za zapłatę napij się sama mleka, resztę wylej mi na nogi, a wiadro włóż z powrotem na miejsce!

— Pomogę ci, kochana krowo, pomogę ci — odparła dziewczyna, wydoiła zaraz krowę i zrobiła tak, jak ją prosiło zwierzę.

Później, ledwie ruszyła dalej, spotkała starego, podpierającego się laską człowieka, który kuśtykał na drodze. Ten pozdrowił ją i rzekł:

— Poszukaj mi, dziewczyno, mojej głowy. W zapłacie dostaniesz moją laskę.

Dziewczyna nie zgorszyła się prośbą. Natychmiast przysiadła przy drodze i poszukała tam głowy biednego staruszka, tak jak ją o to prosił. Staruszek podziękował jej za to, dał laskę i rzekł:

— Weź, kochana dziewczynko, tę moją laskę, a gdy przyjdiesz do królewskiego zamku, uderz tą laską w skałę, którą znajdziesz obok zamku, otrzymasz wtedy stamtąd *rzeczy*, jakie tylko będą mogły sprawić ci przyjemność i jakie mogą ci być potrzebne.

— Dziękuję za podarunek — rzekła dziewczyna, wzięła od dziadka laskę i wraz z nią powędrowała do zamku, gdzie najęła się jako świniarka królewskiej trzody.

Odnalazła tam starsze siostry i pozdrowiła je tak, jak zwykło się pozdrawiać rodzeństwo. Siostry były jednak niezadowolone, że przyszła za nimi, czuły do niej złość i szydziły z niej, że zaczęła od tak nędznej pracy. Najmłodsza siostra znosiła wszystko cierpliwie i nie odcięła się nawet jednym złym słowem.

Nadeszła niedziela, więc starsze siostry poszły do kościoła, a najmłodszej kazały ugotować przez ten czas posiłek. Na zupę nie dały jej jednak nic prócz jednego ziarenka grochu i jednego ziarenka pszenicy. Zmartwiło to najmłodszą siostrę, bo nie wiedziała biedaczka, jak z takich lichych zapasów można ugotować zupę. Poszła mimo to pokornie do chaty, postawiła kociołek na ogniu i zapłakała rzewnymi łzami. Przyszedł wówczas stary dziadek, od którego dostała laskę, wszedł do chaty i rzekł:

— Nie płacz, dziewczuszko, idź do kościoła, a ja przez ten czas ugotuję posiłek.

Kiedy dziewczyna zobaczyła, że staruszek zabrał się do pracy, poszła poprosić o pozwolenie udania się do kościoła i powędrowała pod skałę, o której mówił jej staruszek. Gdy uderzyła w nią laską, zjawiły się natychmiast wspaniałe konie i wóz oraz piękna, jedwabna szata, w którą ubrała się i pojechała do kościoła.

Tam jej uroda rzuciła się od razu innym w oczy i wszyscy obecni zdumiewali się, skąd zjawiła się taka cudowna, całkiem nieznajoma panna.

Po nabożeństwie wszyscy zgromadzili się, aby przyjrzeć się jej, ale dziewczyna wskoczyła zręcznie na wóz i pojechała w swoją drogę. Podjechała do skały, zdjęła z siebie wspaniałe szaty i włożyła z powrotem swoje stare, skórzane łachy. Potem powędrowała pieszo do zamku.

W izbie staruszek ugotował już posiłek, tak że nie trzeba było zrobić nic innego, jak tylko podać go na stół. Dzięki temu starsze siostry nie miały okazji do sprzeczeki. Wychwalały się wszakże, że są czymś lepszym niż **siostra-świniarka**:

— Byłyśmy w kościele — mówiły. — Widziałyśmy tam piękną i cudowną pannę. A coś ty widziała?

Najmłodsza nic nie rzekła, wykonywała tylko swą robotę i karmiła świnie, póki nie minął i ten tydzień i nie nadeszła ponownie niedziela. Starsze siostry znów wybrały się do kościoła, a najmłodsza została w domu. Staruszek i tym razem wziął na siebie przygotowanie posiłku. Tak więc dziewczyna udała się zaraz poprosić swego gospodarza o pozwolenie, aby móc udać się do kościoła, po czym

podobnie jak i poprzednio dotarła do skały. Tam dostała znowu piękne, złote szaty, wóz i konie. Wzięła z sobą pieniądze i pojechała godnie do kościoła.

Koło kościoła czekał już młody król. Spodobała mu się piękna nieznajoma, a nie widząc innego sposobu, w jaki mógłby zdobyć o niej wiadomości, kazał swym sługom posmarować próg kościoła smołą, aby pozostał na nim jakiś ślad dziewczyny, gdy będzie opuszczała kościół. Dziewczyna nie wiedziała o pułapce i wychodząc z kościoła, stąpnęła na próg, a wtedy trzewik przylepił się do smoły. W tej samej chwili wyszli ludzie, aby się do niej docisnąć, ale dziewczyna siała dookoła pieniędzmi i wszyscy zostali, aby je zbierać. Tylko młody król podążył za znikającym powozem. Nie zdążyła więc dziewczyna ściągnąć z siebie złocistej szaty, w pośpiechu narzuciła tylko na nią swoje stare, skórzane łachy i uciekła do domu.

Król, nie dogoniwszy dziewczyny, zabrał z kościelnego progu złoty **trzewiczek** i kiedy później dookoła zamku zebrali się wszyscy, wszedł w tłum i rzekł:

— Na czyją nogę ten trzewik będzie pasował, tę dziewczynę poślubię.

Wszystkie dziewczęta próbowały włożyć na nogę bucik, ale żadnej nie pasował. Starsze siostry próbowały również go przymierzyć; **ostrugiwały, oskrobywały** stopy i palce, ale wszystko na próżno: trzewik w żaden sposób nie chciał wejść.

W końcu król rzekł:

— Idźcie i przywołajcie tu także świniarkę. Niechże ten but wejdzie na **czyjąkolwiek** nogę!

Ludziom wydało się to bez sensu, sprowadzili jednak świniarkę i kazali jej przymierzyć trzewik na nogę. Kiedy dziewczyna wsunęła weń stopę, okazało się, że pasuje tak wspaniale, jakby był na nią zrobiony. Kiedy jednak wkładała trzewik na nogę, spod jej starych, skórzanych łachów błysnęła złota szata i młody król zdążył to zobaczyć.

Zdjęto wtedy z dziewczyny jej stare, skórzane łachy i błyszcząca, złota szata ukazała się w swej całej wspaniałości. Wszyscy **do-**

myślili się wówczas, że jest to ta dziewczyna, którą podziwiali w kościele i że to jej trzewik został na kościelnym progu.

W tejże samej chwili młody król poprosił dziewczynę, żeby została jego narzeczoną. Później wyprawiono na zamku wesele i radowali się wszyscy ludzie. Tylko starsze siostry nie mogły na nie przybyć, gdyż musiały sobie leczyć poranione stopy.

I to już wszystko.



Nieustraszony chłopak

Pewien człowiek, którego powszechnie zwano Nieustraszonym, zaciągnął się kiedyś na służbę w gospodarstwie na takich warunkach, że jeżeli gospodarzowi uda się go przestraszyć, to będzie pracował bez zapłaty, jeżeli zaś nie uda mu się ta sztuka, to dostanie całoroczne wynagrodzenie i będzie mógł odejść.

Pierwszej nocy kazano Nieustraszonemu nakarmić konie. Poszedł więc do stajni, a kiedy wziął wiązkę słomy, poczuł w niej jakieś włochate zwierzę. Nie zląkł się jednak, rzucił słomę, skoczył na nią i zaczął deptać bestię, mówiąc:

— Żebyś był diabłem albo i samym szatanem, to i tak cię pokonam!

Wtem usłyszał głos dochodzący ze słomy:

— Przestań, na Boga, przestań już!

Parobek rozpoznał głos gospodarza i puścił go. Gospodarz chciał przestraszyć Nieustraszonego, wdziwając na siebie kozuch drugą stroną i kładąc się w słomie dla koni. Teraz jednak zgodnie z umową musiał wypłacić mu roczny zarobek i zwolnić go ze służby.

Następnego dnia poszedł Nieustraszony na probostwo i zawarł z księdzem taką samą umowę, jak i z gospodarzem. Wieczorem kazał mu ksiądz pójść razem z klucznikiem do kościoła po oleje do namaszczenia chorych. Ledwo weszli do środka, a klucznik zatrzasnął drzwi i zostawił parobka samego w kościele. Rozgląda się Nieustraszony i widzi, że na ławkach siedzą jacyś ludzie bez głów i grają w karty. Podszedł więc do nich i zapytał, czy może przyłączyć się do kompanii. Zgodzili się. Pograli trochę i Nieustraszony wygrał od jednego z bezgłowych dziesięć marek, których ten nie chciał mu dać. Zdenerwował się na to chłopak i zatrzymał go w kościele

aż do następnego dnia, mimo że reszta towarzystwa dawno już **zniknęła**. Wchodzi rano ksiądz do kościoła, widzi, jak jego parobek tarmosi bezgłowego człowieka, i pyta:

— Dlaczego mu dokuczasz?

— Graliśmy w karty, wygrałem od niego dziesięć marek, a on nie chce mi ich oddać — odparł Nieustraszony. Powiedział wtedy ksiądz:

— Puść go, ja za niego zapłacę.

Otrzymał więc parobek roczną zapłatę i ruszył z probostwa.

Poszedł teraz do królewskiego zamku i zawarł z królem taką samą umowę jak poprzednio z gospodarzem i księdzem. Na noc król kazał go umieścić w pewnym starym zamczysku. Zapalił tam sobie Nieustraszony dwie świece, postawił je w białej niszy i czeka. Po pewnym czasie upadła mu do stóp **okrwawiona** ludzka głowa. Podniósł ją i rzucił do niszy. Spadła. Rzucił drugi raz, znowu spadła. Rozejrzał się więc dookoła, gdzie by też ją schować. Patrzy, a pod ścianą leży ciało bez głowy. Wziął więc Nieustraszony głowę i zaczął ją przymocowywać do ciała. Kiedy mu się to udało, przemówił przywrócony do życia człowiek, każąc wziąć parobkowi spod podłogi zapłatę za dobry uczynek. Nieustraszony wziął świeczkę i zagląda pod podłogę, a tam leżą skrzynie pełne złota i srebra — jego zapłata.

Przyszedł rano król do parobka i pyta:

— Nie przestraszyłeś się?

— Nie — odpowiedział parobek. Zapytał więc król:

— Co chcesz w takim razie w nagrodę? A parobek na to:

— Zadowolę się tym starym zamkiem.

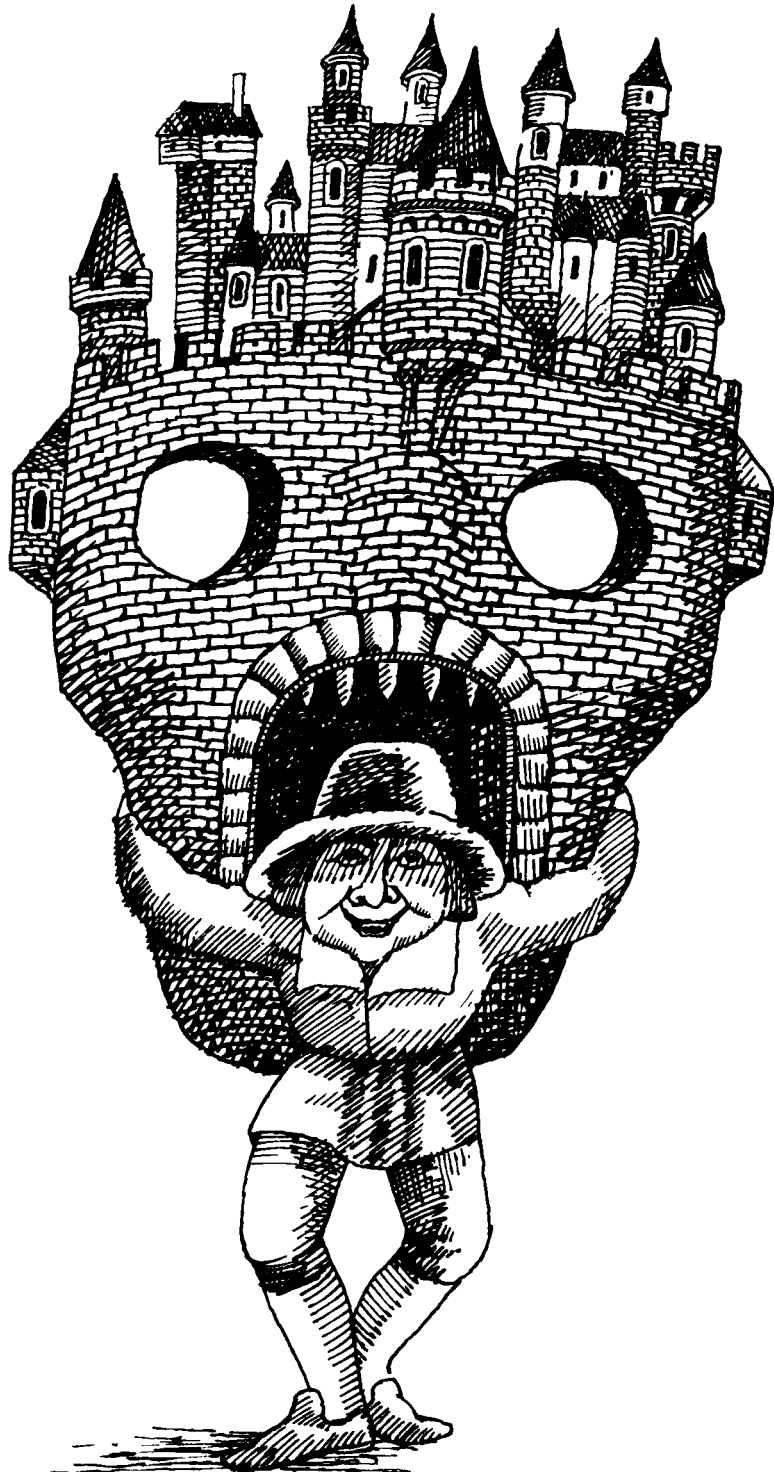
— A co też ty z tym starym zamczyskiem zrobisz? — zdziwił się król.

— Dam ci lepszy.

Parobek jednak twardo obstawał przy swoim, król więc rad **nie-rad** musiał ustąpić.

Następnego dnia Nieustraszony pożyczył grube liny i najął setkę chłopów.

Zdziwił się na ten widok król:



— A co też chce ten chłopak zrobić? Może chce zamek przesunąć, bo na co mu tyle lin?

Najęci chłopci wyciągnęli spod podłogi ukryte tam skrzynie z pieniędzmi, a kiedy król zobaczył, jak bardzo bogaty jest teraz Nieustraszony, postanowił oddać mu swoją córkę. Przystał na to parobek, ożenił się z królowną i sam został królewiczem. Wspaniałe było wesele, zjechało wielu gości z bliska i z daleka, tak jak to na królewskim weselu być powinno. Nowożeńcy żyli potem długo i szczęśliwie w starym zamku króla, a odważny parobek cieszył się przydomkiem Nieustraszonego aż do śmierci.



Król i wędrowny grajek

Żył kiedyś król, który miał piękną, młodą żonę. Bardzo ją kochał. Wybuchła jednak wojna i król na czele swoich wojsk musiał stawić czoła wrogowi. Opuścił więc zamek i zostawił swoją żonę pogrążoną w smutku. Mijały dni i tygodnie, a żadne wieści nie nadchodziły od męża. W końcu któregoś dnia, kiedy królowa z tęsknoty bliska już była śmierci, nadszedł oczekiwany list. Nie były to jednak wieści wesole, jako że król donosił, że dostał się w ręce

wroga i jeżeli ktoś szybko nie dostarczy okupu, to zginie. Długo myślała królowa, kogo by też wysłać z okupem. Nie miała jednak nikogo, komu mogłaby w pełni zaufać. Postanowiła więc udać się w drogę sama.

Niemożliwością było jednak, aby królowa, i to w dodatku młoda i piękna, wybrała się w podróż samotnie. Każdy by ją przecież rozpoznał i z pewnością w kraju wroga dostałaby się do niewoli. Przebrała się więc za mężczyznę i z gitarą w ręce ruszyła z zamku. Wszyscy po drodze brali ją za wędrownego grajka i pozwalali jej iść swoją drogą.

Przez wiele dni wędrowała prawie bez stawy i spoczynku. Szła przez miasta i wsie, przedzierała się przez lasy, przepływała rzeki i jeziora. W końcu po siedmiu tygodniach podróży ujrzała przed sobą, na wysokim pagórku, wspaniały zamek. Jego wieże sięgały nieba, a zachodzące słońce odbijało się w jego oknach złotym blaskiem. Zamek był własnością wrogiego króla.

Królowa wdrapała się po schodach prowadzących do zamku. Na dziedzińcu znalazła małe zakratowane okno. Zajrzała przez nie. W środku, w małej ciemnej celi było wielu więźniów, a wśród nich na słomianym posłaniu leżał także jej mąż. Jeszcze smutniej zrobiło się królowej, zaczęła pięknie grać na gitarze, a jej głos dotarł do

wspaniałych komnat wrogiego króla, który po spożytym właśnie posiłku udawał się na spoczynek. Zbudziły go dźwięki muzyki i zaczął się przysłuchiwać tej cudownej grze. Podeszedł do okna i wyjrzał. Młodzieniec, który grał na dziedzińcu, miał piękną twarz, a złote loki sięgały mu do ramion. Król zauważył jednak, że jego spojrzenie jest tak samo smutne jak jego gra. Posłał służącego na dół, żeby zaprosił grajka do zamku. Tam przez wiele dni pozwolono mu grać ku wielkiej radości króla. Jednakże z dnia na dzień oblicze grajka stawało się coraz smutniejsze. Coraz smutniejsza robiła się też jego muzyka.

— Dlaczego jesteś taki smutny? — zapytał siódmego dnia król. — Czyż nie dałem ci jedzenia i pięknych szat? Czyż nie byłem dla ciebie dobry? Jeśli pragniesz czegoś, powiedz mi, a postaram się spełnić twoje życzenie.

— Puść mnie do domu — poprosił grajek. Król chętnie zatrzymałby grajka przy sobie, ale żal było mu młodzieńca.

— Możesz iść — zgodził się. — Zabierz z sobą tyle złota i srebra, ile tylko chcesz.

— Nie chcę twoich skarbów — odparł chłopak — ale jeśli chcesz mi coś ofiarować, to daj mi za towarzysza jednego ze swych więźniów.

— Wybierz sobie — rzekł król.

Królowa podążyła do celi i zabrała stamtąd swego męża. Potem wraz z nim opuściła zamek.

Król nie rozpoznał jednak swojej żony przebranej za grajka i poprosił:

— Puść mnie na wolność, a uczynię cię bogatym człowiekiem. Jestem królem sąsiedniego królestwa.

— Idź, dokąd zechcesz — odparła królowa i krótszą drogą ruszyła do zamku.

Zaraz po powrocie przebrała się i rozkazała przygotować ucztę na cześć króla. Flagi powiewały na zamkowym dachu, światła migotały w oknach, trąby grały na dziedzińcu, a drogę usłano kwiatami. Królowa zaś w aksamitnej sukni z długim trenem, ustrojona szlachetnymi kamieniami i perłami ruszyła na spotkanie męża.

Król jednak odepchnął żonę.

— Nie jesteś moją żoną — powiedział dumnie. — Nie zrobiłaś nic, żeby mnie uratować! Gdyby nie pewien młodzieniec o złotym sercu, byłbym już dawno temu umarł w więzieniu wroga. Precz z moich oczu, kobieto bez serca!

Królowa z płaczem opuściła zamek. Jednak późnym wieczorem znowu przebrała się w strój grajka i z gitarą w ręce poszła do ogrodu pod królewskie okno. Dźwięki muzyki dotarły do komnaty, w której siedział samotnie pogrążony w smutku król. Kiedy usłyszał muzykę, szybko podbiegł do okna, a gdy zobaczył w ogrodzie swego młodego przyjaciela, pomachał mu ręką i zbiegł schodami na dół.

— Wejdz do środka — powiedział do grajka. Potem wprowadził go po schodach do komnaty i posadził obok siebie.

— Zostań u mnie i bądź moim przyjacielem. Twoja muzyka rozprasza mój smutek i ból.

— Czy nie poznajesz mnie? — zapytał grajek, spoglądając królowi w oczy.

Dopiero wtedy oczy króla jakby się otwały. Rozpoznał żonę i porwał ją w ramiona. Potem żyli razem długo i szczęśliwie.

Trzy prządki



Pewna kobieta miała bardzo leniwą córkę. Kiedyś nie wytrzymała i nuże łajać dziewczynę za to, że nic nie robi.

Przypadkiem obok chaty przejeżdżał królewicz. Słyszając krzyki, wszedł do środka i zapytał:

— Dlaczego bijesz córkę? Matka odparła:

— Bo jest tak pracowita, że dzień i noc nic innego nie robi, tylko przędzie.

Rzekł na to królewicz:

— Skoro twoja córka jest taka pracowita, jak mówisz, to daj mi ją za żonę. Na to matka:

— Dobrze, chętnie ci ją dam, jeśli tylko zechcesz się tak ponizzyć, panie.

Ruszył królewicz z dziewczyną w drogę i zaraz po przybyciu na zamek umieścił ją w pokoju dla przątek, kazał przenieść całą górę wełny i rozkazał narzeczonej **uprząć** ją w ciągu jednego dnia.

Usiadła dziewczyna i płacze:

— Jak ja to **uprzęde**, skoro nigdy w życiu nic nie robiłam? Wieczorem przyszedł królewicz zobaczyć, jak idzie praca. Patrzy, a tu wełna nie tknięta, nic dziewczyna nie zrobiła. Powiedział wtedy:

— Do jutra musisz to wszystko zrobić, a rano dostaniesz jeszcze więcej.

Płacze dziewczyna całą noc i modli się o pomoc. Kiedy przebudziła się rano, a słońce było wysoko, do komnaty weszły trzy staruszki. Na widok tak wielkiej ilości wełny poprosiły ją, żeby **po-**

zwoliła im prząść. Dziewczyna ucieszyła się, że ma pomocnice i chętnie na to przystała.

Przędki zabrały się do pracy, a były tak pilne, że jeszcze przed wyznaczonym czasem uprzedły wszystko i wyszły.

W wyznaczonym terminie wchodzi do komnaty królewicz, żeby sprawdzić, czy wszystko gotowe. Na widok tylu gotowych kłębków wielce się ucieszył z pracowitości narzeczonej i na trzeci dzień kazał dać jej jeszcze więcej wełny i uprząść ją.

Wieczorem, kiedy dziewczyna położyła się, pomyślała sobie, żeby i jutro przędki zechciały jej pomóc. Rano, kiedy się przebudziła, weszły do komnaty te same trzy staruszki, usiadły przy kołowrotekach i zabrały się do pracy, tak że w komnacie tylko furczało. Kiedy już wszystko uprzedły, powiedziały:

— Zaproś nas na swoje wesele i nazywaj ciociami.

Wieczorem przyszedł królewicz, żeby sprawdzić, czy wszystko gotowe. I tym razem pokój pełen był gotowych motków.

Nazajutrz król zarządził na zamku wesele. Dziewczyna poprosiła królewicza, żeby zaprosił także jej stare ciotki, na co on chętnie przystał. Pod koniec pierwszego dnia, kiedy wesele rozkręciło się już na dobre, do królewskich komnat weszły trzy staruszki. Podszedł do nich królewicz, żeby się przywitać. Patrzy na najstarszą, a ta ma nogę grubą jak pień drzewa.

Pyta tedy królewicz:

— Dlaczego masz taką grubą nogę? Oj, brzydka jesteś. A staruszka na to:

— Depcz kołowrotek, depcz tylko kołowrotek! Podchodzi królewicz do drugiej ciotki, a po drodze mówi do narzeczonej:

— Oj, oj, brzydkie jakieś te twoje ciotki. A na to dziewczyna:

— Cóż w tym dziwnego? Jak się człowiek starzeje, to i brzydki się robi.

Patrzy królewicz na drugą ciotkę, a ta ma kciuk gruby jak orli pazur.

Pyta ją:

— A od czego to twój kciuk taki gruby?

A na to ciotka:

— Ciągnij nitkę, ciągnij tylko nić!

Podchodzi królewicz do trzeciej i widzi, że ta ma rozciągnięte usta i wywieszony język. Pyta więc:

— Dlaczego masz takie rozciągnięte usta i taki wywieszony język?

A staruszka na to:

— Liź tylko nić, liź nić!

Usłyszawszy to, zwrócił się królewicz do dziewczyny:

— Już nigdy nie pozwolę ci prząść. Nie chcę, żebyś była taka brzydka jak twoje ciotki!

O braciach, którzy się wzbogacili



Dawno, dawno temu żył sobie biedny staruszek. Umierając, zostawił trzech osieroconych synów. Cóż było robić, bracia podzieli-lili między siebie to, co przypadło im z majątku ojca. Najstarszy syn dostał żarna, średni — stare kantele, a najmłodszy kołowrotek, kołek i łokieć sznurka.

Nie myśląc wiele, przewiesił najstarszy syn żarna przez ramię i wyruszył w drogę. Wędrował, wędrował, aż zaszedł do ukrytej w lesie kryjówki zbójców.

Wszedł do środka, a że nikogo tam nie było, wlaź na krokiew i położył na niej kamienne żarna tak, jak gdyby zabierał się do pracy. Nagle usłyszał, że ktoś wchodzi do jaskini. Rozpoznał rozbójników, a ci, myśląc, że są sami, zaczęli dzielić swoje łupy. Był w ich gronie też jeden młodszy i nieco słabszy. Kompani próbowali go oszukać, a on nie bardzo mógł sobie z nimi poradzić, więc zaczął wołać o pomstę do nieba:

— Jeśli nie dacie mi mojej części, to pomodlę się do Boga, a on zrzuci na wasze głowy kamienie, które was zabiją!

Chłopak, zobaczywszy i usłyszawszy to wszystko, rzucił żarna w sam środek kłócących się. Przerażeni zbójcy uciekli z jaskini, a razem z nimi ten, który prosił Boga o karę. Bali się wrócić do swojej kryjówki i zostawili na podłodze zrabowane pieniądze i najróżniejsze cenne rzeczy. Sprytny chłopak zszedł na dół, wsadził łupy do swego worka i ruszył do domu.

Gdy przybył na miejsce, tak rzekł do braci:

— Czy znajdzie się w tym domu kwarta?

— A na co ci? — spytali bracia.

— Potrzebna do mierzenia pieniędzy — odparł i opowiedział im swoją przygodę.

Średni syn, widząc i słysząc, jak jego starszy brat szybko się wzbogacił i nawet kwartą pieniądze mierzy, choć kiedy ruszył w drogę, nie miał nic oprócz starych żarn, wpadł w zły humor i zaczął się zastanawiać, jak też i swoim spadkiem mógłby zarobić i się wzbogacić.

Wziął stare **kantele** i wyruszył w drogę. Wędrował długo po kraju i świecie, aż w końcu doszedł do stojącej na skraju drogi pustej chaty.

Tu postanowił odpocząć. Do drzwi przywiązał sznur, tak żeby w razie potrzeby łatwo było zamknąć izbę, wziął kantele i wdrapał się na krokiew, pod sam sufit. Nie miał nic do roboty, więc śpiewał, grał i bębnił do taktu.

Zdarzyło się, że obok chaty przechodziło akurat wielkie stado wilków. Słyszając dziwną muzykę, pomyślały zwierzęta, że to głosy prosiąt. Podeszły bliżej i całą zgrają wpadły do środka. Chłopak siedzący na krokwi pociągnął sznur, drzwi się zamknęły i wilki zostały uwięzione. W tej samej chwili, rozzłoszczone, zaczęły wyć i **skowyczeć**, gryząc się nawzajem, lecz muzykant siedział i grał na swoim kantele, ani trochę nie bojąc się złych bestii.

W pobliskiej **wsi** odbywał się akurat jarmark. Śpieszyli nań drogą, która wiodła tuż obok chaty, okoliczni kupcy. Usłyszeli muzykę i towarzyszący jej skowyt, więc podeszli bliżej, by dowiedzieć się, kóż to w tej pustej chacie urządził taki hałas.

Otworzyli drzwi, a wtedy wilki wypadły z chaty na drogę i uciekły do lasu.

Sprytny chłopak zaczął lamentować:

— Oj, oj, wy nieszczęśni, cóż narobiliście, wypuściliście stąd oswojone wilki, które są własnością pewnego wielkiego pana. Uczyły się tańczyć, a ja przygrywałem im na kantele. Teraz mój pan się rozzłości i wsadzi was do więzienia. Ale żal mi was, więc jeśli mi dobrze zapłacicie, to wezmę całą waszą winę na siebie.

Przestraszeni kupcy obiecali mu to, czego tylko sobie zażyczy.

Wówczas chłopak odparł:

— No, wyrzućcie ze swoich sakiewek wszystkie pieniądze, a ja zobaczę, ile tego jest.

Kupcy uczynili tak, muzykant zaś **pozbiarał** pieniądze, a było

ich mnóstwo, i odprawił gości. Poszli do swych domów, błogosławiąc chłopaka, który — jak sądzili — ocalił im życie.

Bogaty dzięki swojemu kantele, wrócił średni brat do domu i zapytał:

— Gdzie jest ta kwarta, którą mierzy się pieniądze? Wtedy najmłodszy syn wpadł w złość i pomyślał:

„Co ja biedny teraz pocznę, bracia zdobyli majątek i są teraz bogaci, a ja nie mam nic oprócz kołowrotka i kawałka sznurka”.

Wziął swój cały dobytek i wyruszył na włóczęgę. Wędrował, wędrował, aż zaszedł na brzeg jeziora, porośnięty wysokimi sosnami. Wziął kołek, wbił go w drzewo, przytwierdził doń kołowrotek i przygotował wszystko do pracy.

Zabrał się do przędzenia, a robił to tak szybko, jak tylko potrafił. Mówił przy tym:

— Przędę, przędę to jezioro do sucha. Wynurzył się z wody syn Vetehinena — boga wód, wylazł na brzeg i zapytał:

— Co tu robisz, człowieku?

— Przędę to jezioro do sucha, wodę w nie zamienię, a ciebie, Vetehinena, stąd wyrzucę! — odparł chłopak. Na to Vetehinen:

— Nie wolno ci tego robić, mój ojciec zabronił! Przybysz udał, że nie słyszy, dalej pracował i powtarzał: — Przędę, przędę to jezioro do sucha.

Syn Vetehinena pośpieszył do ojca i powiedział:

— Na brzegu siedzi jakiś człowiek, ma kołowrotek i przędzie, na nic nie zważając. W dodatku powtarza, że wyprzedzi nasze jezioro do sucha, wodę w nie zamieni, a nas stąd wyrzuci.

Gdy usłyszał to stary Vetehinen, chwilę pomyślał, dał synowi wielki młot, cały ze złota i powiedział:

— Idź do niego, daj mu młot i niech go rzuci. Zobaczymy, który z was jest silniejszy.

Wrócił syn ze złotym młotem na brzeg, a chłopak nadal przadł tak szybko, że aż trząsał się kołowrotek. Gdy ujrzał zbliżającego się młodego Vetehinena, powiedział:

— Patrz, wody ubywa, a nie coraz dłuższa!

— Odpocznij trochę, człowieku, pobawimy się rzucaniem młotem — zaproponował młody. — Ten, który rzuci dalej, zwycięży.

— Dobrze, ale ty rzucaj pierwszy — odparł chłopak. Syn Vetehinena cisnął młotem tak wysoko, że przez chwilę widać go było na niebie, po czym spadł i wbił się głęboko w ziemię.

Przybysz wydobył z wielkim trudem młot z ziemi, lecz nie mógł go podnieść, tak był ciężki. Stał, wpatrując się w niebo.

— O czym myślisz? — pogonił go syn Vetehinena. — Rzucaj, teraz twoja kolej!

— Czekam, aż przyplynie ta chmura, gdy już będzie nad nami, rzuć na nią młot — odrzekł chłopak spokojnie. Przestraszył się młody Vetehinen i zaczął błagać:

— Nie rób tego, bracie drogi, nie rzucaj złotego młota mojego ojca na chmurę, byłaby to dla nas wielka strata.

— Nie cisnę prędeej, chmura za chwilę się zbliży — upierał się przybysz.

Syn wyrwał młot z jego rąk i pobiegł do swego ojca:

— Nie ufam temu człowiekowi, chciał rzucić twój młot na chmurę, ale na szczęście zdążyłem mu go odebrać.

Stary Vetehinen wymyślił drugi konkurs. Młodzi mieli pokazać, który z nich głośniej krzyknie.

Syn Vetehinena wrócił na brzeg i powiedział:

— Będziemy teraz krzyczeć i zobaczymy, kto z nas zdoła krzyknąć głośniej.

I znów chłopak ustąpił pierwszeństwa. Syn Vetehinena krzyknął tak, że zachwiały się drzewa, a z sosen posypały się szyszki.

Gdy przyszła kolej na przybysza, ten zaczął skręcać witkę i ciosać gwoździe.

— Co robisz? — zdziwił się młody Vetehinen.

— Muszę ci najpierw obwiązać witką głowę, a gwoździami zamknąć usta, bo może ci czaszka pęknąć, a wtedy umrzesz. Współzawodnik, bojąc się o własne życie, pośpieszył do ojca:

— Nie mogłem zmierzyć się z tym człowiekiem, chciał mi związać głowę witką i zamknąć usta gwoździami, żeby mi czaszka nie pękła, więc uciekłem.

Chłopak spokojnie powrócił do swego zajęcia, przął i powtarzał:

— Przędę, przędę to jezioro do sucha.

Wraca syn Vetehinena od ojca i proponuje przędzaczemu:

— A teraz zobaczymy, który z nas ma silniejsze i szybsze nogi. Biegnijmy!

Przybysz zauważył śpiącego w zaroślach zająca. Nie myśląc długo, rzekł:

— Już cztery lata mój najmłodszy brat czeka na kogoś takiego jak ty, zacznij bieg od tych krzaków i zmierz się najpierw z nim, a ja tu poczekam. Właśnie śpi, więc **kłaśnij** w ręce, krzyknij, a wtedy on ruszy.

Młody Vetehinen uderzył w dłonie i krzyknął głośno, a zając w tym samym czasie wyskoczył z kryjówki i zaczął co tchu uciekać. Nie miał szans Vetehinen, wrócił i tak rzecze:

— Nie dogoniłem twego brata.

— Więc jak mnie dogonisz, jeśli z nim nie wygrałeś, on jest przecież młodszy ode mnie. Nie mam co z tobą walczyć! — odparł przybysz.

Rad **nierad** przyznał syn Vetehinena rację chłopakowi i wrócił do ojca:

— Jak mam walczyć z tym człowiekiem? Nie wygrałem w biegach z jego młodszym bratem, który miał uszy jak kosy, a oczy jak duże jajka, to co dopiero z nim samym?

Dostał na to taką radę:

— Idź, synu, na brzeg i zmierz się z nim w zapasach, zobaczysz, jak mu pójdzie, może przegra. Staraj się, bo inaczej wyprzedzić jezioro do sucha, a nas stąd wyrzuci.

Wrócił młody Vetehinen na brzeg do przędzącego, żeby się z nim zmierzyć, a ten rzekł:

— Nie będę z tobą walczył, jesteś w kiepskiej formie. Ale możesz spróbować swych sił z moim dziewięćdziesięcioletnim ojczulkiem, mieszka tu w lesie. Dziadek jest trochę głuchy z powodu swej starości, ale kopnij go lekko w plecy, albo **podrap** go po głowie, wtedy usłyszy.

Mówiąc o swym ojcu, myślał chłopak o niedźwiedziu. Gdy syn Vetehinena połaskotał zwierzę w sierść, niedźwiedź się rozzłościł, przewrócił śmiałka na ziemię i połamał mu wszystkie

kości. Chciał go jeszcze zakopać, ale biedak jakoś się pozbiarał i szczęśliwie mu umknął. Pobiegł młody, biadając, do swego ojca:

— Nie wygram z tym człowiekiem. Sam nie chciałem się z mną zmierzyć, lecz kazał swemu staremu ojcu walczyć z mną, a ten, gdy mnie złapał, o mało mnie nie zabił. Co by było, gdyby przybysz pokazał swoją siłę, już bym mu nie uciekł!

Ojciec, stary Vetehinen, odparł:

— No, jeśli nie możemy sobie dać z tym człowiekiem rady, umów się z nim i daj mu tyle pieniędzy, ile tylko zechce, pod warunkiem, że przestanie prząść.

Poszedł młody do chłopaka i zapytał:

— Co chcesz dostać w zamian za to, że zostawisz nas i nasze jezioro w spokoju? Spryciarz odrzekł:

— Nic od was nie chcę, **wyprzędę** jezioro do sucha, a wtedy na dnie znajdę sto razy więcej, niż chcecie mi dać.

Syn Vetehinena błagał go o zgodę i obiecał dać tyle pieniędzy, ile tylko chłopak może unieść.

— No, niech tak będzie — zgodził się przybysz — lecz nie pogniewam się, jeśli dostanę tylko tyle pieniędzy, ile ty sam uniesiesz. Jesteś przecież słabszy ode mnie, a ja przyrzekam ci, że nie wysuszę jeziora.

Pobiegł ucieszony Vetehinen do swego ojca, wziął tak duży wóz pieniędzy, jaki tylko mógł unieść i zaniósł chłopakowi. Ten zaprzestał przędzenia i wrócił z pieniędzmi do domu. Tam, tak jak jego bracia, poprosił kwartę i pokazał im wielki wóz pełen pieniędzy. I on nie był już biedny.

W ten oto sposób trzech biednych braci stało się bogatymi, chociaż spadek ojca nie wydawał się duży.

Diabelski statek



Żył dawno temu myśliwy. Wziął kiedyś łuk na plecy, poszedł do lasu i wędrował tak długo, aż zawędrował do Diabelskiej Góry. Diabłom zmarli rodzice i spadkobiercy zebrali się dużą gromadą. Na szczycie góry leżały wielkie skarby, złote naczynia, złote łyżki, każdy czart miał złoty wóz, a wszyscy do spółki złoty statek, który, gdy tylko się na niego wsiadło, płynął bez niczyjej pomocy przez świat. Gdy diabły zobaczyły zbliżającego się myśliwego z

łukiem na plecach, natychmiast zawołały:

— Chodź, dobry człowieku, i rozdziel między nas te rzeczy, a my nie pożałujemy ci za to pieniędzy i dobrych słów. Myśliwy podszedł do nich i zapytał:

— W jaki sposób puszcza się w ruch te złote wozy i złoty statek?

Wytłumaczyli mu wtedy:

— Gdy uchwycisz się górnej rei, a oprzesz nogi na dolnej, to statek sam rusza. Podobnie jest z wozami.

Kiedy myśliwy dowiedział się, na czym sztuka polega, napiął swój łuk, wystrzelił i rzekł:

— Szukajcie teraz strzały, którą wypuściłem z mego łuku. Kto znajdzie ją pierwszy, temu przypadnie w udziale złoty statek i złote wozy.

Diabły rzuciły się natychmiast na poszukiwanie strzały i pobiegły tak daleko, że nie było ich ani widać, ani słychać. Mężczyzna wiedział wprawdzie, że są daleko, niemniej jednak pomyślał: „Kto wie, czy nie wrócą po swoje rzeczy”.

Szybko więc napełnił statek wszelkim dobytkiem aż po krawędzie burt, wciągnął nań także wszystkie złote wozy i inne skarby, **wsko-**

czyi na statek, wspiał się i uchwycił górnej rei, a na dolnej oparł się obu nogami. Wtedy statek ruszył. Płynął przez różne kraje i morza, **ciż** wreszcie dopłynął do królewskiego zamku i tam stanął.

Zdarzyło się akurat, że królewska córka siedziała na schodach prowadzących do zamku. Gdy ujrziała zbliżający się złoty statek, pokręciła kciukami i pomyślała: „Na takim złotym statku musi jechać największy cesarz na ziemi!”

Potem rzekła do myśliwego:

— Czy zabierzesz mnie, kochany cesarzu, na twój statek? Zostanę twoją narzeczoną.

Słyszac to, mężczyzna spuścił ze statku trap i rzekł:

— O, królewska księżniczko, jestem tylko gospodarskim parobkiem, który nie jest godzien nawet tego, żeby zdejmować ci buty z nóg. Jest przecież dość królów.

Chociaż dziewczyna dowiedziała się, że ma do czynienia ze zwykłym parobkiem, nadal nie przestała prosić:

— Zabierz mnie tylko z sobą! Chętnie zostanę twoją narzeczoną. Ale mężczyzna odparł:

— Jak widzę, **naigrawacie** się tylko ze mnie, pani. Macie przecież królów pod dostatkiem.

W końcu królowa przyniosła przybyszowi na statek wszelkiego rodzaju smakołyki i napitki, a ponadto piękne, dworskie ubrania, kapelusze i buty. Ale wszystko leżało stosem na pokładzie, gdyż mężczyzna nie ośmielił się dotknąć tego nawet ręką.

Wzgardzona dziewczyna krążyła tymczasem smutna dookoła statku. Przez cały tydzień mężczyzna patrzył na nią i widział jej smutek. W końcu więc rzekł:

— No, najdroższa księżniczko, jeśli naprawdę chcesz się związać z gospodarskim parobkiem, to wejdź na mój statek.

Dziewczyna weszła na statek, a mężczyzna ukląkł przed nią i spytał:

— Dokąd teraz popłyniemy, najdroższa księżniczko, na tym pięknym statku?

— Popłyniemy na szerokie morze — odparła królowa. — Jest tam wyspa długa na dziesięć wiorst, cała porośnięta jagodami i innymi owocami.

Uruchomiono więc statek, który wylądował na środku wyspy. Mężczyzna poszedł zbierać jagody, ale ledwie ich spróbował, zapadł w głęboki sen, spał jak zabity i nie przyniósł jagód na statek.

W końcu księżniczka rozgniewała się i rzekła:

— Możesz tu sobie **zembrzeć** na wyspie, ty nędzny gospodarski parobku. Ja zawrócę statek i popłynę do domu.

Zawróciła statek i popłynęła do domu, a mężczyzna pozostał na wyspie, pogrążony w głębokim śnie.

Gdy wreszcie obudził się, statku nie było widać ani słychać, a skarby i inne rzeczy zabrane diabłom odpłynęły wraz z królową. Została mu tylko sakiewka z pieniędzmi. Myśliwego nękał okrutny głód, a nie miał nic do jedzenia. Zbliżył się więc do jednego z krzaków z jagodami, napełnił lewą kieszeń owocami, a jedną jagodę włożył do ust i zjadł. Były to jednak diabelskie jagody, gdyż zaraz wyrosły mu na głowie ogromne rogi, tak wielkie, że ledwie je mógł udźwignąć na karku. Ogarnął go strach.

„Lepiej byłoby wszystko **ścierpieć**, choćby nawet głód jeszcze bardziej mi dokuczał, żebym tylko nie miał tych rogów na głowie. Jeśli przyplyną tu marynarze, wezmą mnie za jakieś leśne lichy i zastrzelą”.

Podszedł później do drugiego krzaka jagód i napełnił jagodami prawą kieszeń. Włożył znów jedną jagodę do ust, rozgryzł ją i połknął. Tym razem trafił na dobrą, gdyż ledwie ją przełknął, spadły mu z głowy rogi i nie było już po nich ani śladu. Mężczyzna zrobił się przy tym tak piękny, że piękniejszego nie było w całym królestwie.

Teraz czekał na wyspie na ratunek. Wreszcie zobaczył, że jakiś statek opuszcza żagle i zbliża się ku wyspie. Natychmiast **zawołał**:

— Dobrzy przyjaciele, uratujcie mnie przed śmiercią na tej wyspie, wynagrodzę was dobrym słowem i pieniędzmi. Zabierzcie mnie z sobą i pokażcie królewski zamek, z którego wypłynąłem na moim statku.

Przybysze zawieźli go więc na ląd i pokazali drogę do królewskiego zamku.

Mężczyzna wszedł na dziedziniec zamku. Król miał tam studnię, pełną czystej wody do picia, z kranem przy wylocie. **Mężczy-**

zna usiadł na jej obrzeżu i zaczął pluskać w niej swymi brudnymi nogami, mącąc przy tym wodę.

Złożyło się tak, że właśnie wtedy kuchmistrz królewski wyszedł na schody zamku. Gdyby był złym człowiekiem, krzyknąłby pewnie natychmiast:

— Dlaczego zabrudziłeś naszą wodę do picia? Teraz jest zła nawet dla nas, a co dopiero dla króla i jego małżonki.

A gdyby usłyszał to król, to natychmiast rozkazałby ściąć przybyszowi głowę. Kuchmistrz wszakże był dobrodusznym, łagodnym człowiekiem. Podszedł do mężczyzny, skinął na niego i rzekł:

— Ach, nieszczęsny, dlaczego zmąciłeś naszą wodę do picia! Jest teraz niedobra dla nas, a co dopiero dla króla i rodziny królewskiej! Gdyby król dowiedział się o tym, kazałby ściąć ci głowę, a i ja mam prawo zrobić to sam.

Wtedy mężczyzna poprosił:

— Kochany panie, nie mówcie nic o tym, ja zaś w zamian uczynię was takim pięknym, jak i ja jestem.

— Dobrze, nic nie powiem — odparł kuchmistrz — jeśli tylko dotrzymasz swej obietnicy.

Mężczyzna dał mu wtedy jagodę do zjedzenia. Kiedy kuchmistrz rozgryzł ją i połknął, zrobił się zaraz tak piękny, że w całym królestwie nie było piękniejszego, a sam gospodarski parobek schował się szybko, żeby nikt więcej nie mógł go zobaczyć.

Potem kuchmistrz przygotował w zamku południową ucztę dla dworu. Wszyscy jedli, pili, śmiali się, aż wreszcie uczta dobiegła końca. Zaraz po niej księżniczka podeszła do kuchmistrza i spytała:

— Co uczyniło cię nagle tak pięknym? Nadworny kuchmistrz odparł:

— Spotkałem na dziedzińcu mężczyznę, który zna sztukę zrobienia pięknym każdego, kto tylko zechce być piękniejszy. Dziewczyna, która uprowadziła statek, rzekła:

— Jeśli uczyni mnie tak piękną, zostanę jego narzeczoną.

— On już zapewne oddalił się — stwierdził kuchmistrz. — Nie miał odwagi pokazywać się, obawiał się, że w obcym mieście ktoś może go zabić.

Ale dziewczyna kazała powiedzieć mężczyźnie:

— Niech się biedaczek niczego nie obawia, ja się nim zaopiekuję. Niechaj tu tylko przyjdzie, choćby bez zaproszenia, dam mu pod dostatkiem jedzenia i picia.

Mężczyzna przyszedł, zaprowadzono go do osobnego pokoju. Tam księżniczka podała mu jedzenie, picie i wszelkiego rodzaju smakołyki. Kiedy jadł i pił, usiadła naprzeciw niego i przemówiła doń:

— Dobry człowieku, zrób mnie tak piękną, jak pięknym uczyniłeś naszego nadwornego kuchmistrza! W zamian za to zostanę twoją narzeczoną.

Ale w sercu mężczyzny kipiał gniew; księżniczka zostawiła go przecież samego na wyspie. Najadł się jednak i napił do syta, a wtedy powiedział:

— Ja, nędzny parobek gospodarski, nie nadaję się, najmilsza księżniczko, na twego małżonka, nie brak przecież królów.

— Skoro mi nie wierzysz — rzekła dziewczyna, która nie poznała, że to parobek, którego zostawiła na morzu — to w takim razie ofiaruję ci generalski mundur, a ponadto złote pieniądze i złote naczynia. Mam tego wszystkiego pod dostatkiem. Dołożę ci jeszcze złoty okręt i złoty wóz. Dam ci to, jeśli tylko uczynisz mnie piękniejszą.

Mężczyzna pomyślał w duchu: „To przecież należało do mnie!” Nie rzekł wszakże nic, królowa natomiast mówiła dalej:

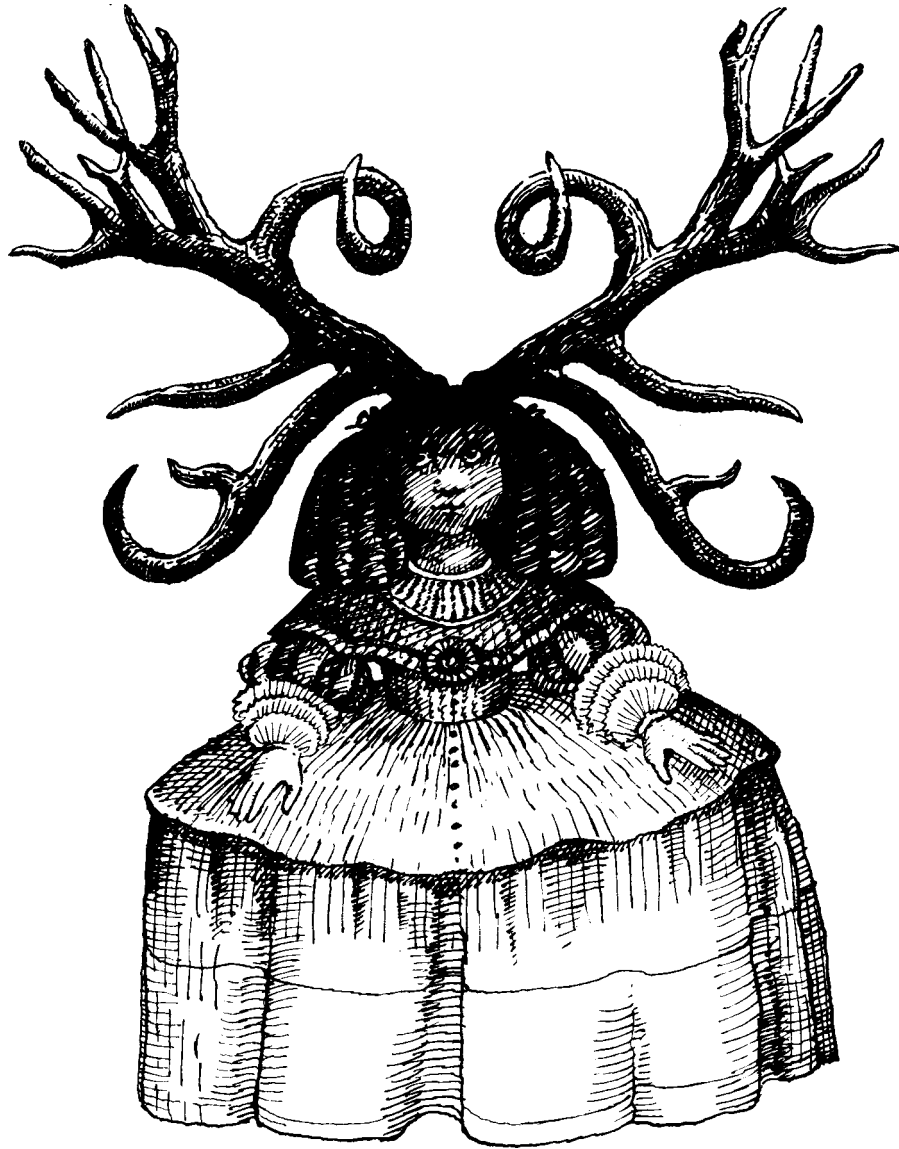
— Nie pozwolę ci odejść, póki nie uczynisz mnie piękniejszą!

Mężczyzna zabrał się więc do dzieła. Szelma jednak wyjął jagodę z lewej kieszeni i dał ją do zjedzenia królowi, a sam czym prędzej się schował, zostawiając jedzenie i picie.

Kiedy dziewczyna rozgryzła jagodę i połknęła, wyrosły jej natychmiast olbrzymie rogi na głowie.

Gdy król ujrzał rogi na głowie córki, chciał je spiłować, ale piła ześlizgiwała się z nich. Wezwano więc dwóch żołnierzy, nadzwyczaj mocnych chłopów, którym kazano podtrzymywać z tyłu rogi, aby biedna dziewczyna mogła się poruszać. Tak to już jest, jeśli w domu jest jeden kłopot, to drugi przychodzi z lasu.

W końcu król rozgłosił w swym całym państwie edykt, że jeśli



jakiś kawaler wyleczy jego córkę i zdoła usunąć rogi z jej głowy, poślubi księżniczkę i zostanie naczelnym wodzem. Jeśli natomiast jakiś żonaty mężczyzna albo jakaś kobieta zdoła uzdrowić księżniczkę, to ofiaruje im tyle bogactw, że wystarczy im na całe życie.

Sala królewska zapelniła się lekarzami, mężczyznami i kobietami. Zbliżali się kolejno do dziewczyny, ale nie mogli zdjąć jej

rogów z głowy. W końcu z tłumu wyszedł i nasz znajomy mężczyzna, ukląkł przed królem i rzekł:

— Miłościwy królu, pozwólcie mi spróbować, czy nie potrafię uzdrowić waszej księżniczki i wyswobodzić jej z tych rogów!

— Mój synu, myślisz więc, że będziesz miał dość siły? Wszyscy, których tu widzisz, też próbowali, ale zazyli jedynie tyle przyjemności, że najedli się i napili do syta.

Mężczyzna oddalił się na chwilę, a potem wrócił i rzekł:

— Miłościwy królu, wśród wszystkich zebranych nie ma nikogo, kto by mógł odłamać rogi. Tylko ja jeden potrafię to zrobić.

— Spróbuj więc, synu — odparł król. — Gdy tylko rogi odpadną z głowy mojej córki, mianuję cię moim naczelnym generałem.

Na to mężczyzna rzekł do króla:

— Każcie tedy usunąć wszystkich obecnych tu uzdrowicieli, a swoim żołnierzom każcie obwieścić radosną nowinę, gdyż ja uzdrowię waszą córkę.

Wszyscy natychmiast musieli opuścić salę, a żołnierze ruszyli, aby obwieścić radosną nowinę. Mężczyzna zaś został z dziewczyną, a do pomocy dano mu służbę. Rozkazał służącej:

— Idź, dziewczyno, włóż chrustu do pieca i nagrzej saunę. Służącemu zaś:

— Idź, chłopcze, przynieś z lasu trzy ładne nierozwidlone witki wierzbowe i namocz je w wodzie, ażebym mógł zdjąć rogi.

Namoczono witki, w saunie przygotowano gorącą wodę i wszystko, co było potrzebne.

Mężczyzna zaprowadził wtedy królowną do sauny, odesłał służbę i zamknął drzwi. Na dziedzińcu tymczasem wojsko wiwatowało.

Mężczyzna uniósł księżniczkę do góry, zawiesił ją za rogi na belce i nuże gorącymi wstkami wierzbowymi chłostać jej ciało, pytając:

— Czy znów zechcesz zostawić mnie samego pośrodku morza, żebym tam umarł? Będziesz uciekać z moim dobytkiem? Oto ja, twój narzeczony, z którego już nie będziesz się naigrawać!

Królowna zaczęła wtedy prosić i błagać:

— Ach, mój dobry człowieku, nie bij mnie! Póki żyć będę, nie uczynię ci nic złego!

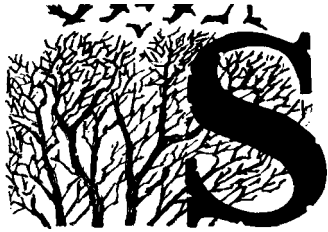
Wtedy mężczyzna dał jej jagodę z prawej kieszeni, jedną z tych dobrych jagód, po czym rogi zaraz odpadły i nie zostało po nich nawet śladu. Dziewczyna zrobiła się wówczas tak piękna, że w całym królestwie nie znalazłoby się ludzi równie urodziwych, co oni oboje.

Teraz w zamku zapanowała radość: wszyscy jedli, pili i tańczyli. Mężczyznę mianowano naczelnym wodzem, a ponadto dostał księżniczkę za żonę.

Na tym skończyła się ta historia.

O księciu zamienionym w psa

Syn pewnego króla został kiedyś zamieniony przez czarownicę w psa. Trafił potem do jakiegoś miasta, daleko poza granice swego kraju. W tym samym



mieście mieszkał kapitan, który przez wiele lat pływał na statkach różnych kupców. Opuściło go jednak szczęście i nikt nie chciał mu już więcej powierzyć swego statku. Włóczył się więc biedny po ulicach miasta, aż któregoś dnia wyszedł mu naprzeciw książę zamieniony w psa i pyta:

— Dlaczego jesteś taki smutny, kapitanie?

— Oj, mam powody. Nikt nie chce mi dać statku i nie mogę żeglować — odparł kapitan.

— Jeśli zechcesz mi pomóc, to i ja ze swej strony pomogę tobie — zaproponował pies.

— Czemu nie — zgodził się kapitan. ¹ — Zaczynaj zaraz budować taki statek, w którym nie będzie ani jednego sęka i codziennie przychodź tutaj do mnie po pieniądze.

Kapitan zaczął budowę statku i codziennie przychodził do psa po pieniądze. Kiedy statek był już gotów, rzekł pies do kapitana:

— Teraz sam pójde sprawdzić, czy nie ma w nim sęków. Ty zaś pamiętaj, że nie wolno ci do mnie mówić w obecności innych. Pójde za tobą, tak jak to zwykle pies za swoim panem.

Poszli więc obydwaj do portu i dokładnie obejrzelili cały statek. We wnętrzu pies zauważył jeden sęk:

— Tutaj jest sęk, każ go usunąć — powiedział do kapitana, a ten, posłuszny rozkazom psa, polecił **odpiłować** belkę i wstawić na jej miejsce nową. Kiedy i to było gotowe, rzekł pies do kapitana:

— Zbierz teraz załogę, kup dwanaście par wołów, dużo innego jadła i napitku. Ruszamy w drogę.

Kapitan wykonał rozkazy i wypłynęli w morze. Po miesiącu żeglugi pies kazał kapitanowi zabić dwa woły i upić marynarzy tak, żeby nie pamiętali, jak długo są na morzu. Kapitan zrobił tak, jak mu przykazał pies. Przy końcu każdego miesiąca sytuacja się powtarzała: zabijano dwa woły i upijano załogę.

Kiedy już po dwunastu miesiącach żeglugi zabito ostatnią parę wołów, powiedział pies do kapitana:

— Idź sam do steru lub przykaż sternikowi, żeby płynął prosto na skałę, która się przed nami pojawi.

Kapitan nie stanął sam za sterem, lecz wydał odpowiednie polecenie sternikowi. Po chwili wyrosła przed statkiem ogromna skała. Strach jednak obleciał w ostatniej chwili sternika, który wykręcił w bok.

— Statek nie popłynął wprost na skałę i dlatego musimy żeglować cały następny rok — powiedział wtedy pies.

Zapasy żywności mocno się skurczyły, ale były jeszcze wystarczające na następny rok żeglugi.

Kiedy upłynął rok, pies powiedział:

— Teraz sam stań za sterem i płyn prosto na skałę, która się przed nami wyłoni.

W tej samej chwili wyrosła przed statkiem wielka skała. Kapitan jednak nie zląkł się i twardo trzymał kurs prosto na nią. Nagle skała rozwarła się przed statkiem i oczom załogi ukazała się piękna zatoczka, a na jej końcu zamek. Rzucili kotwicę w pewnej odległości od brzegu.

— Weź teraz dwóch ludzi do wiosł — rozkazał pies kapitanowi — i płyn do zamku. Są tam trzy księżniczki. Zabierz tej, która siedzi po lewej stronie, **tamborek** i uciekaj co sił w nogach, bo biedny będziesz, jeśli cię złapie.

Wziął więc kapitan dwóch ludzi do wiosłowania, a kiedy przybili do brzegu, kazał im czekać w gotowości i ruszać zaraz, gdy tylko skoczy z przystani do łodzi. Sam zaś poszedł do zamku. Zobaczył tam trzy księżniczki. Tej, która siedziała po lewej stronie, zabrał tamborek i rzucił się do ucieczki. Ruszyła za nim w pogoń i już, już go miała, ale w ostatniej chwili kapitan skoczył z pomostu do łodzi, a załoga natychmiast odbiła. Nie zdołała księżniczka

dosięgnąć szalupy, wpadła do wody i utonęła, a marynarze szczęśliwie dobili do statku i kapitan wręczył psu **tamborek**. Na drugi dzień rzekł pies do kapitana:

— Weź dwóch ludzi do wiosła, płyn na zamek i zabierz tej księżniczce, która wczoraj siedziała w środku, nożyce. Potem uciekaj co sił w nogach, bo jeśli cię dogoni, to spotka cię wielkie nieszczęście.

Kapitan wziął do wiosła tych samych ludzi co poprzedniego dnia i tak samo jak wczoraj kazał im czekać w pogotowiu. Zaraz po wejściu na zamek kapitan podszedł do tej księżniczki, która poprzedniego dnia siedziała w środku, zabrał jej nożyce i rzucił się potem do ucieczki. Księżniczka ruszyła za nim w pogoń i już, już miała go złapać, ale w ostatniej chwili udało mu się skoczyć do łodzi, załoga zaraz uderzyła wiosłami i odbiła od pomostu. Księżniczka natomiast nie zdążyła, wpadła do wody i utonęła. Kapitan dobił do statku i oddał nożyce psu.

Na trzeci dzień powiedział pies do kapitana:

— Każ teraz marynarzom opróżnić swoje kufarki i wszyscy popłyniemy na zamek.

Kiedy kapitan wykonał rozkazy, ruszyli do zamku. Po przybiciu do przystani pies pierwszy skoczył na pomost i w tej samej chwili zamienił się w przystojnego księcia. Jak się okazało, trzecia księżniczka, ta, która została w zamku, była jego siostrą.

Po przybiciu na zamek książę napełnił kufarki marynarzy, ale zrobił to tak, żeby nikt nie widział, co w nich jest. Zabronił im też otwierać je tak długo, aż nie dotrą do końca podróży. Następnie wszystkie luki statku załadowano wiórami, ale i tym razem brat księżniczki zabronił otwierać je komukolwiek, zanim statek nie dotrze do ojczystego portu. Na koniec zaś ostrzegł kapitana, aby nigdy nie sprzedawał statku, bo wtedy zatoni on wraz z załogą. Zabrali więc marynarze swoje kufarki, pożegnali księcia i odpłynęli ze swym kapitanem w rodzinne strony. Książę wraz z siostrą pozostał w zamku.

Płynęli marynarze ze swym kapitanem do domu, lecz w czasie żeglugi jeden z nich nie wytrzymał z ciekawości i otworzył swój kuferek. Zajrzał tam i znalazł w nim końskie łajno.

Kiedy statek przybił już do portu, otwarto luki i znaleziono w nich pełno złota. Otwierają marynarze swoje kufarki, a i tam pełno złota, z wyjątkiem tego jednego, którego właściciel nie wytrzymał i znalazł w nim końskie łajno.

Kapitan i jego załoga stali się bogaci, a kiedy wszyscy poznali już historię ich rejsu, każdy prawie kupiec w mieście chciał nabyć statek, oferując w zamian ogromne sumy pieniędzy. Tłumaczył im kapitan, że to statek nieszczęśliwy i zaraz, jak tylko zmieni właściciela, zatonie. Kupcy jednak nalegali, tak że kapitan w końcu zmiękł i dał im statek. Nie wziął jednak za niego pieniędzy. Kupcy zaś załadowali statek, wypłynęli w morze, ale ledwo się tam znaleźli, okręt zatonął, a wraz z nim cała załoga.

O dziewczynie, która szukała braci

W pewnej chacie mieszkał mąż i żona. Urodziło im się już dziewięciu



synów, lecz ani jedna córka. Chłopcy pogniwali się na rodziców, że ci nie ofiarowali im siostry, i kiedy matka znów stała się brzemienna, synowie opuścili dom, obawiając się, że i tym razem urodzi się chłopak. Uciekli daleko w głąb lasu, gdzie zbudowali sobie dom. Było im jednak ciężko bez gospodyni, matka zaś była brzemienna. Po pewnym więc czasie jeden z braci wybrał się do ich dawnego domu, żeby dowiedzieć się, co się urodziło: córka czy znów syn.

Matka jednak jeszcze nie urodziła. Syn więc postanowił wrócić do lasu, ale na odchodnym rzekł do matki:

— Gdy tylko urodzisz dziecko, zrób znak na drzwiach domu. Jeżeli będzie to dziewczynka, wystaw wrzeciono, jeżeli chłopak, to zawieś tam trzonek siekiery. Kiedy przyjdę i zobaczę trzonek siekiery, nie wejdę wcale do izby. Jeżeli wszakże zobaczę wrzeciono, wtedy wejdę do chaty i zabiorę was wszystkich: ciebie, ojca i siostrę.

Tejże samej nocy kobieta urodziła córkę i na znak tego-zawiesiła na klamce, tak jak było umówione, wrzeciono. W nocy jednak zakradła się pod chatę czarownica i na miejsce wrzeciona zawiesiła trzonek siekiery.

Tymczasem bracia odbyli naradę i wysłali jednego spośród siebie, ażeby sprawdził umówiony znak. Gdy przyszedł na podwórze i zobaczył trzonek siekiery zawieszony na klamce drzwi, rozzłościł się i nie zaszedł nawet porozmawiać z rodzicami, lecz wrócił do swych braci i powiedział im, jak rzeczy stoją.

Od tej pory nie było nic słychać o chłopcach, żyli sami w puszczy na odludziu, a rodzice ze swą córeczką mieszkali, jak poprzednio, w starym domu.

Kiedy córka wyrosła na dorosłą pannę, matka opowiedziała jej, jak to jej dziewięciu braci na skutek oszustwa czarownicy na zawsze odeszło z domu i zamieszkało gdzieś w głuszy.

Opowieść głęboko poruszyła córkę. Biedna dziewczyna zapłakała nad niedolą swych braci, płakała ranki i wieczory. Matka usiłowała pocieszyć ją, ale przygnębienie nie opuszczało serca dziewczyny, przepelnionego smutkiem i tęsknotą.

W końcu, gdy już nic nie mogło pomóc, matka zebrała płynące łzy dziewczyny w naczynie, dodała mąki i zrobiła z tego bochenek chleba. Potem rzekła do córki:

— Nie płacz już, córeczko! Gdybyś tylko znalazła wiernego towarzysza, mogłabyś wyruszyć na poszukiwanie braci.

Dziewczyna miała psa, który wabił się **Pilkka**. Był jej bardzo wierny i wszędzie jej towarzyszył. Poprosiła więc matkę:

— Pozwól mi, matko, ruszyć na poszukiwanie. Mój pies Pilkka jest przecież wiernym towarzyszem.

Matka nie widziała innej rady, pobłogosławiła więc córkę na drogę, dała jej chleb zrobiony z łez i kazała toczyć go przed sobą, aby pokazywał jej drogę.

Dziewczyna ruszyła ze swym psem w drogę. Dany jej przez matkę bochenek chleba toczyła przed sobą i mówiła:

*Tocz się, tocz, mój bochenku, do
dziewięciu moich braci, do dziewięciu
braci zrodzonych z łona tej samej matki!*

Wędrowała za chlebem, nie zaszła jeszcze daleko, gdy spotkała na drodze czarownicę, która przyłączyła się do niej. Ledwie uszły kawałek drogi, a już zaczął im dokuczać skwar, była bowiem najgorętsza pora lata. Ujrzały nie opodal staw i czarownica rzekła do dziewczyny:

— Pójdźmy, dziewczuszko, ochłodzić nasze ciała. Żar leje się z nieba.

Dziewczyna byłaby poszła, ale Pilkka ostrzegł ją:

— Nie idź. Czarownica oszukuje cię!

Usłyszawszy ostrzeżenie psa, dziewczyna nie zboczyła z drogi

i z kąpieli nic nie wyszło. Rozeźliło to jednak czarownicę, która kopnęła psa tak mocno, że złamała biedakowi nogę. Dziewczynie było ogromnie żal starego przyjaciela, ale bała się czarownicy i nie śmiała powiedzieć czegokolwiek. Potoczyła więc tylko dalej swój bochenek i mówiła:

*Tocz się, tocz, mój bochenku, do
dziewięciu moich braci, do dziewięciu
braci zrodzonych z łona tej samej matki!*

Chleb toczył się i dziewczyna wędrowała za nim wraz z czarownicą. **Pilkka** nie opuścił swojej pani i kuśtykał z tyłu na trzech łapach.

Po pewnym czasie znalazły się znów nad brzegiem stawu i czarownica znowu zaczęła kusić dziewczynę:

— Wykąpmy się, ochłodzimy nasze ciała, łatwiej nam będzie później wędrować.

Dziewczyna zamierzała już iść, ale **Pilkka** ostrzegł ją:

— Nie idź, moja dziewczusko, pływać. Czarownica oszukuje cię.

Dziewczyna posłuchała rady i nie poszła pływać. Wtedy i czarownica zrezygnowała z kąpieli, ale znowu rozgniewała się okropnie, a ponieważ nie mogła zrobić nic innego, kopnęła z całej siły psa i złamała mu drugą nogę.

Dziewczynie ścisnęło się serce, ale i teraz nie miała odwagi powiedzieć czegokolwiek czarownicy, toczyła więc tylko dalej swój bochenek i mówiła:

*Tocz się, tocz, mój bochenku, do
dziewięciu moich braci, do dziewięciu
braci zrodzonych z łona tej samej matki!*

Wszyscy szli za toczącym się chlebem. Czarownica cieszyła się już, że uwolniła się wreszcie od **Pilki**, ale wierny pies biegł na dwóch łapach za swoją panią, a biegnąc tak, rzekł jej:

— Jeśli przyjdzie na mnie czas i umrę, proszę cię, kochana

dziewuszkę, nie wchodzi z czarownicą do kąpielni, bo ona chce cię zgładzić.

Nie upłynęło wiele czasu, gdy przed nimi ukazał się znowu staw i czarownica zaczęła zaraz namawiać dziewczynę:

— Wykąpmy się, ochłodzimy się w ten upał.

Dziewczyna jednak, pomna ostrzeżenia psa, nie chciała wejść do wody, więc i czarownica nie mogła popływać. Ogarnęła ją z tego powodu taka wściekłość, że złamała **Pilkce** trzecią nogę, ażeby usunąć go z drogi, ale ten skakał na jednej nodze za swoją panią i gdy dotarli do czwartego stawu, przeszkodził raz jeszcze w kąpielni.

Wtedy czarownica wpadła w furję, schwyciła drąg i uderzyła nim **Pilkkę** w głowę. Padł martwy. Dziewczyna nie mogła pomóc biednemu psu, sama bała się czarownicy. Smutna, toczyła dalej chleb zrobiony z jej łez, i obie z czarownicą powędrowały dalej.

Gdy uszły kawałek drogi, dotarły na brzeg małego stawu. Tam czarownica znowu zaczęła namawiać słodkimi słówkami dziewczynkę, żeby popływała, skarżąc się, że sama jest cała zlna potem. Dziewczynie również upał zaczął bardzo dokuczać, a ponieważ nie było już **Pilkki**, który mógłby ją ostrzec, sama zaś zapomniała, że ma być ostrożna, ściągnęła z siebie na brzegu ubranie i weszła z czarownicą do stawu. Podczas kąpielni czarownica powiedziała do dziewczyny:

— **Pryśnij** mi wodą w oczy, a ja prysnę tobie. Dziewczynie wcale się to nie podobało, ale czarownica wabiła ją i nie dawała spokoju, póki ta nie posłuchała jej i nie **prysnęła** jej wodą w oczy. W tym momencie czarownica prysnęła wodą w oczy dziewczyny i rzekła:

— Twój wygląd dla mnie, mój wygląd dla ciebie. Dziewczyna była bowiem delikatna i piękna, czarownica zaś brzydka i odrażająca. Po wypowiedzeniu zaklęcia dziewczyna stała się brzydka, podobna do czarownicy, wiedźma natomiast przybrała jej postać. Ponadto odebrała dziewczynie rozum i mowę, aby nie mogła zdradzić oszustwa.

Po kąpielni czarownica wędrowała dalej z dziewczyną, toczyła przed sobą chleb zrobiony z jej łez i powtarzała wypowiedane przez nią wcześniej słowa:

*Tocz się, tocz, mój bochenku,
do dziewięciu moich braci,
do dziewięciu braci*

zrodzonych z łona tej samej matki! Bochenek toczył się, toczył, aż wreszcie dotarł do domu braci, gdzie zatrzymał się na podwórzu. Czarownica podniosła go, schowała i weszła z dziewczyną do izby. Stały tam przez chwilę, po czym bracia spytali:

— Z jak daleka przybywacie, goście?

Dziewczyna chętnie wyjaśniłaby im wszystko, ale biedactwo nie mogło tego uczynić, straciło przecież mowę i rozum. Musiała więc siedzieć milcząco, a czarownica, pod postacią dziewczyny, odparła na pytanie braci:

— Pozdrawiam was, moi braciszku! Jestem przecież waszą siostrą, dziesiątym dzieckiem waszej matki, którego wy jeszcze nie znacie.

Zdziwili się na to bracia i zapytali:

— Dlaczego więc na kłamce wisiał trzonek siekiery, skoro matka urodziła córkę?

— Zamieniono znak — wyjaśniła czarownica — nie wiadomo co za **hultaj!** Matka zawiesiła zgodnie z umową wrzeciono, ale w nocy ktoś zamienił je na trzonek siekiery. Później, gdy dorosłam i dowiedziałam się od matki, że oszustwo wypędziło was na zawsze z domu, rosło we mnie coraz silniejsze pragnienie, żeby was, braciszku, zobaczyć. Błagałam tak długo matkę, aż wreszcie pozwoliła mi poszukać was. Łzy, które wypłakiwałam z tęsknoty za wami, matka zebrała w naczynie, zmieszała z mąką i upiekła chleb, który kazała mi toczyć przed sobą, aby pokazywał mi drogę. Zrobiłam, jak mi kazała, i w ten sposób przybyłam tu. To zaś jest chleb, który nasza matka upiekła dla was. Weźcie go, moi braciszku!

Tak kłamała czarownica, a bracia uwierzyli jej i zaczęli traktować ją tak jak rodzoną siostrę. Spytali wszakże:

— Dlaczego przyprowadziłaś z sobą tę brzydką dziewczynę?

— Ach, w tak wielkim gospodarstwie może przecież przydać się jako pasterka — rzekła czarownica.

I już więcej nie mówiło się o dziewczynie. Biedaczka była **zgnębio-**

na, że nie może pozdrowić swych braci. Ale co miała robić, skoro rozum i język odmawiały jej posłuszeństwa? Musiała tylko słuchać, jak czarownica kłamie.

Ta wkrótce zaczęła gospodarzyć w domu braci i zachowywała się tak, jakby była tu zawsze. Tymczasem prawdziwa siostra musiała całymi dniami paść w lesie krowy i znosić wszelkie upokorzenia. Co dzień rano czarownica towarzyszyła dziewczynie do końca leśnej ścieżki. Tam przywracała jej rozum i mowę, aby mogła paść bydło. O zmierzchu jednak wychodziła jej na spotkanie i ponownie je odbierała. Długo żyła tak dziewczyna w domu braci, a czarownica starała się jej dokuczać na każdym kroku. Nawet gdy piekła chleb, to do bochenka dla pasterki wsadzała do środka kamień i otaczała go tylko cienką warstwą ciasta. I taki właśnie bochenek dawała dziewczynie do lasu.

Doskonale natomiast wiodło się samej czarownicy. Była bowiem piękna i bracia strzegli jej jak źrenicy oka, zaspokajając każde jej życzenie. Natomiast pasterki, która była taka brzydka, najchętniej pozbyliby się z domu, gdyby czarownica nie trzymała jej po to, aby mieć komu dokuczać.

W nocy, którą dziewczyna spędzała w domu, brakowało jej rozumu i była niema, tak że nie mogła się nikomu pożalić. Dopiero o świcie na pastwisku odzyskiwała przytomność umysłu, którą miała dawniej. Tam skarżyła się na swoją niedolę i śpiewała w swym cierpieniu:

*Wędruj, słońce, za las sosnowy,
samo złote, za gąszcz brązowy!
Możesz zostać za świerczyną,
A ty wracaj do domu, dziewczyno!
Ach, czarownica jest moją panią,
Zła kobieta domu gospodynią.
Wkłada kamień do mego chleba,
I ten kamień gryźć mi trzeba.
Stępiłam już nóż na tym chlebie,
Ale braci mych dotąd nie przycisnęłam do siebie.
Ach, wy moi braciszku mili,
Coście się z tej samej matki łona zrodzili!*

Bracia często, gdy pracowali poza domem, słyszeli tę pieśń, jak rozbrzmiewała od strony łąki i zdumiewali się, że pasterka śpiewa zawsze w lesie, a w domu nie odzywa się ani słowem. Nie przyszło im wszakże do głowy, żeby wyjaśnić tę zagadkę, gdyż dziewczyna ich zdaniem była tak odrażająco brzydka, że ledwie mogli **ścierpieć** jej widok.

Pewnego wieczoru wszakże, gdy powietrze było ciche i jasne, pieśń pasterki wydała się najmłodszemu z braci, który ścinał drzewa w lesie, tak piękna i urzekająca, że nie mógł się oprzeć pokusie, żeby przekonać się, czy to rzeczywiście ona śpiewa tak pięknym głosem. Rzucił więc robotę i powędrował w stronę, skąd płynął głos. Niebawem znalazł w gąszczu leśnym śpiewającą dziewczynę i spytał:

— Powiedz mi, dziewczusko, dlaczego śpiewasz zawsze w lesie, a w domu nie odzywasz się nawet słowem?

— Ach! To ja jestem waszą prawdziwą siostrą — odparła dziewczyna. — A ta, którą uważacie za nią, jest czarownicą. W podstępny sposób przyjęła moją postać, a oddała mi swoją. W dodatku odebrała mi rozum i mowę, abym nie mogła wyjawić **wam** tego oszustwa. Gdy wysłała mnie do lasu, oddaje mi zawsze rozum i mowę, abym mogła paść bydłeta, ale wieczorem wychodzi mi naprzeciw i robi mnie znowu niemą i głupią.

Gdy brat usłyszał opowieść dziewczyny, poczuł, że to właśnie ona jest jego siostrą i zrozumiał podstęp czarownicy. Objął i ucałował dziewczynę — rodzoną siostrę, jakkolwiek biedaczka była jeszcze bardzo brzydka.

Potem pobiegł przywołać innych braci. Niebawem zebrali się wszyscy i dziewczyna opowiedziała ponownie, co przeżyła, jak czarownica ją oszukała i jak potem dokuczała jej wszelkimi sposobami.

Bracia pozdrowili uszczęśliwioną siostrę, współczuli jej, że musiała dla nich wycierpieć tyle nieszczęść i przykrości i uroczyście przyrzekli, że odpłacą za to czarownicy. Przedtem jednak naradzali się, jak ich siostra mogłaby odzyskać poprzednią postać i w jaki sposób zapobiec, żeby czarownica nie odebrała jej przed powrotem do domu rozumu i mowy.



Wreszcie znaleźli takie wyjście, że siostra ma wrócić do domu z pastwiska w dzień, zakryć porządnie oczy i skarżyć się, że ją bolą. Wtedy bracia przyjdą jej z pomocą, aby czarownica skończyła raz na zawsze ze swymi podstępami.

Dziewczyna zrobiła, jak się umówiono, i wróciła tego dnia wcześniej do domu, aby czarownica nie zdążyła wyjść na jej spotkanie. W ten sposób dziewczyna weszła do izby, władając w pełni rozumem i mową. Czarownica zaś spytała ją ze złością:

— Czemu wróciłaś z pastwiska pośrodku dnia?

— Nie mogłam dłużej wytrzymać w lesie, bolą mnie tak strasznie oczy — odparła dziewczyna, biadoląc żałośnie.

W tejże samej chwili weszli do izby bracia i udając, że współczują pasterce, rzekli do czarownicy:

— Pluń, siostrzyczko, w oczy biednej pasterce, aby wyzdrowiała i mogła wykonywać swoją robotę.

Czarownicy nie wypadało pokazywać swej złości wobec innych, więc plunęła w oczy dziewczynie. Ta jednak trzymała się na baczności i natychmiast powiedziała:

— Twój własny wygląd dla ciebie, mój wygląd dla mnie.

I od razu odzyskała dawną postać i była tak delikatna i piękna jak przedtem. Czarownica natomiast stała się z powrotem brzydka i odrażająca, tak jak kiedyś.

Teraz bracia zaczęli się zastanawiać, jak ukarać czarownicę za jej nieczne postęпки. Napalili w saunie, a pod pomostem wykopali dół, który wypełnili rozpaloną smołą. Przykryli go deskami, które miały wytrzymać tak długo, póki ogień ich nie przepali. Na drodze do sauny i na pomoście rozpostarto czarny filc, ażeby podstępnie nie można się było domyślić. Gdy to zrobili, dwóch najstarszych braci poszło odprowadzić czarownicę do sauny, jak zwykle się robić z siostrą.

Czarownica wszakże wzbraniała się, mówiąc, że nie ma ochoty na kąpiel. Namawiali ją jednak tak długo, aż wreszcie zgodziła się. Obaj wprowadzili ją pod ręce na filcowy chodnik. Gdy doszli do drzwi sauny, czarownica nie chciała wejść na próg. Rzekła:

— Skoczę stąd obok pieca, a stamtąd na ławę. Ale obaj bracia powstrzymali ją i prosili:

— Wejź, nasza jedyna siostrzyczko, dostojnie, jak przystoi, na rozpostarty na pomoście czarny chodnik filcowy.

I w końcu czarownica ustąpiła. Gdy wolno wkroczyła na pomost, prowadzona przez swych towarzyszy, deski nie wytrzymały i czarownica runęła w ognisty grób. Jednocześnie bracia zamknęli od zewnątrz drzwi i sauna zajęła się ogniem. Pośród płomieni czarownica wykrzyknęła jeszcze:

— Zamiast mnie niech tu przyjdą: szarańcza z moich oczu, kruki z moich uszu, sroki z moich włosów, wrony z moich palców na zagładę ludzi i ich bydła!

Taka długa jest ta baśń.

Kopciuch



Żył kiedyś staruszek, który miał trzech synów: dwóch żwawych i pracowitych, trzeci zaś, najmłodszy, był **kopciuchem** niezdatnym do niczego. Ponieważ ów człowiek był stary i słaby, oddał już gospodarstwo synom. Starsi gospodarowali na nim przykładowo i w chacie panował dostatek. Przykładali się pilnie do pracy, handlowali, ubierali się jak należy i dzięki temu lubili ich i cenili i król. i okoliczni sąsiedzi.

Kopciuch zaś nie kwapił się do roboty ani też nigdy nie brał na swe barki żadnego trudu, całymi dniami wylegiwał się leniwie na piecu i schodził z niego zakopcony i brudny tylko na posiłki. Wprawdzie gdy chciał, potrafił być zręczny i mądry we wszystkim, a zwłaszcza w mowie. Toteż ojciec kochał go za to i uważał go za tak samo dobrego jak dwaj pozostali. Z tego też powodu bracia nienawidzili Kopciucha i gdy tylko ojca nie było w pobliżu, wymyślali mu bezustannie, wypominali, że jest taki brudny i leniwy. Szydzili z niego, przezywając go kopciuchem, śmierdzielem, gdy się tylko nadarzyła sposobność. Kopciucha jednak wszystko to mało obchodziło. Śmiał się tylko z tych zaczepek i kpin braci. Przewracał się na piecu na drugi bok i sam w odpowiedzi rzucał co pewien czas swym braciom jakieś dowcipne słówko.

Tak upłynęło wiele lat. Ojciec starzał się coraz bardziej, aż wreszcie zapadł na ciężką chorobę i czuł zbliżającą się już śmierć. Przywołał więc do siebie synów. Przyszli. Kopciuch także zsunął się z pieca na dół. aby pożegnać się z ojcem.

Starzec patrzył jakiś czas na synów, odwrócił się do nich i rzekł ze łzami w oczach:

— Moi kochani synowie! Widzicie, że jestem już na skraju. grobu. Niewiele już chwil mam do przeżycia, niebawem odejdę i zo-

stawię was tutaj. Przed rozstaniem się chcę podzielić między was cały mój majątek na trzy równe części, po jednej części dla każdego. Weźcie to i żyjcie zawsze w miłości i zgodzie. Ale posłuchajcie, co **wam** jeszcze powiem na ostatek: gdy umrę, pochowajcie mnie, jak przystoi, i przychodźcie na mój grób pomodlić się za mnie do Boga, pamiętajcie, każdy kolejno, przez trzy noce z rzędu. Przymierzcie mi to!

Synowie przyrzekli, łzy popłynęły im z oczu. a starzec, wypowiedziawszy te słowa, zapadł w śmiertelny sen.

Pogrzeb, zgodnie z wolą starca, urządzono z wszelkimi honorami. Teraz synom nie pozostało nic innego, jak przychodzić modlić się na grobie, aby spełnić daną obietnicę. Pierwszy miał modlić się najstarszy syn, ale on się bał, nie miał odwagi spędzić samotnie nocy na cmentarzu. Powiedział więc do **Kopciucha**:

— Idź zamiast mnie pomodlić się na grobie ojca. ja muszę jechać na jarmark i przywiozę ci stamtąd ładne ubranie.

Kopciuch kochał zawsze gorąco swego ojca i chętnie poszedł zamiast brata na grób. Modlił się tam dwie noce, a trzeciej wykopał trumnę ojca z grobu, otworzył ją i ucałował jego ciało. Starzec podniósł się. usiadł, otworzył oczy i zobaczywszy **Kopciucha**, spytał:

— Czy twoi bracia przychodzili już pomodlić się na grobie?

— Nie — odparł **Kopciuch**.

— Żaden z nich? — spytał ojciec.

— Nie! — zapewniał **Kopciuch**. — Najstarszy brat, na którego przypadła teraz kolej, bał się cmentarza i nie miał odwagi przyjść. Prosił więc, żebym modlił się zamiast niego, to i przyszedłem.

— Syneczku — zwrócił się wtedy ojciec do **Kopciucha** — idź do domu, na podwórzu znajdziesz źródło, umyj się w nim najpierw, potem idź za stodołę, krzyknij trzy razy gniewnym głosem, obmyj się znowu w źródle, a potem przyjdź do mnie.

Kopciuch tak uczynił i obmył się w sadzawce, a wtedy stał się tak piękny, że na całym świecie nie znalazłoby się piękniejszego. Przeglądał się przez chwilę w źródle, podziwiając swą urodę, później poszedł za stodołę i trzykrotnie krzyknął gniewnym głosem, jak mu kazano. Natychmiast wyłonił się zza stodoły piękny, kary **ru-**

mak z uprzężą ozdobną w miedź i siodłem na grzbiecie. Jego rzenie i tętent słyhać było już z odległości trzech wiorst, z jego pyska tryskał ogień, a z nozdrzy buchały iskry.

Kopciuch popatrzył na konia, poklepał go po zadzie, skoczył na siodło i przez chwilę kłusował dla przyjemności, a potem wrócił znów do źródła i obmył się po raz wtóry. W tejże samej chwili zniknął koń, a on sam wrócił do dawnego wyglądu. Następnie wrócił na cmentarz, gdzie opowiedział swemu ojcu, co się zdarzyło. Na jego rozkaz opuścił trumnę z powrotem do grobu i ruszył do domu. Tam bracia natychmiast go spytali:

— Co widziałeś? Czy upiór ci się pokazał? Czy nie chciał ci zrobić krzywdy?

— Nie! — odparł krótko Kopciuch i wdrapał się na piec, żeby poleniuchować.

Następnego wieczora nadeszła kolej na drugiego brata. Ale i on się bał, poprosił więc Kopciucha, żeby poszedł za niego i przyrzekł mu za to piękne buty. Kopciuch poszedł i teraz. Przez dwie noce modlił się zamiast swego średniego brata, a trzeciej wydobył znowu ojca z grobu, popatrzył na niego i ucałował. Starzec uniósł się wtedy z trumny, otworzył oczy i spytał:

— To i twój drugi brat nie przyszedł?

— I on się bał. Nie miał odwagi przyjść — odparł Kopciuch.

— Syneczku — rzekł na to starzec — idź do domu, na polu znajdziesz źródło, obmyj się w nim, a potem idź na skraj pola i krzyknij dziewczęcym głosem, obmyj się ponownie w źródle i przyjdź opowiedzieć mi, co ci się tam przytrafiło!

Kopciuch poszedł, znalazł źródło i obmył się w nim. Wtedy ogarnęła go taka wesołość, że żadne zmartwienia ani troski nie mogły popsuć mu humoru. Następnie poszedł na skraj pola, krzyknął trzy razy dziewczęcym głosem, a wtedy nadbiegł do niego, rżąc, piękny siwy rumak, jak piana na morzu, z uprzężą zdobną srebrem i z siodłem na grzbiecie. Jego tętent słyhać było z odległości sześciu wiorst, a z pyska i nozdrzy buchał mu ogień. Kopciuch popatrzył na konia, pogłaskał po sierści i wspiął się na jego grzbiet. Pokłusował chwilę, a potem zawrócił do źródła i ponownie się obmył.

Wtedy koń zniknął, a on poczuł się tak samo jak przedtem. Poszedł następnie na grób ojca i opowiedział, co się zdarzyło, złożył starca z powrotem do grobu i ruszył do domu. Bracia spytali go natychmiast, co widział na cmentarzu i czy go nie obleciał strach.

— Nie — odparł krótko **Kopciuch**, wdrapał się na piec i ułożył się do snu.

Następnego wieczora przypadła kolej na **Kopciucha**, żeby udać się na grób ojca. Już o zmierzchu podniósł się z pieca i ruszył na cmentarz. Dwie noce z rzędu modlił się tam gorąco, a trzeciej wydobył znowu ojca z grobu, otworzył trumnę i ucałował zmarłego. Starzec podniósł się wówczas, usiadł, otworzył oczy, popatrzył na Kopciucha i rzekł:

— Kochany syneczku, idź po raz trzeci do domu. Na łące znajdziesz źródło, obmyj się w nim, idź na skraj łąki i krzyknij trzykrotnie męskim głosem. Udaj się następnie z powrotem nad źródło, obmyj się ponownie i przyjdź tu do mnie!

'Kopciuch zrobił znów, co mu przykazano. Poszedł na łąkę, gdzie znalazł źródło, obmył się w nim, a wtedy okrył się złotymi szatami. Powędrował potem na kraniec łąki i krzyknął tam trzykrotnie męskim głosem. W tej samej chwili nadbiegł do niego z rzeniem śnieżnobiały koń w złotej uprzęży i ze złotym siodłem na grzbiecie. Jego tętent i rzenie było słychać już z odległości dziewięciu wiorst. Ogień buchał mu z pyska, iskry tryskały z nozdrzy.

Kopciuch patrzył z podziwem na wszystkie te cuda: na swój złoty przyodziewek i na pięknego, białego konia. Poklepał go po zadzie, wspiał się na grzbiet i ruszył, aby **pokłusować** na łące. Kłusował, jeździł tam i z powrotem, a później wrócił znów do źródła i ponownie się obmył. Wtedy koń zniknął, a on sam był **przyodziana-ny** jak zawsze.

Wrócił wtedy na cmentarz i opowiedział ojcu, co się zdarzyło. Wówczas starzec rzekł **Kopciuchowi**:

— Czego chcesz, mój syneczku, za twoje posłuszeństwo, miłość i pokorę względem swego zmarłego ojca? Czy chcesz zostać kupcem, albo może chcesz tak ogromnego bogactwa, żebyś nie potrzebował już nigdy trudzić się żadną pracą, albo może chcesz

wiecznej mądrości? Wybierz to, czego pragniesz, a mnie wsuń z powrotem do grobu. Odtąd już nigdy się nie zobaczymy.

Kopciuch wybrał mądrość, spuścił ojca do grobu, przykrył trumnę ziemią i ruszył do domu.

Bracia znów go pytali, co widział i czy się nie bał. Ale i tym razem Kopciuch odparł krótko:

— Nie bałem się.

I wdrapał się na piec, żeby odpocząć.

Upłynęło kilka lat, obaj starsi bracia utrzymywali gospodarstwo w najlepszym porządku, a Kopciuch w dalszym ciągu wylegiwał się na piecu i nie troszczył się o nic na świecie. Starsi bracia byli więc źli, że ojciec dał Kopciuchowi taką samą część jak im, a on mimo to nie zabiera się do pracy.

Któregoś dnia starsi bracia wybrali się na jarmark, a Kopciu-cha zostawili w domu, przykazując mu na odchodnym, żeby wypełnił wszystkie polecenia kobiet: przynosił im szczapy drewna, wodę, i to, co może być potrzebne w domu. Kopciuch przystał na to, a bracia ruszyli w drogę. Tegoż dnia skończyła się w domu woda i kobiety zaraz wysłały po nią Kopciucha.

Zlaźł więc z pieca, wziął nosidła, zawiesił na obu ich końcach wiadra, zarzucił nosidła na ramiona i ruszył na brzeg. Zaczerpnął tam w wiadra wody do pełna i przysiadł na brzegu przerebli, aby odpocząć. Siedząc tam, zobaczył wielkiego szczupaka pływającego na powierzchni wody.

„Ach! pomyślał uradowany Kopciuch, dawno już nie jadłem świeżej ryby. Złowię tego szczupaka”.

Zabrał się do roboty. Zrobił pętlę, schwytał w nią łeb szczupaka i zaczął ciągnąć, ile tylko miał sił. Ciągnął, ciągnął, póki nie wyciągnął ryby na ląd. Wtedy szczupak zaczął błagać:

— Nie, nie wyciągaj mnie stąd, dobry człowieku, bo zemrę.

— Dawno już nie jadłem świeżej ryby. Zabiję cię i koniec — rzekł Kopciuch.

— Nie zabijaj mnie! — prosił w dalszym ciągu szczupak. — Nie zabijaj! Dam ci taką moc, wieczną moc, że zdobędziesz wszystko, czego tylko zapragniesz w życiu.

Kopciuchowi mowa szczupaka wydała się ponętna, ale chciał się przekonać, czy czasem nie kłamie. Wtedy ryba poradziła mu tak:

— Rzeknij tylko: szczupaka pomysłem, moim własnym zamysłem. A wtedy wszystko osiągniesz.

Kopciuch wypróbował zakłęcie i kazał wiadrom z wodą, żeby poszły do domu same bez dźwigania. W tejże samej chwili stało się tak, jak sobie życzył. Wypuścił wtedy szczupaka z pętli i nabrał jego mocy.

Usiadł na nosidłach i rzekł:

— Szczupaka pomysłem, moim zamysłem nieście mnie do domu.

Nosidła zaniósł Kopciucha do chaty, gdzie wdrapał się na piec i zasnął.

Nazajutrz zabrakło drewna. Kobiety nie dawały Kopciuchowi spokoju, wysyłały go po szczapy. Kopciuch wyszedł więc w końcu na podwórze z siekierą w rękę, usiadł na tylnym siedzeniu sani i wyrzekł słowa, których nauczył go szczupak. Sanie na to same ruszyły pędem. Gnały, gnały ciągle naprzód, aż dotarły do królewskiego boru.

„Tu, jak mi się zdaje, są piękne pnie, stąd wezmę drewno”, pomyślał Kopciuch i kazał siekierze szczupaka pomysłem, swym własnym zamysłem ścinać drzewa. Siekiera rąbała, rąbała, że zamek odpowiadał echem. Usłyszał to król i posłał żołnierzy do lasu, żeby zobaczyli, co się tam dzieje.

Kiedy tam przyszli, ujrzeli, jak drzewa same padają i same też układają się na saniach Kopciucha. bez niczyjej pomocy. Żołnierze chcieli schwytać Kopciucha, ale ten ruszył ku swoim saniom, wypowiedział zakłęcie i puścił się pędem w stronę domu. Żołnierze rzucili się za nim w pościg, ale na próżno. Musieli wrócić na zamek z pustymi rękoma.

Gdy król usłyszał od nich o całej sprawie, rozesłał natychmiast gońców, aby dowiedzieli się, któż to w jego kólestwie potrafi czynić takie cuda. Ale oni nie uzyskali żadnych wiadomości.

Kiedy Kopciuch wrócił spokojnie do domu, drewno na zakłęcie szczupaka samo ułożyło się w sagi, a następnie w miarę potrzeby

bez dźwigania samo wędrowało do chaty, aby ją ogrzać. Aby wszakże nie ukradziono go z **sągów**, **Kopciuch** przykazał szczapom:

— Szczupaka pomysłem, moim zamysłem chwytajcie mocno tego, kto was dotknie.

Zdarzyło się akurat tak, że sąsiedzi, widząc przed domem **Kop-ciucha** to piękne drewno, wśliznęli się nocą, wzięli parę polan, aby je obejrzyć, gdy wtem **sag** ich schwytał. Kiedy zrozumieli, że to sprawka **Kopciucha**, błagali go, żeby ich uwolnił, co też Kopciuch uczynił. Sąsiedzi jednak czuli do niego żal i donieśli królowi, że Kopciuch skradł drzewo z jego boru.

Król, zadowolony, że znalazł wreszcie tak długo poszukiwanego człowieka, przywołał Kopciucha do siebie, ale Kopciuch nie ruszył się nigdzie, choć słano do niego jeden rozkaz za drugim. W końcu przyszedł do niego najbardziej zaufany sługa króla i przyniósł z sobą takie wino, którego już parę kropel wystarczało, żeby człowiek się upił. Poczęstował nim Kopciucha, aby pijanego zaprowadzić przed oblicze króla. Kopciuch jednak domyślił się podstępu i rzekł tylko:

— Szczupaka pomysłem, moim zamysłem nie upiję się tym winem!

Wypił duży łyk wina i nie dał się zabrać. Obiecał jednak, że za tydzień z własnej woli zjawi się na zamku. I rzeczywiście, stanął się na dziedzińcu zanikowym, jadąc na swym piecu.

Rozbawiony tym widokiem król ruszył na powitanie Kopciucha i spytał:

— Jak ty, braciszku, możesz jechać na piecu?

— Jadę i tyle — odparł Kopciuch, wytarł trochę sadzy i innego brudu z twarzy i od słowa do słowa odpowiadał królowi coraz dowcipniej. Spodobało się to władcy, który wcale nie gniewał się na to, co mówił Kopciuch.

Gdy tak sobie rozmawiali, zdarzyło się, że Kopciuch skierował wzrok na najwyższe piętro zamku i zobaczył siedzącą tam w oknie królową, która spoglądała ku niemu. Niezwykła uroda dziewczyny poruszyła natychmiast serce Kopciucha, który po cichutku rzekł:

— Szczupaka pomysłem, moim zamysłem niech dziewczyna zapłonie do mnie miłością!

Rozmowa z królem trwała jeszcze jakiś czas, po czym **Kopciu-cha** odprowadzono.

Niedługo potem spadło na króla wielkie zmartwienie. Z dnia na dzień jego córka **niknęła** w oczach, a nikt nie wiedział, co może być tego przyczyną. W końcu księżniczka przyznała się ojcu, że jest zakochana, tylko sama nie wie w kim.

Król postanowił więc wydać ją czym prędzej za mąż. Rozesłano wieści na całe królestwo: w ciągu trzech dni musi się znaleźć narzeczonny. Ten otrzyma królową, kto jednym skokiem dostanie się na koniu na najwyższe piętro zamku, gdzie królowa, stojąc w oknie, **odcisnie** swój pierścienek na jego czole, aby można było rozpoznać narzeczonego.

Wszyscy dobrze urodzeni, jak i ludzie pochodzący z gminu zebrali się tłumnie wokół zamku, aby popatrzeć albo też spróbować szczęścia. Wszystko wszakże na próżno; żaden koń nie zdołał osiągnąć nawet trzeciego piętra zamku. Jeden **Kopciuch** jeszcze nie próbował. Starsi bracia, wróciwszy z zamku, byli bardzo przygnębieni tym, że nie zdołali zdobyć królowy. Rzekli do **Kopciucha**:

— Ciebie też zapraszają, żebyś spróbował, idź. ludzie będą mogli się przynajmniej uśmieć!

Kopciuch nic nie odpowiedział, tylko rozmyślał w duchu. Przypomniały mu się wówczas trzy dawne konie. Zszedł z pieca, poszedł do pierwszego źródła, tam się obmył, ruszył za stodołę i zawołał trzykrotnie gniewnym głosem. Przybiegł do niego piękny kary koń. Kopciuch wsiadł na jego grzbiet i **pokłusował** do zamku, ale koń zdołał tylko osiągnąć trzeciego piętra zamku.

Następnego dnia też się nikomu nie powiodło, a drugi koń Kopciucha ledwo sięgnął szóstego piętra.

Na trzeci dzień wszyscy przygotowali swe najlepsze konie, także bracia Kopciucha **pokłusowali** do zanku. Wszyscy kolejno próbowali szczęścia, ale na próżno. Skończyło się tak jak i poprzedniego dnia. Wróciwszy do domu bracia Kopciucha, śmiejąc się, kazali mu, żeby pojechał do zamku. Mówili z **przekpinami**, że go tam specjalnie zapraszają, gdyż nie stawił się w poprzednich dniach.

Kopciuch zeskoczył zręcznie z pieca, obmył się w trzecim źródle tak, że stał się bardzo piękny. Później poszedł na skraj łąki, gdzie

trzykrotnie krzyknął głośno męskim głosem. Wówczas przybiegł do niego wspaniały śnieżnobiały rumak, strojny w nabijaną złotem uprząż. **Kopciuch** dosiadł go i **pokłusował** do zamku.

Zebrany wokół zamku tłum podziwiał go, dopytywał się, co to za wspaniały i piękny mężczyzna w złotym przyodziewku siedzi na tak dorodnym, śnieżnobiałym koniu, z którego pyska bucha ogień, a z nozdrzy tryskają iskry. Ale nikt nie wiedział.

Kopciuch krążył po zamkowym podwórku tam i z powrotem, klepał po zadzie prychającego i rżącego rumaka i czekał na rozkaz, kiedy ma skoczyć. Rozkaz wkrótce nadszedł. Kopciuch ukłuł konia ostrogami, rozpędził się i skoczył na dziewiąte piętro, gdzie królowna siedziała w oknie. Wycisnęła mu na czole znak swoim pierścieniem i Kopciuch zeskoczył na ziemię, po czym odjechał. Oczekujący na zamkowym podwórku ludzie, zawiedzeni, nie rozchodzili się. Czekali, aby dowiedzieć się, kto jest owym szczęśliwcem, który zdobył królownę.

Czekali, czekali na powrót narzeczonego. Czekali wiele dni, a ten się nie zjawiał. W końcu zaczęto go szukać po całym królestwie. Nikt jednak nie miał na czole odcisniętego pierścienka. Ponieważ nie pozostał już nikt inny, przywołano **Kopciucha** i król ku swemu przerażeniu zobaczył znak na jego czole. Królewskie słowo było jednak święte i król nie mógł go złamać. Wyprawił więc wesele, ale nie mógł znieść takiego zięcia. Kazał więc zrobić beczkę, wsadził do niej córkę z **Kopciuchem** i rozkazał spuścić ją w morze, na pastwę fal. Teraz oboje znaleźli się w mocy morza i wiatru. Beczka unosiła się na falach, póki kołysząc się nie dopłynęła do brzegu. Kopciuch wyczuł to i rzekł:

— Szczupaka pomysłem, moim zamysłem niech beczka się **roz-łupie**.

Beczka natychmiast rozłupała się z trzaskiem i Kopciuch wraz ze swą małżonką znaleźli się na lądzie. Była to piękna wyspa, na której rosły bujnie winorośl, drzewa owocowe, jagody i kwiaty, a w szczególności róże. Nad ziemią unosił się cudowny zapach, a pośród drzew świergotały ptaki. Napelniło to Kopciucha radością, pocieszył swoją płaczącą małżonkę i rzekł:

— Szczupaka pomysłem, moim zamysłem niech pośrodku wyspy wzniesie się zamek!

I natychmiast stanął zamek, wspaniała, wielopiętrowa budowla. Mieszkali tam jakiś czas. Kto wie, jak długo, aż w końcu w **Kopciuchu** zrodziła się tęsknota za dawnymi znajomymi i przyjaciółmi.

Zaczął więc rozmyślać, jak przedostać się z wyspy na ląd. Gdy tak rozważał sprawę, przypomniało mu się zaklęcie szczupaka i rzekł:

— Szczupaka pomysłem, moim zamysłem niechaj stanie most, który połączy wyspę z królewskim zamkiem.

I natychmiast stanął most. i to złoty, stanął ponad morzem. **Kopciuch** przebiegł przezeń najpierw do swego domu, pozdrowił braci, którzy sądzili, że dawno już umarł. Opowiedział im, co mu się przytrafiło. Później poszedł do każdego ze źródeł, obmył się w każdym z nich, potem przywołał swoje trzy rumaki, a za pomocą zaklęcia szczupaka zdobył złoty wóz. Zajechał do swych braci, a później z powrotem na wyspę do swej stęsknionej małżonki. W spokoju i miłości żyli na zamku wiele, wiele lat.

Król, który widział często wspaniałe wóz i rączę konie przejeżdżające nie opodal jego zamku, chciał się dowiedzieć, co to za potężny książę zamieszkuje w sąsiedztwie, ale nikt tego nie wiedział. Postanowił więc urządzić wielką ucztę, na którą zaprosił wszystkich możliwych ze swego państwa, zaprosił też **Kopciucha** wraz z małżonką.

Uczta odbywała się. Królowi zdawało się, że rozpoznaje swoją córkę, ale sądził, że się myli. Chciał jednak ukarać w jakiś sposób tych, którzy bez jego zezwolenia osiedlili się w jego królestwie, ktokolwiek by to był.

Kopciuch domyślił się po zachowaniu króla, że ten nosi się z czymś w duchu i miał się na baczności. Jedzono dalej i pito do syta wszelkiego rodzaju napoje, smakołyki i owoce. Przed każdym gościem stał złoty puchar, ale nie postawiono go przed **Kopciuchem**. Gdy król zauważył, że Kopciuch nie wypił ani łyka wina, rzekł do niego:

— Pij, mój przyjacielu, skoro jesteś moim gościem!

Kopciuch podziękował i powiedział, że nie ma przed sobą pucharu, z którego mógłby pić.

— Wszystkim dano puchary, zapewne dano więc i tobie — rzekł gniewnie król. — Ale go ukradłeś.

Kopciuch zaprzeczył stanowczo, zapewniając, że niczego nie ukradł.

— No, niech tam! Wziął zatem ktoś inny — upierał się król. — Ale sprawę musimy wyjaśnić.

Kazał przeszukać kieszenie wszystkich gości, poszukać dokładnie u każdego. Temu zaś, u kogo znajdzie się puchar, miano ściąć głowę.

Szukano, szukano u wszystkich, ale u nikogo nie znaleziono. W końcu rzekł Kopciuch:

— Wy sami, dostojny królu, zasłużyliście na śmierć. W waszej własnej kieszeni jest puchar.

Gdy istotnie znaleziono tam puchar, król zdumiał się ogromnie i nie wiedział, jak się to mogło stać, a wszystko odbyło się za sprawą **Kopciucha i szczupaczego** zaklęcia.

Teraz Kopciuch dał się poznać wraz ze swoją małżonką i pokazał znak na czole. Król pogodził się z nim i oddał mu połowę królestwa. Tam Kopciuch żyje pewnie jeszcze do dzisiaj.

I to już wszystko.

O chłopcu wychowanym w beczce

Wyruszył kiedyś syn króla z miasta do wsi, aby popatrzeć na córki gospodarzy. Mieszkała tam pewna wdowa,



która miała trzy córki — piękne i pracowite. Podkrał się królewicz do ściany sauny, w której siedziały dziewczęta, i nasłuchiwał, o czym też gawędzą.

A dziewczęta właśnie rozgadyły się w najlepsze. Młodsze siostry spytały najstarszą:

— Co potrafisz zrobić najlepiej? Najstarsza odparła:

— Najlepszą robotą, jaką się mogę pochwalić, jest to, że z jednego ziarna jęczmienia przyrządzam najrozmaitsze potrawy i napoje.

Spytały średnią siostry:

— A ty co potrafisz?

— Mogę się pochwalić tym, że z jednego włókna lnu utkam przeróżne płótna i sukna.

Spytały w końcu najmłodszą:

— A co ty potrafisz? Odparła na to:

— Mogę się pochwalić tym, że trzy razy urodzę synów, za każdym razem, gdy będę brzemienna, urodzę trzech chłopców:

*Księżyc będzie świecił z ich boków, słońce
będzie świeciło na ich głowach, ich ręce
będą złote od nadgarstka, a nogi srebrne
poniżej kolan.*

Pomyślał sobie wtedy królewicz: „Ta będzie moją żoną, która urodzi mi takich synów”.

Wrócił potem na zamek i zawiadomił o swym postanowieniu rodziców.

Na królewskim zamku mieszkała także stara babka położna, która pragnęła, żeby to jej córka została narzeczoną królewicza, ale syn królewski nie zwracał na nią uwagi, tym bardziej że jego rodzice i tak nie zgodziliby się na synową z tak niskiego rodu. Ożenił się więc z najmłodszą córką wdowy.

Tak się złożyło, że tuż przed pierwszym porodem królewicz musiał wyruszyć na wojnę. Kobieta powiła trzech synów i wezwała do umycia chłopców babkę położną, tę samą, która chciała, żeby jej córka została królową. Nic tedy dziwnego, że położna żywiła do żony królewskiego syna głęboką urazę. Przyniosła więc z sobą trzy szczeniaki, które podrzuciła w miejsce synów. Dokąd zabrała chłopców, i co z nimi zrobiła, nie wiadomo.

Mąż wrócił z wojny, a wtedy jego krewniacy stwierdzili:

— Twoją żonę należy zgładzić, rodzi szczeniaki na hańbę królewskiego rodu.

Królewicz jednak nie przystał na to i pomyślał: „Poczekajmy, niech jeszcze raz urodzi”.

Minęło trochę czasu i kobieta znów była brzemienna, królewicz zaś i tym razem ruszył na wojnę.

I co się stało?

Gdy kobieta urodziła trzech synów, ponownie wezwano tę samą babkę do mycia. Położna znowu przyniosła z sobą trzy szczeniaki, zostawiła je, a chłopców zabrała nie wiadomo dokąd.

Gdy mąż wrócił do domu, krewni rzekli:

— Zgładź swoją żonę. Przynosi hańbę całej rodzinie. Syn królewski nie zdobył się na zabicie żony. Postanowił ją jeszcze oszczędzić, póki nie wyda po raz trzeci na świat potomstwa i nie odmieni ostatecznie swego losu.

Minął jakiś czas i kobieta znów była brzemienna, mąż zaś musiał znowu wyruszyć na wojnę. W czasie jego nieobecności kobieta urodziła trzech synów, a i tym razem wezwano tę samą babkę położną do mycia. Tym razem wszakże matka pokazała tylko dwóch synów, trzeciego ukryła pod piersiami. Tak więc starucha zamieniła tylko dwóch chłopców, nie wiedząc nic o trzecim.

Kiedy królewicz wrócił z wojny, powiedziano mu:

— Twoja żona urodziła tym razem dwa szczeniaki. Teraz trzeba ją zgładzić!

Mąż jednak nie miał serca zabijać swojej małżonki. Kazał wsadzić ją do pustej beczki i spuścić na morze. Biedna kobieta zabrała z sobą swego jedynego syna ukrytego pod piersiami i nie pokazała go nikomu.

Beczka pływała po morzu, dryfowała przez tydzień po rozkołysanych falach, aż wreszcie zrobiła się za ciasna dla dwojga.

Rzekł wtedy syn do matki:

— Oj, moja mateczko, **rozłupię beczkę!**

— Nie rozłupuj — zabroniła matka. — Jesteśmy zdani na łaskę wody.

Syn usłuchał matki i nie rozłupał beczki. Pływali przez następny tydzień. Zrobiło im się w niej jeszcze ciaśniej — chłopak przecież stale rósł. Powiedział więc podobnie jak i poprzednio:

— Rozłupię dno beczki.

I tym razem nie uzyskał na to matczynej zgody. W miarę jednak upływu czasu pomieszczenie w beczce stawało się coraz **ciaś-niejsze**. Rzekł więc po raz trzeci:

— Rozłupię, matko, beczkę na dwie części. Matka czuła, że beczka kołysze się na dwie strony i że zahacza o coś z łomotem. Domyśliła się więc, że są na **płyciźnie**. Rzekła zatem synowi:

— **Rozłup**, syneczku, **rozłup** beczkę, bo nie ma dla nas innego wyjścia.

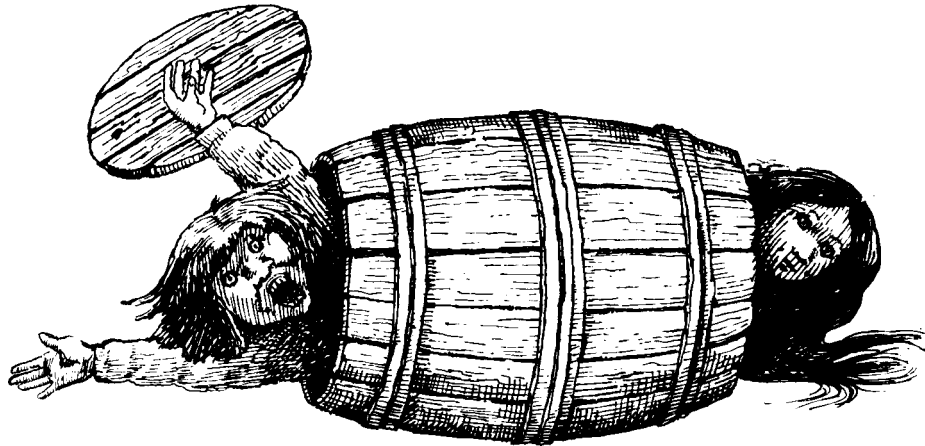
Wtedy chłopak tylko się wyprostował, a już dno beczki odpadło i oboje wyszli na ląd. Wędrowali razem brzegiem i syn spytał matkę:

— Czego nam najpierw potrzeba? Matka odparła:

— Miejsca, gdzie moglibyśmy zamieszkać.

Chłopak szedł więc przed matką i pokazywał jej drogę. W końcu dotarli do rozległej, pięknej łąki. Syn rozpostarł tam swą jedwabną chustę, pomachał nią, i oto przed nimi ukazała się budowla, taka jak królewski zamek.

Zamieszkali w nim. Matka z mleka swych piersi zrobiła **dzie-**



więc chlebów, upiekła je jak należy i położyła na stole, aby ostygły. Spozrzęła wtedy, że drogą kroczy w stronę ich domu ośmiu olbrzymów. Matka i syn wzięli ich za zbójców i uciekli za piec, aby się tam ukryć.

Gdy mężczyźni weszli do izby i zobaczyli chleby na stole, zaczęli je zajadać ze smakiem, a potem rzekli:

— Tu jest dziewięć bochenków, a nas jest tylko ośmiu. Gdzie jest jeszcze ten jeden spośród nas?

Wtedy syn wyszedł z za pieca i rzekł:

— Oto jestem.

Ucieszyli się przybysze i spytali:

— A gdzie jest nasza matka?

Brat pokazał im wtedy matkę ukrytą za piecem, na co olbrzymi tak się ucieszyli, że nosili ją na rękach, ani na chwilę nie spuszczać na ziemię.

Później zbliżył się do ich domu wędrowny kaznodzieja, który przemawiał w imieniu Boga. Chłopcy zaprosili go natychmiast do izby, nakarmili i napoili do syta, a na odchodnym dali mu, jako jałmużnę, sito srebra. Wystarczyło bowiem pomachać tylko chustką, a wtedy dostawali wszystko, czego tylko zapragnęli.

Starzec powędrował dalej i dotarł do królewskiego zamku.

Tam król spytał:

— Starcze, czy zanim przybyłeś do mnie, głosiłeś gdzieś Słowo Boże?

Odparł na to kaznodzieja:

— Byłem nawet już w lepszych miejscach niż to.

— No, gdzież to?

— Choćby tam w głuszy świerkowej stoi taki zamek, że jest na co popatrzeć.

Król postanowił sam go zobaczyć. Starca zaś wziął jako przewodnika. Kiedy przybyli pod dom, matka rzekła do swych synów:

— Przybywa wasz ojciec.

Wówczas wszyscy chłopcy wyskoczyli na spotkanie, podnieśli króla i wnieśli na rękach do izby. Tam wszystko się wyjaśniło. Mąż zaś poprosił małżonkę, żeby wróciła do jego zamku. Nie chciała na to jednak przystać wyrzucona matka dopóty, dopóki będzie tam druga żona króla — córka nikczemnej położnej.

— Nie pomieszka tam długo — rzekł ojciec dziewięciu synów. Wrócił natychmiast do domu, schwycił córkę starej babki położnej i przywiązał ją do ogona najlepszego ogiera. Gdy pognano konie, ten ruszył galopem i do dziś nie wrócił. Król natomiast zabrał do siebie swoją poprzednią żonę i swych synów, i wszyscy żyli szczęśliwie.

Tak długa jest ta baśń.

O dzieciach obiecanych Wodnikowi

W pewnym zamku mieszkał król ze swą małżonką. Życie ich pełne było smutku, bo nie mieli dzieci, ani dziedzica, ani radości na stare lata.



Pewnego razu król wyruszył w podróż morską i pośrodku morza jego okręt utknął na miejscu. Naradzano się, robiono, co tylko było możliwe. Nic wszakże nie pomagało i nad statkiem zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo. Wtedy z morza wyłonił się Wodnik i rzekł do króla:

— Jeżeli dasz mi to, co urodziło się w domu, to pomogę ci zepchnąć okręt. Inaczej nie ruszysz się stąd za dni swego życia.

Król rozmyślał w duchu: „Jeśli moja klacz urodziła źrebaka, to dam go chętnie. Jeśli krowa urodziła cielę, albo owca jagnię, dam chętnie wszystko”.

I przyrzekł uroczyście Wodnikowi dać mu, co się urodziło w domu. Wtedy okręt ruszył z miejsca i król wrócił do domu. Tam wyszła mu na spotkanie małżonka z chłopcem na jednym ręku, a dziewczeczką na drugim, i pozdrowiła, szczęśliwa, swego męża.

Król rozradował się wielce, że jego małżonka urodziła mu dzieci. Jego radość jednak była krótkotrwała, gdyż biedny ojciec przypomniał sobie obietnicę daną Wodnikowi. Zmartwił się teraz okrutnie, że musi oddać mu swe dzieci.

Nic jednak nie powiedział o tym małżonce, ale poszedł sam do lasu i wykopał tam głęboki dół. Gdy dół był gotów, zbudował w nim małą izdebkę, do której przyniósł wszelkiego rodzaju jedzenie, i tam, w sercu ziemi, ukrył swe dzieci, ażeby Wodnik nie mógł ich znaleźć.

Nie upłynęło wiele czasu, a do króla zgłosił się Wodnik i spytał:

— Dasz mi już to, co przyrzekłeś?

Król zaproponował źrebię, ale Wodnik nie wziął. Król ofiarował jagnię, ale i to nie zadowoliło Wodnika. Domagał się tego, co urodziła jego żona. Król kupił wówczas we wsi chłopca i dziewczynkę i dał je Wodnikowi, własnych nie chciał oddać.

Wodnik wziął dzieci i zaniósł je do swego domu. W drodze pytał dzieci:

— Skoro jesteście królewskimi dziećmi, powiedzcie, co ze słodczy jest najśłodsze?

— Miód — odparły dzieci.

— Co jest najbardziej miękkie ze wszystkich miękkich rzeczy?

— Najbardziej miękka ze wszystkiego jest puchowa poduszka — odparły dzieci.

— Co jest najtwardsze ze wszystkich twardych rzeczy?

— Kamień.

— Co jest najgęstsze ze wszystkich gęstych rzeczy?

— Smoła.

— Nie, wy nie jesteście królewskimi dziećmi — rzekł Wodnik, odprowadził dzieci z powrotem do zamku i zaczął szukać kryjówki prawdziwych królewiatek.

Przeszukał już cały zamek, ale i tam ich nie znalazł. Poszedł więc na koniec do kuźni, aby tam popatrzeć. I tam ich nie znalazł, ale przemówił do niego młot kowalski:

— Król kuł mną w dni powszednie i w święta, więc ci pomogę. Weź mnie na ramię i wyjdź. Tam gdzie upadnę, szukaj zaginionych.

Wodnik wziął młot na ramię i poszedł z nim na skraj lasu, i oto młot spadł mu z ramienia, upadł tam, gdzie były ukryte dzieci. Wodnik zaczął kopać i wkrótce znalazł izdebkę, a w niej głęboko ukrytego chłopca i dziewczynkę. Wziął je na ręce i wraz z nimi ruszył do domu. W drodze syn królewski rzekł do Wodnika:

— Jeśli nas uprowadziłeś z domu naszego ojca i naszej matki, to albo nas od razu zabij, albo daj nam coś do jedzenia!

— Co jest najśłodsze ze wszystkich słodczy? — spytał Wodnik.

— Najśłodsze jest matczyne mleko.

— Co jest najbardziej miękkie ze wszystkich miękkości?

— Matczyne łono.

— Co jest najtwardsze ze wszystkich twardych rzeczy?

— Serce ojca.

Gdy Wodnik usłyszał te odpowiedzi, zabrał dzieci z sobą do swego domu i zrobił z nich swoje sługi.

Żyli wszyscy troje długo razem. Mijały dni i lata, dzieci rosły i martwiły się, w jaki sposób wrócić do swego rodzinnego domu. Z czasem wszakże dziewczyna przyzwyczała się do Wodnika i żyła z sobą jak mąż i żona. Bolało to bardzo chłopca, który stawał się coraz smutniejszy.

Pewnego razu wstał o północy, wyszedł za tylne wrota chałupy i gorzko zapłakał nad swoim nieszczęściem. Płakał tam biedny chłopak, płakał, i żaden rozum nie mógłby ogarnąć jego smutku, żadne słowo nie mogłoby go wypowiedzieć, tak był ogromny.

Nadbiegł drogą wilk i spytał chłopca:

— Czemu płaczesz, mój kochany chłopczku? Jeśli chciałbyś stąd odejść, to wsiądź na mój grzbiet.

— O! Uciekłbym stąd w jednej chwili — odparł chłopak — ale mam tu siostrę.

— No, to idź i przyprowadź ją — rzekł do niego wilk. — Oboje was wyzwolę.

Kiedy chłopak wszedł do izby, siostra spała z Wodnikiem. Nie przejął się jednak tym, ściągnął ją z brzegu łóżka i zaniósł na rękach do furty, gdzie czekał wilk. Rodzeństwo wsiadło na jego grzbiet i wilk popędził, jak tylko mógł najprędzej.

Przed ucieczką wszakże powiedział chłopcu:

— Jeśli zobaczysz, że podąża za nami Wodnik, powiedz mi. Pędzili jakiś czas na grzbiecie wilka, gdy wtem chłopiec krzyknął:

— Już idzie!

— Aha, idzie już! — warknął wilk. — Weźcie więc teraz krzemień, który jest pod moim ogonem, wsadźcie go za sobą w ziemię i rzeknijcie: „Niech się wzniesie krzemienna góra, niechaj dosięgnie nieba, żeby nic, co lata na skrzydłach, porusza się na nogach, nie mogło nad nią przelecieć, obejść dookoła ani przejść pod nią”.

Chłopak zrobił tak, jak mu wilk kazał, wsadził krzemień za

sobą w ziemię i natychmiast wyrosła góra krzemienna, wyrosła po samo niebo i zatarasowała przed Wodnikiem drogę.

Kiedy Wodnik przekonał się, że nie **wdrapie** się na górę, stanął u jej stóp i rzekł gniewnie:

— Gdybym miał tu tylko mój oskard i moje wiertło, wywierciłbym w górze dziurę.

Wrócił prędko do domu, a potem z oskardem i wiertłem pośpieszył z powrotem do góry. Wywiercił w niej dziurę, przez którą mógł się **przezołgać**, a następnie pogonić za uciekinierami. Nie miał jednak odwagi zostawić swoich narzędzi na drodze, lecz postanowił ukryć je w ziemi. Kiedy kopał na nie dół, na drzewie zaczęła śpiewać sikora:

*Tu, **tii**, ja, mała sikora, do
patrzenia jestem skora. Stary tu cos
ukrywał, ja widziałam i powiem
wam.*

— Ach, ty nędzne stworzenie, ty **pleciugo!** — powiedział Wodnik. — Muszę doprawdy zanieść narzędzia do domu. Inaczej ktoś je tu znajdzie.

Ruszył natychmiast z narzędziami do domu, zaraz jednak wrócił i pognał za uciekinierami. Dopadł ich w końcu i nie pozwolił dalej uciekać. Zabrał rodzeństwo z sobą i zaprowadził do swego domu, gdzie żyli jak dawniej. Dziewczyna polubiła życie w domu Wodnika, ale dla chłopaka było ono jeszcze bardziej żalosne niż przedtem. Nie wiedział wszakże, jakim sposobem mógłby się od niego wydostać.

Pewnego razu, gdy znów siedział w nocy za tylną furtą i płakał żałośnie nad swym losem, **przydreptał** do furty **szerokogłowy** czarny niedźwiedź i spytał:

— Czy nie chciałbyś ruszyć stąd na moim grzbiecie?

— O! Jakże chętnie bym stąd odszedł — odparł chłopak — ale muszę zabrać z sobą siostrę.

— No, to biegnij ją przyprowadzić — rzekł niedźwiedź — ale nie siedź długo!

— Poczekaj chwilę — poprosił **chłopak** i **pobiegł** do izby Wodnika.

Tam znów dziewczyna i Wodnik leżeli razem na łóżku, podobnie jak przedtem, ale chłopak ściągnął siostrę z brzegu posłania, pociągnął za włosy i zaniósł na rękach do furty, gdzie wsiedli natychmiast na grzbiet niedźwiedzia.

Teraz niedźwiedź ruszył drobnym krokiem, a siedzącym na jego grzbiecie przykazał:

— Gdy zobaczycie, że nadchodzi Wodnik, zawołajcie mnie! Nie uciekli jeszcze daleko, a już dał się słyszeć za nimi tupot.

Chłopak obejrzał się, ujrzał, że nadchodzi Wodnik i przerażony krzyknął do niedźwiedzia:

— tuż idzie!

— Nie trwóście się — odparł niedźwiedź.— Weźcie spod mojego ogona szczotkę, rzućcie ją za siebie i powiedzcie: „Niechaj wyrośnie grzbiet górski! Niechaj się wzniesie aż do samego nieba, żeby nic, co lata na skrzydłach, porusza się na nogach, nie mogło nad nim przelecieć, obejść go dookoła ani przejść pod nim.

Chłopak zrobił, jak mu kazano, i zaraz wyrósł za nim grzbiet górski, tak wysoki, że sięgał niemal nieba. Wodnik był tuż, tuż za nimi, ale nie mógł gonić ich dalej, bo grzbiet górski zatarasował mu drogę. Rzekł wówczas gniewnie:

— Gdybym miał tu tylko mój oskard i moje wiertło, wywierciłbym dziurę. Muszę wrócić do domu, aby je przynieść.

Wrócił prędko do domu. a potem z oskardem i wiertłem pośpieszył z powrotem do górskiego grzbietu i wydrążył swymi narzędziami otwór, którym mógł się przedostać. Potem zaczął kopać dół, aby schować w nim narzędzia, ale na drzewie zaczęła znów śpiewać sikora:

*Tii, tii, ja, mała sikora, do
patrzenia jestem skora. Stary tu
cos ukrywał, ja widziałam i
powiem wam.*

— Podłe stworzenie, **pleciugał** — syknął Wodnik. — Muszę odnieść oskard i wiertło do domu. Inaczej ta **pleciuga** powie o nich komuś.

Pobiegł znów do domu, jak tylko mógł najprędzej, a później

wrócił, aby ścigać uciekających. W końcu dogonił ich, schwycił chłopaka za rękę i rzekł:

— Jeśli jeszcze raz uciekniecie, to was zjem.

Wrócili do domu Wodnika i żyli podobnie jak przedtem, ale chłopcu było coraz ciężej na sercu, nie wiedział, jak ma dalej żyć, co robić, bo życie było dla niego udręką.

Pewnej nocy siedział znów za tylną furtą i płakał, płakał gorzko. I oto przydreptał truchcikiem lis i spytał:

— Nie uciekłbyś stąd na moim grzbiecie?

— Chętnie bym uciekł — odparł chłopak — ale trzeba by zabrać siostrę. Poczekaj tu, a ja pójdę po nią.

Lis obiecał poczekać i chłopak pobiegł po siostrę. Wszedł do izby i zaczął ściągać siostrę leżącą, podobnie jak poprzednio, u boku Wodnika. Tym razem jednak dziewczyna obudziła się i nie chciała uciekać, ale brat schwycił ją i siłą zaniósł za tylną furtę, gdzie wsiadł z nią razem na grzbiet lisa.

Biegąc, lis upomniął siedzących na jego grzbiecie:

— Gdy zobaczycie, że nadbiega Wodnik, powiedzcie mi!

— Biegnij, ile sił. **ostrzeżemy** cię, jeśli zobaczymy, że ktoś idzie — rzekł chłopak.

— Zostańcie tedy na moim grzbiecie — rzekł lis i pobiegł, jak tylko mógł najprędzej.

Mimo to już wkrótce ukazał się gnający za nimi Wodnik. Chłopak przeraził się i zawołał do lisa:

— Teraz Wodnik nas zabije!

— Pod moim ogonem jest krzesiwo — poradził lis. — Rzuć je za siebie, a zobaczysz, co się stanie.

Chłopak rzucił krzesiwo za siebie, jak mu lis kazał, i natychmiast powstał tak straszliwym ogniem ziejący wodospad, że Wodnik w żaden sposób nie mógł przejść. Stał więc na skraju wodospadu i płakał, i był jak wilk, ale nie mógł już nic zrobić uciekinierom, bo ci byli już daleko po drugiej stronie wodospadu.

Widząc, że nie ma się już co bać Wodnika, chłopak zszedł wraz z siostrą z grzbietu lisa i wybudował sobie nieopodal własny dom, w którym razem zamieszkali.

Po jakimś czasie, gdy dom był już dobrze zagospodarowany.

przyszedł wilk, aby zobaczyć nowe mieszkanie, pozdrowił chłopaka i rzekł:

— Ho, ho, dotarłeś aż tutaj, chłopcze. Czy nie chciałbyś mnie przyjąć na towarzysza swych zabaw?

— Tak, uciekłem aż tutaj — odparł chłopak wilkowi. — Zostań, jeśli chcesz, weselej będzie się nam żyło.

Nie upłynęło wiele czasu, a przyszedł również niedźwiedź, pozdrowił chłopaka i spytał:

— Czy weźmiesz mnie na towarzysza swych zabaw?

— Zostań! — odparł chłopak, i niedźwiedź został u niego. Na koniec przyszedł jeszcze lis życzyć chłopakowi szczęścia. On także chciał zostać jego towarzyszem zabaw.

— Ciebie przyjmę szczególnie chętnie — rzekł chłopak. — Ty mnie przecież uratowałeś od Wodnika. Toteż możesz mieszkać u mnie jako mój towarzysz.

Mieszkali już pewien czas wszyscy razem i oto pewnego dnia chłopak przywołał swych towarzyszy i ruszył wraz z nimi zabawić się w lesie.

W tym czasie dziewczyna pobiegła do wodospadu i zaczęła rzucać w niego kamienie. Rzuciła, rzuciła bez przerwy, aż woda się uspokoiła i Wodnik mógł się do niej przedostać. Zaprowadziła go do domu brata, w nocy spali jak mąż z żoną, ale gdy nastał dzień, Wodnik zmienił się w igłę, którą dziewczyna ukryła, wtykając ją w szparę ściany, aby brat jej nie znalazł.

O brzasku brat wrócił z lasu do domu i wprowadził swych towarzyszy do izby, ale ledwie ci znaleźli się w środku, podnieśli krzyk, zaczęli drapać ściany i wszędzie czegoś szukali. Dziewczyna przeraziła się i rzekła do brata:

— Uspokój, bracie, swych towarzyszy, bo porozrywają nam ściany izby.

Chłopak poprosił więc kompanów, żeby się uspokoiли. Zawstydzily się wówczas zwierzęta, spuściły głowy i usiadły cicho w kącie.

Nazajutrz chłopak wyruszył znowu ze swymi towarzyszami do lasu i został tam na noc. Na ten czas Wodnik wrócił do swej dawnej postaci i legł z dziewczyną w łóżu. Gdy jednak zaświtał dzień, zamienił się znowu w igłę i dziewczyna ukryła ją w pościeli,

aby wracający do domu nie mogli jej znaleźć.

I co się stało? Kiedy chłopak wraz ze swymi towarzyszami wrócił z lasu i wszedł z nimi do izby, zapach Wodnika uderzył natychmiast w nozdrza jego towarzyszy, którzy zaczęli przetrząsać pościel i hałasując, przewracali ją na wszystkie strony. Syn królewski dziwił się, co może być tego przyczyną, ale siostra błagała brata:

— Zabroń im tak hałasować!

Brat więc przemówił do swych towarzyszy, a ci się uspokoili. I tak zeszło do rana. Już o świcie chłopak ruszył z towarzyszami do lasu i wrócił dopiero następnego dnia. Siostra leżała chora i mówiła żalosnym głosem:

— Ach, kochany braciszku, wyślij swych towarzyszy, żeby zza dziewięciu żelaznych drzwi przynieśli mi maść. Ja jestem ciężko chora.

Chłopak uwierzył słowom siostry, wysłał więc swych towarzyszy po maść. Sam został przy chorej, aby być blisko niej, gdyby czegoś potrzebowała. Zaledwie jednak towarzysze wyszli, a na pewno nie dotarli jeszcze do celu, drzwi się za nimi zatrzęsły i odcięły im drogę.

Wtedy Wodnik wyskoczył z ukrycia, schwycił chłopaka za rękę i zawołał:

— Jeżeli przez tydzień byłeś taki mądry, że mnie oszukiwałeś, to teraz nie będziesz już mógł mnie dłużej oszukiwać, bo cię zjem.

Zaczęto przygotowania, żeby uśmiercić biednego chłopaka. Siostra napaliła w żelaznym piecu i Wodnik zaprowadził chłopaka do sauny, żeby skruszał nieco przed pieczeniem.

Tymczasem towarzysze starali się wydostać zza dziewięciu żelaznych drzwi, próbowali przedostać się do domu, kopiąc w ziemi przejście, ale przed nimi było jeszcze czworo drzwi. Wodnik zaś brał już chłopca w ręce i rzekł:

— Jesteś już dość kruchy, można cię już upiec. Na dachu sauny usiadł wszakże kruk i zakrakał:

— Kra, kraa, synu królewski, wytrzymaj jeszcze trochę! Chłopak wyrwał się wówczas z rąk Wodnika i uciekł na ławę sauny. Wkrótce jednak Wodnik ściągnął go stamtąd i zamierzał zjeść.

Wtedy jednak na dachu sauny po raz drugi **zakrakał** kruk:

— **Kraa! Kraa!** Królewski synu, wytrzymaj jeszcze trochę. Twoi towarzysze są już tylko jedną wiorstę stąd.

Chłopak więc zaczął znowu wrywać się Wodnikowi. Wrywał się z jego szponów i wreszcie zdołał się uwolnić. Niebawem jednak znowu znalazł się w zasięgu Wodnika, który ciągnął go za spodnie. Ale patrzcie! Kiedy zdawało się, że chłopakowi grozi ostateczna zguba, **nadbiegU** jego towarzysze, rzucili się wszyscy na Wodnika i rozerwali go na strzępy.

Teraz chłopak, wyzwoliwszy się, żywy, ze szponów Wodnika, podpalił saunę i Wodnik spłonął tam na popiół. Swoim towarzyszom dziękował z całego serca i nie wiedział, jak ma ich wynagrodzić za to, że uratowali go z takiego niebezpieczeństwa. Przygotował dla nich ucztę i na złotych i srebrnych naczyniach podał im najrozmaitsze smakołyki do jedzenia i picia. A potem wszyscy razem ruszyli zabawić się, jak poprzednio, w lesie.

W czasie ich nieobecności dziewczyna wzięła w rękę sito i przesiewała popiół w saunie, ażeby zobaczyć, czy nie znajdzie jakichś resztek Wodnika. Przeszukała starannie popiół i znalazła w końcu resztki kości Wodnika. Zabrała je do domu i wsunęła pod poduszkę brata. Ten wrócił do domu z lasu bardzo zmęczony długą wędrówką i rzucił się na łóżko, aby spać.

Kiedy spał, kość Wodnika, ukryta pod poduszką, wbiła mu się w głowę i chłopak umarł. Wówczas przyszła siostra, która czuwała w pobliżu, wzięła zwłoki brata z łóżka i zakopała w ziemi. W ten sposób zemściła się za spalenie Wodnika.

Towarzysze zabaw, nie widząc długo swego przyjaciela, zaczęli za nim tęsknić i szukali go wszędzie. W końcu ich nozdrza podrażnił zapach idący z ziemi i kierując się nim, dotarli na miejsce, gdzie chłopak był pogrzebany. Odkopali ziemię i znaleźli jego zwłoki. Ogarnęła ich wielka żalność. Zaczęli się naradzać:

— Jak mamy go obudzić? Musimy go przecież przywrócić do życia!

Obejrzelni starannie zwłoki i kiedy w głowie zmarłego znaleźli kość Wodnika, domyślili się natychmiast, jaką śmiercią zmarł chłopak: zabiła go kość Wodnika.

Wtedy rzekł do towarzyszy niedźwiedź:

— Oprę moją głowę na kości. Może kość wejdzie do niej. Przyłożył swoją głowę do głowy zmarłego i wtedy kość wyskoczyła natychmiast z głowy zmarłego i wbiła się w głowę niedźwiedzia, który od razu padł martwy. Chłopak natomiast obudził się i otrząsnąwszy się, rzekł:

— Oho! Spałem chyba cały tydzień.

— Tak, spałeś, nasz kochany panie! — powiedziały wilk i lis. — Ale gdyby nas nie było, spałbyś wieki. Potem rzekł wilk:

— Teraz ja oprę głowę na głowie niedźwiedzia. Może kość przejdzie do mojej.

I przyłożył głowę do głowy niedźwiedzia, a wtedy kość Wodnika wyskoczyła z głowy niedźwiedzia i wbiła się w głowę wilka, który zaraz umarł. Niedźwiedź tymczasem ożył.

Wtedy lis pomyślał w duchu: „W tylu przypadkach okazałem swoją mądrość. Czy teraz miałbym stracić głowę?”

Przykląkł i oparł swoją głowę o głowę wilka. Zaledwie jednak kość wydobyła się z głowy wilka, lis uskoczył na bok i kość wbiła się w wielki świerk, który natychmiast obumarł.

— Niech sobie obumiera, w lesie jest dużo innych — rzekł lis i radował się, że jemu się to nie przytrafiło.

Teraz też i wilk obudził się do życia i wszyscy, wraz ze swym panem, poszli do domu, skąd zabrali siostrę i razem ruszyli w drogę. Czas już bowiem był najwyższy, żeby odwiedzić rodzinne strony.

Gdy uszli kawałek drogi, dotarli do kościoła, który był tak stary, że dach się na nim całkiem rozpadł. Podróżni weszli do kościoła i obejrzeli wnętrze. Znajdował się w nim ksiądz, jak to zwykle w kościele, i dwoje ludzi, którzy modlili się do Boga. Byli to rodzice chłopaka, ale byli już tacy starzy, że musieli postawić tuż przed nosami palące się wrzeciono i szyszkę sosnową, aby widzieć, co robią. Swoich dzieci oboje już nie poznali.

Królewicz zaczerpnął wówczas wody życia i spryskał nią starców, którzy natychmiast pojaśniali, zrobili się młodzi i piękni jak niegdyś, a jednocześnie poznali swe dzieci. Zapanowała wówczas wielka radość, a potem wszyscy udali się do zamku królewskiego,

gdzie chłopak opowiedział ojcu, co przecierpiał, i wreszcie zakończył słowami:

— Dzięki mojej siostrze byłem już pod ziemią. Gdy ojciec to usłyszał, rozgniewał się bardzo, kazał wyprowadzić córkę przed bramę, gdzie ją zastrzelono. Natomiast towarzyszom zabaw syna dano jeść i pić w złotych i srebrnych naczyniach. a królewicz zaczął rządzić na zamku swych rodziców. I kto wie. czy nie rządzi tam do dziś. I to już wszystko.



Czarodziejska laska

W pewnym mieście mieszkał król, który miał piękną żonę. Któregoś dnia podczas spaceru w ogrodzie żona nagle **zniknęła**, zostawiając trzech zupełnie małych synków. O zaginionej nie zdołano się niestety niczego dowiedzieć.

Od tego czasu minęło kilkanaście lat i chłopcy wyrosli na dojrzałych mężczyzn. Pewnego razu zapytali ojca:

— Dlaczego my nie mamy matki, a inni ludzie mają?

— Wy także macie matkę — odparł król — ale upłynęło już wiele czasu od dnia, gdy **zniknęła**, spacerując w ogrodzie.

Wówczas chłopcy postanowili jednomyślnie, że odnajdą matkę, jeśli to tylko będzie możliwe. Wyruszył więc w drogę najstarszy syn. Zabrał z sobą łuk i miecz, dosiadł konia i **pokłusował** traktem. Ujechał kawałek drogi, a oto naprzeciw wyszedł mu nieznamy staruszek i spytał chłopaka:

— Dokąd jedziesz?

— A na co ci wiedzieć, dokąd jadę? — odparł jeździec. — Jadę, dokąd mi się podoba.

— Powiedz mi jednak! Nie przyniesie ci to przecież ujmy — nalegał staruszek.

Chłopak wszakże był pyszny i rzekł staruszkowi:

— Zamilcz, co się tak natrętnie dopytujesz!

Staruszek jednak nie dał za wygraną, lecz w dalszym ciągu żądał od chłopaka odpowiedzi, dokąd się wybiera. Aby się go pozbyć, młodzieniec rzekł w końcu:

— Jadę szukać mojej matki. I co ci do tego, staruszk?

— Oj, biedny chłopcze — odparł staruszek — chyba szukasz na próżno, ale jedź drogą kawałek w stronę tego rzadkiego lasu.

Rośnie tam wielki dąb. Spróbuj strzelić do niego. Jeśli strzała trafi w dąb i przebije się przez pień, będzie to pewnym znakiem, że znajdziesz matkę, gdyż ten, kto ją uprowadził, zaklął ją w imię dębu i odda ją tylko temu, komu uda się ta sztuka.

I tak się rozstali. Staruszek poszedł swoją drogą, chłopak natomiast pojechał w kierunku, jaki mu wskazano. Wkrótce też ujrzał dąb i pomyślał: „Chyba należałoby strzelić do tego dębu, skoro starzec się tak przy tym upierał.”

Zdjął swój łuk i wypuścił strzałę, ale ta nie trafiła w dąb, lecz przeleciała obok.

„Cóż mogą znaczyć słowa starca? Mówił byle co.”

Tak pomyślawszy, pokłusował przed siebie.

Minęło wiele dni, a najstarszy syn nie wracał do domu. Wyruszył więc w drogę drugi syn i jechał tą samą drogą co i jego poprzednik.

I znów naprzeciw niego wyszedł ten sam co przedtem starzec i spytał:

— Dokąd to prowadzi droga?

— Na co ci wiedzieć, dokąd jadę? Nie udzielisz mi przecież żadnej pomocy — odparł chłopak.

Starzec wszakże domagał się odpowiedzi i wreszcie chłopak oznajmił mu, że szuka matki.

— Oj, biedny chłopcze — rzekł wówczas staruszek — nie znajdziesz matki, jeśli nie przestrzelisz dębu, który rośnie w tym rzadkim lesie przed tobą.

Usłyszawszy słowa starca, chłopak ruszył przed siebie, dotarł do dębu i spróbował strzelić do niego z łuku, ale strzała nie dosięgnęła celu. Pojechał więc przed siebie i nie wrócił do domu w oznaczonym czasie.

Teraz najmłodszy syn zaczął prosić króla, żeby puścił go na poszukiwania, zapewniając, że sprowadzi matkę, jeśli ją tylko gdzieś znajdzie. Król nie miał ochoty puszczać swego najmłodszego syna, skoro dwaj pierwsi nie wrócili do domu, ale w końcu chłopak postawił na swoim i pokłusował tą samą drogą co i jego bracia.

Nie ujechał jeszcze daleko, gdy ujrzał na drodze starca idącego mu naprzeciw. Pomyślał więc: „A co mi tam, spytam tego staruszka,

czy nie mógłby mi poradzić, w jaki sposób mogę znaleźć matkę." Toteż
gdy tylko znalazł się obok staruszka, natychmiast zapytał:

— Czy nie widziałeś tu dwóch młodych ludzi, którzy szukali matki?

Starzec odparł, że jechali wtedy a wtedy, a potem jeszcze dodał:

— Byli jednak trochę zarozumiali i nie chcieli słuchać starego człowieka. A dokąd ty, mój chłopcze, się wybierasz?

— Wyruszyłem na poszukiwanie matki — odparł jeździec. — Czy ty nie mógłbyś mi w tym pomóc?

— Chyba nie odnajdziesz matki, mój chłopcze — odparł starzec. — Nie mogę ci nic więcej poradzić, jak tylko to, że jeśli uda ci się przestrzelić dąb, który rośnie tam, na skraju rzadkiego lasu, to być-może znajdziesz matkę.

Chłopak podziękował staruszkowi za radę i pokłusował przed siebie, póki nie dotarł do dębu. Wycelował w niego, a strzała przeszła pień na wylot. Chłopak ruszył teraz pełen nadziei. Jechał przed siebie, aż natrafił na wielką niebotyczną górę, która zatarasowała mu drogę. Znajdowały się w niej wielkie wrota i chłopak chciał przez nie przejechać. Stała przed nim wówczas służąca domu, która zabroniła mu otwierać bramę, ostrzegając, że niebawem wróci do domu gospodarz. Kazała przybyszowi, żeby jak najprędzej sobie poszedł, bo inaczej źle z nim będzie.

Chłopak posłuchał i zoczył na drogę okrążającą górę. Przed odjazdem jednak spytał dziewczynę:

— Czy jest tu więziona jakaś kobieta? Dziewczyna odparła:

— Jest, i to kobieta wielkich zalet.

— To moja matka — powiedział chłopak, po czym rozstał się z dziewczyną.

Gdy znalazł się z boku góry usłyszał, że władca góry wrócił już do domu. Góra zagrzmiała, a echo jak grom rozeszło się po okolicy.

Chłopak jechał jakiś czas, rozglądając się dokoła i oto spotkał najstarszego brata, którego spytał, co się stało, ale ten nie potrafił powiedzieć niczego o zaginionej matce.

— Ja także niczego się nie dowiedziałem — rzekł wówczas młodszy i ruszyli razem, a po chwili trafili na średniego brata. Zapytał znów najmłodszy, czy i ten nie zdobył jakiej wiadomości o matce, ale i tym razem odpowiedź była przecząca.

Ruszyli więc wszyscy trzej w drogę i znaleźli się ponownie przed tymi samymi wrotami, przed którymi był już najmłodszy brat. We wrotach stała, podobnie jak poprzednio, służąca. Zapytali ją więc:

— Czy władca góry jest w domu?

— Wyjechał w swoich sprawach na trzy dni — odparła służąca.

Najmłodszy brat poprosił więc o otwarcie bramy, ale dziewczyna rzekła:

— Nie mogę otworzyć. Nad wrotami wisi wielki dzwon, który wydaje głos, gdy otworzy się wrota, a gdy dzwon zahuczy, to zaraz stary władca góry znajdzie się w domu.

Cóż więc zrobić?

Bracia pomyśleli chwilę, a potem wykopali pod wrotami podkop i weszli nim do środka. Dziewczyna powiedziała im, gdzie jest ich matka i jak mogą dostać się do wnętrza góry.

Przeszli przez wiele dziesiątków pokojów, drzwi i schodów, aż wreszcie zobaczyli matkę w komnacie znajdującej się na samym szczycie góry. Miała na sobie piękne szaty, wspaniałą, złotą koronę na głowie, prześliczne, zgrabne trzewiki na nogach. Siedziała, wypoczywając, za stołem.

Gdy zobaczyła przybyszów, zaczęła skomleć jak małe szczenię, inaczej nie potrafiła przemówić. Toteż mężczyźni nie usłyszeli od niej ani słowa. Wtedy najmłodszy syn poszedł do służącej i powiedział:

— To prawdopodobnie jest nasza matka, ale nie możemy z niej wydobyć ani jednego słowa.

— Spróbujcie ją przestraszyć — poradziła dziewczyna — wtedy opuści ją zła moc i zacznie mówić.

Chłopak natychmiast wrócił do komnaty, w której siedziała matka i wystrzelił ze swego łuku, mierząc tuż obok matki. Ta przeraziła się i natychmiast zaczęła mówić:

— Czego szukacie? — spytała.

— Ciebie — odparli chłopcy. — Jesteśmy twymi synami. Opuść ten dom razem z nami.

Słyszac te słowa kobieta zostawiła wszystkie swoje kosztowności i rzuciła się- z synami do ucieczki. Gdy stanęli przy wrotach, chłopcy puścili matkę przodem, żeby przeszła pierwsza pod wrotami. Następnie przeszedł najstarszy syn, a za nim średni. Gdy już dwaj starsi bracia wydostali się na zewnątrz, stoczyli wielki kamień do podkopu, tarasując najmłodszemu wyjście, a potem ruszyli w drogę.

I co dalej?

Chłopak sam nie mógł wydobyć kamienia z dołu. Musiał zostać w górze. Zaczął więc po niej spacerować i przyglądać się najrozmaitszym przedmiotom, które się tam znajdowały. W pewnej chwili wszedł do komnaty, w której znalazł bardzo piękną laskę, zaczął więc ją oglądać i podziwiać. Chciał przyjrzeć się jej lepiej, więc postanowił ją zdjąć. Sięgnął po laskę, ale leżała dość wysoko, nie schwycił jej dobrze i wypadła mu z ręki.

Gdy laska stuknęła o podłogę, zjawił się mężczyzna i spytał:

— Czego życzyście sobie, łaskawy panie?

— Nie chcę niczego innego, jak tylko wydostać się stąd — odparł chłopak, i mężczyzna natychmiast otworzył wrota, a dzwon, który wisiał nad nimi, nie odezwał się ani jednym dźwiękiem.

I tak chłopak wyszedł z góry, wziął z sobą laskę, choć nie wiedział jeszcze, że gdy nią stuknie, zjawią się pomocnicy. Sądził, że mężczyzna, który otworzył mu wrota-, zjawił się z innego powodu.

Ruszył w stronę domu lekkim krokiem. Gdy tak wędrował, poczuł zmęczenie, usiadł więc na kamieniu i mimo woli uderzył laską w ziemię. W tejże samej chwili zjawił się mężczyzna i spytał:

— Czego życzyście sobie, łaskawy panie?

— Chciałbym coś zjeść — odparł chłopak, a mężczyzna poszedł, aby spełnić jego życzenie.

Wówczas chłopak pomyślał: „Aha, ta laska nie jest bynajmniej nic nie znaczącym przedmiotem, gdyż na jej stuknięcie zjawił się ten sam mężczyzna. Muszę ją starannie przechowywać.”

Wkrótce na miejscu znalazło się jedzenie, chłopak najadł się do syta, a później mężczyzna zabrał resztę.

Najadłszy się, chłopak ruszył beztrąsko do miasta, ale nie poszedł do królewskiego zamku, lecz udał się do pewnego szewca i został jego uczniem. Szewc zaś był nadwornym szewcem króla. Nowy uczeń zaczął więc szyć buty, ale niezbyt mu to jeszcze wychodziło.

W tym samym czasie na królewskim zamku odbywały się radosne uroczystości na cześć królowej, która po latach niewoli wróciła na zamek. Byli na nich również dwaj starsi synowie. Skłámali bowiem królowi, że nie widzieli w ogóle najmłodszego brata, lecz znaleźli tylko jego konia i domyślili się po tym, że to pewnie bestie leśne go zjadły. Powiedzieli też, że to oni odnaleźli matkę. Król wprawdzie martwił się z powodu utraty najmłodszego syna, ale jego smutek nie trwał długo, bo odzyskał przecież małżonkę.

I co było dalej?

W czasie uroczystości małżonke przypomniało się, jak piękne trzewiki miała w górze i rzekła do swego męża:

— Czy nasz szewc nie potrafiłby zrobić takich trzewików? Każ wezwać go tutaj, aby wziął miarę, ale sądzę, że nie zrobi takich, jeśli nie zagrozi mu się śmiercią.

Król chciał sprawić małżonce przyjemność, wezwał więc szewca do zamku i kazał mu zrobić eleganckie, bogato zdobione trzewiki, o jakich szewc przedtem nie słyssał i jakich nigdy nie widział. Jeśli zaś trzewiki nie będą gotowe w ciągu dwóch dni, szewc będzie musiał umrzeć.

Szewca obleciał strach. Wrócił do domu zgnębiony i opowiedział żonie, co się zdarzyło. Teraz w domu zapanował smutek, nikt nie miał ochoty mówić o całej rzeczy i wszyscy byli bardzo zmartwieni. Gdy uczeń to zobaczył, poprosił, żeby mu powiedziano, co się stało, ale na to majster ryknął:

— A co cię to obchodzi?! Wszystko jedno, co się stało, bo to i tak nie jest twoja sprawa.

Chłopak nie zraził się, lecz poprosił jeszcze pokorniej, żeby mu powiedziano, co jest przyczyną ich zmartwienia. I w końcu majster rzekł:

— Na dworze żądają wymyślonych trzewików dla małżonki króla, ale przecież nikt tutaj nie potrafi zrobić takich.

— Oho! — rzekł uczeń. — Nie martwcie się. Owszem, ja je potrafię zrobić. Dajcie mi tylko odpowiednią skórę i inne potrzebne materiały, a ja wykonam zamówienie.

— Mogę ci przynieść, choć wątpię, czy coś z tego wyjdzie — odparł szewc i poszedł do zamku po potrzebne rzeczy.

Później chłopak kazał wyjść majstrowi z izby. w której niby to zaczął szyć trzewiki, a gdy wszyscy poszli spać, wziął laskę, stuknął nią i zaraz zjawił się mężczyzna, który tak jak poprzednio, spytał:

— Czego życzyacie sobie, łaskawy panie?

— Musisz mi przynieść trzewiki królowej, które zostały w górze. I to szybko — odparł chłopak.

— Zaraz tu będę — zapewnił mężczyzna i znikł. Nie upłynęła nawet chwila i buty znalazły się w rękach ucznia.

Rano szewc przyszedł zobaczyć, co też chłopak zrobił przez noc, a ten właśnie wykańczał robotę pucując szybko trzewiki. Niebawem oddał je majstrowi, który zaraz zaniósł je do królewskiego zamku. Skórę zaś, daną przez majstra, chłopak spalił w piecu na popiół.

Szewc przybył do zamku i małżonka królewska przymierzyła trzewiki. Pasowały doskonale i były takie śliczne, że nie mogło być ładniejszych.

„Te podobają mi się jeszcze bardziej niż tamte, które zostały w siedzibie króla gór — pomyślała żona króla. — To doprawdy niezwykle, że ten nasz szewc potrafi zrobić coś tak pięknego. Aż trudno w to uwierzyć.”

Tak więc szewc wrócił do domu suto opłacony i radował się, że będzie otrzymywał teraz dużo zamówień.

Ale małżonka królewska powiedziała znów do swego męża:

— Nie uwierzysz, mój królu, jaką piękną spódnicę miałam, gdy byłam tam w górze. Czy ten nasz szewc nie potrafiłby uszyć takiej samej?

Niebawem wezwano szewca na rozmowę z królem, a ten powiedział mu:

— Masz uszyć taką a taką spódnicę, a jeśli ci się to nie uda, stracisz głowę.

Szewc wprowadził rzekł:

— Nie jestem przecież krawcem i nie potrafię robić takich rzeczy.

Nic wszakże nie pomogło, trzeba było zabrać materiał i wracać do domu.

Tam znów szewc zamartwiał się ze swą żoną, gdyż nie potrafił szyc spódnic i znikąd nie widział na to rady. Przyszedł uczeń i spytał, czemu majster i jego żona są tacy zgnębieni. Szewc opowiedział mu w końcu o królewskim rozkazie.

— Nie martwcie się — rzekł na to chłopak. — Byłem przedtem także na nauce u krawca i potrafię uszyć taką spódnicę. Wyjdźcie znowu z tej izby, abym mógł w samotności zabrać się do roboty.

Wszyscy poszli spać w nocy gdzie indziej, a chłopak został sam. Stuknął swoją łaską, a w tejże samej chwili zjawił się mężczyzna i spytał:

— Czego życzyście sobie, łaskawy panie?

— Przynieś mi spódnicę królowej, która została w górze — zażądał chłopak.

I oto raz, dwa i spódnica była w jego rękach.

Już wczesnym rankiem przyszedł majster, aby zobaczyć, jak poszła chłopcu robota i czy choć trochę przypomina to, czego życzyła sobie królowa. Uczeń zaś udawał, że kończy już spódnicę, czyścił ją i prasował, zapewniając, że zdąży na czas. Niebawem też dał majstrowi do rąk gotową spódnicę.

Uradowało go to wielce — poszedł zaraz do swej żony i rzekł:

— Ten uczeń musi być jakimś znakomitym człowiekiem, jeśli potrafił uszyć taką spódnicę. Nikt inny by tego nie potrafił.

Zdumiała się także jego żona, ale szewc nie dał jej czasu na podziwianie, pobiegł ze spódnicą szybko do zamku. Kiedy tam małżonka królewska przymierzyła spódnicę, leżała na niej jak ulał. Była bardzo uradowana nowym strojem zdobnym w złote nici i szlachetne kamienie. Zanim wszakże szewc opuścił zamek, małżonka królewska szepnęła do swego męża:

— Czy ten szewc nie potrafiłby również zrobić takiej korony, jaką miałam tam w górze?

„Mógłby spróbować”, pomyślał także król i dał szewcowi model korony, którą ma wykonać. Szewc znów się przeraził, sądząc,

że grozi mu śmierć. Pocieszał się jednak nieco tym, że ma takiego ucznia, który już i przedtem mu dopomógł. Nie pozostało mu więc nic innego, jak wziąć od króla złoto, z którego miał zrobić koronę, i wraz z nim ruszył do domu.

Gdy spotkał tam swoją żonę, uzalił się przed nią na swoją niedolę i rzekł:

— Dlaczego król tak się na mnie zawziął? Zadaje mi zawsze takie osobliwe roboty. **Ter-az** mam zrobić na wzór tego modelu złotą koronę dla jego małżonki.

Żona nie wiedziała także, co na to poradzić, więc szewc poszedł do swego ucznia i powiedział mu, że musi wykonać nową robotę.

— No, co to za robota? — spytał chłopak.

— Trzeba zrobić złotą koronę, która byłaby taka sama jak ten model i ma być gotowa prędko — rzekł szewc, wręczając uczniowi dany mu przez króla model.

— Jeśli chodzi tylko o to, to nie ma zmartwienia — odparł chłopak. — Owszem potrafię to zrobić. W swoim czasie byłem na nauce u złotnika. Dajcie mi tylko osobną izbę, abym mógł spokojnie pracować, a korona będzie gotowa na jutro rano.

Szewc przystał na to chętnie, dano chłopcu zaraz narzędzia złotnicze, miech i piec, w którym topiło się złoto.

Wieczorem chłopak zabrał się do roboty. Ponieważ jednak szewc był obok niego, udawał, że zna się na tym i dmuchał, dmuchał tu, dmuchał tam, obracał krążki złota i zwlekał tak długo, aż szewc nie opuścił izby. Wtedy wziął laskę i stuknął nią w podłogę, zjawił się ten sam mężczyzna co poprzednio, i spytał:

— Czego sobie życzycie, łaskawy panie?

— Tej złotej korony, która jest w zamku władcy góry — odparł chłopak.

W tejże samej chwili znalazła się w jego rękach korona, tak że mógł sobie spokojnie odpocząć.

Wczesnym rankiem majster obudził się i od razu pośpieszył zobaczyć, co przez ten czas uczeń zdążył zrobić. Ten właśnie czyścił koronę, tarł i pucował ją z całej siły, aż pot spływał mu z czoła i skarżył się, że musiał ciężko pracować całą noc i jest już zupełnie wyczerpany.

Majster wziął od niego koronę i zaniósł ją natychmiast do królewskiego zamku. Tam ją oglądano, podziwiano jej piękność i umiejętności, jakie musiał mieć ten, który ją zrobił. Małżonka królewska podziwiała także koronę i rzekła:

— Patrzcie, ona jest dokładnie taka sama jak ta, którą miałam w górze. Doprawdy zdumiewające to i dziwne, że zwykły szewc potrafi robić takie rzeczy!

Teraz puszczono szewca do domu z sowitą zapłatą, a król ponadto nadał mu godność rycerza. Niemniej jednak zastanawiało go, jak szewc może wykonywać takie rzeczy, których nawet sam król nie potrafił wymyślić.

„ Jeszcze raz wypróbuję szewca, pomyślał, sprawdzimy, czy to tylko sztuka ludzka, czy też sprawa jakiejś złej mocy”.

Natychmiast wezwał znowu szewca do siebie, a kiedy ten przyszedł, rzekł mu:

— Musisz wybudować na brzegu morza długie molo, po którym można będzie wchodzić na okręt. I to ma być gotowe na jutro.

Szewc, zgnębiony, wrócił do domu i opowiedział rodzinie, że król nie przestaje go dręczyć.

— No, czego on teraz chce? — spytał uczeń.

— Chce, żebym na brzegu morza zbudował pomost, którym można by przejść na okręt — rzekł szewc. — I ten pomost musi być gotów już jutro.

— Pozostawcie to mnie — rzekł chłopak. — Ja to załatwię. W nocy wyszedł spacerować po ulicy. Tam stuknął laską i oto zjawił się ten sam mężczyzna co zawsze i spytał:

— Czego sobie życzycie, łaskawy panie?

— Nie chcę niczego innego — odparł chłopak — jak tylko tego, żebyś sprowadził tutaj wszystkich mężczyzn, którzy znajdują się w górze.

— Oho! — rzekł mężczyzna. — Tam jest tak wielu mężczyzn, że wszyscy nie zmieściliby się w tym mieście.

— No, to przyprowadź w takim razie wystarczająco liczną gromadę! — rozkazał chłopak.

I zaraz zjawiło się tylu ludzi, że ledwo mieścili się na ulicach miasta. Chłopak powiedział im:

— Musicie zbudować długie molo na brzegu morza, i to jak **najprędzej**.

Mężczyźni zabrali się natychmiast do roboty, a pracując narobili tyle hałasu co artyleryjskie armaty. Nie upłynęło jednak wiele czasu, a pomost był gotów, i to nie z drewna, lecz z przezroczystego szkła, zaś na jego końcu od strony morza stał wspaniały budynek.

Rano król podniósł się ze spoczynku i zobaczył na brzegu morza tę niezwykłą budowlę. Przeraził się niesłychanie i posłał wszystkich poddanych, aby obejrzeliby to dziwo. Tam, przy drzwiach budynku, w którym przebywał budowniczy pomostu, stali wartownicy, on sam zaś miał na sobie królewskie szaty i koronę, które kazał przywieźć z góry. Zdziwili się wszyscy na ten niezwykły widok.

Król posłał najstarszego syna, żeby zobaczył, kto mieszka w tak pięknym zamku. Królewicz wszedł na pomost, ale nie mógł się utrzymać na nogach, bo pomost był śliski jak jesienny lód. Czołgał się więc na kolanach i tak ostatecznie dobrnął do celu.

Budowniczy pomostu zobaczył zbliżającego się brata. Stuknął wtedy łaską i posłał służącego, żeby przyniósł mu różgi. Czołgający się na kolanach brat dobrnął na koniec pomostu, wszedł do środka budynku, gdzie powstawszy z kolan, dreptał w miejscu i zginał się w pokłonach przed bratem. Nie poznał go bowiem i wziął go za króla jakiegoś odległego kraju. Ten jednak nie zwrócił uwagi na pokłony, lecz kazał swym wartownikom pojmać go i spuścić mu tęgie lanie. Wartownicy schwytali więc przybysza i spełniając rozkaz swego pana, **schłostali** go, ile tylko mieli sił. Miała to być kara za uwięzienie w górze i pozostawienie na pastwę losu. Ledwie żywego chłopaka wartownicy wypuścili z rąk i odesłali do rodzinnego domu.

— Ach, ty, niedorajdo! — rzekł do niego po powrocie średni brat. — Nie potrafisz nawet zachować się jak należy wobec króla obcej krainy. — Zobaczysz, jak ja się wybiorę, to z pewnością potrafię zachować się dużo mądrzej.

I zaraz ruszył na brzeg. Wiele wysiłku kosztowało go dotarcie do celu, bo i on nie mógł się utrzymać na nogach. Kiedy zaś udało

mu się już stanąć przed obliczem brata, którego także nie poznał. Był bardzo pokorny i bez przerwy zginał się w pokłonach.

Tamten jednak nic sobie nie robił z jego **uniżoności**, ale kazał sprawić mu lanie i odesłał z niczym.

— Ach, wy, **ciamajdy!** — rzekł król, kiedy i średni syn **przy-włókł** się ledwie żywy do domu. — Widocznie muszę wziąć sprawę we własne ręce, bo, jak widzę, wy się nie nadajecie do niczego.

Ruszył więc w drogę, aby porozmawiać z nieznanym królem, a budowniczy pomostu, gdy zobaczył, że idzie do niego sam król, natychmiast posłał konie i pojazd, aby go przywieźć. Gdy król przybył na koniec pomostu, wprowadził go do swego domu, przycisnął do piersi, ucałował i zachowywał się jak poddany, bo i tak też należało postępować wobec ojca. Później zaś rzekł:

— Ja jestem waszym synem, który wyruszył, aby sprowadzić matkę i to ja ją odnalazłem w górze. Następnie spotkałem braci, z którymi uwolniłem matkę, ale oni uwięzili mnie podstępnie i zabrali ją z sobą, kłamiąc potem tobie, że ja umarłem. To ja także sprowadziłem matkę z góry te trzewiki, spódnicę i koronę, których przecież szewc nie mógłby w żaden sposób zrobić.

Jednocześnie zrzucił z siebie królewskie szaty i wtedy dopiero król poznał swego syna. Zaraz też udali się do jego zamku.

Tam matka także rozpoznała swoje dziecko i potwierdziła, że mówił prawdę.

Wtedy król przywołał starszych synów i spytał ich:

— Czyście zrobili tak i tak i uwięziliście najmłodszego brata w górze? Czy to wy znaleźliście waszą matkę?

Nie mieli nic na to do powiedzenia, bo ojciec przecież znał całą prawdę, zawstydzili się tylko i nie próbowali nawet zaprzeczać. Potem król wziął starszych synów w obroty, spuścił im lanie, i to takie tęgie, że aż skóra na nich trzeszczała.

Po **chłoście** najmłodszy brat stuknął laską i zaraz zjawili się ludzie, którzy zabrali cały pomost wraz z budynkiem.

I na tym skończyła się cała historia.

Dziewczyna na grochowym polu



Bardzo dawno temu mieszkali razem brat i siostra. Gdy ich ojciec umierał, powiedział do syna:

— Opiekuj się troskliwie siostrą, nie kłóćcie się, żyjcie w zgodzie.

Mieszkali razem jakiś czas, żyli w zgodzie, ale później brat poszukał sobie narzeczonej, córki **diablicy**, którą potem poślubił. Bratowa nie zносиła siostry męża, zaczęła judzić.

— Co tu robi twoja siostra? — powtarzała swemu mężowi. Mówiła: — Twoja siostra psuje wszystko w domu.

Później, gdy urodziła dziecko, rozszarpała noworodka, rozszarpała mu uszy, rozszarpała nos, **wyłupała** oczy i rzekła do męża:

— Popatrz, co zrobiła twoja siostra!

Brat w końcu uwierzył w kłamstwa żony i wraz z nią zbił siostrę, a potem ledwo żywą wyrzucił z domu.

Dziewczyna ruszyła do królewskiego zamku. Tam powoli odzyskiwała siły, radziła sobie, jak umiała, bo przecież i tak nie miała dokąd pójść.

Na wiosnę syn królewski wyruszył na pole, aby zasiać groch, i wsadzając ziarna w ziemię, rzekł:

— Jeśli osoba, która pierwsza zje ziarna tego grochu, będzie panną, to zostanie moją żoną.

Tak rzekł, uśmiechając się przy tym do innych.

Zdarzyło się, że dziewczyna stała za płotem sąsiedniego pola, usłyszała słowa królewskiego syna i wzięła je sobie do serca.

Nadeszło lato i groch dojrzał. Dziewczyna wykopała pod płotem dół i poszła jeść strąki.

Pewnego razu synowi królewskiemu przypomniało się grochowe pole i pomyślał: „Pójdę, popatrzę, jak groch urósł.”

Przyszedł, popatrzył i spostrzegł, że ktoś zjadł już porządny pęk strąków. Zaczaił się więc. Czatował, czatował i oto dziewczyna przechodzi ukradkiem przez dziurę pod płotem i zaczyna jeść strąki. Złapał ją wtedy w lniany worek i zaniósł do zamku. Tam rozkazał oblec ją w królewskie szaty, tak jak to przystoi książęcej narzeczonej, a następnie pojął ją za żonę.

Żyli później szczęśliwie, póki kobieta nie spodziewała się dziecka, a królewicz musiał ruszyć na wojnę. Podczas pożegnania tak rzekł do żony: — Jeśli urodzisz syna, wyślij list, przyjadę natychmiast do domu. Jeśli to będzie córka, wyślij także list, ale wówczas przyjadę, gdy będę mógł.

Kobieta urodziła syna i wysłała zaraz list:

„Przyjeżdżaj, mężu, jak najprędzej. Urodził się nam syn.” Wysłała umyślnego, żeby zaniósł list. Ten wyruszył w drogę, a przed nocą trafił do chaty, z której pochodziła dziewczyna. Gdy posiedział jakiś czas w izbie, gospodyni rzekła doń:

— Czy gość nie zechciałby się wykąpać?

— Pewnie, przyjemna byłaby dla podróżnego sauna — odparł posłaniec i poszedł się wykąpać, jak mu radzono. W tym czasie jednak córka złej staruchy schwyciła jego torbę, wyjęła list, i napisała nowy:

„Urodziła się córka.”

Posłaniec nic o tym nie wiedział. Wykąpawszy się, ruszył znowu w drogę i zaniósł synowi królewskiemu list. Gdy ten dowiedział się, co urodziło się w domu, wręczył temu samemu gońcowi odpowiedź:

„Przyjadę, gdy będę mógł.”

Ruszył posłaniec rażno do zamku. Na nocleg zaś zaszedł znów do tej samej chaty, w której nocował poprzednio. I tym jednak razem gospodyni zaprowadziła go do sauny, a przez ten czas zajrzała do jego torby i zamieniła list. W swoim napisała:

„Ponieważ urodziła się dziewczynka, niechaj matka zrzuci królewskie szaty, włoży własne łachy i niechaj sobie idzie, dokąd ją oczy poniosą.”

Gdy niewolnik przyniósł list, kobieta zrobiła tak, jak przykazał jej mąż i opuściła zamek. Wędrowała z płaczem wzdłuż traktu.

Podczas wędrówki poczuła jednak pragnienie. Ruszyła więc poszukać wody w lesie i znalazła w nim w końcu źródło, w którym woda była niezwykle czysta, a obok leżał piękny złoty czerpak. Położyła więc dziecko na brzegu, a sama szukała miejsca, gdzie mogłaby zejść trochę niżej. Dziecko zostało samo, **poczołgało** się, aby sięgnąć złoty czerpak, i wpadło głową do źródła.

Matka natychmiast pośpieszyła mu z pomocą i wyciągnęła dziecko z wody, zanim zdążyło się utopić. Zamoczyła sobie przy tym całe ręce i opryskała oczy źródlaną wodą, a wtedy, patrzcie, w jednej chwili zrobiła się bardzo urodziwa i zdrowsza niż przedtem, wyjaśniała jej też skóra. Dziecko także wypiękniało i teraz na całym świecie nie było piękniejszych.

Potem kobieta ruszyła znów w drogę i dotarła w końcu do rodzinnego domu, w którym jej brat żył w dalszym ciągu ze swą żoną. Nie poznano jej, więc poprosiła domowników o nocleg. Gospodyni odburknęła na to:

— Tam pod drzwiami jest miejsce.

— I tu będzie mi dobrze, bylebym tylko mogła się przespać — odparła kobieta, rozkładając się ze swym dzieckiem pod progiem.

Gospodarze siedzieli w izbie, wieczór zapadł, i oto nadjechał król ze swymi wojownikami, bo i on zboczył na noc do chaty.

Kiedy król spacerował po izbie tam i z powrotem, kobieta puściła dziecko, aby poczołgało się po podłodze. Czołgało się, czołgało, aż **doczołgało** się do króla, który wziął je na ręce. popatrzył na nie i spytał matki:

— Skąd jesteś, kobieto? Masz bardzo urodziwe dziecko, a i ty sama jesteś piękna.

— Tak, tak, nikt mnie już nie poznaje — odpowiedziała królowi kobieta. — Mieszkałam kiedyś w tej chacie, jedliśmy ten sam chleb, ale bratowa zaczęła mnie nienawidzić.

— Zamilcz, ladacznico! — krzyknęła bratowa, chcąc przerwać opowieść, ale kobieta ciągnęła dalej:

— Bratowa zaczęła mnie nienawidzić, buntowała brata. A później zbito mnie i wygnano z domu ledwie żywą. Wędrowałam tedy, dotarłam do królewskiego zamku, zostałam tam żoną królewskiego syna i zostałam brzemienna. Mąż wyruszył ze swymi **ry-**

cerzami na wojnę. Posłałam do niego list: „Syn się narodził”, ale on rozzłościł się na mnie i przysłał stamtąd posłanie, w którym kazał mi wraz z dzieckiem iść, dokąd oczy poniosą. Trzeba więc było iść na tułaczkę, porzucić piękny pałac.

— Zamilcz! — wrzasnęła znowu bratowa, ale król rozkazał:

— Nie odzywaj się! Ja tu jestem panem wszystkiego.

I kobieta ciągnęła dalej, opowiedziała całą historię. A gdy bratowa jeszcze raz wrzasnęła: „Zamilcz, ładacznico! Nie opowiadaj kłamstw!”, król wziął ją za włosy, wyrzucił na podwórze i kazał powiesić na okapie.

Później zabrał swoją małżonkę i swego syna, zawiózł do zamku i tam żyli szczęśliwie. Może żyją do dziś, tego nie potrafię powiedzieć.

I tak długa jest ta baśń.

Król i chłopak z leśnej chaty



Wybrał się kiedyś król do lasu i po drodze trafił do pewnej chaty. Miała ona tak wąską i niską futrynę, że królewski rumak mógł przekroczyć próg tylko przednimi nogami, a ciekawski król chcąc nie chcąc musiał pochylić głowę, żeby cokolwiek zobaczyć. Zerknął do środka i zapytał:
— Czy jest tam ktoś?
— Tak. jest tu półtora mężczyzny i głowa konia — odparł chłopak, który akurat

był w chacie.

- A gdzie jest twój ojciec? — zapytał król.
- Prosi niewiele o dużo — odpowiedział zapytany.
- A matka, gdzież ona jest?
- Piecze zeszłoroczny chleb — odrzekł sprytny chłopak.
- A gdzie się podziwiał twój brat? — zapytał ponownie gość.
- W lesie — odparł chłopak. — Łapie zwierzynę, i to, co złapie, wypuszcza do lasu, a to, czego nie złapie, przyniesie do domu.
- A co robi twoja siostra? — dopytywał się król.
- Opłakuje swój zeszłoroczny śmiech.

Król nie zrozumiał żadnej z odpowiedzi, nie dał jednak nic po sobie poznać. Udał, że jest zadowolony z objaśnień chłopca i wyruszył w drogę. W domu jednak ciągle myślał o zagadkowych odpowiedziach. W końcu postanowił wezwać chłopca do siebie, żeby wyjaśnić jego słowa. Do pomocy zaś zwołał swych doradców.

Przywoławszy chłopaka przed siebie, zapytał:

— Powiedz mi, mój drogi, gdzie był twój ojciec wtedy, gdy prosił niewiele o dużo? Chłopiec odrzekł:

— Był na polu i siał rzepę, a gdy wrzuci się do ziemi parę ziarenek, będą z tego jesienią duże zbiory. Król zapytał ponownie:

— A gdzie była twoja matka, gdy piekła zeszłoroczny chleb? Chłopak wyjaśnił:

— W zeszłym roku zabrano nam mąkę na zapłatę długu, a teraz matka piecze z niej chleb w domu wierzyciela.

— A co — dopytywał się król — twój brat robił w lesie, gdy tę zwierzynę, którą złapał, zabijał i wyrzucał z powrotem, a tę, której nie złapał, przyniósł do domu?

Chłopiec odparł:

— Cesał włosy, i tę wesz, którą złapał, zabijał i wyrzucał do lasu, a te, których nie złapał, przyniósł w czuprynie do domu. Król dalej wypytywał:

— A co robiła twoja siostra, gdy płakała nad zeszłorocznym śmiechem?

— W zeszłym roku często się śmiała i była wesola, ale jest brzemienna, więc teraz płacze i żali się, że będzie miała dziecko. Król tak rzekł do chłopca:

— Twoje chytre i wykrętne odpowiedzi bardzo mnie rozgniewały. Miałem zamiar cię za to ukarać, lecz jeśli teraz odpowiesz prawidłowo na pytanie, które ci zadam, przebaczę ci twoją bezczelność. Powiedz mi, co jest bielsze, dzień czy mleko?

— Dzień jest bielszy — odparł bez namysłu chłopak.

— Nie zgadłeś. Gdy widzisz na podłodze w chałupie smugę dziennego światła, a w drugim kącie jest rozlane mleko, to mleko jest bielsze — powiedział król i kazał wtrącić przybysza na noc do ciemnej celi.

Nie dostał biedny niczego oprócz odrobiny mleka w misce. Rankiem zaszedł król do ciemnicy, lecz gdy otwierał drzwi, nie dostrzegł w mroku miski z mlekiem stojącej w progu. Wdepnął w nią, miska przewróciła się, a mleko ochlapało króla.

Powiedział wtedy chłopak:

— Czyż nie widzieliście teraz, panie, że dzień jest bielszy od mleka? Gdyby był dzień, wielmożny królu, nie **weszlibyście** do miski z mlekiem.

Nie mógł król znieść prawdy w odpowiedzi chłopca i wyrzucił go z pałacu, mówiąc:

— Tym razem twoja bezczelność zostanie srogo ukarana. Musisz przybyć do mego zamku tak, że nie przyjdiesz ani w dzień, ani w nocy, ani drogą, ani skrajem drogi, ani na koniu, ani pieszo, ani ubrany, ani nago, ani do środka, ani na zewnątrz.

Słyszając rozkaz, opuścił chłopak pałac. Zaczął się przygotowywać do podróży. Ze skóry kozy zrobił okrycie, takie, że nie był ani ubrany, ani nagi. Poszedł do pałacu po dniu przydrożnego rowu, więc ani drogą, ani skrajem, na jednej nodze miał sito, na drugiej szczotkę, a gdy zaczęło dnieć, przybył na dziedziniec.

Zbudził się król, wyszedł z zamku i znalazł dziwne ślady, które pozostawiły sito i szczotka. Zdumiony podążył w kierunku sieni i cóż ujrzał? W drzwiach stał chłopiec, z jedną nogą w środku, a drugą na zewnątrz.

— Jak tu dotarłeś? — spytał go król.

— Przyszedłem na czworakach, po dniu przydrożnego rowu — odpowiedział chłopak. — Więc ani na koniu, ani pieszo. Wtedy, gdy tu wchodziłem, świtało, więc nie przybyłem nocą ani dniem, a skoro był i taki warunek, że nie mogłem być ani w środku, ani na zewnątrz, więc stoję tu pod ścianą z jedną nogą na progu, a drugą w środku.

W ten sposób uniknął spryciarz kary, lecz rozeźlony król rozkazał mu wrócić nazajutrz. Następnego ranka wybrał się chłopak na zamek. Król nie dał jednak za wygraną i kazał spuścić z łańcucha swe złe psy, żeby przegoniły śmiałka i dały mu nauczkę.

Ostrzegł go strażnik przy bramie:

— Nie wchodź dalej, psy cię zagryzą.

Lecz przewidujący chłopak miał pod kurtką zająca i odparł:

— Muszę wypełnić królewski rozkaz.

Ledwo wszedł na dziedziniec, psy z miejsca rzuciły się na niego, głośno ujadając. Szybko wypuścił spod kurtki zająca, żeby odwrócić uwagę psiej sfory. Psy natychmiast zapomniały o intruzie i zaczęły ścigać szaraka, który kluczył sprytnie pomiędzy nimi.

Powstał taki hałas, że aż król wyszedł popatrzeć. Widząc, co się dzieje, spytał:

— Co psy tak gonią?

— To, co biegnie przed nimi! — krzyknął chłopiec w odpowiedzi.

— A co to jest. co biegnie przed nimi? — zapytał król.

— To, za czym biegą psy — odpowiedział chłopiec z uśmiechem.

Rażno opuścił królewski dziedziniec i ruszył do domu.



Cesarski dług

Pewien uczciwy wdowiec miał syna, którego w wielkim trudzie i ciężkiej pracy wychowywał przez piętnaście lat. Pewnego dnia tak chłopak rzecze z za pieca do ojca:

— Obydwoj musimy się ożenić, nie możemy przecież tak żyć bez żon. Odparł na to ojciec:

— Oj, nie warto, nie mamy przecież pieniędzy. A chłopak na to:

— Idź i zażądaj pieniędzy od cesarza, tyle żeby starczyło na wesele.

Poszedł tedy ojciec posłusznie do cesarza i mówi:

— Daj mi, miłościwy cesarzu, tyle pieniędzy, żebyśmy my, ja i mój syn, mogli się pożenić.

Prośba wieśniaka wielce rozzłościła cesarza. Krzyknął więc:

— Nie wstyd ci, głupcze, przychodzić do swego władcy prosić o pieniądze?! Nie wiesz o tym, że cesarz nigdy nie daje ich chłopom?! To właśnie oni płacą mnie, cesarzowi, podatki. Jeżeli jutro nie będziesz umiał odpowiedzieć na dwie zagadki, które ci zadam, i jeżeli do jutra nie wymyślisz takiej, jakiej mój lud jeszcze nie słyszał, to każę ci obciąć głowę. To za karę, że ośmieliłeś się przyjść do mnie prosić o pieniądze!

Wrócił zmartwiony ojciec do domu, a chłopak pyta z za pieca:

— Ile pieniędzy dał cesarz?

— Nie dał ani grosza i kazał przyjść jutro odgadywać zagadki. Jeżeli nie będę umiał odpowiedzieć na dwie i nie wymyślę jednej takiej, jakiej cesarski lud jeszcze nie słyszał, to obetną mi głowę.

„Ha, jedną głowę winien jestem śmierci”, pomyślał chłopak, odwrócił się na drugi bok i zasnął.

Rano, kiedy ojciec zbierał się w drogę, chłopak powiedział:

— Pójdę z tobą.

Zszedł z pieca, umył twarz i razem z ojcem ruszył do cesarza. Kiedy już stanęli przed jego obliczem, cesarz zadał pierwszą zagadkę:

— Co jest najdroższe pod słońcem? Wtrącił się wtedy chłopak:

— Czy syn może odpowiedzieć za ojca, skoro ojciec wychowywał go w wielkim trudzie i ciężkiej pracy przez piętnaście lat? Cesarz pomyślał chwilę i odparł:

— No dobrze, odpowiedz.

I odpowiedział syn za ojca na pierwszą zagadkę cesarza:

— Chleb dla głodnych i sen dla zmęczonych są najcenniejsze pod słońcem.

— Dobrze odgadłeś — powiedział cesarz. — Myślałem, że powiesz: pieniądze dla biednych i żony dla nieżonatych, bo przecież ty i twój ojciec jesteście bardzo skorzy do żeniaczki. A teraz druga zagadka: Co twój chłopak i ja, cesarz, robimy jednocześnie?

Chłopak znowu zapytał:

— Czy syn może odpowiedzieć za ojca, skoro ojciec wychowywał go w wielkim trudzie i ciężkiej pracy przez piętnaście lat? Cesarz odparł:

— No dobrze, odpowiedz.

I chłopak odpowiedział na drugą zagadkę:

— Ty cesarz i ja starzejemy się jednocześnie.

— Dobrze odgadłeś — powiedział cesarz. — Myślałem, że powiesz: ja chłopak i ty, cesarz, wylegujemy się jednocześnie. Widać bowiem chłopcze, że jesteś bardzo leniwy, skoro pozwoliłeś ojcu, żeby cię przez piętnaście lat utrzymywał swą ciężką pracą.

A do starca zwrócił się cesarz w te słowa:

— No, syn cię prawie uratował, ale teraz ty z kolei zadaj taką zagadkę, jakiej mój lud jeszcze nie słyszał, a wtedy zobaczymy, co się stanie.

Przedtem już jednak cesarz powiedział swemu ludowi: „Niech sobie starzec zadaje jakąkolwiek zagadkę, wy macie tylko odrzec:

tak, **jużeśmy** ją słyszeli!"

Chłopak znowu spytał cesarza:

— Czy i tym razem syn może zadać zagadkę za ojca, skoro ojciec wychowywał go w wielkim trudzie i ciężkiej pracy przez piętnaście lat?

A cesarz odparł:

— No dobrze, zadaj.

Na to chłopak rzekł do cesarskiego ludu:

— Mój ojciec zbierał w trudzie i ciężką pracą przez piętnaście lat pieniądze i uzbierał pięćdziesiąt tysięcy złotych monet. Potem pożyczył je cesarzowi, a on obiecał dzisiaj zwrócić dług ojcu. Czy słyszeliście coś takiego?

— Tak, **jużeśmy** to słyszeli — odparł lud zgodnym chórem.

— A więc — powiedział chłopak zwracając się w stronę cesarza — oddaj teraz dług ojcu, pięćdziesiąt tysięcy złotych monet, tak jak obiecałeś. Twój lud świadkiem.

Cesarz najpierw strasznie się rozzłościł, ale zaraz wybuchnął śmiechem. Rozkazał dać ojcu chłopaka wielki wór pieniędzy i rzekł:

— Weź te pięćdziesiąt tysięcy złotych monet, bo zbierałeś je przez piętnaście lat w wielkim trudzie i ciężkiej pracy. A teraz pędź do domu iżeń się.

Syn z ojcem wrócili do domu i pożenili się.

Posłowie

Ptaki czarownicy są antologią baśni fińskich prezentującą część ogromnego bogactwa literatury ludowej tego kraju. Biorąc do ręki książkę, czytelnik zauważy zapewne, że baśnie te nie są aż tak egzotyczne ani tajemnicze, jak mógłby się tego spodziewać, sięgając po literaturę kraju, który tak mało, mimo swej bliskości geograficznej, znany jest w Polsce. Fakt ten nie powinien jednak nikogo dziwić. Baśń bowiem jest ze swej natury gatunkiem „wędrującym”, dla którego nie istnieją granice geograficzne. Przekazywana ustnie, wędruje wraz z tymi, którzy ją opowiadają, i jak kamień rzucony w wodę zatacza coraz szersze kręgi. Wędrując ulega modyfikacjom w stosunku do swego pierwowzoru, nabiera lokalnego kolorytu, zmieniają się nazwy, rozbudowują się lub skracają wątki, ale temat, postacie w literaturze ludowej sąsiadujących z sobą krajów pozostają te same: diabły i czarownice, królowny i księżęta, skrzaty i krasnoludki, leśne duchy, władcy gór, rzek i mórz, ludzkie marzenia, cierpienie i lęk. Ze względu właśnie na ustną tradycję, dynamikę baśni i mnogość powtórek tego samego motywu na różnych obszarach geograficznych niezwykle trudno ustalić, co właściwie w baśniach danego narodu jest rzeczywiście rodzime. Z pewnością to, co dla danego ludu jest najbardziej charakterystyczne, a więc nazwy, obyczaje, przywary, zalety, elementy przeszłości i tradycji.

Finowie w ciągu swej historii obficie korzystali z kulturowych wpływów najpierw skandynawskich poprzez Szwecję, później zaś rosyjskich, co zresztą łatwo zauważyć podczas lektury. Większość jednak ich baśni oparta jest na motywach rodzimych, a i w adaptacjach baśni obcych widać ogromną inwencję twórczą narodu fińskiego.

W przypadku Finlandii, która przez wiele, wiele wieków nie posiadała własnej państwowości, a literatura pisana w języku rodzimym pojawia się dopiero w połowie XIX wieku, ustna literatura ludowa odegrała ogromną rolę kulturotwórczą, **narodowotwórczą** i językową. Nic więc dziwnego, że rozwijała się ona tak wspaniale i że tak bogate są zbiory fińskich archiwów w zapisy pieśni, wierszy, baśni, zagadek czy opowiadań ludowych. Jest to skarbiec przeogromny, dorobek dziesiątków pokoleń fińskich wieśniaków, rybaków i myśliwych; jest on źródłem inspiracji dla wielu gałęzi dzisiejszej sztuki fińskiej. Także i dawne baśnie ludowe ciągle znajdują chętnych czytelników i twórców, którzy je literacko przetwarzają.

Pierwsze baśnie fińskie ukazały się drukiem w roku 1783 za sprawą **Ch. Ga-nandera**, który wśród 151 baśni różnych ludów umieścił także dwie fińskie

baśnie ludowe. Na przełomie wieków XVIII i XIX drukowano sporo baśni, ale niestety nie doceniano jeszcze wówczas własnego bogactwa tego gatunku, stąd też większość z nich była tłumaczeniami z języka szwedzkiego lub ukazywała się po prostu po szwedzku. Pierwszym zbieraczem fińskich baśni ludowych był G. A. **Gottiund**, który w latach 1815—1817 zebrał 26 baśni. Do najstarszych w zbiorach fińskich archiwów należą ponadto przekazy zapisane przez A. J. **Sjögrena** i A. I. **Arwidssona**.

Punkt zwrotny w historii zbieractwa baśni w Finlandii wiąże się z działalnością twórcy *Kalevali* **Eliasa Lönnrota**, który w latach trzydziestych ubiegłego stulecia w czasie swych wypraw terenowych zwrócił uwagę na bogactwo baśni ludowych oraz potrzebę ich zapisywania i zbierania. W latach 1836—1840 na łamach czasopisma „*Mehiläinen*” **Lönnrot** wydrukował 19 tekstów z około 80 zebranych. Najważniejszy był jednak jego wkład w dzieło propagowania zbieractwa baśni, aby nie zginęły one bezpowrotnie. Także współtowarzysz wypraw Lönnrota, J. F. **Cajan**, zarażony jego pasją zajął się zbieraniem baśni, kilkadziesiąt zaś z nich przekazał do archiwum Towarzystwa Literatury Fińskiej, dzięki czemu zrodziła się myśl, aby wydać drukiem to, co do tej pory udało się zgromadzić. Cajan zaczął nawet przygotowywać teksty do druku, jednakże za sprawą Lönnrota, który cieszył się ogromnym autorytetem wśród władz Towarzystwa, postanowiono jeszcze poczekać, tj. najpierw wzbogacić zbiory, a dopiero potem pomyśleć o ich opracowaniu i edycji.

Około roku 1840 zbieractwo baśni nabrało tempa. Niezmordowany w zbieraniu ludowych przekazów D. E. D. **Europaeus** zapisał kilkadziesiąt baśni na terenie Karelii. Wydał je wraz z baśniami nadesłanymi mu przez Lönnrota w założonym przez siebie w roku 1847 czasopiśmie „*Suometar*”. W tym samym roku Europaeus zamieścił na łamach tego czasopisma własny artykuł *O fińskich baśniach*, będący pierwszym naukowym programem pracy nad ludowymi baśniami fińskimi, zawierającym ponadto zachętę i wskazówki dla zbieraczy amatorów. Niestrudzenie też zabiegał o wydanie zebranych baśni, co jednak nie spotkało się z aprobatą Towarzystwa Literatury Fińskiej, które przed wydaniem chciało zebrać możliwie jak najwięcej tekstów.

Lata czterdzieste i pięćdziesiąte ubiegłego wieku były bardzo owocne w wyprawy etnograficzne, wzbogacające zbiory Towarzystwa w baśnie. Do najbardziej aktywnych na tym polu należeli wówczas A. Ahlqvist, Z. **Sirelius** i F. **Polen**, a dzięki wyprawom terenowym H. A. **Reinholma** zbiory archiwum ciągle się powiększały. Towarzystwo zaczęło także przyznawać specjalne stypendia dla studentów i naukowców na wyprawy poświęcone wyłącznie zbieraniu baśni. Opracowano także szczegółowy plan badań, sposób zbierania i zapisywania materiału. Pierwsze stypendia tego rodzaju otrzymali **Erik Rudbeck** oraz Albin **Rothman**, którzy udali się do środkowej Finlandii. Wyprawa okazała się nader owocna, przywieziono kilkadziesiąt baśni. Towarzystwo przyznało kolejne stypendia i podjęło ostateczną decyzję o wydaniu zebranych dotychczas **baś-**

ni, a redakcję dzieła powierzono E. **Rudbeckowi**. Przekazano mu zbiory Towarzystwa. Skorzystał on przede wszystkim z baśni zebranych przez **Lónnrota**, Ahlqvista, **Europaeusa** i **Cajana**. Pierwsza część *Fińskich baśni i opowieści ludowych* ukazała się w roku 1852, kolejne zaś w latach 1854, 1863 i 1866. Książka od razu wzbudziła entuzjazm tak w gronie Towarzystwa Literatury Fińskiej, jak i wśród społeczeństwa. Wydanie przez **Salmelainena** (taki pseudonim przyjął **Rudbeck**) baśni ożywiło także dyskusje na temat pochodzenia tego gatunku, głównie dzięki temu, że utwory wykazywały wiele podobieństw do baśni innych narodów. **Europaeus** stanął na gruncie **poligenezy** baśni, **Salme-lainen** zaś był zdania, że powstały one w jednym miejscu, bo wszystkie ludy wywodzą się ze wspólnego pnia. Inny badacz literatury ludowej, S. G. **Elmgren**, opowiadał się za teorią wędrówek motywów.

Po ukazaniu się tomu baśni Salmelainena nastąpił okres posuchy tak w badaniach naukowych, jak i zbieractwie. Towarzystwo Literatury Fińskiej jak gdyby straciło zainteresowanie gromadzeniem baśni. Domagało się ciągle nowych i nowych motywów, nie rozumiejąc jeszcze potrzeby zapisywania różnych ich wersji. Zbieraniem baśni zajmowali się jedynie przygodni pasjonaci, a badali je językoznawcy i dialektolodzy. Pym na tym polu wiódł zasłużony językoznawca fiński **Arvid Genetz**.

Dopiero w roku 1879 etnograf i badacz literatury ludowej, **Eliel Aspelin**, zwrócił się do Towarzystwa, uzasadniając potrzebę wydania nowego zbioru baśni fińskich i kontynuowania badań. Wykazał bowiem niedociągnięcia w dziele Salmelainena, zwrócił też uwagę na fakt, że na mapie Finlandii jest jeszcze wiele regionów, z których nie ma żadnych przekazów ani zapisów. Towarzystwo przychyliło się do uwag i propozycji **Aspelina**, fundując dwa stypendia. Pierwsze z nich otrzymał I. **Mustakallio**, któremu w okolicach **Kainuu** i Karelii udało się zapisać 140 baśni. Drugie przyznano **J. Sjorosowi**, który wyruszył do **południowo-zachodniej** Finlandii i przywiózł stamtąd kilkadziesiąt zapisów.

W latach następnych ufundowano kolejne stypendia dla A. **Lampinena**, F. O. **Rapoli** i K. **Krohna**. Najbardziej owocna była wyprawa **Krohna**, który zebrał blisko trzysta baśni i wspaniale je opracował. Aspelin nie był jednak jeszcze zadowolony z wyniku pięciu zorganizowanych z jego inicjatywy wypraw. Zaproponował więc Towarzystwu zorganizowanie akcji zbieractwa baśni przez amatorów i nadsyłanie ich do archiwum. Towarzystwo przyjęło propozycję i w prasie oraz kalendarzach zaczęto zachęcać do aktywności na tym polu, podając jednocześnie wskazówki, jak zbierać i zapisywać materiał.

W roku 1884 K. **Krohn** zainicjował kolejną wyprawę, której plonem było blisko tysiąc zapisów. Po powrocie z niej podkreślił konieczność przyśpieszenia gromadzenia baśni ze względu na fakt wymierania bazarzy. Celem ułatwienia pracy badaczom i zbieraczom Krohn podjął się także sporządzenia katalogu baśni, w którym sklasyfikował je na osiem typów dzielących się dalej na **podty-py**. Dzięki kolejnym wyprawom zorganizowanym przez Towarzystwo i materiałom

nadesłanym przez zbieraczy—amatorów zbiory archiwum powiększyły się o tyle, że Krohn uznał za stosowne wydanie kolejnej edycji baśni fińskich. Pierwsza ich część *Fińskie baśnie ludowe. Baśnie zwierzęce* ukazała się w roku 1886 i zawierała 467 baśni oraz różne ich wersje. Część druga tego dzieła została wydana w latach 1892 i 1893. Trzecia część niestety nie ukazała się nigdy, bowiem Towarzystwo stanęło na stanowisku, że dla nauki światowej wydawanie w języku fińskim nie ma w zasadzie żadnego znaczenia.

Okres lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XIX wieku był okresem najbardziej wytężonego wysiłku zbieraczy. Dzięki zachętom i propagandowym artykułom Aspelina i Krohna oraz dynamicznej działalności Oddziału Baśni utworzonego przy Towarzystwie Literatury Fińskiej do archiwum zaczęły ze wszystkich stron kraju napływać zapisy baśni — w roku 1877 zbiory liczyły około 1200 baśni, w końcu wieku zaś liczba ta osiągnęła już 23 tysiące. W późniejszych latach ukazała się skrócona wersja dzieła Salmelainena dla dzieci, a ponadto Towarzystwo wyraziło zgodę na opracowywanie baśni dla dzieci na podstawie własnych zbiorów. W roku 1910 dzięki zaangażowanemu wysiłkowi twórcemu K. Krohna, A. Aarne i O. Hackmana ukazał się katalog typów baśni oparty na systemie międzynarodowym, a w rok później nowa klasyfikacja katalogowa zbiorów Towarzystwa. Po badaniach i publikacjach wspomnianych badaczy prace naukowe nad baśniami fińskimi były już bardzo nieliczne. Tę samą szkołę reprezentował w swych pracach później jedynie M. "Haavio. Także i w ostatnich latach dzieje się na gruncie badań nad baśniami bardzo niewiele. Ukazało się jedynie kilka opracowań dokonanych przez P. L. Rausmaa i H. Pau-nonena. Nie oznaczało to jednak zupełnego zaprzestania prac nad zbieraniem baśni. Szczególnie owocne były pod tym względem lata trzydzieste naszego stulecia. W okresie powojennym, kiedy zbieraczom przyszedł z pomocą magnetofon, także udało się zgromadzić wiele cennych zapisów tego wymarłego już prawie śmiercią naturalną gatunku. Dziś oblicza się, że w zbiorach Towarzystwa Literatury Fińskiej znajduje się ok. 55 tysięcy zapisów ludowych baśni.

Dokonując wyboru baśni niniejszego tomu kierowano się chęcią ukazania baśni najbardziej znanych w Finlandii, a więc takich, które mają dziesiątki, a nawet setki wersji w wielu regionach kraju. Z drugiej jednak strony niecelowe byłoby publikowanie baśni „uniwersalnych”, powszechnie znanych w Europie, takich jak *Czerwony Kapturek* czy *Tomcio Paluch*. Wybór ten jest więc swego rodzaju kompromisem między tym, co najbardziej znane w Finlandii, a tym, co najbardziej fińskie. Za jego podstawę posłużyło pierwsze, w zamiarze swym naukowe wydanie baśni fińskich opracowane przez wspomnianego już wielce zasłużonego w tej dziedzinie jednego z twórców fińskiego języka pisanego, Eero Salmelainena — *Suomen kansan satuja ja tarinoita*.

Niezwykłe to dzieło przyrównywane do *Kalevali* i *Kanteletar* zawiera ponad sto baśni, które Salmelainen sam, przeważnie na podstawie kilku wersji każdej baśni, opracował literacko, zachowując jednak maksimum autentyzmu tak

w zakresie opracowywanych motywów, jak i wersji językowych. Dzieło *Salme-lainena* na trwałe weszło do historii fińskiej literatury i nauki.

Kontynuacją pionierskiej pracy *Salmelainenena* jest drugie wykorzystane źródło *Suomalaiset kansansadut* pod redakcją P. L. *Rausmaa*, wydane — tak jak i dzieło poprzednika — nakładem Towarzystwa Literatury Fińskiej w roku 1972. Publikacja ta ma charakter naukowy i zawiera baśnie sklasyfikowane według typów katalogowych ze wszystkimi wersjami poszczególnych motywów, bez żadnych poprawek językowych i merytorycznych. Zapisy te są najczęściej *dialektalne*. Baśnie pochodzące z dwu wyżej wymienionych dzieł uzupełniono tekstami współcześnie wydanych literackich opracowań fińskich baśni ludowych, z edycji *Tarulinna* opracowanej przez *Joela Lehtonena* oraz *Rudolf Koivun Satukirja* — zbioru baśni różnych narodów, w tym także fińskich, opracowanych literacko przez Rudolfa *Koivu*. Ze zbioru tego wybrano oczywiście jedynie baśnie fińskie.

Tom *niniejszy* nie jest pierwszą w Polsce prezentacją baśni fińskich, W roku 1982 ukazały się bowiem *Bośnie fińskie* *Raula Roine* w przekładzie J. *Utwiniuka*. Książka *niniejsza* jest więc swoistym uzupełnieniem tamtej edycji, wzbogacającym naszą wiedzę o fińskiej literaturze ludowej.

Romuald Wawrzyniak